

M A R I U S Z K A N I O S

DOBRY CZŁOWIEK

JEŻELI RAZ PRZEKROCZYSZ GRANICĘ ZŁA,
TO NOCĄ ŁATWIEJ BĘDZIE CI ZABIĆ,
NIŻ SPOKOJNIE ZASNAĆ.


pięte
marzenie
WYDAWNICTWO

M A R I U S Z K A N I O S

DOBRY
CZŁOWIEK


pięte
marzenie
WYDAWNICTWO

Redakcja i korekta

korekto.pl

Redakcja techniczna

Joanna Ardelli

Grafika na okładce (Temida)

Przemysław Adamowski

@Jazzus76 • facebook.com/Jazzus76/

Projekt okładki i łamanie

Joanna Ardelli

Opracowanie formatów mobilnych

Jakub Pilarski, eBooki.com.pl

Copyright © by Mariusz Kanios 2021

Copyright © by Wydawnictwo PIĄTE MARZENIE 2021

Druk i oprawa

Drukarnia READ ME, Łódź

Spis treści

Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29

Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64

Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Rozdział 70
Rozdział 71
Rozdział 72
Rozdział 73
Rozdział 74
Rozdział 75
Rozdział 76
Rozdział 77
Rozdział 78
Rozdział 79
Rozdział 80
Epilog

Prolog

Pokaż mi dobrego człowieka, a ja zajrzę w głąb jego duszy i powiem ci o nim całą prawdę. Pokażę ci jego twarde łokcie, które pomagają mu iść przez życie, zostawiając innych w tyle, i stopy, którymi depta leżących. Pokażę ci jego dłonie splamione krwią – najpierw bezbronnych zwierząt, potem szkolnych rówieśników, a ostatnio ukochanej żony, której nie opuści, póki jej śmierć ich nie rozłączy. Pokażę ci jego język, który potrafi kłamać na zawołanie i ranić bliskich niczym brzytwa. Usta śmiejące się za plecami innych, kiedy oni nie patrzą. Oczy od najmłodszych lat przyzwyczajane do ciemności i uszy głuche na płacz. Pokażę ci jego przyrodzenie nabrzmiałe od żądy, z którego jest bardzo dumny. Mózg, który można by umieścić w słoiku z formaliną i podpisać: centrum chciwości wszechświata. Na koniec pokażę ci serce, którego nie ma. Znajdź mi dobrego człowieka, a pokażę ci to wszystko.

1

Sprawdził, czy prowizoryczny sznur wytrzyma ciężar jego ciała. Chciał się upewnić, że będzie wystarczająco mocny i nie zawiedzie, kiedy zaraz na nim zawiśnie. Owinął końce wokół dłoni i szarpnął kilka razy z całej siły. Węzły nie puściły, zacisnęły się jeszcze bardziej. Wyglądało na to, że połączone kawałki materiału spełnią swoje zadanie. Wstał i odłożył nożyk, przy pomocy którego nacinał prześcieradło, na stół. Narzędzie zrobił własnoręcznie z więziennej łyżki. Zgodnie z regulaminem osadzeni nie mogą posiadać ostrych przedmiotów, musiał więc poradzić sobie inaczej. Zaostrzenie uchwytu łyżki o cementową posadzkę zajęło mu prawie cały dzień, bo mógł to robić tylko o określonych porach, kiedy nie słyszał nikt z więziennej służby. Nie był to zmarnowany czas, choć użył noża zaledwie raz. Pewnie zostanie zarekwirowany przez strażnika w trakcie przeszukania celi, kiedy już po wszystkim zabiorą jego martwe ciało. Najważniejsze, że spełnił swoje zadanie. Zresztą tego dnia każdą codzienną czynność cechowało stukrotnie większe znaczenie niż zazwyczaj, bo miała być ostatnią z wielu takich samych w jego życiu. Ostatni raz rano umył twarz, zjadł ostatnią kromkę chleba, popijając ostatnim kubkiem lichej kawy. Zanim wszechogarniający smutek przerodził się w swego rodzaju otępienie, przez chwilę dramatyzował w myślach. Zastanawiał się nawet, jakie były ostatnie wypowiedziane przez niego słowa, ale nie mógł sobie przypomnieć. Nie było to najwyraźniej nic nadzwyczajnego – jakaś banalna wymiana zdań ze współwięźniem, zanim tamten poszedł na spacer. On dziś nie skorzystał z tego przywileju. Powiedział klawiszowi, że źle się czuje i chce zostać w celi. Teraz usłyszał na korytarzu kroki. To strażnik szedł w stronę wyjścia na wewnętrzny dziedziniec. Musiał się spieszyć. Za kilka minut zaczną wpuszczać

na blok więźniów wracających ze spaceru. Nie myślał o tym, co się za chwilę stanie. Mechanicznie wykonywał zaplanowane wcześniej czynności. Obrócił się w stronę piętrowego łóżka i wszedł na nie, stając na dolnej pryczy. Dokładnie przywiązał koniec sznura do łuszczącej się, metalowej ramy. Umocował go w najwyższym miejscu i rozszerzył pętlę na drugim końcu. Potem usiadł na dolnym materacu i zaczepił stopy kawałkiem prześcieradła o rurkę pod ścianą, żeby nie mógł się nimi podeprzeć, kiedy już zawisnie. Pragnął odebrać sobie życie, ale wiedział, że instynkt przetrwania zadziała i nie zważając na jego wolę, będzie starał się zachować ciało przy życiu. Musiał temu zapobiec zawczasu. Prawdopodobnie, kiedy rzuci się z łóżka, szarpnięcie skręci mu kark, ale wołał się zabezpieczyć. Miał tylko jedną szansę. Wiedział, że drugi raz się na to nie zdobędzie, że odwagi starczy mu tylko na tę próbę. Stał na metalowym stelażu łóżka, założył na szyję pętlę i przekładając niezdarnie ręce za plecami, przekręcił się twarzą w kierunku zakratowanego okna celi. Odwrócił wzrok od widoku nieba – nie chciał go teraz oglądać, już zdecydował. Nienaturalnie wykręconymi dłońmi trzymał się górnej pryczy. Nie czekał, nie liczył do trzech. Wiedział, że czas nie jest jego sprzymierzeńcem w podjęciu tej ostatniej decyzji. Puścił się i przez ułamek sekundy wyglądało, jakby skakał z wysokiej skały w przepaść. Ciało przechyliło się powoli, potem przyspieszyło gwałtownie. Poleciał głową w dół i poczuł szarpnięcie. Ręce chciały zamortyzować upadek, ale nie dosięgły podłogi. Gdyby stawką nie było jego życie, można by powiedzieć, że machał nimi zabawnie. Próbował wsunąć palce pod uciskający szyję sznur. Na próżno. Z każdą sekundą świadomość odpływała. W końcu zawisł metr nad ziemią, nienaturalnie wygięty, z głową odchylną w tył.

2

Zuzanna leżała nieruchomo, patrząc w sufit z wykrzywioną grymasem twarzą. Była naga od pasa w dół. W tej pozycji, z uniesionymi i szeroko rozsuniętymi nogami czuła się źle i nie mogła skupić myśli. Odruchowo drgnęła i zacisnęła usta, kiedy poczuła dotyk zimnej dłoni między udami. Czekwała aż skończy i nie mogła w żaden sposób tego przyspieszyć.

– No dobrze – usłyszała wreszcie niski, ale ciepły głos i odetchnęła z ulgą. – Może już pani wstać i się ubrać. Jak będzie pani gotowa, zapraszam do mojego biurka.

Doktor zdjął rękawiczki i umył dłonie mydłem. Zuzanna weszła za parawan, w pośpiechu założyła bieliznę i rękami wygładziła pomiętą sukienkę. Teraz, kiedy badanie miała już za sobą, chciała jak najprędzej dowiedzieć się, czy jej przypuszczenia się potwierdzą. Lekarz poczekał w milczeniu, aż usiądzie, ale jego uśmiech zdradzał wszystko. Miała rację, była w trzecim miesiącu ciąży. Trudno jej było się skupić, aby wysłuchać porad i zaleceń ginekologa. Euforyczny stan całkowicie ogarnął umysł. Wszystkie komórki jej ciała już od jakiegoś czasu upominały się o macierzyństwo, zwłaszcza odkąd wzięli ślub. Zegara biologicznego nie da się oszukać. Po wyjściu z przychodni wyjęła z torebki telefon i wybrała numer Rafała. Uśmiechała się, czekając, aż usłyszy jego głos. W końcu odebrał i powiedziała mu, że będą mieli dziecko. Słowo „dziecko” w tym prostym zdaniu zawierało w sobie tyle emocji, że wszelkie dodatkowe opisy były już zbędne. Przez dwie minuty Rafał zadawał bezsensowne pytania, po czym zamilkł na dłuższą chwilę.

– Kocham cię – kiedy wreszcie się odezwał, jego głos lekko drżał.

– Ej, chyba nie beczysz! – Zuzanna zaśmiała się do słuchawki, maskując w ten sposób wzruszenie. Potarła dłonią oko, starając się nie rozmazać makijażu.

– Nie – pociągnął nosem. – Musimy to uczcić. Mogę się urwać z pracy.

– Wieczorem będziemy świętować – też uspokoiła emocje. – Teraz jadę na komendę, mam dziś jeszcze dwa przesłuchania i przeszukanie altanki na działkach.

– Bądź ostrożna – znów miał spokojny głos. – Musisz teraz uważać na siebie, pani komisarz.

– Będę.

Szła ulicą w stronę auta i nie mogła przestać się uśmiechać. Ten deszczowy, jesienny czwartek był najpiękniejszym dniem w jej życiu.

3

Sławomir Kosior siedział w kołnierzu ortopedycznym na plastikowym krześle w gabinecie więziennego psychologa. Powoli, z trudem, odwrócił głowę i spojrzał na umocowany na ścianie zegar. Facet od pół godziny wisiał na telefonie, wrzeszcząc na kolejne osoby z warsztatu, gdzie naprawiano jego samochód. Historia nabierała tempa – psycholog kłócił się coraz bardziej zapalczywie z coraz to wyżej postawionymi przedstawicielami serwisu. Sławek, początkowo nawet zainteresowany rozwojem sytuacji, teraz miał już dość wysłuchiwania jego pretensji. Bolała go szyja i najchętniej wróciłby już do celi, położył się na swojej pryczy i poużalał nad sobą.

– Gównu mnie to obchodzi! Ma być gotowy za godzinę i już! – facet rozłączył się wreszcie i rzucił telefon na leżącą na stole teczkę z dokumentami. – Kurwa mać!

Sapał dobrą minutę, zanim uspokoił się na tyle, żeby myślami wrócić do pomieszczenia, gdzie naprzeciwko niego siedział niedoszły samobójca. Przyjrzał się, jakby zauważył go dopiero teraz, i po chwili uświadomił sobie, po co tu obaj są. Wściekłość zniknęła z jego twarzy, a zastąpiła ją mieszanka irytacji z pogardą. Przed nim leżały akta, których nawet nie otworzył.

– No i co? Nie udało się? – wskazał na jego szyję i rozłożył bezradnie ręce. – Co ja ci poradzę, że nic nie umiesz porządnie zrobić? I obaj teraz tracimy czas. To znaczy ja tracę, bo ty to masz czasu od cholery i gównu do roboty. Dla ciebie siedzenie u mnie to jest rozrywka, prawda?

Więzień spuścił oczy. Wpatrywał się w podłogę. Teraz naprawdę pragnął stąd wyjść jak najszybciej.

– Chcesz mi coś opowiedzieć? – psycholog rozsiadł się wygodnie na krześle. – Masz dla mnie jakąś rzewną historyjkę?

Skulony mężczyzna przecząco pokręcił głową. Na tyle, na ile pozwolił mu kołnierz. Wzrok miał wciąż wbity w posadzkę.

– To może i lepiej, bo dzisiaj trochę się spieszę. Umówmy się, że opowiesz mi następnym razem, dobrze? – mężczyzna wstał i zastukał w metalowe drzwi, przywołując strażnika. – No chyba, że za drugim razem już tego nie spierdolisz. Czego tobie i sobie życzę.

Zamek zazgrzytał i w drzwiach stanął funkcjonariusz więziennej służby. Wyprowadził osadzonego i popchnął przed siebie. Szli w milczeniu pomalowanym na brunatny kolor korytarzem. Rzeczywiście nie przewidział, że napięte mięśnie szyi będą tak mocne i zamortyzują upadek na tyle, by jednak przeżył. Nogi choć przywiązane, to jednak wsparte na dolnym łożku też odciążyły kark. Sławek z trudem powstrzymywał się, żeby nie rozkleić się przy klawiszu. Nigdy nie płakał, nawet w dzieciństwie, a teraz chciało mu się wyć. Tak, miał swoją rzewną historię. Zaczęła się rok temu, po tym, jak zrezygnował ze stałej, ale słabo płatnej posady nauczyciela matematyki w podstawówce i poszedł „na swoje”. Założyli z przyjacielem małą firmę transportową. To znaczy działali razem, ale formalnie wszystko stało na niego, bo Bogdan miał jakieś stare długi i komornik ze skarbówki siedział mu na koncie. Sławek wziął w leasing dwie używane ciężarówki i sami nimi jeździli jako kierowcy. Wozili co się dało, gdzie się dało i jakoś wiązali koniec z końcem. Pewnego dnia kumpel przyszedł wieczorem niezapowiedziany do wynajmowanego przez niego mieszkania, wyjął flaszkę i przedstawił mu pomysł na interes życia. Sprawę nagrał jego dobry znajomy. Mieli wozić za granicę europalety i jakieś drewniane opakowania dla dużej firmy z Rzeszowa. Nie żadne narkotyki, papierosy czy paliwo, ale zwyczajne skrzynki. Wszystko wyglądało na legalne i podejrzenia budziła w Sławku tylko wysokość stawek – były dwa razy wyższe niż normalnie w branży. Wątpliwości zniknęły, kiedy przysłuchująca się wszystkiemu jego żona szybko przeliczyła, ile teraz będzie zarabiał. Weszli w to. Po miesiącu dostali

jeszcze większe pieniądze – mieli tylko dodatkowo brać na firmę przewożony towar i wystawiać faktury. Kasa płynęła szerokim strumieniem, więc Sławek nie przejmował się specjalnie wątpliwościami księgowej, która co rusz dopytywała, o co w tym biznesie właściwie chodzi i za co tyle mu płacą. Odejmował podatek, a połowę z czystego zarobku uczciwie odpalał cichemu wspólnikowi pod stołem. Przez pół roku zebrał w ten sposób na wkład własny i mogli zaciągnąć z Bożeną kredyt na mieszkanie. Piękne, jasne, w nowym bloku, z dużym balkonem. Od razu wzięli też dodatkową kasę na wykończenie. Z pożyczki zostało jeszcze na wycieczkę do ciepłych krajów. Byli wtedy tacy szczęśliwi. Sprawa się „rypła” tuż przed świętami Bożego Narodzenia. O szóstej rano, przed robotą, do mieszkania weszło kilku smutnych panów i oskarżyli Sławka o przynależność do mafii! Skuli go i wyprowadzili na oczach przerażonej żony. Na początku myślał, że to jakaś pomyłka, że wszystko się wyjaśni. Zresztą tak też mówił prokurator. Woził przecież tylko towar na zlecenie, wystawiał faktury, odprowadzał podatek – wszystko zgodnie z przepisami, jak książka pisze. Podał wszystkie namiary na rzeszowską firmę, ale ku jego zdumieniu okazało się, że takiej firmy nie ma. Biurowy kontener i skrzynie zniknęły z placu, a razem z nimi pracujący tam ludzie. Przedsiębiorstwo istniało tylko na pieczętkach dokumentów Sławka. W końcu po pół roku sprawa trafiła do sądu. Zaskoczony stwierdził, że na ławie oskarżonych usiadł tylko on. Kumpla też przesłuchiwali, ale zarzuty postawili tylko jemu. Na Bogdana nic na papierze nie było, a Sławek też o wspólniku za wiele nie wspominał. Wciąż wierzył, że to wszystko się wyjaśni i jakoś rozejdzie po kościach. Niczego przecież nie ukradł. Na czas śledztwa i rozprawy zamknęli go w areszcie, żeby nie mataczył, choć on mówił cały czas prawdę i nie bardzo nawet wiedział, co to słowo dokładnie znaczy. Nie miał już pieniędzy, więc przyjaciel za swoje wynajął adwokata. Ten radził przemilczeć udział Bogdana w całej sprawie, bo jego praca „na czarno” mogła postawić Sławka w złym świetle w oczach sędziego. Prawnik przyjmował kolejne wpłaty i uspokajał go, że nie ma czego się obawiać. Że w najgorszym razie dostanie kilka miesięcy w zawieszeniu, na poczet których sąd zaliczy mu areszt, a przy odrobinie

szczęścia uniewinnią go i jeszcze o odszkodowanie powalczy. Musi tylko współpracować z prokuraturą. W końcu nadszedł dzień ostatniej rozprawy i sędzia ogłosił wyrok: dwa lata bezwzględnego więzienia za udział w procederze wyłudzenia VAT-u na kwotę dwóch milionów złotych. Dwóch milionów! Sławek nie wierzył własnym uszom. Jakie dwa miliony, jak oni z kumplem dostali niecałe dwieście tysięcy i jeszcze podatek od tego zapłacili?! Patrzył oszołomiony to na unikającego jego wzroku adwokata, to na uśmiechającego się pod nosem prokuratora. Zaczął krzyczeć, więc wyprowadzili go siłą z sali. Nie zdążył nawet pożegnać się z żoną. Okazało się, że nie był to koniec jego kłopotów. Miesiąc później bank wstrzymał wypłatę drugiej transzy kredytu i mieszkanie przepadło, zanim zdążyli odebrać klucze od dewelopera. Zgodnie z umową rezerwacyjną pierwsze wpłaty też stracili. Bożena płakała na widzeniu, a on pocieszał ją, choć nie mógł oprzeć się wrażeniu, że bardziej martwi ją strata pieniędzy niż jego pobyt w więzieniu. Nie mylił się. Kolejny raz odwiedziła go dopiero po trzech miesiącach i z niewyraźną miną położyła przed nim plik dokumentów. Towarzyszył jej jego dawny adwokat. Sławek nie zgodził się na podpisanie papierów rozwodowych, co rozwścieczyło kobietę. Dowiedział się, że zawsze był dla niej nikim, że wyszła za niego z litości i nigdy go nie kochała. Tego dnia zawaliło się jego życie. Stracił wszystko. Żonę, mieszkanie i szacunek do samego siebie. Cały wieczór milczał, patrząc w sufit, a następnego dnia odmówił wyjścia na spacer.

4

Na komendzie od rana czekało na komisarz Widacką wiele obowiązków, ale wiedziała, że trudno jej będzie dziś skoncentrować się na policyjnej robocie. Tłumaczyła sobie, że musi wziąć się w garść, życie prywatne nie może mieć wpływu na jakość jej pracy. Nawet jeżeli w ostatnim okresie je przewartościowała, bo wreszcie miała po co, a właściwie do kogo wracać z pracy do domu, to wciąż nie zmieniło się jej podejście do obowiązków. Towarzyszyło mu mocne przekonanie, że etat śledczej niesie za sobą wielką odpowiedzialność i wymaga poświęceń. Wierzyła, że uda się pogodzić to z życiem prywatnym. Miała przynajmniej taką nadzieję. Weszła do pokoju, przywitała się i usiadła za swoim biurkiem. Buczek przerwał przeglądanie papierów i przyjrzał się jej uważnie z drugiego końca pomieszczenia. Od blisko roku byli w pracy nieformalnymi partnerami. Proste sprawy prowadzili osobno, a w bardziej skomplikowanych czy zwyczajnie wymagających wykonania liczniejszych czynności pomagali sobie wzajemnie. Początki ich współpracy były trudne, ale żadne z nich nie wracało do tamtego okresu. Andrzej, bo się wstydził, a Zuzanna, ponieważ wytykanie komuś dawnych błędów nie leżało w jej naturze. Spojrzała na talerzyk z zeschniętym ciastkiem leżący od rana na jej biurku i przypomniała sobie, że dziś są imieniny Danuty. Odsunęła kremowy torcik na drugi koniec blatu i uznała, że później złoży sekretarce życzenia.

– No i co? – Andrzej oparł się na krześle.

– Co co? – Zuzanna była trochę zdezorientowana; wyrwał ją z zadumy.

Nie domyśliła się, czego dotyczy jego pytanie. Nikomu w pracy nie zwierzała się ze swoich prywatnych spraw, a już na pewno nie Buczkowi. Z całą sympatią, ale wrażliwość nie była jego mocną stroną.

– Pani komisarz, nie zapominaj, gdzie pracujesz – oparł się na krześle i założył nogę na nogę. – Apetytu nie masz, chodzisz co chwilę do łazienki rzygać i co rano z durnym uśmiechem gapisz się przez okno na te przedszkolaki, jak maszerują po pasach. No to pytam się, będę wujkiem?

Nie mogła się powstrzymać, rozpromieniła się na twarzy i pokiwała twierdząco głową. Buczek też uśmiechnął się szeroko, po czym zadowolony bez słowa wrócił do przeglądania dokumentów. Zuzanna doceniła teraz fakt, że pracuje z facetem. Żadna kobieta nie zostawiłaby tak tej sytuacji. Zaraz rozległyby się piski, gratulacje i uściski. Pytania o płęć, ubranka i wszystko to, co rozmienia radość tej wyjątkowej chwili na drobne. Odwróciła się na krześle i otworzyła szafkę za sobą, była pusta. Zdziwiona podniosła wzrok i rozpoznała akta swojego śledztwa wśród teczek leżących na biurku Andrzeja. Uśmiech na jej twarzy i cała sympatia do niego zniknęły w jednej chwili.

– Dlaczego papiery mojego zabójstwa leżą na twoim biurku?

– Stary kazał mi zrobić przeszukanie tej altanki, to przeglądam co i jak – przyjął postawę obronną. Wiedział, że Widacka łatwo nie odpuści swojej sprawy.
– Potem mam za ciebie przesłuchać tych meneli z działek.

– Mówiłeś komendantowi coś o... mnie?

– Ja nic nie mówiłem – bąknął niewyraźnie.

Zuzanna szybko wyciągnęła wnioski: „Buczek nie jest takim mistrzem dedukcji, za jakiego się podaje, a jej nadopiekuńczy mąż z za długim jęzorem będzie się dzisiaj wieczorem gęsto tłumaczył – pomyślała. – Typowe, kiedy pojawia się ciąża, przyszyły ojciec automatycznie rości sobie prawo do rozporządzania ciałem partnerki. Może wydawać jej nakazy i zakazy w imię nadrzędnego dobra, jakim jest ochrona poczętego dziecka. Reguluje jej życie, jakby ustawiał gałką temperaturę w inkubatorze. Szlag by go trafił i te jego samcze instynkty! ”. Jej uwagę przykuła chuda, papierowa teczka leżąca obok zeschniętego placka na końcu biurka.

– Co to jest? – rozwiązała sznurek i otworzyła akta.

– Nie wiem – Buczek schował się za stertę papierów, przewidując nadchodzącą burzę. – Komendant to zostawił.

– Wypadek samochodowy?! – trzepnęła teczką o blat biurka i wstała, odsuwając gwałtownie krzesło. – Przecież takimi sprawami zajmuje się drogówka!

Nerwowo podeszła do okna, po czym odwróciła się, zgarnęła teczkę z dokumentacją wypadku i wyszła, trzaskając za sobą drzwiami. Andrzej poczekał chwilę, aż jej kroki na korytarzu ucichły, i też w pośpiechu opuścił pokój. Stwierdził, że ogródki działkowe jesienną porą będą dużo spokojniejszym miejscem niż ich wspólny pokój, nawet jeżeli znaleziono tam niedawno trupa.

5

Sławek gapił się bezmyślnie w telewizor i liczył, ile dni zostało mu do końca odsiadki. Odejmując areszt w śledztwie, pobyt w więzieniu podczas procesu i okres, który spędził tu po ogłoszeniu wyroku, zostało mu jeszcze około siedem miesięcy. Siedem długich miesięcy. Czas włókł się niemiłosiernie. Codzienna rutyna powodowała, że minuty spędzone w więzieniu były jak godziny, a tygodnie dłużyły się jak miesiące. Na wolności dni uciekały mu nie wiadomo kiedy, przelewały się wprost przez palce, a tu – za murami ciągnęły się w nieskończoność. Nie rozumiał tej względności czasu, ale odczuwał ją boleśnie. Zwłaszcza że dni były coraz dłuższe, a za oknem zieleniły się pierwsze wiosenne liście. Po żalostnej próbie samobójczej z pierwszego okresu odsiadki nie próbował więcej odebrać sobie życia. Czas zaleczył rany i teraz dziękował losowi, że dostanie drugą szansę.

Z rozmyślań wyrwał go głośny rechot współwięźnia. Sławek spojrzął w ekran telewizora, żeby sprawdzić, co tamtego tak rozbawiło. Gabryś trafił do jego celi dwa tygodnie temu, zdążyli już przełamać pierwsze lody. Chłopak miał na imię Wiesiek, Gabryś to jego nazwisko, ale tak się przedstawił i w ten sposób kazał do siebie się zwracać, bo w ich miejscowości wszyscy podobno tak na nich wołali. Mieszkał z ojcem i młodszym bratem na skraju wsi, pod lasem. Nigdy w życiu nie był w większym mieście. Miał dziewiętnaście lat i nie skończył nawet podstawówki. Siedział w zakładzie karnym pierwszy raz, ale czuł się tu całkiem dobrze. Jego prosta natura pozwalała mu przystosować się do sytuacji, traktując wydarzenia wokół jak zrządzenia losu, na które nie miał wpływu. Zresztą, jak twierdził, w więzieniu było jak na wczasach. Dają pod nos ciepłe jedzenie i nie trzeba chodzić srać do wychodka. Wszystko na miejscu. W domu łazienki nie

mieli, więc kąpiel pod prysznicem, nawet jeśli dwa razy na tydzień, była dla niego prawdziwym luksusem. Martwił się tylko, czy na żniwa zdąży do domu wrócić. Nie to, żeby tęsknił za robotą w polu, ale ojca się bał jak diabli. Uwielbiał słuchać opowieści Sławka z dalekich, zagranicznych podróży. Oprócz oglądania telewizji była to zresztą w celi jedyna rozrywka. To ich zbliżyło. Gabryś nie miał pojęcia, gdzie na mapie leżą Czechy, a Austria ciągle myliła się mu z Australią, ale to im nie przeszkadzało. Polubili się nawet.

– No i co ci powiedział papuga? – Sławek przerwał ciszę, bo przypomniał sobie, że kompan miał dziś widzenie z adwokatem z urzędu.

– Że wyjdę w sobotę – bąknął towarzysz, nie odrywając wzroku od telewizora.

– To co nic się nie chwalisz?! – Sławek aż usiadł z wrażenia na swojej pryczy.

– Nie postawią ci zarzutów? Nie będzie rozprawy?

W telewizji pojawiły się końcowe napisy i Gabryś też wstał z łóżka. Podszedł do stołu i bez pytania ukroił pajdę z bochenka, który wczoraj przyniosła Sławkowi matka, posmarował grubo masłem, a w rękę wziął pomidora z półki współwięźnia.

– Powiedział, że nie ma ciała, to nie ma morderstwa i nie ma sprawy – uśmiechnął się i wytarł rękawem miąższ, który pociekł mu po brodzie. – A trupa za chuja nie znajda.

Gabryś nie krył się pod celą z tym, że zamordował swojego sąsiada, ale też nigdy wcześniej nie opowiadał, jak to właściwie się stało. Wspominał coś kilka razy mimochodem przy okazji opowiadania o aresztowaniu, nie wdając się jednak w szczegóły. Sławek wcześniej go nie zagadywał – w więzieniu o takie rzeczy się nie pyta – ale chłopak nie był recydywą, więc zagaił teraz. Bardziej dla podtrzymania rozmowy niż z ciekawości, bo nasłuchiwał się tu mnóstwa tego typu opowieści.

– Za co go właściwie zabiłeś? – wstał i włożył przez głowę sweter; wieczorami w celi robiło się chłodno. – Nie szkoda ci było chłopca?

– Człowieku, wiesz jaka to menda była?! – Gabryś zmarszczył czoło, aż się zrobił czerwony na twarzy. – Tyle razy mu gadałem, żeby przez nasze podwórko

nie łąził, bo pies szczeka i gołębie płoszy. A ten se, kurwa, skrót na przystanek znalazł! Raz mu mówię po dobroci, drugi raz, a ten dalej swoje, jakby po złości. No to za trzecim razem nie wytrzymałem. Akurat koło pniaka stałem, to wziąłem siekiere i raz mu tylko w łeb przyjebałem. I święty spokój.

Sławek słuchał historii, jakby chłopak opowiadał o kimś innym albo streszczał telewizyjny serial. Wciąż nie docierało do niego, że ten pocziwiec, z którym dzielił celę, jest zdolny do takiego okrucieństwa. Nie mieściło się to w jego głowie.

– Potem z ojcem rzuciliśmy go do świń – ugryzł kęs chleba i dalej mówił z pełnymi ustami. – Nie dostały żreć, to do wieczora wpierdoliły go całego, z kośćcami. Tylko obgryziony łeb został, bez uszu i nosa. To go wyjąłem z zagrody, wsadziłem do środka kamień i wrzuciłem do gnojownika.

Sławek nie wiedział, co powiedzieć, więc milczał. Za kilka dni Gabryś wyjdzie na wolności, a on gnije tu już półtora roku. Nie mógł tego pojąć. Zacisnął zęby, a po chwili złość przeszła w niewypowiedziany smutek.

6

Widacka przeszła przez sekretariat, nie zatrzymując się. Danka stała odwrócona tyłem w kącie przy umywalce. Na stoliku stały jakieś słodkie przekąski i filiżanki, pozostałości po imieninowym poczęstunku. Zuzanna wykorzystała moment nieuwagi sekretarki, energicznie zapukała do drzwi gabinetu komendanta i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka, naciskając z impetem na klamkę.

– Dlaczego oddał pan moją... – głos ugrzązł jej w gardle.

Zamilkła, bo dotarło do niej, co zobaczyła. Za biurkiem siedział Sobczyk i zjadał obiad. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że siedział w samych slipach, bez spodni. Górna część jego garderoby była za to kompletna, zgodnie z regulaminem odziana w mundur, łącznie z dopiętym kołnierzykiem i podciągniętym krawatem.

– Przepraszam, to ja przyjdę później...

– Nie, pani komisarz – komendant jak gdyby nigdy nic ukroił spory kawałek mielonego kotleta. – Skoro już pani tak wparowała, jak ksiądz po kolędzie, to chętnie się dowiem, o co chodzi.

W tym momencie do pokoju weszła Danka, niosąc przed sobą męskie spodnie. Nie zwracając uwagi na obecność Zuzanny, podeszła przejęta do komendanta.

– Zaprałam, ale plama z wiśni to nie wiem, czy zejdzie.

– Powieś, Danusia, na krześle, niech trochę przeschną. I nie ma mnie dla nikogo. Mamy teraz z panią komisarz bardzo ważną naradę, prawda? – zwrócił się do Zuzanny wyraźnie ubawiony jej zmieszaniem. – Zaraz się dowiem, w jakiej kwestii.

– Chciałam zapytać o moją sprawę...

Widacka jąkała się, nie wiedząc, co zrobić z oczami. Za każdym razem, kiedy spojrzała na Sobczyka, jej wzrok zjeżdżał pod biurko, gdzie znajdowały się blad różowe, owłosione łydki komendanta.

– Co się chciała pani zapytać? – przełknął kolejny kęs. – No, zamieniam się w słuch.

– Dlaczego Andrzej ma przesłuchiwać świadków mojej sprawy...

I te skarpetki podciągnięte prawie do kolan.

– A co? – kiszony ogórek zniknął w jego ustach. – Źle przesłucha?

– Nie, no dobrze... – gapiała się w podłogę.

Bała się patrzeć w tamtą stronę; następne spojrzenie pewnie wylądowałoby na jego gaciach, a tego nie da się już „odzobaczyć”. Odwróciła się i nie czekając na jego zgodę ruszyła w stronę drzwi.

– Pójdę już, zapoznam się z tą sprawą wypadku.

– No i bardzo dobrze – rzucił za nią. – Ci z drogówki przynieśli, bo coś tam nie gra.

Zuzanna zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie plecami i odetchnęła z ulgą. Podniosła trzymaną wciąż w dłoni wąż teczki z aktami i przeczytała krótką notatkę. Tytuł informował o dacie i miejscu wypadku. Obok innym flamastrem dopisany był duży znak zapytania.

7

Sławek wsiadł do autobusu na przystanku przy bramie zakładu karnego. Spędził za tymi murami blisko dwa lata. Trzy ostatnie miesiące z kary niespodziewanie darowano mu za dobre sprawowanie. Ukradkiem ostatni raz spojrzął w stronę więziennego ogrodzenia zabezpieczonego zwojami kolczastego drutu. Widział, że pasażerowie go obserwują, ale to było silniejsze od niego; z tej strony blaszany płot wydawał się jakiś niższy. W autobusie było kilkanaście osób. Wszyscy przyglądali się mu teraz – jedni milcząc, inni szepcząc między sobą. Nie wytrzymał, wysiadł na najbliższym przystanku i poczekał na kolejny autobus. Teraz nikt już nie zwracał na niego uwagi. Był ogolony, a odsiadka nie była aż tak długa, żeby jego ubranie wyszło z mody. Jedyne zimowe buty i kurtka, którą trzymał pod pachą, mogły dziwić w ciepły majowy dzień, ale na to nikt nie zwrócił uwagi. Kupił drugi bilet i usiadł zadowolony za kierowcą. Jadąc, gapił się w okno i zastanawiał, co takiego się stało, że Bogdan po niego nie przyjechał. Telefon oddali mu rozładowany – nie mógł więc zadzwonić i zapytać. W ostatniej rozmowie na widzeniu wypomniął przyjacielowi, że tak rzadko go odwiedzał. Może bał się, że będzie mu robił wyrzuty. Nawet jeśli będzie, to nie dziś. Dzisiaj chciał się napić wódki i zjeść wreszcie coś dla ludzi. Chciał, żeby go ktoś poklepał po plecach i powiedział, że dobrze go widzieć. Ostatnie dni odsiadki wypełniło snucie planów na przyszłość. Musiał ułożyć sobie życie od nowa. Pomyślał, że może nawet z Bożeną się dogada. Wybaczył jej. Nie miał żalu. To musiało być dla niej też trudne. Wyobrażał sobie, jak sąsiedzi wytykali ją palcami jako żonę kryminalisty. Umowę wynajmowanego mieszkania też jej wypowiedzieli, bo nie miała pieniędzy na czynsz. Komornik ciągle ją nękał. Teraz mogliby zacząć wszystko od początku. Boguś mu pomoże stanąć na nogi,

bo przecież coś mu zawdzięcza – nie wsypał go. Matka mówiła, że dobrze mu się powodzi. Rodzice Sławka znali Bogdana, bo od małego się z nim kolegował. Przychodził do nich do domu i był dla ich syna jak młodszy brat. Dziś byli dorośli, a Bogdan od Sławka o głowę wyższy. Uznał, że tylko na początek poprosi go o pomoc, potem poradzą sobie sami. Wysiadł z autobusu na starym osiedlu. Widać stąd było okna mieszkania, w którym dorastał. Nie miał ochoty znosić ciężkiego wzroku ojca i wysłuchiwać morałów, ale był głodny i musiał gdzieś naładować telefon. Poza tym wypadało przywitać się z rodzicami przed planowanym wyjściem w miasto. Bogdan pewnie dzwonił do niego, bo musiał być jakiś powód, dlaczego nie przyjechał. Drzwi otworzyła mu matka.

– Jesteście wreszcie! – wyjrzała na klatkę. – A Boguś gdzie?

– Nie było go pod więzieniem.

– Jak to nie było? Miał cię przywieźć. To jak przyjechałeś?

– Autobusem.

– To trzeba było zadzwonić – wzięła od syna kurtkę. – Po co ci ta puchówka? Ciepło jest – odwróciła się, nie czekając na odpowiedź.

– Zamknęli mnie zimą, pamiętasz?

– Chodź do stołu, obiad jest gotowy – powiesiła po drodze kurtkę na wieszaku i szybkim krokiem pomaszerowała w stronę kuchni. – Ziemniaki całkiem wystygły.

Wyprowadził się z domu jeszcze przed ślubem, dziesięć lat temu, ale dziś zaskoczony stwierdził, że wciąż czuje się tu dobrze. „Może miała na to wpływ odsiadka?” – pomyślał. Dwupokojowe mieszkanie pełne było wspomnień szczególnie radosnego, ale bezpiecznego dzieciństwa. Ojciec był powściągliwy w objęciu. Nigdy nie powiedział mu, że go kocha, ale też nigdy go nie uderzył. Czasami szorstki, jednak zawsze dbał o rodzinę. Żyli tu skromnie, ale spokojnie i chyba byli szczęśliwi. Matka zawsze krzątała się w kuchni, skąd rozchodziły się zapachy. Duży pokój z telewizorem okupował ojciec, a on bawił się w małym – najczęściej z Bogdanem. Wszedł teraz z matką do kuchni. Za stołem siedział ojciec.

– Dzień dobry, tato.

– Jesteś – starszy mężczyzna w kraciatej flanelowej koszuli wskazał ruchem głowy talerz. – Nalej mu zupy.

Jedli w milczeniu, nie zwracając uwagi na szwargot matki, którym wypełniała ciszę. Jakby chciała w ten sposób odwlec w czasie ciężkie słowa, jakie musiały zaraz paść.

– Przestań już tak głądzić, bo głowa boli – ojciec podał jej swój pusty talerz.

Kobieta ucichła. W kuchni słychać było rytmiczny dźwięk łyżki, którą Sławek nabierał resztki zupy z przechylnego talerza. Ojciec wierzył w niewinności Sławka, ale uważał, że zasłużył sobie na karę za swoją głupotę i chciwość. On jeden odradzał mu ten trefny interes. Jego życiową dewizą było stwierdzenie, że małą łyżeczką się najesz, a chochlą udławisz.

– Co teraz zrobisz? – stary wytarł wąsy ręką.

– Rozejrzę się – Sławek podał matce pustą miskę. – Pyszna pomidorowa, mamó.

– Na zdrowie – zadowolona zabrała od niego talerz.

– Ale najpierw do Bożeny pojedę porozmawiać.

– O czym chcesz z nią rozmawiać, jak ta dziwka z nim siedzi? – stary patrzył na syna zimnym wzrokiem.

– Z kim? – mężczyzna wyprostował się i spojrzał zaskoczony.

– Z Bogdanem.

Ojciec nawet nie zareagował, kiedy matka położyła przed nim talerz z pieczenią. Chciała odwrócić jego uwagę i spowodować, żeby przestał już więcej mówić.

– Na Piastowie dom kupił. Dalej jakieś lewe interesy robi. Bo skąd by miał pieniądze? – ciągnął.

– Gdzie ten dom? – syn próbował zachować spokój.

– Trzeci za skrzyżowaniem. Teraz rusztowania obok stoją, bo elewację maluje.

Sławek zerwał się gwałtownie z krzesła, odsuwając stół, i wybiegł z mieszkania.

– Synu, drugie danie! – usłyszał już na klatce wołanie matki.

Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. To niemożliwe, przecież Bogdan był u niego miesiąc temu i nic mu nie mówił. Nawet bąknął coś, że nie wie, co się z Bożeną dzieje, kiedy Sławek zapytał o żonę. Przebiegł połowę drogi na pobliskie osiedle i dopiero na rogatkach zwolnił. Musiał złapać oddech. Nie chciał stanąć zziębnięty w jego drzwiach. Bez trudu rozpoznał dom z opisu ojca. Bramka była uchylona, na podwórku przed domem obok rusztowań stał mercedes. Wziął ostatni głęboki oddech i wszedł na ganek. Zadzwoił i po chwili w drzwiach stanął zaskoczony Bogdan.

– Sławek? – miał niepewną minę. – Co ty tu robisz?

– Wpadłem odwiedzić kumpla – próbował się uśmiechać. – Nie przyszedł Mahomet do góry, to góra przysłała do Mahometa. Miałeś po mnie przyjechać.

– A, kurwa! Nie mogłem się z roboty wyrwać – podrapał się po głowie. – Zapiardol taki.

– Nie zaprosisz do środka? – zajrzał za jego plecy z udawaną ciekawością. – Nie chwaliłeś się, że chałupę kupiłeś.

– Co się miałem chwalić... – mężczyzna uśmiechnął się cierpko i wpuścił gościa do korytarza.

– Jakoś nie bardzo cię mój widok ucieszył – Sławek wszedł do otwartego salonu i rozsiadł się na skórzanej kanapie. – Przyjęcia powitalnego nie oczekiwałem, ale flaszkę to byś mógł postawić.

– Jutro na Śląsk jadę. Może w sobotę.

– To pojedę z tobą – rozglądał się po domu. – Prawo jazdy dalej mam, w razie czego cię zmienię. Pokażesz co i jak, to ci w firmie pomogę. Kasa na start by się przydała, a tobie się wspólnik przyda, jak za dawnych czasów, co nie?

– Ja pomocy nie potrzebuję – odpowiedział sucho, stawiając sprawę jasno.

– Ale ja teraz potrzebuję.

– Ile mogłem, to ci pomogłem – atmosfera w pokoju zrobiła się ciężka. – Adwokata ci wynająłem za swoje. Kupę szmalu mnie kosztował.

– Nie wątpię. Cały czas mnie przekonywał, żebym o tobie nic prokuratorowi nie mówił.

– Myśl, co chcesz – Bogdan wstał. – Po przyjacielsku ci chciałem pomóc.

– Żonę też mi po przyjacielsku ruchasz? – Sławek podniósł się z kanapy. Twarz mu stężała. – Tak mi się, chuju, za wszystko odwdzięczasz?

– Dobra, kurwa! – stanął w korytarzu. – Tak to nie będziemy gadać! Nic ci nie jestem winien. Wypierdalaj z mojego domu!

– Ty skurwysynu! – Sławek wycedził przez zęby i rzucił się na mężczyznę z zaciśniętymi pięściami.

Zanim zaskoczony Bogdan odsunął się, jeden cios trafił go w skroń. Kolejne już nie osiągnęły celu. Wyższy i silniejszy długimi rękami najpierw przytrzymał przeciwnika, potem przyciągnął go do siebie i uderzył głową w nos. Krew zalała mu twarz. Oszołomionego ciosem, Bogdan złapał za ubranie, po czym wypchnął za drzwi. Tam Sławek potknął się o jakieś wiaderko, stracił równowagę i wywrócił na trawnik. Upokorzony patrzył, jak jego dawny wspólnik i przyjaciel stoi nad nim. Nie poznawał go. Wstyd, rozczarowanie i nienawiść kotłowały się w jego głowie.

– Wypierdalaj i nigdy tu nie wracaj! – Bogdan poprawiał koszulę i zmęczony przepychanką ciężko oddychał. – Na żebrzy to pod kościół!

Sławek wstał powoli, w ustach czuł metaliczny smak krwi. Nie patrzył na byłego przyjaciela. Nie chciał go już znać. Zawód był tak wielki, że odrętwiały wyszedł bez słowa na ulicę i ruszył w stronę domu, nie zwracając uwagi na kapiącą z nosa krew ani gapiących się na niego przechodniów.

8

Zuzanna przeglądała fotografie z miejsca wypadku. Nie przeczytała jeszcze opisu zdarzenia, więc tym bardziej działały one na wyobraźnię. Z policyjnymi notatkami miała zamiar zapoznać się później. Zawsze tak robiła, przeglądając akta nowej sprawy, z dwóch powodów. Po pierwsze w oczywisty sposób zdjęcia od razu przykuwały uwagę. Po drugie nie chciała sugerować się opiniami innych w trakcie swojej analizy. Podążała własnym tokiem myślenia, poza wytyczonym przez wcześniejsze komentarze torem. Nie wiedziała, czego szuka. Czasami pozwalało to znaleźć rzeczy pozornie nieistotne, które umykały innym. Pierwsze zdjęcie przedstawiało rozbity o przydrożne drzewo, niewielki, srebrny samochód. Siła uderzenia musiała być duża, bo praktycznie cały przód był zgnieciony i wciśnięty w kabinę. Rama auta nie zamortyzowała jego potężnej mocy. Na kolejnych fotografiach, zrobionych przez otwór po wyciętych nożycami pneumatycznymi drzwiach, widać było wnętrze samochodu. Ciało na nich nie było, ale cały fotel pokryty był brunatnymi plamami zaschniętej krwi, podobnie jak dywanik pod nogami kierowcy. Białe płótno wystrzelonej poduszki też było zachlapanie krwią. Następne fotografie pokazywały rozmiar tragedii. Było na nich widać martwego kierowcę. Mężczyzna miał rozciętą głowę, jego ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała, a obie nogi miały otwarte złamania, spowodowane naciskiem wepchniętego do wnętrza samochodu silnika. Widacka przyjrzała się ubraniu ofiary. Niebieska koszula, ciemne, materiałowe spodnie i skórzane półbuty. Typowo biznesowy ubiór, jednak sądząc po klasie auta, facet raczej był przedstawicielem handlowym niż jakąś grubą rybą. Zerknęła na inne zdjęcie, gdzie widać było tył wraku. Tu uszkodzeń praktycznie nie było, więc bez trudu rozpoznała model samochodu. Toyota yaris, numery rejestracyjne warszawskie,

prawdopodobnie auto służbowe. Kolejne ujęcia, pokazujące efekt zderzenia z różnych perspektyw, robiły już mniejsze wrażenie. Dopiero ostatnie cztery fotografie zmroziły Zuzannie krew w żyłach. Odłożyła pozostałe na biurko, przekładając te ostatnie z bijącym sercem. Mały, może trzyletni chłopiec leżał w samochodowym foteliku. Głowa wsparta na bocznej podpórce spoczywała w naturalny sposób. Miał puciołowatą, śliczną buzię i lekko rozchylone usta. Wyglądał, jakby spał, ale nie było wątpliwości, że nie żyje. Wokół jego drobnej szyi owinięty był pas bezpieczeństwa, wypięty ze stelaża fotelika. Prawdopodobnie chłopczyk wyjął pas z zapięcia siedzenia i owinął go sobie wokół szyi. Ojciec pewnie nawet tego nie zauważył. Nieszczęśliwie akurat wtedy wydarzył się wypadek i szarpnięcie udusiło chłopca. Zawsze była wrażliwa na tragedię dzieci, a teraz to uczucie potęgował jeszcze rozbudzony instynkt macierzyński. Musiała chwilę odetchnąć, zanim uspokoiła się na tyle, aby z chłodną głową przeczytać policyjną notatkę z wypadku. Opis zdarzenia był standardowy, napisany specyficzną, służbową nowomową, która Zuzannę zawsze drażniła.

– Jak można tak napisać w raporcie? – Zuzanna pokręciła głową. – „Osobnik płci męskiej, kierujący pojazdem mechanicznym czterokołowym...”

– No co? Kierowca samochodu to każdy głupi umie napisać – Buczek oderwał się od lektury lokalnej gazety. – A tu od razu widać, że doświadczony funkcjonariusz raport pisał.

– Albo to – cytowała dalej. – „Uderzył w znajdującą się na poboczu pionową przeszkodę naturalną czyli drzewo.”

– Dobrze, że nie napisał „marki topola” – Andrzej skomentował i zaśmiał się pod nosem, ale zaaferowana Widacka już go nie słuchała.

Trzymała w ręku notatkę doktor Marchwickiej, lekarza medycyny sądowej, robiącej zwykle sekcje zwłok dla ich wydziału. Widocznie ciała ofiar tego wypadku też trafiły do niej na stół. Jako przyczynę zgonu podała uduszenie. W przypadku chłopczyka to nie dziwiło, ale mężczyzna? Jak mógł się udusić? Zuzanna odszukała na biurku zdjęcie jego ciała. Sprawdziła, nawet nie miał

zapiętych pasów. Swoją drogą trochę ją to zdziwiło, bo mężczyzna wyglądał na odpowiedzialnego i poukładanego. Dlaczego więc nie zadbał o swoje podstawowe bezpieczeństwo? Na końcu wydrukowanego służbowego protokołu był odręczny dopisek Marchwickiej, jakby dodała to po namyśle: „Sprawa do konsultacji z wydziałem kryminalnym. Możliwość udziału osób trzecich”. Teraz Zuzanna już rozumiała, dlaczego akta trafiły do nich.

9

Zmoczył szmatkę w leżącej obok łóżka miednicy z wodą i lodem, po czym zmienił kompres. Syknął cicho z bólu. Nos spuchł mu i zsiniał. Na szczęście w domu obyło się bez komentarzy. Nawet matka wykazała się nadzwyczajnym wyczuciem sytuacji i opatrzyła go w milczeniu. Teraz leżał w półmroku swojego pokoju. Na zewnątrz zaczynało się ściemniać, ale nie włączył światła. Patrzył w sufit. Momentami miał wrażenie, że zapada się i za chwilę zostanie wchłonięty przez miękki materac łóżka. Po kłótni z Bogdanem opadły mu z oczu klapki. Wszystko układało się teraz w logiczną całość. Musiał dostać w mordę, żeby wreszcie oprzytomnieć i wszystko pojąć. Bogdan, adwokat i te cwaniaczki z Rzeszowa – wszyscy działali według scenariusza, w którym on grał główną rolę. Rolę kozła ofiarnego. Jak mógł być tak ślepy? Użyli jego firmy jako przykrywki do przywłaszczenia ogromnych pieniędzy, dając mu jakieś ochłapy dla zamydlenia oczu. Dał się podejść, bo ufał Bogdanowi, a ten go sprzedał. Mecenasa wykorzystał Sławka strach i naiwność, żeby udział cichego współnika nie wypłynął w sądzie. Z prokuratorem też pewnie się dogadał, bo przecież podał mu winnego na tacy. To za jego radą Sławek przyznał się do wszystkiego.

– Kurwa...! – zacisnął zęby. – Ale się dałem zrobić. Co za debil ze mnie!

Pozostawała kwestia Bożeny. „Czy też była z nimi w zмовie? Nie, to niemożliwe” – pomyślał. Pamiętał, jak cieszyła się z tego mieszkania. Jak wspólnie wybierali meble. Przypomniwał sobie, jak się całowali na kanapie w kącie salonu meblowego. Trochę ich poniosło i ekspedientka wygoniła ich, wyzywając od zbrojeńców. Uśmiechnął się do swoich myśli, ale zaraz syknął z bólu. Wspomnienia uleciały. „Teraz ona mieszka z tym bydlakiem. Chociaż dzisiaj jej nie było, może więc to tylko plotki? Ludzie lubią chlapać jęzorem bez

sensu” – drażył w myślach. Nagle usłyszał dźwięk przychodzącego SMS-a i ekran smartfona rozjaśnił pokój bladym światłem. Ściągnął ją chyba myślami – Bożena chciała się z nim spotkać w starej osiedlowej pizzerii, tylko we dwoje, jeszcze dzisiaj. Poszedł do łazienki i obejrzał w lustrze twarz. Nie chciał wyjść na jeszcze większego frajera, zwłaszcza w jej oczach. Opuchlizna zeszła, ale pozostał czarny strup na rozciętym nosie. Nakleił mały plaster. Trudno, nie będzie się specjalnie żalił, ale niech wie, jaki z Bogdana kolega. Postanowił powiedzieć jej, że to wszystko było ukartowane. W końcu ona też dostała rykoszetem, jej też zniszczyli przyszłość. Przez nich stracili wymarzone mieszkanie, nie będzie przecież żyć z kimś takim pod jednym dachem! Założył buty i wyszedł bez słowa. Kiedy dotarł na miejsce, Bożena siedziała już przy stoliku. Długie ciemne włosy miała związane w koński ogon. Zauważyła go, rozpromieniła się na jego widok i pomachała. Poczuł, że wciąż nie była mu obojętna. Gdyby teraz wzięła go za rękę, wyszedłby z nią, nie pytając o nic i zapomniał o wszystkich złych słowach, jakie od niej usłyszał.

– Cześć! – usiadł z niepewną miną.

– Cieszę się, że wreszcie cię wypuścili.

– Ja też.

Nie dał jej dojść do słowa, opowiedział jej o wszystkim. O tym, jak ich wykorzystali, jak Bogdan ich wykorzystał. Mówił z coraz większą ekscytacją; gniew w nim narastał.

– Ja mu tego nie daruję! – zakończył opowieść. – Nawet żebym miał jak zwykły kapuś do skarbówki pójść, to pójdę. Za to, co nam zrobił.

Bożena milczała dłuższą chwilę. W końcu poprawiła włosy i spojrzała mu prosto w oczy.

– Ależ ty jesteś naiwny – pokręciła głową. – Przecież ten kierownik ze skarbówki to kolega Bogdana i to on wszystko nagrał. Ten cały przekręt. Do niego pójdziesz na skargę? Jak oni co sobota wódkę razem piją? Obudź się, człowieku. Umorzyli nawet Bogdanowi długi i może wreszcie prowadzić działalność na siebie.

– Bożena, nie możemy tego tak zostawić – chwycił jej dłoń.– Razem możemy ich załatwić. Przecież musi być jakiś sposób.

Wysunęła rękę i sięgnęła do torebki. Przetawiała szklanekę z colą i położyła na stoliku przed nim dokumenty. Poznał tę teczkę. Miała ją wtedy w więzieniu, były w niej papiery rozwodowe.

– Za mały jesteś na nich – obok teczki położyła kopertę. –Masz tu dziesięć tysięcy. Podpisz te dokumenty, weź pieniądze i wyjedź. Na zawsze. Może do jakiegoś dużego miasta. Zaczнешz wszystko od nowa, ja ci już dzisiaj źle nie życzę.

Poczuł, jakby dostał pięścią w brzuch. Potrzebował chwili, żeby opanować drżenie głosu.

– Gdzie mam podpisać? – spojrzał na nią jeszcze raz i otworzył teczkę.

– Tu, gdzie żółte karteczki – szybko podała mu długopis.

Podpisywał wszystko, nie czytając. Bożena, z trudem kryjąc radość, przewracała kartki. Kiedy skończył, szybko schowała podpisane papiery do torebki.

– Zamówię nam po piwie, mam jeszcze chwilę – w przypiływie dobrego humoru przywołała kelnerkę. – W sobotę jedziemy z Bogdanem na tydzień do Grecji. Dla twojego dobra lepiej, żeby cię po jego powrocie do Tarnobrzega nie było. Dobrze ci radzę, z życzliwości.

Dziewczyna z obsługi podeszła przyjąć zamówienie.

– Coś podać?

– Nic, dziękujemy. Zapłacę tylko za tę colę – wziął ze stołu kopertę z pieniędzmi i podał ją kelnerce. – Reszta dla pani.

Zdziwiona dziewczyna zajrzała do koperty. Bożena zerwała się z krzesła i nim tamta zdążyła się zorientować, wyrwała jej pieniądze.

– Mąż tylko żartował.

– Przed chwilą podpisaliśmy intercyzę. To są moje pieniądze i nic ci do tego, jak je wydaję – wyszarpnął jej z ręki kopertę i włożył kelnerce do kieszeni

fartucha. – Dziękuję pani i proszę lepiej pilnować napiwków, bo pełno na tym świecie złodziei.

– Pojechało cię?! Tyle pieniędzy?! – syknęła, kiedy dziewczyna odeszła.

Wstał bez słowa i wyszedł, nie oglądając się za siebie. Przed lokalem poprosił stojących tam znajomych mężczyzn o papierosa. Zobaczył, jak Bożena rusza z impetem znajomo wyglądającym mercedesem i puka się w czoło. Nim odjechała, z jej ust odczytał jeszcze słowo „dupek”. Wyjął z kieszeni telefon i wykręcił numer Bogdana.

– No i co? Dogadaliście się?

– Chciałeś kupić sobie spokój? – wypuścił dym. – Naprawdę? Za nędznych dziesięć tysięcy?

– Dziesięć ci Bożena dała? – Bogdan zaśmiał się do słuchawki. – A to chciwa cipa, połowę zajebała. Ja jej dałem dwadzieścia.

– Ją mam w dupie – mówił spokojnie. – Ale ty miałeś we mnie kiedyś największego przyjaciela, a teraz masz największego wroga.

– Co ty mi tu pierdolisz? Myślisz, że się ciebie boję?

– No to lepiej zacznij.

Rozłączył się i ruszył w stronę domu. Dowiedział się dzisiaj wielu strasznych rzeczy, ale przynajmniej nie miał już złudzeń. Zaczynał wszystko od nowa. Bez żony, przyjaciół i pieniędzy. Z czystym kontem. Postanowił, że od teraz sam będzie decydował o swoim życiu.

10

Komisarz Widacka nacisnęła przycisk dzwonka i nauczona niedawnym doświadczeniem czekała cierpliwie, aż ktoś otworzy metalowe drzwi. Po dłuższej chwili uchyliły się i Zuzanna zobaczyła w nich drobną postać doktor Marchwickiej. Policjantka uśmiechnęła się na jej widok, a pani patolog chyba odwzajemniła uśmiech. Marchwicka miała specyficzny sposób bycia – na pierwszy rzut oka zgorzkniała i niemila, jednak przy bliższym poznaniu zyskiwała, dzięki swojej uczynności i fachowości. Nie zależało jej na tym, żeby ludzie ją lubili, ale swoją pracę wykonywała z pełnym zaangażowaniem i to współpracownicy doceniali. Kobiety podeszły do dużego metalowego stołu, na którym zamiast zwłok leżał talerz z naleśnikami. Obok stał taboret, na którym pani doktor usiadła.

– Zaraz wszystko pani pokażę – wzięła widelec i skalpel. – Ale najpierw zjem, bo mi wystygną.

– Jasne – Zuzanna kiwnęła głową i czekała w milczeniu.

– Ale rozmawiać możemy – przełknęła. – Po tylu latach trupy nie psują mi apetytu.

– Chodzi mi o ten wypadek samochodowy Janickich. Zginął tam mężczyzna i chłopczyk – wyjęła z torby akta i położyła na stole. – Napisała pani, że był tam możliwy udział osób trzecich. Czyli co? Zabójstwo?

Pani doktor skończyła jeść, wzięła talerz i obeszyła stół, dochodząc do miejsca, gdzie aluminiowy blat obniżał się w stronę zlewu znajdującego się na jego drugim końcu. Zwykle spoczywały tu stopy denata. Służył on do splukiwania krwi i tkanek z metalowej powierzchni w czasie sekcji zwłok. Przypominał trochę chromowane zmywaki w kuchniach renomowanych restauracji. Odkręciła

wodę, umyła dokładnie talerz i widelec, a skalpel opłukała i wrzuciła do maszynki dezynfekującej narzędzia. W trakcie tych, jak było widać, naturalnych dla niej czynności, cały czas referowała Widackiej sprawę.

– Na początku wszystko wyglądało normalnie. Okoliczności wskazywały na to, że rozbili się i zginęli w wyniku obrażeń, zanim przyjechała karetka. Uderzenie musiało być mocne, bo kierowca miał zgniecione nogi i połamane prawie wszystkie żebra. Badanie wykazało, że mimo niezapiętych pasów poduszka uchroniła jednak głowę przed większymi obrażeniami. Miał tylko rozcięty łuk brwiowy.

– To dziwne, bo przy niezapiętych pasach poduszka podobno jeszcze zwiększa ryzyko obrażeń – Zuzanna była dociekliwa. – Tak nas przynajmniej uczyli.

– I rzeczywiście tak jest przy małej stłuczce – Marchwicka kiwnęła głową. – Kiedy przy niewielkiej prędkości poduszka wystrzeli, może narobić szkody. Przy mocnym uderzeniu auta nawet bez zapiętych pasów pomaga. W każdym razie w tym konkretnym przypadku śmieć nie nastąpiła w wyniku obrażeń głowy, chociaż kierowca uderzył czołem w kierownicę. Kręgi szyjne też nie były poważnie uszkodzone, nie zadławił się krwią. Przyczyna śmierci była inna.

Doktor przeszła bez słowa do sąsiedniej sali, po drodze zabierając z półki ultrafioletową lampę. Widacka podążyła za nią. Lekarka nie włączyła wiszącej na drucianym uchwycie pod sufitem jarzeniówki. Jedyne przez drzwi, które zostawiła otwarte, wpadało światło. W ciemnym pomieszczeniu znajdowały się lodówki, gdzie przechowywano badane ostatnio ciała. Marchwicka otworzyła jedną z nich i pociągnęła za metalowy uchwyt. Zwłoki wyjechały lekko z cichym szumem po dobrze nasmarowanych przewodnicach. Leżały teraz w słabej poświacie zimnego światła. Odśloniła papierową ceratę, pokazując policjantce głowę i klatkę piersiową mężczyzny. Pani komisarz z trudem rozpoznała kierowcę ze zdjęć. Ślady szwów na głowie i piersiach, wykonane po zakończeniu sekcji zwłok, upodobniły denata do postaci z horroru. Doktor włączyła lampę, przysunęła do jego twarzy i obie pochyliły się nad zwłokami.

– Tych śladów nie da się pokazać na zdjęciach – w ultrafioletowym świetle w okolicach ust i nosa widać było wyraźnie odbite palce dłoni. – Można je zobaczyć w ten sposób, chociaż sprawca miał rękawiczki.

– Ktoś go udusił? – ułożenie śladów rąk wyraźnie wskazywało, że jedną z nich ktoś zatkał ofierze usta, a drugą ścisnął nos, pozbawiając w ten sposób dopływu powietrza. – Zmiany w płucach są?

– Przy tego typu uduszeniu w płucach nie ma śladów – patolog wzięła leżącą obok gumową rękawiczkę i przy jej pomocy podniosła powiekę martwego. – Są za to oznaki śmierci nagłej w wyniku niedotlenienia, jak na przykład rozszerzone źrenice.

Zuzanna łączyła fakty. Szukała wyjaśnienia i naprędce jawiła jej się makabryczna wizja. Ktoś mógł spowodować wypadek, w wyniku którego ucierpiał Janicki z synkiem. Zatrzymał się i zamiast ratować rannego, z obawy, że mężczyzna może zeznać o jego winie, udusił go. Następnie zbiegł z miejsca wypadku. Ofiara mogła mu też grozić. Było to okrutne, ale w tych okolicznościach możliwe wyjaśnienie. Rękawiczki mogłyby dziwić w listopadzie, ale o tej porze roku niektórzy już je noszą. Zwłaszcza, że ostatnie dni były naprawdę chłodne. Pani komisarz nie zdążyła jeszcze ochłonać, kiedy usłyszała więcej przerażających informacji.

– To nie wszystko – Marchwicka zakryła ceratą twarz denata i wepchnęła zwłoki do chłodni. – Chłopczyka też ktoś udusił.

11

Sławek szedł skapaną w słońcu polną drogą, gdzie dwie wyjeżdżone koleiny rozdzielone były kępami trawy. Za zakrętem, pod lasem zobaczył niewielkie gospodarstwo. Z bliska wyglądało dokładnie tak, jak opisał mu ludzie we wsi. Murowana stodoła połączona z zabudowaniami gospodarczymi, a w kącie podwórka, pod lasem – parterowy, drewniany dom, do którego bardziej pasowało określenie „chałupa”. Wywracający się płot podpierało kilka krzywych kołków. Przez dziury po brakujących sztachetach po okolicy rozlazły się kury. Zajrzał ponad zdezelowanym, przegniłym ogrodzeniem. Na podwórku zobaczył mężczyznę w bliżej nieokreślonym wieku. Równie dobrze mógł mieć czterdzieści, jak i sześćdziesiąt lat. W gumowce miał wpuszczone brudne spodnie, a brzuch opinała mu za mała koszulka z mokrymi plamami potu pod pachami. Mężczyzna mieszał coś w wielkim parniku. Przy każdym jego ruchu z wnętrza, mimo że był ciepły czerwcowy dzień, buchała chmura pary.

– Dzień dobry – obudzony obcym głosem ogromny czarny kundel zaczął ujadać, szarpiąc łańcuch jak oszalały. Z dachu stodoły poderwało się stado gołębi, co Sławek odebrał jako zły znak. – Jest Wiesiek w domu?

– Nie ma – chłop spojrzał spode łba. – A kto się pyta?

– Jestem kolegą Wieśka – Sławek przez chwilę się zastanawiał, co powiedzieć. „Kolega z więzienia” brzmiało trochę niefortunnie. – Z Tarnobrzega przyjechałem.

Chłop rozluźnił się. Widocznie obawiał się przedstawiciela jakiejś władzy.

– Murzyn, do budy! – krzyknął w stronę ujadającego psa.

Na niewiele to się jednak zdało, bo kundel nadal wściekle szczeakał. Stary schylił się, podniósł leżący obok kamień i cisnął w stronę zwierzaka. Rzut był

celny. Pisko oberwało w łapę i skomląc schowało się w budzie. Teraz z jej wnętrza szczyrzyło złowrogo kły, gapiąc się na przybysza, jakby jego winiąc za swoje nieszczęście.

– Sławek? – zza stodoły wyłonił się Gabryś. Na plecach dźwigał jakąś napchaną trawą płachtę. – A skąd ty się tu wziąłeś?

– Przyjechałem cię odwiedzić.

– Zachodź! – zrzucił pakunek obok chlewu. – W porządku, ojciec, to kolega z więzienia.

Otworzył furtkę i razem przeszli do małej, letniej kuchenki na końcu ceglanych zabudowań. Na betonowej podłodze stał tam stół i trzy taborety, w kącie – palnik gazowy na butlę, a obok – miednica na drucianym stelażu. Za drzwiami schowana była stara pralka typu frania. Ściany pokrywał surowy, cementowy tynk. Małe okienko z metalowym szprosem dzielącym je na cztery części miało tylko jedną szybkę; pozostałe były zastąpione dyktą. Światło wpadało przez niezamknięte drzwi. Nad głowami wisiała zgaszona teraz żarówka okrażona kolorową gazetą w charakterze klosza. Do niej przyczepione były lepy pełne martwych much. Mężczyźni usiedli i Sławek wyjął z plecaka dużą flaszkę wódki. Obok na stole postawił butelkę coca-coli na przepitkę. Gabryś wstał i wygrzebał ze skrzynki w kącie napoczęty słoik kiszonych ogórków, a w miednicy znalazł cztery niezbyt czyste szklanki. Do dwóch nalał wódki i postawił przed nimi na stole. Trzecią zalał do pełna alkoholem, a czwartą po brzeg colą.

– Młody! – zawołał. W tej samej chwili w drzwiach jakby spod ziemi wyrosła chuda postać w dresowych spodniach i podartym swetrze założonym na gołe ciało. Blond włosy, brudne i potargane, wpadały w nienaturalnie błękitne oczy chłopaka. Mógł mieć na oko trzynaście lat. Gabryś podał mu najpierw szklankę z colą, potem drugą z wódką. – Ta dla ciebie, a tę zanieść staremu.

Młokos, zanim wyszedł, upił spory łyk ze swojej szklanki, oblizał wargi i dołał do niej wódki z trzymanej w drugiej ręce musztardówki. Rozcieńczona cola

nabrała bladego koloru. Gabryś westchnął i bez słowa znów napełnił szklanę ojca gorzałą. Chłopiec wyszedł zadowolony, uważając, żeby nie rozlać.

– No! – Gabryś podniósł szklanę. – To za spotkanie na wolności.

Wypili do dna, po czym grzebiąc paluchami, wyjął ze słoika dużego ogórka, przełamał i nie zwracając uwagi, że cieknie mu za rękaw, podał Sławkowi. W ten sposób w pół godziny we dwóch, a właściwie to w czterech prawie opróżnili litrową butelkę.

– Dlaczego nazwaliście psa Murzyn? – Sławek był już mocno wstawiony. – Jesteś rasistą?

– A kto to jest rasista?

– Taki, co nie lubi czarnoskórych.

– Jakbym nie lubił – wzruszył ramionami – to bym tak psa nie nazwał.

Sławek zaśmiał się. Nie można było odmówić Gabrysiowi logiki. Uznał, że tu poprawność polityczna nie dotarła. Po chwili spoważniał i widać było, że bije się z myślami. W końcu dojrzał do tego, aby porozmawiać o sprawie, dla której odnalazł towarzysza z celi.

– Mam do ciebie pytanie – język lekko mu się plątał, ale myślał wciąż trzeźwo.

– Właściwie to po to przyjechałem.

– No? – Gabryś po pierwszej butelce tylko lekko zaczerwienił się na policzkach.

– Za ile zabiłbyś człowieka? – czknął i odbiło mu się wódką. – Znaczy, za ile pieniędzy?

– Dobrego, czy chuja?

– Chuja.

– Jak chuja – namyślił się – to za pięć tysięcy.

Zamilkli obaj na chwilę. Sławek zmarszczył czoło w pijackim namyśle i znów zapytał.

– Zabiłeś człowieka, bo ci gołębie płoszył, a teraz za pieniądze pytasz, czy dobrego? Jakie to ma dla ciebie znaczenie?

Gabryś wlał alkohol w gardło i zakąsił. Potem odstawił szklanekę i spojrzał na kompana zimnym wzrokiem. Ten zrozumiał, że nie powinien pytać. Spuścił oczy i sięgnął po swoją miarkę wódki.

– Wypiłeś? – Gabryś polał sobie i poczekał na Sławka. – Nie twoja sprawa, ale chcesz wiedzieć, to ci powiem, jak było. Ciągłe mnie bił, jak byłem mały. Raz mi, skurwysyn, głowę do wiaderka z wodą wsadził i mało nie utopił. W zimie. Bałem się koło jego domu chodzić, żeby mi czego złego nie zrobił.

Sławek patrzył mętным wzrokiem, przejęty krótką, ale ciężką opowieścią. Zagryzł ogórkiem, jednak nie mógł pozbyć się smaku ciepłej wódki. Walczył chwilę z mdłościami, w końcu poddał się.

– Gdzie się mogę wyrzygać?

– Gdzie chcesz, kury wydziobią – Gabryś wziął od niego szklanekę i odsuwając krzesło, zrobił mu przejście na podwórko.

Gość nie uszedł daleko. Schylił się i z trzewi wylała się mu cała zawartość żołądka. Chwilę stał skulony, łapiąc oddech i czekając na rozwój sytuacji. Nagle kątem oka zauważył kucającego obok chłopca. Przyglądał mu się z dołu. Z przechyloną głową patrzył z nieskrywaną ciekawością, naciągając rękaw swetra i popijając drinka. Sławek wyprostował się i blady jak ściana chwiejnym krokiem pomaszerował do kuchni.

– Ten mój, co go chcę zabić, zrobił mi jeszcze większą krzywdę.

– No to już jest trup – Gabryś wręczył mu szklanekę i wyciągnął przed siebie rękę ze swoją.

12

Stały obie w milczeniu nad martwym ciałem chłopczyka. Widacka zauważyła, że z jego zwłokami Marchwicka obeszła się dużo delikatniej. Nacięcia były mniejsze niż na ciele ojca, a szwy – drobne i dokładne wykonane. Jakby starała się możliwie najmniej uszkodzić skórę wątłego ciała. Doktor zaświeciła teraz główne światło i stanęła obok odsłoniętej główki dziecka. Widać było, że z trudem hamuje emocje. Starala się utrzymać swój stoicki spokój. W tej chwili nawet jej z trudem przychodziło zachowanie dystansu, jak przystało na profesjonalistkę.

– Proszę spojrzeć tu i tu – przesunęła palcem wskazującym po bokach szyi. – To są ślady zadzierzgnięcia. Zwróć uwagę na ich kierunek.

Na szyi widać było sine pręgi, pozostałość po ucisku pasa, przy pomocy którego doszło do uduszenia. Widacka pamiętała z fotografii, że chłopiec siedział z tyłu auta, za siedzeniem pasażera. W ten sposób kierujący samochodem ojciec mógł go widzieć w lusterku wstecznym. Ślady na szyi biegły w dół, do ramienia po prawej stronie głowy i w górę po lewej. Odwrotnie niż ułożenie mocowań pasa. Gdyby przebieg tragedii był taki, jak ją sobie wyobraziła, przeglądając zdjęcia – czyli chłopiec nieszczęśliwie sam założyłby sobie na szyję pas, który pozbawiłby go życia w wypadku – sine ślady byłyby skierowane odwrotnie. Działanie siły, która zacisnęła pętlę na szyi dziecka, nie było wynikiem szarpnięcia w trakcie uderzenia w drzewo. Ktoś zaciągnął pas i udusił chłopczyka. Zuzanna poczuła w tym momencie zimno panujące w pokoju.

– Reszta śladów potwierdza, że śmierć nastąpiła przez uduszenie – Marchwicka przedstawiała kolejne wyniki oględzin. – Krwawe wybroczyny w okolicach oczodołów i zmiażdżone chrząstki krtani.

Po każdym zdaniu doktor robiła pauzę, jakby dając sobie czas na uspokojenie głosu przed kolejną wypowiedzianą informacją. Komisarz słuchała jej i przyglądała się twarzy chłopczyka z ogromnym smutkiem, ale też z narastającym uczuciem dziwnego niepokoju. Nigdy nie traktowała ciał ofiar przedmiotowo, zawsze ją obchodziły, jednak teraz czuła coś wyjątkowego. Jakiś irracjonalny wyrzut sumienia. Przygnębiało ją poczucie zbiorowej odpowiedzialności wszystkich dorosłych za okrucieństwo tego świata. Przytłaczało to niewyobrażalne zło, które dotknęło bezbronnego chłopczyka. Ogromny żal, który stopniowo przemienia się w złość i chęć zemsty. Złapała się na tym, że pierwszy raz w swojej policyjnej karierze nie tylko chciała wyjaśnić zagadkę zbrodni i ukarać winnego, ale pragnęła całym sercem odpłacić mu za wyrządzone zło. Nie tylko, żeby poniósł konsekwencje swoich czynów, ale żeby naprawdę cierpiał.

– Dzieciak prawie nie miał innych obrażeń. Kilka sińców i otarć. Przeżył wypadek bez większego uszczerbku. W czasie wstrząsu pas był więc prawidłowo zapięty i uchronił go przed uderzeniem. Ktoś założył go później na jego szyję i udusił małego z zimną krwią.

Zuzanna chciała śmierci tego mordercy. Oko za oko. Nie mogła się powstrzymać i drżącą dłonią dotknęła głowy chłopczyka. Mimo że malec nie żył, poczuła z nim jakąś więź. Matczyne serce zabiło mocniej, oczy napełniły się. Wyszła. Kiedy była już sama, nie powstrzymywała dłużej łez. Nie mogła go już ochronić, było za późno, ale ból napędzał ją do działania. Postanowiła, że nie odpuści mordercy. Czuła siłę i motywację, żeby szukać go dzień i noc.

13

Miał mało czasu na przygotowanie swojego planu. Właściwie słowo „plan” było trochę na wyrost. Bliższe rzeczywistości było stwierdzenie, że znalazł sposób, żeby się zemścić, a teraz musiał dopracować szczegóły działania. Trzeba było wszystko precyzyjnie zaaranżować. Na początek odszukał wśród starych szpargałów lokalizatory GPS – niewielkie urządzenia, które mieli kiedyś zamontowane w firmowych ciężarówkach na wypadek kradzieży. Pozwalały one przy pomocy aplikacji telefonicznej śledzić, gdzie w danej chwili znajduje się auto. Firma leasingowa zabrała samochody, kiedy Sławek przestał płacić raty, ale urządzenia oddali, bo były jego własnością. Teraz miały mu się przydać. Wymienił baterie i stwierdził zadowolony, że działają bez zarzutu. Postanowił zamontować oba. Dla pewności. Na wypadek, gdyby jeden zawiódł. Zastanawiał się, gdzie umieścić niewielkie urządzenia, aby pozostały niezauważone, ale też żeby nie zostały przypadkowo usunięte – choćby podczas spłukiwania auta ciśnieniową myjką. W końcu uznał, że najbezpieczniej będzie wsunąć je za rejestrację mercedesa. Postanowił umieścić je najbliższej nocy, choć mieli jechać dopiero za dwa dni. Nie chciał jednak zostawiać tego na ostatnią chwilę. Po pierwsze dlatego, że nie znał dokładnie godziny ich wyjazdu – opierał się tylko na tym, co mu powiedziała Bożena. Po drugie, jeżeli urządzenia jednak nawaliłyby, miałyby jeszcze czas na kupno nowych i wymianę. Do wieczora pozostało sporo czasu, postanowił więc załatwić jeszcze tego dnia sprawę swojego samochodu. Przy śniadaniu powiedział rodzicom, że chce na kilka dni wyjechać w Bieszczady, żeby poukładać sobie wszystko w głowie. Ojciec zgodził się pożyczyć mu starego golfa. Auto miało swoje lata i Sławek wolał upewnić się w serwisie, że da radę pokonać dużo dalszą trasę niż w Bieszczady.

Pojechał do zaprzyjaźnionego warsztatu, w którym kiedyś serwisowali ciężarówki. Tu na oczekaniu zrobili mu przegląd i wymienili, co trzeba. Mechanik zapewnił go, że kilka tysięcy kilometrów auto zrobi bez problemu. Dojadą do Grecji, na miejscu dzięki lokalizatorom znajdą ich, a potem zobaczy. Uznał, że będzie musiał improwizować, bo nie wiedział nawet, czy zatrzymają się w dużym hotelu, czy w jakiejś prywatnej kwaterze. Na miejscu postanowił coś wymyślić. Musiał rozwiązać jeszcze jeden problem, kwestię pieniędzy. Obliczył, że potrzebuje minimum dziesięć tysięcy. Pięć tysięcy zgodnie z umową dla Gabrysia, trzy na paliwo i autostrady. Na jedzenie potrzeba niewiele, co się da, wezmą z Polski. Noclegi też znajdą jakieś tanie. W najgorszym razie, jeżeli pieniędzy braknie, prześpią się w aucie, nie jechali przecież na wycieczkę. W więzieniu pracował, ale z pieniędzy tam zarobionych na koncie zostały tylko dwa tysiące. Resztę potrącili na spłatę komornika i jakieś inne fundusze dla skazanych. Cały następny dzień główkował, skąd wziąć pozostałą kwotę. Nie miał nic wartościowego, co mógłby szybko spieniężyć. Biegał od rana po bankach i firmach pożyczkowych, ale udało mu się wziąć tylko dwie chwilówki, łącznie na tysiąc pięćset złotych. Zdesperowany, czerwieniąc się ze wstydu, poprosił o pożyczkę matkę. Weszła w kuchni na taboret i wyjęła ze starej wazy sześćset złotych.

– Może kogoś zaprosisz na obiad w tych Bieszczadach? – wręczyła mu z uśmiechem.

Wszystkiego uzbierało się trochę ponad cztery tysiące. Usiadł załamany na łóżku w swoim pokoju. Na biurku leżał talerz z nietkniętymi kanapkami i niewielka kupka banknotów. I co? To wszystko, na co go stać? Będzie siedział z podkulonym ogonem i do końca życia przeklinał Bogdana, popijając co wieczór piwo? Nie, to się tak nie może skończyć. Pojadą i zabiją go. Nawet jeśli pieniędzy starczy tylko na podróż w jedną stronę. Najwyżej Gabryś nakarmi nim potem świnie. Było mu wszystko jedno. Z zadumy wyrwał go cień w oszklonych drzwiach i ciche pukanie do pokoju.

– Jakaś dziewczyna do ciebie – matka najpierw wsunęła głowę, chcąc sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku i może gościa wpuścić, po czym uchyliła szerzej drzwi.

Zaskoczony Sławek w pierwszej chwili jej nie poznał. W rozpuszczonych włosach i bez firmowego fartucha wyglądała inaczej. Wyprostował się na wersalce.

– Dobry wieczór – wyjęła z kieszeni wymiętą kopertę. – Przyszłam oddać panu te pieniądze. Wiem, że pokłóciliście się z żoną i dał mi je pan w złości. To było głupie. Nie chcę tej kasy i kłopotów. Proszę przekazać żonie, że oddałam, żeby przestała mnie nachodzić w pracy.

W milczeniu wziął kopertę z wyciągniętej ręki. Było mu wstyd i nie wiedział, co powiedzieć. Skąd w ogóle wiedziała, gdzie go szukać? Ktoś w osiedlowej pizzerii musiał go widocznie rozpoznać i powiedzieć, gdzie mieszka. Bardzo chciał wyjaśnić tej dziewczynie, że bierze te pieniądze tylko po to, żeby zabić jednego skurwysyna. W przeciwnym razie nie wycofałby się i nie przyjął ich zwrotu. Miał swój honor. Ale nie powiedział nic, a dziewczyna odwróciła się bez słowa i wyszła. To była prawdziwa ironia losu – jego dawny przyjaciel sam miał zapłacić za swoją śmierć.

14

Komisarz Widacka po raz kolejny przeczytała protokół z oględzin wypadku i jedna rzecz zwróciła jej uwagę. Musiała to sprawdzić. Odszukała zrobione przez techników zdjęcia z rzeczami osobistymi ofiar. Analizę przerwało jej nagłe wejście Buczka. Trzasnął drzwiami, rzucił na stół teczkę z dokumentami i ciężko usiadł na krześle.

– Co się stało? – Zuzanna zapytała z niepokojem.

Przed chwilą przesłuchiwał świadków w sprawie zabójstwa w ogródkach działkowych. Co prawda, sprawa już się wyjaśniła i zabójstwo okazało się nieszczęśliwym wypadkiem podczas bójki pijanych dzikich lokatorów altanki, ale to ona zaczynała to śledztwo. Mimo że komendant przekazał sprawę Andrzejowi, czuła się za nie po części odpowiedzialna. A minę Buczek miał nietęgą.

– Możesz sobie z powrotem zabrać to gównno? – wskazał leżące na biurku akta. Pytanie było retoryczne, potarł dłońmi twarz i uspokoił się trochę. – W pierwszy dzień dałem temu menelowi po mordzie, bo uderzył mieszkającą z nim kobietę. Jego żonie czy konkubinie, chuj wie, dałem wizytówkę, żeby go nastraszyć i wybić z głowy damski boks. A ta wydzwania teraz do mnie po nocy. SMS-y miłosne mi wysyła. Muszę się ukrywać przed żoną, jakbym miał kochankę. Teresa się do mnie prawie nie odzywa, bo widzi, że ukradkiem coś kasuję w telefonie.

– To porozmawiaj z nią – Zuzanna z trudem powstrzymywała się od śmiechu.
– Z tą kobietą znaczy.

– Rozmawiałem – rozłożył ręce. – Jej mąż też z nią rozmawiał, bo mu powiedziałem, co odpierdala. To przyszła dziś na przesłuchanie z nosem

rozkwaszonym jak pędzel i dalej to samo. Zamiast odpowiadać na pytania, to mruga do mnie i jęzorem wywija. Nagranie z przesłuchania wygląda jak początek pornosa.

Drzwi od pokoju otworzyły się i stanął w nich zadowolony komendant. Widocznie dotarły już do niego plotki i nie mógł odmówić sobie przyjemności skomentowania „biurowego romansu”.

– Jak tam, Andrzej, śledztwo? – uśmiechał się od ucha do ucha i mrugnął do Zuzanny.

– Dobrze – policjant bąknął pod nosem.

– No, słyszałem właśnie, że chyba wesele będzie – spojrzał zadowolony na Zuzannę, czekając na efekt żartu. – A jak patrzę na pannę młodą, to chyba nie będzie bezalkoholowe.

Roześmiał się głośno i zadowolony z dowcipu poszedł do siebie.

– Kurwa, on sam się umie rozbawić – mruknął Buczek, kiedy zamknęły się drzwi za komendantem. – Mistrz!

Stopniowo napięcie opadło i oboje wrócili do swoich zajęć. Widacka jeszcze raz sprawdziła i upewniła się, że wśród rzeczy osobistych kierowcy rozbitego auta nie było portfela. W schowku policjanci znaleźli dowód rejestracyjny służbowego auta i potwierdzenie polisy ubezpieczeniowej, ale nigdzie nie było dowodu osobistego, prawa jazdy ani pieniędzy. To rzuciło nowe światło na sprawę i mogło wskazywać na rabunkowy motyw zbrodni. Sprawca wypadku lub nawet przypadkowa osoba zamiast udzielić pomocy poszkodowanym, obrabowała ich, mordując dla zatarcia śladów. Hipoteza była dosyć karkołomna, ale na tym etapie śledztwa nie można było niczego wykluczyć. Może poszkodowany miał przy sobie większą sumę? Na tyle dużą, że skusiła mordercę? Może podczas kradzieży odzyskał przytomność i złodziej spanikował? Pytania mnożyły się, ale na końcu zawsze pojawiała się jeszcze kwestia zamordowania chłopczyka i wszystkie wyjaśnienia stawały się nierealne. Nic nie było w stanie uzasadnić takiego okrucieństwa. I choć Zuzanna nie mogła w to

uwierzyć, jednak ktoś to zrobił. Ktoś zamordował ojca i synka, jednego po drugim, z zimną krwią.

15

Sławek szedł w stronę zaparkowanego volkswagena. W jednej ręce niósł kawę, w drugiej – dużego hot doga. Auto zatrzymał na końcu parkingu, z dala od kamer. Z otwartego okna samochodu przez lornetkę gapił się na niego Gabryś. Kiedy zbliżył się na odległość kilku metrów, zaczął machać ręką, jakby chciał go chwycić. Pierwszy raz w życiu trzymał lornetkę i cieszył się jak dziecko.

– Przestań się wygłupiać, bo zwracasz na nas uwagę – zganił kompana Sławek, po czym podał mu hot doga.

– Z tym ostrym keczupem wzięłeś? – teraz trzymał lornetkę odwrotnie i przyglądał się bułce, oddalając ją i przybliżając.

– Tak, z sosem meksykańskim – odparł mężczyzna, wsiadł do auta i włożył kubek z kawą w uchwyt. – Nie chcę ci liczyć, ale to już piąty dzisiaj.

– Nie mogę się powstrzymać, takie zajebiste! – stwierdził Gabryś i ugryzł spory kęs. – Potracisz mi z tych pięciu tysięcy.

– Nie chodzi o kasę – Sławek włączył silnik. – Nie chcę, żebyś sraczki dostał, bo będziemy po lekarzach jeździć i wszystko szlag trafi. Twoje pięć tysięcy też.

– O to się nie bój – popił colą z wielkiej plastikowej butelki i beknął głośno. – U nas w domu nigdy nikogo brzuch nie bolał.

– To pewnie dlatego twój młody tak mi się przyglądał, jak rzygałem.

Sławek zamilkł i spojrzał na ekran telefonu. Aplikacja lokalizatorów pokazywała, że Bogdan z Bożeną zatrzymali się w restauracji zaraz za słowacką granicą i siedzą tam już ponad godzinę. Zaniepokoił się. To nie było normalne. „Przejechali raptem dwieście kilometrów z dwóch i pół tysiąca do celu i robią godzinny postój? ” – zastanawiał się. Bogdan, podobnie jak on, był doświadczonym kierowcą. Pierwszego dnia wyspany i wypoczęty mógł

spokojnie zrobić pięćset kilometrów bez postoju. I to ciężarówką, a co dopiero komfortową limuzyną, jaką jechał teraz. Nie zatrzymali się przecież na obiad o dziesiątej rano. Ewidentnie coś tu nie grało. Do tej pory Sławek utrzymywał dystans kilkudziesięciu kilometrów. Teraz jednak postanowił zaryzykować, dogonić ich i sprawdzić, co się dzieje. Do końca miał nadzieję, że zaraz ruszą w dalszą drogę, ale coraz bardziej obawiał się, że Bogdan zorientował się, że jest namierzany, wyrzucił lokalizatory i odjechał. Wtedy cały plan wzięłby w łeb – nie dogoniliby go przecież starym golfem. Dojechali do miasteczka, gdzie zaparkował dwie ulice od restauracji. Nie wtajemniczał Gabrysia w sytuację, bo i tak ten by mu nie pomógł. W tej sytuacji musiał liczyć na siebie. Gabryś miał wykonać tylko jedno, najważniejsze zadanie, ale do tego jeszcze daleka droga. Na razie miał czekać. Sławek włożył lornetkę pod koszulkę i wysiadł z samochodu. Z telefonem w dłoni skierował się w stronę, skąd pochodził sygnał. Restauracja mieściła się obok dużego hotelu i była z nim połączona. Mężczyzna obszedł budynki, stanął za drzewem i ze sporej odległości zlustrował przylegający do nich parking przez lornetkę. Z ulgą stwierdził, że stoi tam czarny mercedes Bogdana. Kamień spadł mu z serca, ale wciąż nie miał pojęcia, o co tutaj chodzi. Przesunął lornetkę na sąsiednie auto i nagle wszystko było jasne. Tuż obok mercedesa stało zaparkowane ogromne czarne bmw na rzeszowskich numerach. Rozpoznał je od razu. Jeździł nim Bury – człowiek, który nadzorował ich współpracę z VAT-owską mafią. To nie mógł być przypadek. Bogdan pewnie umówił się z nim tutaj, żeby przy okazji wyjazdu załatwić jakiś interes. Sławek poczuł rosnące napięcie. Przez chwilę przemknęła mu myśl, żeby odpłacić za swoje krzywdy i załatwić ich obu. Teraz, tu na parkingu. Odrzucił jednak szybko tę myśl. Nawet jeżeli Gabryś, wykorzystując element zaskoczenia, dźgnąłby nożem pierwszego, drugi na pewno przygotowałby się i odparł jego atak. Obaj byli potężnie zbudowani i każdy z osobna poradziłby sobie z jednym napastnikiem. Zresztą ten Bury zwykle nosił przy sobie pistolet, więc pewnie miał go również teraz. Poza tym w każdej chwili mogli pojawić się tu ludzie, świadkowie. I jeszcze Bożena. Nie, to nie miało szans powodzenia. Poszliby

siedzieć i to pewnie nie za zabójstwo, ale usiłowanie morderstwa. W tej sytuacji musiał wykazać się cierpliwością i załatwić to inaczej. Rozejrzał się pod nogami, podniósł patyk i szybkim krokiem podszedł do samochodu Bogdana. Przykucnął z tyłu, odgiął lekko rejestrację i zajrzał za nią. Oba lokalizatory były na swoim miejscu. Wsunął kijek i próbował wypchnąć bokiem jeden z nich. Nie było to proste, bo osobiście zadbał, aby tkwiły mocno. Nacisnął z większą siłą i złamał patyk.

– Cholera! – zaklął pod nosem.

Serce waliło mu jak młot. Rozejrzał się po parkingu, szukając kawałka drutu lub czegoś podobnego, ale nic takiego nie rzuciło mu się w oczy. Ujął krótszy kijek i nacisnął jeszcze raz. Lokalizator drgnął i obracając się, przesunął bliżej krańca tablicy rejestracyjnej. Ciężko oddychając, Sławek uśmiechnął się i kolejnymi ruchami powoli, ale sukcesywnie przemieszczał urządzenie. W końcu udało się – wyskoczyło i upadło na ziemię. Mężczyzna podniósł je i dmuchnął, żeby oczyścić z piasku. Kucając, szybko przesunął się do zaparkowanego obok bmw. Rozejrzał się. Nikogo nie było w pobliżu. Zresztą wyglądał, jakby coś poprawiał przy swoim aucie, więc raczej nie wzbudzał podejrzeń. Wsunął lokalizator za rejestrację czarnego auta, po czym wepchnął głębiej, upewniając się, że mocno trzyma się na miejscu. Miał już wstać i odejść, kiedy usłyszał zbliżające się kroki. Skupiony na umieszczeniu nadajnika nie zauważył, że tamci wyszli z restauracji. Śmiali się, żartując na odchodnym. Lada chwila mieli wsiąść do samochodów. Odjeżdżając, zobaczyliby go na pewno, rozpoznali i cały plan wzięłby w łeb. Poza ich autami duży parking był pusty, nie było też żadnej osłony, za którą mógłby się ukryć. Nie miał szans. Tylko strach powstrzymywał go przed poderwaniem się i ucieczką. Zobaczył całą trójkę, gdy nagle zatrzymali się kilka metrów od samochodów.

– Kurwa! Zostawiłem kluczyki na stoliku – rozpoznał głos Burego.

– Zaczekaj, ja skoczę i przyniosę – Bogdan powstrzymał go, choć tamten nie miał zamiaru sam iść po klucze.

– No to na co jeszcze czekasz? – hierarchia w ich relacji była jasna.

Odprowadził go wzrokiem, a kiedy tamten zamknął za sobą drzwi restauracji, Bury soczyście klepnął Bożenę w tyłek.

– Ała! – zaskoczona najpierw skrzywiła się, ale po chwili zaśmiała i odepchnęła go lekko.

– Widzę, że zamieniłaś jedną dupę wołową na drugą – wskazał głową kierunek, gdzie zniknął jej facet. – Tu jest mój numer. Jakbyś chciała, żeby cię ktoś porządnie przeleciał, to zadzwoń.

Machnął jej wizytówką przed nosem i włożył do kieszeni swoich spodni. Bożena spojrzała za siebie w stronę drzwi do restauracji, gdzie przed chwilą wszedł Bogdan, po czym wsunęła rękę do kieszeni Burego. Po dłuższej chwili wyjęła wizytówkę i kluczyki do samochodu.

– Znalazły się! – z kokieteryjnym uśmiechem oddała mu „zgubę”, a wizytówkę wsunęła w biustonosz.

– Chyba że teraz wsiądziesz do mojego samochodu – on też uśmiechał się zadowolony. – Chuj z nim.

– Chuj z nim, ale nie z wczasami – zaśmiali się oboje. – Jak wrócę, to zadzwonię.

Zamilkli, bo drzwi restauracji otworzyły się i pojawił się Bogdan. Szedł w ich kierunku szybkim krokiem ze zdenerwowaną miną, obawiając się reakcji Burego na brak kluczyków, jakby problem powstał z jego winy. Nie zwrócił nawet uwagi na odchodzącego z parkingu mężczyznę z nisko pochyloną głową.

– Nie ma na stoliku – bezradnie rozłożył ręce. – Kelner mówi, że też nie brał.

– Znalazły się – Bury uniósł kluczyki.

– Gdzie? – Bogdan nic nie rozumiał.

– W dupie! Nie twój interes – teraz obchodził się z nim lekceważąco, nawet pogardliwie. – Możecie jechać, ale za tydzień z papierami w zębach widzę cię w Rzeszowie, u mnie na placu. Jasne?

– Jasne – Bogdan nie wiedział, dlaczego tamten tak go traktuje, zwłaszcza że w restauracji było całkiem miło. Poczekał, aż wsiądzie do auta i odjedzie. Machnął ręką, a kiedy się odwrócił, uśmiech zniknął mu z twarzy.

– Wsiadaj! – warknął do Bożeny.

16

Zuzanna zjechała windą na najniższy poziom budynku komendy wojewódzkiej i tylnym wyjściem dostała się na zamknięty parking policyjny. Umówiła się tu z rzeczoznawcą ubezpieczeniowym, szacującym szkody komunikacyjne. Mężczyzna zadzwonił rano i zapytał, czy może przeprowadzić oględziny rozbitej toyoty. Działał na zlecenie firmy leasingowej i tej, w której był zatrudniony nieżyjący Artur Janicki. Dyżurny dał znać komisarz Widackiej, jako prowadzącej sprawę. Zuzanna pomyślała, że oględziny auta z fachowcem mogą przynieść korzyść śledztwu. Zgodziła się więc, dając do zrozumienia przedstawicielowi ubezpieczyciela, że są możliwe wyłącznie w asyście policjanta – czyli w tym konkretnym przypadku z nią. Zdążyła też sprawdzić najważniejsze informacje o pracodawcy Janickiego w internecie. Było to nieduże biuro finansowe. Telefonicznie dowiedziała się od rzeczoznawcy, że służbowe auto poza godzinami pracy użytkował w zasadzie tylko Janicki i że w tej niewielkiej firmie był prawą ręką szefa.

Dzień był deszczowy i wietrzny, ale wrak stał pod zadaszoną wiatą. Mogli więc spokojnie go obejrzeć, chociaż spokojnie oglądał tylko rzeczoznawca. Nie znał strasznych szczegółów zajścia, toteż mógł sobie na to pozwolić. Zuzannę już na początku wytrącił z równowagi pluszowy miś na oparciu tylnego siedzenia samochodu. Wzięła się jednak w garść. Zdjętą z nadgarstka gumką spięła swoim zwyczajem włosy i zaciskając rękoma poły płaszcza, śledziła każdą czynność mężczyzny.

– Proszę mi mówić o wszystkim, co pan zauważy, dobrze? – stała tuż za jego plecami, patrząc w kadr, kiedy podniósł na wysokość oczu cyfrowy aparat i robił zdjęcia zgniecionej maski. – Każdy szczegół może mieć znaczenie.

– Uderzył z dużą prędkością, co potwierdza zakres uszkodzeń i brak śladów hamowania na jezdni.

Specjalista znał akta sprawy. Zakład ubezpieczeniowy zgodnie z procedurą otrzymał dokumentację wypadku sporządzoną przez policjantów z drogówki.

– Może zagapił się w telefon? – pstryknął kolejną fotkę. – To teraz częste.

– Nie – Zuzanna pokręciła głową. – Telefon miał w wewnętrznej kieszeni marynarki na siedzeniu obok.

– To może ktoś wyjechał mu na trzeciego? – mężczyzna zmienił pozycję i dalej robił zdjęcia. – Bo usnąć to raczej nie usnął, o tej porze dnia i na tak krótkiej trasie.

– Nie – znów zaprzeczyła. – Ślady wskazują, że zjechał dość gwałtownie. Gdyby zasnął, powoli stoczyłby się do rowu.

– Racja – facet kucnął przy kole, dotknął krawędzi opony, po czym pstryknął zdjęcie i spojrzał na drugie przednie koło. – Czyli ktoś mu wyjechał, bo opony są starte, jakby kontrował.

– Słucham?

– Jakby ktoś go spychał, a on próbował temu zapobiec, skręcając koła i kierując na siłę auto z powrotem na drogę.

– Gdzie te ślady? – Widacka nachyliła się, a rzeczoznawca wskazał długopisem starte fragmenty ogumienia.

– Możliwe, że ktoś go wyprzedzał na trzeciego i ratując się przed zderzeniem z nadjeżdżającym z przeciwka pojazdem, zepchnął go do rowu. Tak nieszczęśliwie, że ten uderzył w drzewo – facet obszedł auto i spojrzał na jego lewy bok. – O, te zarysowania nie powstały w wyniku uderzenia w drzewo. Wyraźnie wskazują na boczną kolizję. Mogłaby pani tak przytrzymać długopis?

– Może były już wcześniej? – Zuzanna ujęła cienkopis i wskazywała nim rysy oraz wgniecenie na lewych tylnych drzwiach, kiedy rzeczoznawca robił zdjęcia.

– Mogły pochodzić z jakiegoś wcześniejszego zdarzenia?

– Nie – pokręcił głową. – W autach leasingowanych szkody zgłasza się od razu, ponieważ ubezpieczenie jest wliczone w ratę. Po co ktoś miałby jeździć

obdartym samochodem, jeżeli za naprawę nic nie płaci? A tej szkody nikt nie zgłaszał. Wiem, bo to mój rejon.

Zuzanna nachyliła się, opierając dłonie na kolanach, i przyjrzała uszkodzeniom z bliska. Oprócz wgięć i pęknięć lakieru widać było czarne zarysowania. Zeskrobała kawałek paznokciem, po czym przyjrzała się mu z bliska.

– To ślady listwy zabezpieczającej bok samochodu – rzeczoznawca kucnął obok niej, rozejrzał się wokoło i wskazał na zaparkowany duży radiowóz. – Takiej jak ta na tamtym policyjnym busie.

– Osobowe samochody nie mają takich listew?

– Rzadko. Już się ich nie montuje, bo to kiepsko wygląda. Bardziej w roboczych wersjach busów – zajrzał jeszcze do wnętrza samochodu przez otwór po wyciętych drzwiach. – Mogę zaglądnąć na chwilę do środka? Muszę sprawdzić pasy i poduszki.

– Proszę – wskazała ręką. – Nasi technicy już wszystko zabezpieczyli.

– No tak, już wiadomo, czemu nie miał zapiętych pasów – mężczyzna, klęcząc na siedzeniu kierowcy, zrobił zdjęcie mocowania. – Zapięcie jest zapchane. Chyba monetę włożył, żeby mu samochód nie piszczął, kiedy jechał niezapięty.

Wyszedł i wpuścił do środka Zuzannę. Kobieta zaświeciła latarką z telefonu. Rzeczywiście w klamrę pasa był wciśnięty okrągły przedmiot. Podał jej mały śrubokręt, ale to coś siedziało mocno i nawet nie drgnęło.

17

Kelner wreszcie podszedł do ich stolika w restauracyjnym ogródku i postawił przed Bogdanem zamówioną pół godziny wcześniej pieczeń. Ten oddał mu przy okazji pustą szklankę i mrużąc coś pod nosem, pokazał na migi, żeby przyniósł kolejne piwo. Chętnie zrugaliby obsługującego go Greka, ale niestety mógł to zrobić tylko po polsku, a to raczej nie miało sensu. Bożena przestawiła swój kieliszek i zaabsorbowana kręciła talerzem, próbując pstryknąć telefonem idealną fotkę przygotowanego dla niej wyszukanego dania. W białej obcisłej sukience i modnych przeciwsłonecznych okularach wyglądała bardzo atrakcyjnie. Sławek był na siebie zły, bo patrząc na nią, złapał się na tym, że wciąż nie jest mu obojętna. Pomimo krzywdy, jaką mu wyrządziła, nadal coś do niej czuł. Był też o nią zwyczajnie zazdrosny – choć to go irytowało, nie mógł uwolnić się od dawnych uczuć. Teraz obserwował ich z bezpiecznej odległości, uważając, by pozostać niezauważonym. Zwłaszcza że na ścianie budynku restauracji była zamontowana kamera, a tabliczka zawieszona pod spodem informowała o zainstalowanym monitoringu. Siedział na ławce po drugiej stronie pełnej spacerujących turystów promenady. Z tyłu dobiegał go szum fal, a lekka bryza niosła rześki zapach morskiej wody. Początkowo usadowił się na ciepłym piasku, ale zmienił miejsce, kiedy dostrzegł, że patrolująca plażę policja legitymuje koczujących na niej uchodźców. W tej części miasteczka emigranci opanowali całe nadbrzeże. Co prawda, z jego słowiańskimi rysami i blond włosami trudno było pomylić go z Kurdem czy Syryjczykiem, ale wolał nie ryzykować spotkania z policjantami. Kolejne grupki emigrantów ożywiały się, kiedy podchodzili funkcjonariusze, żeby po ich odejściu znów rozsiaść się w swoich grajdołkach i popaść w swoisty stan letargu. Rutynowa kontrola nie wywoływała w nich

większych emocji, jedynie chwilowe poruszenie. Widać było, że błakają się bardzo długo i nie mają już sił ani nadziei na lepsze jutro, natomiast strach zastąpiła w ich przypadku obojętność. W zamieszaniu jakaś dziewczynka w chuście na głowie odłączyła się od swoich pobratymców, przeszła przez zatłoczony deptak i stanęła tuż za barierką restauracyjnego ogródka. Sławek spojrzał, skąd przyszła, szukając wzrokiem rodziców, ale nikt się nią nie interesował. Mała mogła mieć na oko pięć lat. Zatrzymała się obok stolika, przy którym siedzieli Bożena i Bogdan.

– Poszła won! – Sławek usłyszał podniesiony głos w ojczystym języku. – Ale się to dziadostwo rozpleniło. Jak robactwo!

– Sio! – Bożena też odganiała dziecko, machając dłonią. – No i wlaźła mi w zdjęcie!

Dziewczynka nie reagowała. Przełykając ślinę, wpatrywała się tylko w smakołyki na ich stole. Bogdan, widząc to, ujął w palce frytkę ze swojego talerza i rzucił na ziemię obok dziecka. Mała musiała być naprawdę głodna, bo kucnęła, przetarła niezdarnie małą rączką kasek i włożyła do buzi. Starsze małżeństwo, siedzące przy stoliku obok, obserwowało scenę z zażenowaniem. Bogdan zarechotał zadowolony i rzucił kolejny kawałek. Dziewczynka znów się schyliła, ale nie zdążyła podnieść. Uprzedził ją mężczyzna, który wyszedł zza jej pleców. Ujął w swoją dłoń jej rączkę i podniósł rzucone jedzenie. Stał teraz i patrzył z nienawiścią na Bogdana. Wycedził coś przez zęby po arabsku i rzucił ubrudzoną frytkę z powrotem do jego talerza. Ten zerwał się jak oparzony, rozlewając przy tym przed chwilą przyniesione przez kelnera piwo. Chwycił za koszulę i przyciągnął do siebie intruza. Szamotali się kilka sekund, bo choć Bogdan był wyższy i lepiej zbudowany, wściekłość potęgowała siłę ojca dziewczynki. W końcu Bogdanowi udało się wyprowadzić w zwarciu krótki cios, po którym mężczyzna zatoczył się, ale utrzymał na nogach. Na chodnik spadła mu tylko sportowa, czerwona czapka. W pierwszej chwili chciał znów rzucić się na wyższego o głowę przeciwnika, ale opamiętał się, spojrzawszy na płaczącą u własnych stóp przestraszoną córeczkę. Uspokoił oddech, wziął ją na ręce

i mocno przytulił. Otarł krew z rozciętej wargi i odszedł, nie oglądając się za siebie. Mała objęła ojcowską szyję i chlipała cicho.

– Cholera! Wylałeś na mnie piwo! – Bożena próbowała czyścić białą sukienkę.
– Wyglądam, jakbym się zesikała.

– Co się, kurwa, gapisz! – Bogdan spojrzał groźnie na przyglądającą się im z dezaprobatą starszą kobietę siedzącą obok. Ta, choć nie znała polskiego, odwróciła wzrok. – Idziemy stąd!

– Trzeba zapłacić – Bożena zdjęła z krzesła torebkę.

– Zjadłaś? Bo ja nie! To za co mam płacić! – facet kipiał ze złości. – Jak nie umią zadbać o turystów, to niech spierdalają.

Kelner nawet nie próbował ich zatrzymać. Nie chciał wszczynać kolejnej awantury, zwłaszcza że część przestraszonych bójką gości i tak wyszła, nie czekając na swoje zamówienia. Bogdan szybkim krokiem ruszył w stronę zaparkowanego nieopodal auta. Bożena drobiła w szpilkach po bruku, próbując nadążyć, zakrywając jednocześnie torebką plamę na sukience. Chwilę jeszcze trwało zamieszanie na ulicy i w restauracji. Ludzie głośno komentowali scenę. Po kilku minutach wszystko jednak wróciło do normy. Sławek nie poszedł za nimi. Nie musiał ich śledzić, bo wiedział już, gdzie się zatrzymali. Na swój wakacyjny pobyt wynajęli mały apartament w prywatnym domu na obrzeżach miasta. Gospodarze mieszkali w tym samym budynku, co trochę komplikowało sprawę, ale na szczęście wejście do ich części mieszkalnej było od strony podwórza. Frontowe drzwi prowadziły do pokoi zajmowanych przez gości. Do ich dyspozycji pozostawał też niewielki parking przed domem. Kamienne ogrodzenie było niskie i łatwe do sforsowania. Wszystkie te okoliczności skrzętnie w głowie zanotował minionego wieczora, jednocześnie układając swój plan. Teraz powoli podniósł się z ławki i nadrabiając drogi, podszedł do restauracyjnego ogródka, tak aby kamera nie mogła zarejestrować jego twarzy. Kelner sprzątnął stolik i zmieniał właśnie kraciasty obrus, więc nie zwrócił na niego uwagi. Sławek przykląkł, poprawił sznurowadło w bucie, a wstając podniósł z chodnika czerwoną bejsbolówkę.

18

Zuzanna weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Odłożyła klucze na półkę. W ciszy każdy dźwięk wydawał się zakłócać panujący wokół spokój. Wnętrze korytarza spowijał półmrok, a z salonu sączyło się słabe światło nocnej lampy.

– Hej, jesteś? – powiesiła płaszcz i zdjęła buty. – Nie uwierzysz, co dzisiaj wyszło w mojej sprawie!

Weszła do pokoju. Rafał siedział na kanapie i spojrzał na nią chłodno.

– Nie uwierzę, jak kiedyś wrócę z pracy i zastanę w domu żonę czekającą z obiadem – chciał być złośliwy i dobrze mu szło.

Odwróciła się bez słowa i poszła do kuchni. Umyła ręce, wyjęła z szafki garnek i nalała wody. Zanim ta się zagotowała, zabrała się za przygotowanie sosu. Rafał stanął w drzwiach; usłyszała go za sobą.

– Ja też jestem głodna – położyła pomidora na desce do krojenia. – Jakbyś ugotował makaron, to by ci korona z głowy nie spadła.

– Wiesz dobrze, że nie o to chodzi.

– A o co? – przerwała krojenie i odwróciła się do niego. – Powiedz wreszcie, o co ci chodzi?! Od tygodnia jesteś naburmuszony, albo się czepiasz o byle co!

– Powinnaś teraz o siebie dbać.

– Rafał, ja jestem w ciąży! – poprawiła włosy. – Nie jestem śmiertelnie chora!

– No właśnie! – machał rękami. – Sama mówisz, że chodzisz głodna. Czyli nasze dziecko też jest głodne!

– Co ty gadasz? – spojrzała w górę, szukając tam pomocy. – Ty się, człowieku, słyszysz?!

Odwróciła się i z zapamiętaniem kroїła kolejnego pomidora, jakby w ten sposób chciała wyładować złość. Chwilę trwało napięcie w ich kuchni.

– Przepraszam – objął ją od tyłu i pocałował w szyję. – Dureń ze mnie.

– Wiedziałaś, jaka jestem.

– Wiedziałem – znów ją pocałował.

– Ja się nie zmienię.

– Wiem, przepraszam – wciągnął zapach jej włosów. – Nie chcę, żebyś się zmieniała.

– Utrzymaj ser – udobruchana odwzajemniła pocałunek. Nie lubiła się z nim kłócić i nie umiała długo się gniewać.

Wyjął tarkę i ser z lodówki. Złe emocje opadły i znów byli sobie bliscy.

– Tyle wystarczy? – przechylił miskę, a ona twierdząco pokiwała głową.

Usiedli do stołu.

– To co z twoim śledztwem? – kręcił widelcem w talerzu, nawijając na niego makaron. – Zaczęłaś mówić.

– No właśnie! – entuzjizm wrócił. Jej dzisiejsze odkrycie było naprawdę szokujące. – Okazało się, że kierowca nie miał zapiętego pasa, bo w zatrask była wciśnięta pięcioletowa moneta. Technicy wyjęli ją dzisiaj.

– Czasem tak robią, mądralę, żeby im nie piszczała sygnalizacja niezapiętych pasów – przełknął kęs. – A potem kończy się tragedią.

– Też tak pomyśleliśmy na początku – machnęła widelcem. – Ale po zbadaniu monety, okazało się, że nie ma na niej żadnych odcisków palców!

– Może kiedy ją wkładał, miał na dłoni rękawiczkę? – Rafał szukał jakiegoś logicznego wytłumaczenia. Też go to zdziwiło.

– Nie – pokręciła przecząco głową. – Wówczas byłyby odciski palców innych osób, a tam nie było żadnych. Ktoś wytarł dokładnie tych pięć złotych, zanim tam wcisnął.

– Ale kto? – wzruszył ramionami. – I po co miałyby to robić?

– No właśnie! – Zuzanna mówiła z pełnymi ustami. – Na początku policjantom z drogówki wydawało się, że to zwyczajny wypadek. Marchwicka odkryła, że

ofiary nie zginęły od uderzenia w drzewo, tylko zostały uduszone, co całkowicie zmieniło sprawę. A teraz wygląda, że to morderstwo zaplanowano z zimną krwią!

– Jeżeli było tak, jak mówisz, to znaczy, że ktoś musiał mieć powód, żeby go zabić – Rafał głośno się zastanawiał. – I to bardzo poważny, skoro zabił też dziecko.

– Tak, motyw jest kluczem – Zuzanna zgodziła się z nim. – Wygląda na to, że ktoś chciał się go pozbyć albo zamknąć mu usta. Motyw rabunkowy też wchodzi w grę, bo nie znaleźli przy nim portfela.

– Statystycznie najczęściej mordercami są najbliżsi – kontynuował teoretyczne rozważania mężczyzna. – Gadałaś z jego żoną?

– Muszę z nią w końcu porozmawiać – posmutniała i pokręciła głową. – Ale nie wierzę, że zabiłaby własne dziecko.

– No nie wiem, to nie jest takie rzadkie.

– Tak, ale to w szoku poporodowym albo jakimś depresyjnym stanie. W afekcie, ale nie w taki sposób – próbowała sobie wyobrazić kobietę, która planuje zabójstwo, spycha auto z drogi i potem dusi męża i synka. – To niemożliwe.

– A pieniądze? – Rafał nie drażył wątku żony, który też wydawał mu się absurdalny. – Może w grę wchodzi jakieś długi? Może był komuś winny kasę, skoro zaginął portfel?

– Byłam w jego banku – pani komisarz podchwyciła nowy kierunek rozważań. – Wszystko wygląda normalnie, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Od paru lat spłacali kredyt hipoteczny na mieszkanie, raty płacili terminowo. Na koncie kilka tysięcy oszczędności. Ani za dużo, ani za mało. Wszystkiego na razie dowiedziałam się nieoficjalnie. Czekam na nakaz z prokuratury. Jak dostanę, to sprawdzę szczegóły, ale wydaje się, że to też nie to.

– Gdzie facet pracował? – rzeczywiście sprawa wyglądała dziwnie.

– W biurze finansowym – Zuzanna zabrała puste talerze. – Głównie niewielkie dotacje dla małych firm, staże pracownicze i takie tam. Nie obracają dużymi

kwotami. Dziś miałam się spotkać z jego szefem, ale musiał nagle wyjechać. Jutro rano go odwiedzę z Majewskim z gospodarczej. On zna się na machlojkach, to może coś wywęszyć.

– No, to może być trop – Rafał sięgnął do szafki, wyjął dwa kieliszki i nalał do obu soku z czarnej porzeczki. – Czerwone półwytrawne, jak lubisz.

19

Sławek siedział w zaparkowanym samochodzie, a upał potęgował jego zmęczenie i frustrację. Drzewka oliwne w małym parku przy plaży, gdzie zatrzymał samochód, prawie nie dawały cienia. Ich drobne liście też unikały słońca. Stary golf ojca nie miał klimatyzacji, a otwarcie okien nie przynosiło żadnej ulgi. Jedyne, co mogli zrobić to zamknąć je szczelnie i zasłonić jakimiś ubraniami, żeby promienie nie wdzierały się do środka. Przy okazji chroniły ich przed spojrzeniami ciekawskich przechodniów, których mógł zainteresować widok mężczyzn obserwujących plażę przez lornetkę. W najlepszym wypadku wzięto by ich za erotomanów, a w najgorszym – za gwałcicieli i zawiadomiono by policję. Właśnie minęło południe i żar niemiłosiernie lał się z nieba. Gabryś drzemał z otwartymi ustami, czoło miał zroszone kroplami potu. Sławek siedział na fotelu kierowcy i rozmyślał, analizując sytuację. Był niewyspany i zmęczony, powoli miał też tego wszystkiego dość. Pieniądze się kończyły, a oni wciąż nie zrealizowali swojego celu. Byli w Grecji czwarty dzień. Ostatnią noc w ramach oszczędności spędzili w samochodzie, więc o świcie obudzili się z bolącymi kręgosłupami i mocnym postanowieniem, że muszą to zrobić tego dnia. Rano czekali na Bogdana pod ich kwaterą. Liczyli, że pojawi się pierwszy, bo Bożena zawsze się guzdrała. Gabryś przeskoczył przez ogrodzenie, stał schowany za pobliskim drzewem i czekał na sygnał Sławka. Tamci wyszli jednak razem, mężczyźni musieli więc uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż para się rozdzieli. W sklepie, do którego Bogdan wszedł sam, żeby kupić zgrzewkę piwa, było z kolei za dużo potencjalnych świadków. Teraz czekali na małym parkingu tuż przy plaży, w pobliżu jedynej w tej okolicy publicznej toalety. Liczyli na to, że Bogdan po wypiciu kilku piw w końcu tu zajrzy. Sławek obserwował przez

lornetkę koc, na którym leżeli, ale jego determinacja gdzieś zniknęła i powoli zaczynał się zastanawiać, co on właściwie tu robi. W zasadzie to sprawy zaszyły daleko i chyba tylko dlatego trudno było mu zrezygnować. W tej chwili gotów był odpuścić, ale nie bardzo wiedział, jak to załatwić? Co powiedzieć Gabrysiowi? „Trudno, może po prostu dać mu pięć tysięcy i tyle” – pomyślał. Przecież nie będzie miał do niego pretensji, że nie zabił Bogdana, bo to była Sławka osobista sprawa. Dla Wieśka to tylko interes. Dostałby swoją kasę, więc byłiby kwita. Postawiliby mu flaszkę i mogliby zapomnieć o sprawie.

– Jest! – Gabryś otworzył drzwi, wrywając Sławka z zadumy. – Przypiliło go w końcu!

– Gdzie? – Sławek przyłożył lornetkę do oczu. Nie od razu zauważył idącego w stronę toalety Bogdana, bo patrzył za daleko. W końcu dostrzegł go, kiedy był już całkiem blisko. Szedł w klapkach i szortach kąpielowych.

Gabryś spokojny, ale skupiony wysiadł z samochodu. Rękojeść noża ukrył w zaciśniętej dłoni a ostrze za wyprostowaną, opuszczoną wzdłuż ciała ręką. Wolnym krokiem ruszył w stronę ubikacji, aby Bogdan zdążył wejść pierwszy. Sławek czuł, jak wali mu serce. Miał szybki, nieregularny oddech. Rozterki i wątpliwości rozplynęły się w jednej chwili pod wpływem nagłych emocji. Patrzył, jak obaj znikają w drzwiach łazienki. Najpierw Bogdan, a kilka sekund później Gabryś. Potem nastąpiła cisza, jakby ktoś włączył pauzę i zatrzymał życie w tym greckim miasteczku. Sławek nie był pewien, ale raczej nikt tam przed nimi nie wszedł. Byli w środku sami. Nagle jego wzrok zatrzymał się na desce rozdzielczej golfa, gdzie leżała czerwona bejsbolówka.

– Kurwa! – zaklął głośno. Gabryś zapomniał ją zabrać, a to była część planu. – Ja pierdolę!

Chwycił czapkę, wysiadł z samochodu i pobiegł w stronę toalety. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt w tę stronę nie idzie, po czym sięgnął do klamki. Nie zdążył jednak jej nacisnąć. Drzwi otworzyły się i zobaczył w nich Bogdana. Stał jak wryty.

– Sławek? – Bogdan nie był mniej zaskoczony. – Co ty tu...

Nie dokończył. W tym momencie jego oczy powiększyły się nienaturalnie, a z ust wydobyło się ze świstem powietrze. Zacharczał i wciąż patrząc ze zdziwieniem Sławkowi w oczy, osunął się po framudze drzwi na podłogę. Upadając, odsłonił stojącego za nim Gabrysia, który trzymał w dłoni zakrwawiony nóż. Teraz obserwował, jak ofiara upada na podłogę. Na jego twarzy nie było strachu czy podniecenia, tylko wciąż to samo skupienie. Starał się dobrze wykonać swoje zadanie. Z ust Bogdana wydobywały się czerwone bańki. Musiał mieć przebite płuco. Sławek zamknął i zablokował sobą drzwi. Gabryś ukląkł koło rannego i wbił mu duże ostrze w brzuch aż po rękojeść. Ciałem wstrząsnął spazm, wyprężyło się na chwilę, żeby znów opaść bezwładnie na podłogę. Następne pchnięcia nie spowodowały już żadnej reakcji. Ostrze wchodziło w czerwone od świeżej opalenizny ciało jak w masło. Kolejne rany broczyły krwią, której strugi łączyły się, spływając po brzuchu i tworząc powiększającą się na posadzce kałużę. Sławek cały czas patrzył w oczy Bogdana, teraz utkwione w jeden punkt i martwe.

– Już wystarczy – wyszeptał. – Zostaw!

Gabryś zatrzymał rękę, spojrział na nieruchomą twarz i podniósł się z klęczek. Nawet się nie zmęczył.

– Załatwione – ściągnął koszulkę, wytarł dłoń i zawiązał w nią zakrwawiony nóż. – Spadamy.

Mijając Sławka w drzwiach, klepnął go w ramię. Ten oprzytomniał, rzucił w kąt pomieszczenia czapkę, którą cały czas ścisnął w dłoni. Zanim wybiegł za Gabrysiem, drżącą ręką wyjął z kieszeni spodenek Bogdana wystający z niej portfel. Po chwili obaj mężczyźni siedzieli już w samochodzie. Sławek, chociaż wciąż mocno wzburzony, zachował jednak zimną krew i działał jak automat. Wycofał auto, po czym wolno wyjechał z parkingu. Bak mieli pełny – zadbał o to wcześniej. Włączył nawigację i ruszył najkrótszą drogą w stronę granicy. Mieli szczęście – wyjeżdżając, spojrział przez okno i zobaczył, jak w stronę toalety zmierzały właśnie dwie roześmiane turystki. Łazienka była wspólna dla

mężczyzn i kobiet, było więc pewne, że plażowiczki lada chwila odkryją zmasakrowane ciało.

20

Właścicielem firmy konsultingowej Żyroskop, w której był zatrudniony Janicki, był Tomasz Żyro. Zuzanna przyznała w myślach, że logo zgrabnie łączyło nazwisko założyciela i opisaną na stronie internetowej misję przedsiębiorstwa. Oferowało ono szereg usług w zakresie doradztwa biznesowego, umożliwiających utrzymanie firmy klienta „na właściwym kursie”. W praktyce jednak głównie zajmowało się przygotowywaniem i realizacją wniosków o niewielkie unijne dotacje na rozwój zatrudnienia. Wyglądało na to, że początkowe ambicje pana Tomasza zweryfikowało życie i skupił się na rutynowej, prostej robocie. Firma zajmowała trzy pokoje na drugim piętrze niezbyt reprezentacyjnego biurowca w centrum miasta. W jednym z nich stało kilka upchniętych po kątach biurek, które zajmowali pracownicy. Drugi stanowił namiastkę salki konferencyjnej z ustawioną w kącie tablicą. Objasniono Zuzannie, że tu przeprowadzano rekrutację i szkolenia dla przyszłych zatrudnionych i stażystów. W trzecim pokoju urzędował szef i jego zastępca – nieżyjący Artur Janicki. Dwa połączone biurka z krzesłami naprzeciwko siebie. Drzwi do tego pomieszczenia prowadziły z pokoju zajmowanego przez szeregowych pracowników. Dziewczyna siedząca najbliżej nich pełniła prawdopodobnie też funkcję sekretarki, bo to ona zajęła się policjantami po ich wejściu.

– Szef zaraz będzie – usprawiedliwiła go z niewyraźną miną. Widocznie pan Tomasz należał do tych biznesmenów, którzy nie dotrzymywali słowa, a tłumaczenie się zostawiali podwładnym. – Dzwonił, że coś ważnego go zatrzymało. Może kawy?

Po blisko godzinie oczekiwania w salce konferencyjnej i coraz mętniejszych tłumaczeniach zmieszanej pracownicy stracili nadzieję na jego przyście. Żyro nie odbierał też telefonu, co dodatkowo stawiało go w nieciekawym świetle.

– Nie będziemy tak siedzieć z założonymi rękami – Zuzanna wstała i zdjęła z wieszaka płaszcz. – Zaczynaj przyglądać się dokumentom, a ja pojedę do jego domu. To wszystko zaczyna podejrzanie wyglądać.

– Dobra. Wsadził głowę w piasek, ale dupę zostawił na wierzchu – Majewski też wstał z krzesła. – Jak tak pogrywa, to z przyjemnością się mu do niej dobiore.

– Będziesz potrzebował nakazu? – Zuzanna przemilczała jego barwną przenośnię.

– Dla nich powinna wystarczyć legitymacja – skinął głową, mając na myśli młode dziewczyny pracujące w pomieszczeniu obok. – A jak się sytuacja rozwinie, to sobie załatwię.

Przeszli do sąsiedniego pokoju, komisarz Widacka zmieniła ton na bardziej formalny i bez problemów uzyskała prywatny adres zamieszkania szefa. Majewski tymczasem wyjął służbową legitymację i jeszcze raz się przedstawił, recytując pełną nazwę wydziału do spraw zwalczania przestępczości gospodarczej, co zrobiło na wszystkich oczekiwane wrażenie.

Tomasz Żyro mieszkał sam w wynajętej kawalerce na drugim końcu miasta. Jednak Zuzanna nikogo tam nie zastała. Sąsiedzi też nie powiedzieli jej nic ciekawego. Od kilku lat mieszkał sam, podobno stary kawaler, może po rozwodzie. Taki mruk. Sąsiadka z przeciwka sama chętnie by się czegoś więcej na jego temat dowiedziała od Zuzanny.

– Dziś takie czasy, droga pani, że ledwo sąsiad sąsiadowi półgębkiem dzień dobry odpowie – nie przepadała za lokatorem z przeciwka. – On taki sam. Ani me, ani be, ani pocałuj mnie w dupę.

Pani komisarz pokiwała głową i wsunęła w drzwi druk wezwania, wyjaśniając wcześniej kobiecie, co to takiego. Wolą od razu ją poinformować. Miała obawy, czy sąsiadka wsunie później kartkę jak należy w drzwi, bo co do tego, że wyjmie i przeczyta, nie miała najmniejszych wątpliwości. Zostawiła jej też swoją

wizytówkę i poprosiła o telefon, kiedy tylko Tomasz Żyro pojawi się w mieszkaniu.

21

Matka zajrzała do jego pokoju. Mimo że był środek dnia, za sprawą zasuniętych żaluzji we wnętrzu było ciemno. Sławek leżał przykryty po szyję kocem. Przed chwilą obudził się i patrzył teraz w sufit.

– Wychodzę. Zupy sobie nalej – kobieta stała w drzwiach ubrana cała na czarno. – Ty też mógłbyś pójść.

– Daj mu spokój – głos ojca dobiegał z głębi mieszkania. – Nie wiem, po jaką cholere tam idziesz. Kawał drania to był.

– O zmarłych źle się nie mówi, a Sławek przynajmniej by do ludzi wyszedł, a nie siedzi ciągle w ciemnym pokoju jak kret – matka nie dawała za wygraną. – W końcu sąsiad i jego kolega to był, na pogrzeb wypadła pójść.

Ojciec machnął ręką, co starczyło za cały komentarz. Wiedział, że jego żona ma swoje zasady, według których pojmuje ten świat. Zawsze robiła to, co wypadało, nawet wbrew sobie i zdrowemu rozsądkowi. Zdążył się już do tego przyzwyczaić. Dla niej najważniejsze było to, co powiedzą ludzie. Sławek zaczekał, aż matka wyszła, i usiadł na łóżku. Od powrotu z Grecji przez ostatnie dwa tygodnie prawie nie wychodził z pokoju, jedynie do kuchni i toalety. To był bardzo trudny okres w jego życiu. Zupełnie nie mógł sobie poradzić z emocjami. Wiedział już, że czym innym jest planowanie zabójstwa i teoretyczna analiza sytuacji, a czym innym uporanie się z mrocznymi myślami, kiedy ma się na sumieniu śmierć człowieka. Do Polski wrócili bez żadnych przeszkód. Długą drogę pokonali praktycznie bez postojów, nie licząc krótkich przerw na tankowanie auta. Sławek prowadził samochód ponad dwadzieścia godzin bez przerwy. Za sprawą ostatnich przeżyć i kawy nie odczuwał głodu, zmęczenia ani braku snu. Choć śledzili Bogdana w konkretnym celu i wiedział, jak się to

skończy, to jednak samo zabójstwo bardzo nim wstrząsnęło. Przez kolejne dni wciąż miał przed oczami obraz ostrza, które raz za razem znikowało w zbroczonym krwią ciele ofiary. Prześladowało go też natrętne wspomnienie postaci dawnego przyjaciela stojącej w drzwiach z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Ale bywały też inne momenty, kiedy wracał myślami do pobytu w więzieniu, spotkania z Bożeną czy bójkę pod domem Bogdana. Wtedy zaciskał zęby i niczego nie żałował. Targały nim sprzeczne emocje. Tak naprawdę to nie bardzo był w stanie w pierwszych dniach określić, co czuje. Na przemian dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu morderstwa i odczuwał satysfakcję z wymierzenia kary. Po zabójstwie pojawił się też strach – zaślepiiony żądzą zemsty wcześniej w ogóle go nie czuł. Teraz bał się, że policja nie da się nabrać na jego naprędce wymyśloną sztuczkę z czapką, złapią go i znów wyląduje w więzieniu. Tylko że tym razem nie na dwa lata, ale na resztę życia. Jednak nikt po niego nie przyszedł, policjanci nie zapukali do drzwi, a wczoraj od matki usłyszał, że Bogdana zabił i obrabował za granicą jakiś żebrak, „jeden z tych uchodźców”. Tak powiedziała jej sąsiadka i taka była oficjalna wersja organów ścigania. Ta informacja powoli uspokoiła jego skołatane nerwy. Pierwszy raz od dwóch tygodni poczuł się bezpiecznie i tej nocy wreszcie spał twardym snem. Przespał piętnaście godzin. Teraz, siedząc na łóżku, przetarł dłońmi twarz, po czym ruszył do kuchni. Po drodze odkręcił kran w łazience i puścił wodę do wanny.

– Cześć, tato – ojciec siedział na swoim miejscu przy kuchennym stole. Jadł zupę.

Sławek zdjął z suszarki nad zlewem głęboki talerz, zamieszał chochlą w garnku i nalał sobie ogórkowej. Stary przestał jeść, oparł dłoń z łyżką na blacie i poczekał, aż syn usiądzie. Od ostatniej rozmowy, po której Sławek pobiegł do domu Bogdana, praktycznie ze sobą nie gadali. Zanim zapytał, przyglądał mu się dłuższą chwilę.

– Masz z tym coś wspólnego? Ze śmiercią Bogdana? – patrzył w jego oczy, żeby nie umknęła mu prawda. – W golfie na liczniku nabiłeś ponad pięć tysięcy, czyli nie byłeś w Bieszczadach. A odkąd wróciłeś, z pokoju nie wychodzisz.

Sławek spojrzał na niego w pierwszej chwili zaskoczony, by potem spuścić wzrok i w milczeniu zatopić go w talerzu. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie mógł przecież tłumaczyć się, że zabił ktoś inny. Dobrze wiedział, że Gabrys był tylko narzędziem w jego rękach jak nóż, którym odebrali Bogdanowi życie. Nie było sensu oszukiwać. Ojciec za dobrze go znał. Zresztą nie chciał kłamać. Chciał, żeby wiedział, że odpłacił Bogdanowi, bo inaczej gardziłby synem jako mężczyzną do końca życia.

– Teraz możesz zacząć normalnie żyć, ale musisz się pozbierać – ojciec nie czekał dłużej na odpowiedź. Nie chciał znać szczegółów, tylko patrzył na niego spokojnym wzrokiem. – Musisz wziąć się w garść, bo inaczej zwariujesz i zrobisz jakieś głupstwo.

– Do szkoły mnie po odsiadce nie przyjmą, ale znajdę gdzieś robotę – nabrał w końcu zupy na łyżkę. – Chociaż będzie ciężko, bo karanych nikt nie chce zatrudniać. A swojej firmy nie założę, bo mam sądowy zakaz.

– Rozmawiałem z wujkiem Władkiem – stary też zatopił łyżkę w zupie, zadowolony, że rozmowa potoczyła się w tym kierunku. – Busem paczki wozi, ale teraz będzie miał w polu robotę i może cię wziąć na zastępstwo. Jeździłbyś za niego. Mówił, że jak się dobrze spiszesz, to na jesieni jabłka sprzeda i drugie auto kupi. Będziesz mógł pracować dalej.

– Od kiedy mogę zacząć? – odchylił serwetkę i wziął kromkę z koszyka.

– Od poniedziałku. Pojedziemy do Władka razem.

Sławek skinął głową i dalej jedli w ciszy. Kiedy skończył, odstawił pusty talerz do zlewu. Wychodząc, zatrzymał się w drzwiach, jednak nie odwrócił się do końca, bo wciąż nie miał odwagi spojrzeć ojcu w oczy.

– Dzięki, że mi pomagasz – rzucił przez ramię.

Obaj wiedzieli, że nie chodzi o pomoc w znalezieniu pracy. Ojciec nic nie odpowiedział. Nie lubił dużo mówić. Skinął tylko głową. Sławek poczuł, że ma w nim wsparcie i że mszcząc się postąpił tak, jak powinien. Jak od niego oczekiwał. Wrócił do swojego pokoju. Ta męska rozmowa prawie bez słów całkowicie odmieniła jego stan ducha. Zniknęły wszystkie wątpliwości. Wiedział

już, że postąpił właściwie i nie może się teraz zatrzymać. W pokoju odsunął małą szafkę, podwinął dywan i wyjął poluzowaną klepkę parkietu. Kiedy był wyrostkiem, chował tam papierosy. Teraz wyciągnął zwitek banknotów. Nie musiał liczyć, bo zrobił to wcześniej. Było tam tysiąc trzysta euro. Zabrał je, kiedy gdzieś w Rumunii z mostu wyrzucił portfel Bogdana. Jego dowód, prawo jazdy i karty bankowe spalił w przydrożnym rowie, polewając benzyną, której odrobinę nalał do kubka po kawie w czasie tankowania samochodu. Odłożył klepkę na miejsce i zakrył dywanem. Następnie sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej rozładowany telefon. Włożył do gniazdka kabel ładowarki i włączył aparat. Po chwili pokój rozświetliła poświata z ekranu, kliknął kciukiem ikonę na wyświetlaczu i uruchomił aplikację. Telefon wydał z siebie cichy dźwięk, a na mapie zamrugał czerwony punkt. Lokalizator wciąż działał i pokazywał, że bmw Burego znajduje się teraz w Rzeszowie. Zamknął szufladę i podciągnął żaluzje. Był piękny dzień. Wyjął z szafki świeże ubranie i energicznym krokiem pomaszerował do łazienki.

22

Zbliżało się południe, a komisarz Widacka kręciła się bezproduktywnie w miejscu. Musiała zrewidować swoje plany, żeby nie zmarnować całego dnia. Postanowiła pojechać do domu Janickich i spotkać się z żoną ofiary. „I matką” – poprawiła się po chwili w myślach. Dochodzenie skupiało się na Arturze Janickim, przez co dzieciak schodził w śledztwie na drugi plan. Ale nie w umyśle Zuzanny – wciąż miała przed oczyma obraz chłopczyka ze zdjęć zrobionych przez policjantów na miejscu zdarzenia. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co ta kobieta teraz czuje. Ból po stracie najbliższych, a zwłaszcza dziecka, to uczucie nie do opisanie. To nie miała być łatwa rozmowa, ale w policyjnej robocie są takie momenty, kiedy trzeba rozdrapać świeże rany. Nie mogła tego dłużej odkładać.

– Komisarz Zuzanna Widacka – przedstawiła się kobiecie, która otworzyła jej drzwi. – Pani Janicka? Moje najgłębsze wyrazy współczucia. – Policjantka była trochę zaskoczona, bo wyglądała na sporo starszą, niż się spodziewała.

Jak wynikało z akt, Artur Janicki miał trzydzieści cztery lata, tymczasem tej kobiecie dałaby grubo ponad czterdzieści. Była też nadzwyczaj spokojna jak na kogoś po takich przejściach.

– Tak, Janicka – ubrana na czarno kobieta przyjrzała się policyjnej legitymacji. – Ale Grażyna. Pani pewnie nie ze mną chciała mówić, tylko z moją szwagierką. Ja jestem starszą siostrą Artura.

– Tak – to wiele wyjaśniało. – Chciałam porozmawiać z panią Anną.

– Proszę wejść, nie gadajmy na klatce. Tutaj ściany mają uszy – kobieta skrzywiła się i wpuściła gościa do środka. – Annę wczoraj wieczorem zabrało pogotowie.

– Co się stało? – Zuzannę przestraszyła ta wiadomość.

– Próbowала się otłuć – Janicka unikała wzroku przybyłej. – Ja trzymałam tabletki, udzielałam jej zgodnie z zaleceniami, ale wyjęła z mojej torebki całą fiolkę i zażyła wszystkie naraz. Na szczęście w porę się obudziłam i zauważyłam, że coś z nią nie tak. Gdy wyjęłam jej z dłoni pustą buteleczkę, wiedziałam już, co się stało i wezwałam pogotowie.

– Jak się ona teraz czuje? – Zuzanna wstrzymała oddech.

– Już jest wszystko dobrze – kobieta zreflektowała się, że to sformułowanie nijak nie pasuje do całej sytuacji. – To znaczy zrobili jej płukanie żołądka i nic nie zagraża już jej życiu. Została jednak w szpitalu. Po tej próbie samobójczej zatrzymali ją, żeby mieć cały czas na oku. Przynajmniej przez kilka najbliższych dni.

– Nie dziwię się. Strasznie dużo przeszła – spojrzenia kobiet spotkały się wreszcie. – Dobrze, że ma wsparcie w tych trudnych chwilach.

– Dla nas wszystkich to jest szok – pokiwała głową. – Jestem na zmianę u Anny i u matki, a tak naprawdę sama nie mogę sobie z tym dać rady. Ale powtarzam sobie, że dla nich muszę być silna.

Zuzanna, schodząc po schodach pomyślała, że też musi być silna. Jej wrażliwość i łzy na nic tu się zdadzą. Szybko otarła oczy wierzchem dłoni, jakby chcąc ukryć, że płacze, choć nikt jej nie widział. Policja nie jest od opłakiwania martwych, ale od łapania morderców dzieci i stawiania ich przed sądem. Żeby gnili w więzieniu do końca swoich dni.

23

Wszystkie miejsca parkingowe wzdłuż całej ulicy były zajęte. Sławek zostawił więc samochód na końcu autobusowej zatoczki i włączył światła awaryjne. Bus z nadrukiem firmy kurierskiej mógł tu spokojnie stać kilkanaście minut mimo zakazu parkowania. Policja była w tej materii wyrozumiała dla dostawców. Przeszedł na drugą stronę wąskiej uliczki i skierował się w stronę kamienicy, w której znajdowało się biuro detektywistyczne. Nie spieszył się, umówili się na szesnastą. Od kilku dni odpuścił sobie samodzielne śledzenie Burego. Wcześniej, po rozwiezieniu wszystkich przesyłek tankował busa za swoje i przyjeżdżał do Rzeszowa, aby go obserwować. Rozterki po zabiciu Bogdana zniknęły, więc znów działał planowo, szukając słabego punktu wroga. Tak właśnie traktował przyszłą ofiarę. Nie miał wątpliwości, że Bury świadomie i z premedytacją go wykorzystał, przyczyniając się do jego życiowej katastrofy. Bogdan poszedł na pierwszy ogień, bo zdrada przyjaciela bolała szczególnie mocno, ale teraz na zimno chciał odpłacić za swoje krzywdy kolejnemu winowajcy. Nie miał zamiaru go zabijać, ale na więzienie z pewnością zasłużył. Zresztą już pierwszego dnia obserwacji miał następny powód, żeby nienawidzić faceta. Po przyjeździe do Rzeszowa dzięki lokalizatorowi znalazł czarne bmw na parkingu galerii handlowej. Nie próbował szukać mężczyzny w środku – sklepów było zbyt wiele. Czekał więc na placu, zmieniając tylko miejsce postojowe na dogodniejsze do obserwacji, w miarę jak inne samochody wyjeżdżały. Po godzinie przy aucie pojawił się Bury. Tuż za nim, dźwigając kilka reklamówek z markowymi nadrukami, szła Bożena! Zaskoczony Sławek obserwował, jak mężczyzna otwiera pilotem bagażnik, a jego prawie była żona nachyla się ponętnie, wkładając zakupy do środka. Oprych nie odmówił sobie przyjemności, klepnął ją

w wypięty tyłek i ścisnął pośladek paluchami. Echo poniosło po parkingu jego rechot i znajomy, trochę sztuczny śmiech kobiety. Wsiedli do samochodu, ale nie odjechali od razu. Czarne bmw stało wciąż na swoim miejscu. Sławek łatwo się domyślił, co się tam dzieje. Bożena dziękowała swojemu nowemu amantowi za udane zakupy. Po kilku minutach czekania miał dość, zapalił silnik i z piskiem opon wyjechał na ulicę. Nie obawiał się, że zwróci na siebie ich uwagę, bo byli zajęci czymś innym. Następnego dnia Bożena się nie pojawiła. Sławek odetchnął z ulgą. Sytuacja była jednak rozwojowa. Bury pojechał do jednego z rzeszowskich apartamentowców zbudowanych na zamkniętym, monitorowanym osiedlu. Po kilku minutach ruszył z podziemnego parkingu i skierował auto w stronę centrum miasta. Na kanapie za nim siedział młody mężczyzna. Zatrzymali się na chwilę, czekając na otwarcie szlabanu przy wyjeździe z osiedla. Sławek wykorzystał ten moment i zrobił im zdjęcie telefonem. Było trochę niewyraźne, ale pozwalało określić, że chłopak mógł mieć około dwadzieścia lat. Przejechał za nimi całe miasto, zanim dotarli do celu – zamożnej willowej dzielnicy. Tu wjechali na teren jednej z bardziej eleganckich posesji. Sławek zaparkował samochód w bezpiecznej odległości i zapisał w służbowym notesie adres. Bury przywitał się z pełniącym straż przy bramie mężczyzną. Tamten trzymał w dłoni krótkofalówkę, a kiedy oparł rękę o dach samochodu, spod poły marynarki wysunęła się kabura z bronią. Sławek wyłączył silnik, ale nie czekał długo. Po chwili brama otworzyła się ponownie i Bury już bez pasażera skręcił w lewo, kierując auto na przedmieścia Rzeszowa. Tam wjechał na położony na peryferiach miasta plac. Sławek od razu zorientował się, co to za miejsce. Było to składowisko pełne znajomo wyglądających skrzyń. Co prawda, lokalizacja była zmieniona, bo oni zabierali towar z innej części Rzeszowa, ale proceder widocznie wciąż funkcjonował. Nawet biurowy kontener był ten sam. Musieli przewieźć go tu, zmieniając miejsce składowania lewego towaru. Rozpoczął się właśnie załadunek. Bury nadzorował całe przedsięwzięcie, rugał kierowcę wózka widłowego, machał rękami i klął na cały plac. W końcu po godzinie dwie ciężarówki były załadowane i opuściły

składowisko. Sławek widział przez lornetkę, jak Bury wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów i wypłacił sto złotych Józkowi – stróżowi, którego dobrze pamiętał. Ściemniało się już, kiedy Bury wrócił do willi, skąd teraz zabrał młodego mężczyznę i odwiózł do apartamentowca. To było ostatnie jego zadanie tego dnia. Później podjechał pod niczym nie wyróżniający się dom jednorodzinny. Samochód zaparkował na podwórku, by samemu zniknąć we wnętrzu. Prawdopodobnie tu mieszkał. Sławek sam więcej nie mógł się dowiedzieć. Następnego dnia spotkał się więc z jednym z rzeszowskich detektywów, którego anons znalazł w internecie. Pokazał zdjęcie Bożeny z Burym i pod pretekstem zlecenia inwigilacji niewiernej żony miał nadzieję dowiedzieć się czegoś, co pozwoliłoby mu dobrać się do bandziora. Tydzień później przyjechał, żeby odebrać zgromadzone informacje.

Wszedł teraz na pierwsze piętro kamienicy i zapukał w stare, dwuskrzydłowe, drewniane drzwi opatrzone tabliczką z nazwą biura: „Prywatny detektyw – Marek Żak”.

– Proszę! – tubalny głos dobiegał ze środka.

Facet przysiadł na parapecie szeroko otwartego okna. W jednej ręce przytrzymał popielniczkę, a drugą zgasił w niej papierosa. To był potężny, zwalisty mężczyzna po czterdziestce. Podszedł do biurka, odstawił popielniczkę i wielką dłonią przerzucił kilka teczek. Poruszał się powoli, bez pośpiechu, w charakterystyczny dla ludzi o jego gabarytach sposób. Wszystko w tym pokoju wydawało się za małe w stosunku do jego rozmiarów. Dwoma placami zdjął gumkę i wyjął z teczki plik zdjęć.

– Proszę – wskazał Sławkowi krzesło po drugiej stronie biurka ledwo zauważalnym ruchem dłoni. Kiedy tamten usiadł, podsunął mu fotografie, obracając jednocześnie w jego stronę.

Sławek oglądał przez chwilę każde zdjęcie, po czym odkładał na bok. Detektyw też patrzył na nie i komentował kolejne fotki. Był oszczędny w słowach. Jego wyjaśnienia były lakoniczne, pozbawione emocji. Zawierały tylko informacje istotne dla sprawy.

– Pańska żona utrzymuje intymne stosunki ze Zbigniewem Obrębskim. W zeszłym tygodniu spotkali się trzy razy. Robili zakupy, za które on płacił, a potem jechali do hotelu, gdzie wynajmowali pokój na godziny. – Fotki nie pozostawiały wątpliwości co do relacji łączącej znajdującą się na nich parę. – W pokoju hotelowym nie udało się ich uchwycić, zasuwali zasłony, ale to, co pan widzi, powinno w sądzie wystarczyć. Jeżeli żona nie ma takich samych zdjęć na pana, orzeczenie o jej winie na sprawie rozwodowej dostanie pan bez problemu.

– A co to za jeden, ten Zbigniew? – kwestia zdrady była tylko pretekstem. Sławkowi zależało na innych informacjach.

– Nieciekawy typ, mówiąc delikatnie. Ma żonę i trójkę dzieci – detektyw zawahał się na chwilę i coś w myślach rozważał. – Radzę jednak samemu go nie śledzić.

– Dlaczego?

– Bo to przestępca – widząc zainteresowanie mężczyzny, czuł się w obowiązku go ostrzec, zanim zrobi coś głupiego. – Groźny bandzior. Zasięgnąłem języka u kolegów na komendzie, gdzie pracowałem. Siedział osiem lat w więzieniu za napad na właściciela kantoru. Zabili chłopca i jego żonę, a wcześniej ich torturowali. Dostał tylko ósemkę, bo morderstwa mu nie udowodniono. Sprawców napadu było trzech, strzelali wszyscy i nie wiadomo, czyja kula była śmiertelna. Odsiedział karę i teraz jest człowiekiem od brudnej roboty w rzeszowskiej grupie zajmującej się przestępstwami gospodarczymi. Mówię to panu, bo śledząc żonę, może pan niechcący zobaczyć za dużo i napytać sobie biedy. Rozumie pan?

– A ten chłopak? – na pierwszej wizycie Sławek pokazał detektywowi zdjęcie Burego z mężczyzną w samochodzie. – Może on jest w niebezpieczeństwie? Może powinniśmy zawiadomić policję?

– Nie, to młody Wagner. Syn chlebobawcy Obrębskiego – detektyw pokręcił przecząco głową. – Nic mu nie grozi. Stary Wagner kupił mu mieszkanie i Bury, znaczy Obrębski wozi go co drugi dzień do ojca w odwiedzin. Ani on, ani jego ojciec nie mają nic wspólnego z pana żoną. Proszę zabrać fotografie,

wykorzystać w sądzie według uznania i więcej za nim nie łązić. Dobrze panu radzę.

– Dziękuję – Sławek złożył zdjęcia i wyjął portfel. – Zgodnie z umową, dwa tysiące?

– Tak – mężczyzna schował pieniądze do szuflady. – Wolałbym uniknąć zeznawania na sprawie, ale jeżeli będzie taka potrzeba, to w ramach usługi może pan na mnie liczyć.

Sławek wyszedł zamyślony z kamienicy. Usłyszał dziś sporo, a w połączeniu z tym, co już wiedział, wyłaniał się pełny obraz przestępczego procederu, którego padł ofiarą. Wsiadł do samochodu i zobaczył za szybą kartkę. Okazało się, że rzeszowska policja jednak nie była dla kurierów łaskawa.

24

Komisarz Widacka przeglądała w swoim pokoju zapis z kamer rozmieszczonych na trasie pomiędzy Tarnobrzegiem a Mikołowem – miejscowością, z której wyjechali feralnego dnia Janicki z synem. Tam mieszkała jego matka i tam spędzał z chłopcem krótki, kilkudniowy urlop. Dwa dni wcześniej, po rozmowie z rzeczoznawcą, z której wynikało, że powodem uderzenia w drzewo toyoty była kolizja z innym autem, Zuzanna ustaliła, gdzie na tej trasie znajdują się kamery przemysłowe. Liczyła, że na nagraniach będą szczegóły, które pomogą jej rozwiązać zagadkę. Kilka z rejestratorów zlokalizowanych było na stacjach benzynowych, dwa przy dużych sklepach spożywczych i jeden w usytuowanym przy drodze bankomacie. Niestety od dnia wypadku upłynęło sporo czasu i w większości nagrania już nadpisano kolejnym zarejestrowanym materiałem. Tylko w trzech przypadkach zapis z dnia zajścia był jeszcze dostępny i te nagrania na użytek śledztwa zabezpieczono oraz dostarczono do wydziału kryminalnego tarnobrzesckiej komendy. Nagrań z kamer pobliskiej stacji benzynowej nie dostali, bo właściciel odmówił udostępnienia bez nakazu prokuratorskiego. Zuzanna postanowiła jak najszybciej pozyskać odpowiedni dokument i wrócić, zanim zostaną usunięte. W międzyczasie zleciła też dokładne przejrzanie otrzymanych zapisów technikom, osobiście przeglądając tylko fragmenty. Obejrzenie całości zajęłoby jej kilka godzin, a o dziesiątej miała być w szpitalu – tak umówiła się z lekarką opiekującą się Anna Janicką. Postanowiła przed wizytą u pacjentki zasięgnąć informacji na temat jej stanu zdrowia psychicznego. Było to konieczne ze względu na ocenę wartości jej zeznań dla śledztwa.

Zbierała się już do wyjścia, kiedy do pokoju wszedł aspirant Majewski. Pod pachą niósł dwa segregatory, a w dłoni – plik swoich notatek. Wczoraj doczekał się w końcu szefa biura finansowego i przeprowadził pierwsze czynności.

– Co tam? – Zuzanna wróciła do swojego biurka i usiadła. – Masz coś ciekawego?

– Przejrzałem na razie pobieżnie ich dokumenty, ale już widać, że dobrze kombinują – mężczyzna usiadł naprzeciwko niej i zaczął rozkładać papiery. – Wyłudniają dotacje na fałszywe podmioty. Na tę chwilę znalazłem dwie takie firmy. Salon kosmetyczny i myjnia. Pod wskazanymi adresami nic takiego nie ma, a u nich w dokumentach są kopie list płac i potwierdzenia zapłaty składek do ZUS za pracowników. Nie są to wielkie kwoty, ale na każdej takiej przewałce są kilka tysięcy do przodu.

– Może to właściciele tych firm wprowadzili ich w błąd? – Widacka chciała być pewna, zanim podąży tym tokiem myślenia.

– To niemożliwe – Majewski zaprzeczył. – Tarnobrzeg jest mały. Ja się od razu zorientowałem, że takiej myjni w mieście nie ma, a co dopiero oni, jak według papierów obsługują ich prawie rok.

– Janicki miał z tym coś wspólnego?

– Jego sprawy wyglądają prawidłowo, ale musiał o tym wiedzieć, bo to małe biuro – aspirant zamknął segregator i położył przed nią kopię jakiegoś dokumentu. – Spójrz, to jest najciekawsze. Rezygnacja z pracy złożona przez Janickiego na dzień przed urlopem. Trzy dni później zginął. Rozwiązanie stosunku zatrudnienia za porozumieniem stron z ustawowym trzymiesięcznym terminem wypowiedzenia. Co ciekawe, w tym czasie Żyro zwolnił Janickiego z obowiązku przychodzenia do pracy, a mimo to zobowiązał się do wypłaty wynagrodzenia, ekwiwalentu za zaległy urlop i premii uznaniowej w wysokości dziesięciu tysięcy złotych.

– No tak, to nadzwyczajna szczodrość – Zuzanna nie znała się na niuansach prawa pracy, dlatego zwróciła się o pomoc do kolegi z gospodarczego, ale tak korzystne rozwiązanie umowy nawet u niej budziło zdumienie.

– No, raczej! – zaśmiał się. – Dostał kupę kasy za nic i jeszcze miał mieć przez trzy miesiące samochód służbowy do dyspozycji.

– Myślisz, że wiedział o wszystkim i szantażował szefa?

– Bardzo możliwe – Majewski pozbiierał swoje dokumenty. – Pogrzebię jeszcze trochę i weźmiemy tego Żyrę w obroty. Dam ci znać, kiedy będę gotowy. Przesłuchamy go razem.

Wyszli z pokoju. Zuzanna po drodze podziękowała koledze za wykonaną robotę. Wreszcie mieli jakiś punkt zaczepienia.

25

Sobotnie popołudnie rodzina Gabrysiów, jak co tydzień, poświęcała na szeroko rozumianą higienę osobistą i porządku w obejściu. Na środku podwórka obok studni wirowała stara frania. Tłukła się przy tym niemiłosiernie. Sławek miał wrażenie, że za chwilę nastąpi odliczanie i pralka wystartuje w kosmos. Przy niej krzątał się Wiesiek, przestawiając miski z brudnymi ubraniami według sobie tylko wiadomego systemu. Dla postronnej osoby nie było w tym żadnej logiki, bo rzeczy kolorowe były wymieszane z białymi, a mokre z suchymi. Jego młodszy brat zamiatał podwórko wokół ganku, przesuwając mozolnie wiklinową miotłą górkę śmieci za najbliższy winkiel. W letniej kuchence przy otwartych na oścież drzwiach siedział z mokrą głową stary. Moczył nogi w emaliowanej miednicy, dolewając do niej co jakiś czas wrzątku z czajnika. Jedną stopę wyjął teraz z wody, obejrzał od spodu i przy pomocy wielkiego kuchennego noża zaczął skrobać zrogowaciałą piętę. Na przywitanie Sławka nie odpowiedział, rzucił tylko kilka przekleństw w stronę ujadającego psa, nie przerywając zabiegu. Gabryś ucieszył się z odwiedzin kolegi. Wyjął wtyczkę pralki z przedłużacza, żeby uciszyć urządzenie, i podał mu mokrą rękę na przywitanie.

– Nic żeś się nie odzywał – uścisnęli sobie dłonie. – Już myślałem, że cię zamkli. Czekałem tylko, aż po mnie przyjadą.

– Nie, wszystko jest w porządku – Sławek nie wiedział, na ile swobodnie mogą rozmawiać w obecności ojca i brata. – Usiądziemy gdzieś? Mam do ciebie sprawę.

– Chodź do chałupy.

Weszli do drewnianego domu, gdzie już w drzwiach Sławek poczuł ostry zapach środka owadobójczego. Okna były szczelnie pozamykane, a na podłodze

i parapetach leżały dziesiątki martwych much. Niektóre jeszcze ruszały skrzydełkami, kręcąc w agonii piruety.

– Młody! – Gabryś cofnął się do drzwi i rozejrzał po podwórku. – Chodź tu, muchy trza zmieść!

Usiedli tymczasem przy stole. Gospodarz wyjął ze starej, pożółkłej lodówki napoczętą butelkę wódki, ale tym razem Sławek odmówił, tłumacząc, że przyjechał samochodem. Obiecał za to, że da się mu kiedyś przejechać. Gabryś jednym haustem opróżnił nalaną do połowy szklanekę. W izbie pojawił się młodszy z rodzeństwa. Bez słowa zabrał się za wymiatanie zdechłych much spod okien i łytał z ciekawością na Sławka, zachowując bezpieczną odległość.

– O czym chciałeś pogadać? – Gabryś zagadnął, a widząc wahanie gościa spowodowane obecnością brata, uspokoił go. – Możesz mówić przy nim, on nikomu nic nie powie. W ogóle nic nie gada.

Sławek uświadomił sobie, że jego planu w dalszej fazie realizacji i tak nie da się ukryć przed pozostałymi członkami rodziny Gabrysiów. Przestał więc przejmować się obecnością chłopaka.

– Namierzyłem gościa, przez którego wsadzili mnie do mamra i chcę się teraz na nim odegrać – po tej krótkiej wypowiedzi Sławek przyglądał się reakcji rozmówcy.

– Myślałem, że temat jest już z głowy – wypił, chuchnął i zaciągnął się papierosem. – Zajebaliśmy nie tego, co trzeba?

– Nie, tamtemu jak najbardziej się należało – Sławek bez pytania wyjął papierosa z jego paczki. Na wolności nie palił, ale w więzieniu popalał w trudnych chwilach. Teraz też miał ochotę na fajkę. – Ale on nie działał sam, miał współników.

– Nie ma sprawy – Gabryś wzruszył ramionami. – Przyda się następnych pięć tysięcy.

– Tym razem to coś innego i zapłacę dużo więcej – Sławka ucieszyło jego podejście. – Sprawa jest trochę bardziej skomplikowana.

– Znaczy się co?

– Oni od początku planowali, że wyląduję w pierdłu. Nie przeszkadzało im, że jak pójdę siedzieć, to wszystko stracę. Firmę, mieszkanie i oszczędności. Sami na tym szwindlu zarobili miliony, a mnie spisali na starty i wpędzili w długi. Chcę, żeby za to zapłacili. Dosłownie.

– Kazesz im oddać pieniądze?

Gabryś niewiele z tego rozumiał, zresztą nawet niespecjalnie się starał. Myślenie nie było jego mocną stroną. Wolał działać. Wychodził z założenia, poniekąd słusznego, że od samego mieszania, herbata nie stanie się słodsza.

– Tak, zmuszę ich, żeby oddali mi moje pieniądze. Wszystko, co straciłem – podniósł wzrok na kompana. – A ty, jeśli mi pomożesz, też możesz sporo zarobić. Dwa razy tyle, co ostatnio. Dziesięć tysięcy.

– Co trzeba zrobić? – oczy Wieśka zaświeciły się.

– Ich szef ma od cholery kasy, ale po dobroci nie da ani grosza.

– Jasna sprawa – to akurat Gabryś rozumiał doskonale.

– Dlatego uprowadzimy jego syna i każemy ojcu zapłacić okup – odruchowo ściszył głos i spojrzał na młodego. Ten ciągle machał miotłą, przyglądając się im spode łba. – Dostaniesz kasę, jak pomożesz mi go porwać i przechowasz u siebie.

– Gdzie? Tu?! Nie da rady, stary się nie zgodzi – rozejrzał się po pokoju. – W jednej izbie we trzech śpimy.

– Nie w domu – uspokoił go pomysłodawca. – W stodole albo gdzieś. Teraz nie ma problemu, bo nawet w nocy jest ciepło. Zwiążemy go na kilka dni. Tatuś zapłaci i odwieziemy chłopaka z powrotem. Oczywiście mu zakryjemy, to w życiu tu nie trafi.

– Łańcuch w szopie jest – Gabryś podrapał się po głowie. – Można by go przymocować do kółka w chlewiku, gdzie kiedyś byk stał. Mocne jest.

– No, może być i w chlewiku – Sławek był zadowolony, na razie szło jak po maśle. – Materac tam mu się położy. Kilka dni da radę. Będzie miał takie wakacje na wsi.

– A co on będzie jadł? – Gabryś przypomniał sobie, że przecież trzeba będzie więźnia karmić i zaraz zmartwił się na myśl o uszczupleniu ich skromnych

zapasów. – Może kilka dni bez żarcia wytrzyma?

– Ja kupię jedzenie – problem został rozwiązany. – Jeszcze dla was zostanie.

– No to kiedy działamy? – w takiej sytuacji Gabryś nie widział już więcej przeciwwskazań. – Masz już wszystko obmyślane?

– Z grubsza mam, ale trzeba załatwić jednego skurwysyna, który chłopaka pilnuje – teraz Sławek się zasępił. – A to nie będzie proste, bo to kawał chłopa, ma pistolet i wie, jak go użyć.

– A z zaskoczenia? Tamtego się udało.

– Ten jest czujny, trudno go będzie podejść – mężczyzna obracał w palcach pudełko zapalek. – Mnie nie może zobaczyć, bo mnie zna i od razu się kapnie, że coś jest na rzeczy.

– No to ja zajdę go od tyłu i załatwię z partyzanta, jak tamtego.

– On nie chodzi piechotą, a w aucie nożem go nie zaskoczysz. Zanim drzwi otworzysz, on już wyjmie klamkę – Sławek pokręcił przecząco głową. – Zresztą nie chcę go zabijać, wystarczy jeden trup. Ale spokojnie, coś wymyślę.

– W sumie to mamy strzelbę – Gabryś spojrzał na brata. – Młody zajebał jakiemuś myśliwemu, jak się tamten upił i zasnął w nocy na ambonie w lesie.

– No, to by było coś – nowa okoliczność dawała większe możliwości. – Naboje też macie? Na wszelki wypadek.

– Dwa, te co w lufie były – znów spojrzał na brata. – Leć, przynieś.

Chłopak ruszył, ale zatrzymał się w drzwiach i wywołał Wieśka niemym spojrzeniem błękitnych oczu. Gabryś wstał z krzesła i wyszedł za nim na zewnątrz. Po kilku minutach starszy z braci wrócił sam, niosąc zawiniętą w brudny koc strzelbę. Sławek rozwinął szmatę ostrożnie – tak, żeby nie dotykać broni. Wyglądała na stosunkowo nową i sprawną. Skinął więc głową zadowolony.

– Jest tylko jeden problem – Gabryś znów podrapał się po wygolonej głowie, spoglądając na broń. – Strzelba jest młodego i on chce z nami iść.

– Pojebało cię?! To jeszcze dzieciak, nie ma mowy!

– Może się na coś przyda. Na czatach stanie albo co? – próbował go przekonać. – Inaczej strzelby nie da. Zapomnij. Uparty jest jak osioł.

Sławek był zaskoczony sytuacją. Sterroryzowanie Burego było trudną sprawą, a obecność dzieciaka mogła tylko dodatkowo skomplikować robotę. Nie miał zamiaru ryzykować. Z drugiej jednak strony broń palna mogła się bardzo przydać. Bez niej nie udałoby się przestraszyć uzbrojonego bandziora. Strzelba znacznie zwiększała szansę powodzenia aukcji i teraz, kiedy wiedział, że może z niej skorzystać, trudno mu było z tej opcji zrezygnować. Z zamyślenia wyrwał go Gabryś.

– Pokażę ci coś – rzucił konspiracyjnym szeptem, zmieniając temat. – Tylko żeby młody nie widział.

Podniósł swoje krzesło, przystawił cicho do starej szafy i zanim na nie wszedł, rozejrzał się dookoła. Sięgając na górę, przyciągnął do siebie tekturowe pudełko.

– W sportowym w Kolbuszowej kupiłem – uchylił wieko i wyciągnął białego adidasa. – Zajebiste, co nie?

Nagle spojrzał na podeszwę drugiego buta i uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Kurwa, młody! – wrzasnął na całe gardło. – Jeszcze raz ruszysz moje adidasy, to ci nogi z dupy powyrywam!

W oknie mignął cień, usłyszeli tupot nóg i przeraźliwe gdakanie spłoszonych na podwórzu kur.

26

Widacka siedziała na końcu długiego korytarza i cierpliwie czekała na zbliżający się koniec obchodu. Przyjechała pół godziny przed umówionym czasem. Miała więc okazję przypomnieć sobie swoje wcześniejsze wizyty na oddziale ratunkowym tarnobrzeskiego szpitala. Dwukrotnie w przeszłości tu trafiała jako pacjentka. Dwa lata temu po wybuchu domku w Krawcach podczas policyjnej akcji i później drugi raz, w dużo poważniejszym stanie. Wtedy rozwiązanie sprawy zabójstwa młodej kobiety w letniskowym domku omal nie przypłaciła życiem. Nie były to miłe wspomnienia, dlatego nie miała za złe pielęgniarce, że przerwała jej rozmyślenia, proponując coś do picia. Dowiedziała się przy okazji, że Annę Janicką przedwczoraj przyjęto na oddział w stanie ciężkiej zapaści. Wieść o przyczynie jej próby samobójczej szybko rozeszła się wśród personelu medycznego. Nic dziwnego, że pracujące tu kobiety, matki i żony współczuły jej, próbując jakoś ulżyć w cierpieniu.

– Położyliśmy ją w osobnej sali, żeby miała spokój – pielęgniarce podała Zuzannie filiżankę. – Ale drzwi na wszelki wypadek są cały czas otwarte i co chwila któraś do niej zagląda.

– Znowu próbowała sobie coś zrobić?

– Nie, cały czas śpi, bidula, albo patrzy w okno i płacze – chwilę obie milczały.

– Karmimy ją, bo sama nie chce jeść. Boże mój, takie nieszczęście!

– Odwiedzał ją ktoś?

– Tu nie ma wizyt, na oddział nie można wchodzić – pielęgniarce przycupnęła na brzegu fotela, jakby nie wypadało jej się wygodniej rozsiąść w trakcie dyżuru.

– Najwyżej przez drzwi. Jakiś mężczyzna był, kurier w pomarańczowej bluzie. Zapytał tylko, jak się czuje.

– A nie było jej szwagierki? Taka... – Zuzanna chwilę się zastanawiała, jak opisać siostrę Janickiego, ale okazało się to niepotrzebne.

– Nie było żadnej kobiety – nagle uwagę ich zwróciło poruszenie na drugim końcu korytarza; pielęgniarka wstała i odruchowo poprawiła fartuch.

Z otwartych drzwi ostatniej sali wyszła grupa lekarzy i pielęgniarek. Zakończył się poranny obchód, więc personel oddziału udał się do swoich zajęć. Zuzanna wstała, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jedna z lekarek zauważyła ją i ruszyła w ich stronę. Pielęgniarka zakreśliła się i zniknęła w sąsiednim pokoju.

– Pani do mnie, prawda? – pani doktor zapytała gwoli formalności i wskazała drzwi do gabinetu. – Proszę.

Po korytarzu krążyło kilkoro pacjentów. Zuzanna zrozumiała, że lekarka celowo nie wspomniała podczas zdawkowego przywitania o celu jej wizyty, nie chcąc wywoływać niepotrzebnej sensacji. Uśmiechnęła się więc i bez słowa weszła do pokoju. Obie usiadły przy stoliku. Pani doktor była zadbaną kobietą koło czterdziestki. Dopasowany, dobrze skrojony fartuch sprawiał, że wyglądała elegancko, ale bez przesady. Strój wciąż pozostawał jej ubraniem służbowym. Miała zadbane włosy i delikatny, stosowny do miejsca i okoliczności makijaż. Trafnie dobrane do owalu twarzy okulary podkreślały jej nienachalną urodę. Chociaż nie była typem piękności, to bez wątplenia mogła podobać się mężczyznom czy imponować kobietom. Przedstawiły się sobie. Lekarka spojrzała na okazaną przez Zuzannę, również w ramach formalności, policyjną legitymację.

– Jak mogę pomóc? – była konkretną osobą. Widać, że ceniła czas zarówno swój, jak i innych.

– Na początek proszę mi powiedzieć, jak Anna Janicka się czuje?

– W języku medycznym, czy po ludzku? – pani doktor była bezpośrednia, ale nie arogancka, i tak jej pytanie odebrała Widacka.

– Po ludzku poproszę – policjantka uśmiechnęła się.

– Nic nie zagraża już jej życiu, chociaż kiedy ją przywieźli, było naprawdę źle. Zażyła śmiertelną dawkę barbituranu, psychotropowego środka nasennego. Na

szczęście w porę wypłukaliśmy to świństwo. To spowodowało utratę przytomności i bezdech, ale tym razem ją uratowaliśmy.

– Tym razem?

– Rozmawiałam z nią po odzyskaniu przytomności – doktor poprawiła okulary, wracając myślami do tamtej trudnej chwili. – Celowo użyłam sformułowania „rozmawiałam”, bo Anna jest psychiatrą. Znamy się nawet trochę. Standardowe badanie nie miało zatem sensu. Doskonale zdawała sobie sprawę, co robi, zażywając leki. To nie był jakiś histeryczny akt, bowiem zna mechanizmy zachodzące w głowie osoby dotkniętej tragedią. Nie próbowała jednak użyć tej wiedzy, żeby sobie pomóc. Ona po prostu nie chce żyć i to był jej świadomy wybór. Dlatego uważam, że może jeszcze targnąć się na swoje życie i obawiam się, że dzięki znajomości leków i dostępowi do nich zrobi to tym razem skutecznie. Następnym razem sąsiadka może nie wezwać karetki.

– Nie można jakoś czasowo zablokować jej możliwości wystawiania recept?

– Zobaczę, co da się zrobić – pani doktor kiwnęła twierdząco głową, zamykając ten wątek.

– Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci jej męża i synka – Zuzanna powtórzyła to, co już wcześniej oznajmiła lekarce, umawiając się na rozmowę. Chciała podkreślić wagę swojej prośby. – Mogę porozmawiać z Anną Janicką?

– Niestety nie – kobieta pokręciła przecząco głową. – Jest pod wpływem leków uspokajających. Oczywiście teraz dawkowanie kontrolujemy. Zresztą na razie nie uzyska pani od niej żadnych sensownych informacji.

– To dla śledztwa bardzo istotne – policjantka chciała, żeby pani doktor zrozumiała jej położenie. – Kiedy to będzie możliwe?

– Zdaję sobie sprawę, że to dla pani ważne, ale dobro pacjentki stawiam na pierwszym miejscu – miała swoje priorytety. – Ofiarom tamtego wypadku już nie pomoże, a teraz jej życie jest w niebezpieczeństwie. Sama jest dla siebie ogromnym zagrożeniem. W takich sytuacjach zwykle osoba po próbie samobójczej jest hospitalizowana na oddziale psychiatrycznym. Nie wiem, czy mogę to pani mówić, ale konsultowałam się z psychiatrą i on chce ją tam

zatrzymać co najmniej przez dwa tygodnie. Ja zresztą zgadzam się z jego diagnozą. W tym czasie zdolność jasnego myślenia u pacjentki będzie ograniczona przez leki. Musi pani poczekać.

– Rozumiem – pani komisarz wstała z krzesła. – Dziękuję i życzę powodzenia.

Zuzanna nie miała zamiaru wchodzić w kompetencje lekarzy. Również uważała, że zdrowie i życie kobiety jest najważniejsze. W drzwiach zatrzymała się jednak, by zadać ostatnie pytanie.

– Mówiła pani, że pogotowie zawiadomiła sąsiadka? A nie szwagierka? – Widacka była pewna, że w wersji wydarzeń, jaką usłyszała od siostry Janickiego, to ona wezwała pogotowie.

– Sąsiadka z mieszkania na tym samym piętrze – lekarka była pewna. – Zajrzała do niej, bo zaniepokoił ją hałas i to ona zadzwoniła.

27

Bury wjechał na wyłożoną kostką drogę dojazdową prowadzącą do zamkniętego osiedla. Tu ruch był znacznie mniejszy niż na głównych ulicach Rzeszowa, bo korzystali z niej tylko mieszkańcy pobliskich apartamentowców. O tej porze większość wróciła już z pracy do swoich luksusowych mieszkań i w drogich alkoholach topiła korporacyjne problemy mijającego dnia. Czarne auto toczyło się powoli. Bury też marzył, żeby znaleźć się w domu i przy piwie zapomnieć o dzisiejszym dniu. Chociaż bez setki pewnie się nie obejdzie. Wychodziło na to, że on też bardziej już chyba pracował w korporacji niż w bandyckiej grupie i wcale mu się to nie podobało. To nie był jego świat. Stary wypożyczył go dziś sobie po tym, jak dowiedział się, że na towar zabrany przez Bogdana nie mają dokumentów. Wyliczył, że na samym zwrocie podatku są w plecy czterdzieści tysięcy plus kilka patyków za skrzynie. Bogdan już faktur nie wystawi, a podrobić się nie dało, bo Bożena nie znalazła pieczątki. Mijał właśnie ostatni dzień składania jakichś deklaracji i nie było już czasu na wyrobienie nowego stempla czy zorganizowanie czegokolwiek. Wagner zapowiedział, że stratę potraci mu z najbliższej premii. „Stary sknera” – pomyślał. – „Pieniądze w domu to już po pawlaczach w workach trzyma, a jemu żałuje parę złotych. A czy to jego wina, że ten dureń Bogdan wdał się w bójkę z jakimś ciapatym i jeszcze dał się zabić?”

– Tu ich, kurwa, jeszcze nie było... – zwolnił, bo przed szlabanem wjazdowym na osiedle stało dwóch chłopaków ze spryskiwaczami i szczotkami do mycia szyb.

Wcisnął guzik pilota, ale jak na złość szlaban nie podnosił się. Nie mógł więc ich ominąć. Zatrzymał auto i zanim zdążył zaprotestować, młodszy chłopak

doskoczył do maski, po czym spryskał całą przednią szybę pieniącym się płynem. Drugi zamazał okno kierowcy moką i brudną szczotką.

– Ja pierdołę! – nic już nie widział.

Nie mógł odsunąć bocznej szyby, bo woda z mydlinami wlałaby się do środka auta i zabrudziła skórzaną tapicerkę drzwi. Musiał wyjść, żeby zrobić z nimi porządek. Wściekły wyjął z kabury pistolet, a lewą ręką szamotał się z zapięciem pasa.

– Uważaj – usłyszał głos za sobą. Zawsze go denerwowało, że musi wozić synalka na tylnym siedzeniu, jak szofer. – Tu przy szlabanie jest kamera monitoringu.

Zerknął w wewnętrzne lusterko. Młody Wagner uśmiechał się i najwyraźniej miał z niego ubaw. To go jeszcze bardziej wyprowadziło z równowagi. Nie będzie go smarkacz pouczał. Pociągnął za uchwyt i pchnął drzwi. Nie bał się ich. Do zrobienia z gówniarzami porządku nie potrzebował broni, ale lubił wyciągać klamkę przy każdej okazji. Drzwi otworzyły się teraz szeroko, ale Bury nie zdążył wysiąść. Ku swojemu zdumieniu zobaczył stojącego przed nim mężczyznę z kominiarką na głowie i wycelowaną w niego strzelbą. Całkowicie zaskoczony nie zdążył nawet podnieść broni. Rozległ się potężny huk, a z krótkiej, obciętej lufy wystrzelił snop ognia, oświetlając jasną poświatą wnętrze auta. Bury poczuł, jakby ktoś z całej siły uderzył go w klatkę piersiową młotkiem. Moc była tak duża, że jego tułów odrzuciło aż na sąsiedni fotel. Bezwładne ciało leżało teraz na obu przednich siedzeniach auta, a nogi zwisały na zewnątrz. Wszystko to trwało sekundę, a po kolejnej tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i drugi zamaskowany mężczyzna przystawił do głowy siedzącego tam przerażonego pasażera lufę pistoletu. Chłopak nie zorientował się, że była to tylko replika prawdziwej broni.

– Wysiadaj! – napastnik cofnął się o krok, robiąc pasażerowi miejsce. Młody Wagner wygramolił się z podniesionymi do góry rękami, w dłoni wciąż ściskając smartfon. – Telefon zostaw i włącz do tamtego auta!

Chłopak rzucił aparat na tylne siedzenie bmw. Jakaś silna ręka pchnęła go w stronę otwartych bocznych drzwi stojącego obok, samochodu dostawczego, a kiedy się wgramolił, od razu przycisnęła go do podłogi. Nie protestował, nie odzywał się, nasłuchiwał tylko kompletnie przerażony.

– Tamten nie żyje.

– Kurwa mać! – nie wszystko poszło po ich myśli. – Przebij oponę, włącz awaryjne i spierdalamy. Wystrzał pewnie słyszać było w okolicznych blokach. Pomyślą, że pękła opona.

Po chwili zamaskowana postać wskoczyła na tył auta, drzwi zatrzęsły się z hukiem i ruszyli z impetem. Ktoś założył chłopakowi na głowę jakąś śmierdzącą szmatę. Poczuł, jak krępują mu ręce, a potem nogi. Parciany worek, który miał na głowie, pozwalał oddychać, ale nic nie mógł przez niego zobaczyć, zwłaszcza że w samochodzie panował mrok.

– Czego go zabiłeś?! – usłyszał zdenerwowany głos jednego z porywaczy. – Mieliśmy go tylko nastraszyć i zwięzać.

– Pistolet miał – drugi głos był spokojny, wręcz flegmatyczny. – Zajebały nas wszystkich.

– Wyczuł nas, pierdolony!

W aucie zapanowała długa cisza. Do leżącego na podłodze, skrępowanego chłopaka powoli docierało, w jakiej znalazł się sytuacji. Poczuł paraliżujący strach. Oni zabili Burego, jego też zabiją. Wywiozą gdzieś do lasu i zamordują. Już po nim. Poczuł ucisk w gardle, a z oczu popłynęły mu łzy. Chociaż starał się być cicho, targnął nim szloch. W tym momencie materiał na jego głowie poruszył się, a on zastygł, ze strachu wstrzymując oddech. Ktoś odsunął powoli stęchły worek i spojrzenia ofiary i porywacza spotkały się. W świetle ulicznych latarni zobaczył, że zamaskowana twarz miała oczy dziecka. Kucająca postać przechyliła głowę jak zwierzątko, powoli zbliżyła małą dłoń i palcem dotknęła spływającej po jego policzku łzy.

– Łańcuch ze szlabanu zabrałeś?

– Młody wziął – ten drugi musiał się obrócić, bo następne zdanie słychać było z tyłu busa dużo lepiej. – Młody, wziąłeś ze szlabanu łańcuch?

Kucająca postać kiwnęła twierdząco głową.

– Co ty tam robisz? – kierowca spojrział w lusterko na tył auta. – Zakryj mu oczy i siadaj tutaj! Kurwa mać!

Gwałtownym ruchem zsunął mu z powrotem worek i wokół znów zapanowała ciemność.

28

Komisarz Widacka przeglądała świeżo odebrane od operatora sieci komórkowej bilingi telefonu Artura Janickiego. Gruby plik kartek leżał na jej biurku. Wydrukowała zestawienie, aby móc robić notatki. Połączeń było mnóstwo, bo Janicki tego samego numeru używał zarówno do rozmów prywatnych, jak i kontaktów służbowych. Z wyrzutem spojrzała na gapiącego się w monitor swojego komputera Buczka. Co prawda, nie widziała, co tam ogląda, ale po jego głupkowskim uśmiechku mogła się domyślić, że jakieś pierdoły. Przed chwilą poprosiła go o pomoc przy analizie zestawienia połączeń, ale wyłgał się jakąś tanią wymówką. Wiedziała, że Andrzej nie lubi tego typu żmudnej roboty. Ale kto lubi? Mógłby pomóc, zwłaszcza że nie miał teraz nic pilnego na głowie, w przeciwieństwie do niej. Czasami wyłaziła z niego menda.

Ciszę w pokoju przerwał dzwonek telefonu stacjonarnego na jego biurku. Buczek odebrał, nie odrywając wzroku od ekranu komputera. Dzwonił funkcjonariusz z dyżurki.

– Halo, co jest? – po chwili wyprostował się na krześle. – Bawi cię to? Zaraz tam do ciebie zejdę, to się obaj pośmiejemy, jak twoja matka będzie miała syna bez zęba! A jak myślisz?! Powiedz jej, że mnie nie ma i żeby natychmiast opuściła budynek! – trzasnął słuchawką.

Zuzanna łatwo zgadła, kto odwiedził komendę. Domyśliła się też, że wizyta Zofii – lokatorki działkowej altanki i adoratorki Andrzeja – ma charakter czysto towarzyski. Mimo że śledztwo zabójstwa na terenie ogródków już zakończono, zakochanej w Buczku kobiecie uczucie nie przeszło. Wręcz przeciwnie, jego niedostępność najwidoczniej czyniła go jeszcze bardziej atrakcyjnym. Szczególnie że Zofia romantyczną duszę regularnie podlewała napojem

wszystkich nieszczęśliwie zakochanych – czerwonym jak krew winem. I nieważne, że cena tegoż nie przekraczała kilku złotych, bo jej uczucie też nie było ekskluzywne. Było za to szczere i tragicznie beznadziejne. Czasami czekała na niego po pracy przed wejściem do komendy. Był więc zmuszony parkować auto na wewnętrznym dziedzińcu budynku i wychodzić tylnym wyjściem. Wprawdzie mógł nadać sprawie formalny charakter, złożyć doniesienie o nękanie i zrobić z nią porządek, ale już wyobrażał sobie, jaki ubaw miałyby z niego cała komenda z Sobczykiem na czele. Nie, nie chciał dać im tej satysfakcji, dlatego postanowił to po prostu przeczekać.

– Andrzejku! – ciepły, kobiecy głos dochodził teraz z zewnątrz. Zamarli w bezruchu na dłuższą chwilę, nasłuchując. – Andrzej, kurwa!

Buczek zerwał się z krzesła, po czym odsunął firankę. Stał z boku okna i spoglądał w dół z przerażoną miną. Nie wiedział, jak ma się zachować. Tym razem posunęła się za daleko. Sytuacja była patowa. Jeżeli nie zejdzie, to ta wariatka będzie się wydzierać na ulicy, a jeżeli zrobi z nią porządek, to cała komenda będzie miała darmowe przedstawienie. Tego, że wszyscy stali w oknach, to był akurat pewien.

– Ja pierdołę! – nie miał pojęcia, co robić. – Zuza, pomóż!

Widacka początkowo też była zaskoczona, ale teraz z trudem powstrzymywała się od śmiechu i pochylała nad dokumentami.

– Zajęta jestem.

– Ja przejrę te bilingi – podszedł do jej biurka i prawie wyrwał jej wydruki. – Wymyśl coś!

– Ale porządnie sprawdzisz, nie na odwal się, tak? – założyła płaszcz i odwróciła się jeszcze przed wyjściem. – Bo jak odwalisz fuszerkę, to jej powiem, gdzie mieszkasz.

– Dobra, dobra... Idźże już!

Chwilę później odetchnął, kiedy Widacka i ta kobieta po krótkiej rozmowie razem odeszły spod budynku komendy. Zuzanna zabrała Zosię na kawę do baru „Społem”, gdzie wysłuchiwała jej sercowych rozterek, po czym udzieliła kilku

kobiecych rad i wyjaśnień. Kwadrans później odebrała jednak pilny telefon, więc zapłaciła i pożegnała się szybko. Dzwoniła lekarka opiekująca się Anną Janicką. Była poruszona.

– Co się stało? – Zuzanna, słysząc jej ton głosu, spodziewała się złych wiadomości.

– Anna Janicka jutro wychodzi ze szpitala na własne życzenie. Przekonała psychiatrę, że jej stan emocjonalny jest stabilny. Nie wiem... Ja mam odmienne zdanie. Uważam to za błąd, ale nie do mnie należy ostateczna decyzja w tej kwestii. W każdym razie odstawiliśmy jej leki i jutro będzie pani mogła z nią porozmawiać – rozmówczyni zrobiła krótką pauzę. – I jeszcze jedno. Nie wiem, czy to ma znaczenie. Chodzi o receptę. W przypadku próby samobójczej przy użyciu środków farmakologicznych sprawdzamy, skąd pochodziły lekarstwa. Okazało się, że byłam w błędzie. To nie Anna Janicka wystawiła receptę na te lekarstwa. Wystawił ją lekarz z Warszawy. Wyślę pani zdjęcie z jego danymi, kiedy skończymy rozmawiać. Nie wiem, czy to ważne, ale prosiła pani o wszystkie informacje, stąd mój telefon.

– To bardzo ważne – Zuzanna miała szczęście, że trafiła na tę kobietę.

Chwilę później odebrała zdjęcie ekranu komputera z danymi z recepty. Zawierało wiele ciekawych informacji. To, kto ją wystawił, okazało się najmniej ważne. Lekarz psychiatra z warszawskim adresem praktyki. Dużo istotniejszy był fakt, że leki były wypisane dla Grażyny Janickiej, szwagierki Anny. Jednak najważniejsza okazała się data. Receptę wystawiono trzy dni przed zamordowaniem Artura Janickiego i jego synka.

29

Sławek od ósmej rozwoził paczki, jak co dzień. Rano przy śniadaniu też starał się zachowywać normalnie i nie okazywać zdenerwowania, co nie było łatwe po wydarzeniach minionego dnia. Matka niczego nie zauważyła. Trajkotała przejęta swoim wczorajszym odkryciem, że córka sąsiadki prowadzi się z jakimś nowym gachem. Ojciec siedział przy stole schowany za gazetą i zupełnie na to nie reagował, jakby zadrukowany papier miał moc zatrzymywania jej paplaniny. Sławek zjadł szybko i wyszedł z mieszkania. Chciał dziś skończyć pracę możliwie najwcześniej. I tak o dwunastej był już pod domem Gabrysiów. Odczuwał rosnące napięcie, bo to na dziś zaplanował wykonanie telefonu z żądaniem okupu. Nie zrobił tego wczoraj, bezpośrednio po porwaniu, bo zdecydował poczekać, aż Wagner dowie się, że jego syn zniknął i że Bury nie żyje. Liczył na to, że zwłaszcza ten drugi fakt pozwoli mu zrozumieć powagę sytuacji. Pierwotnie chciał wysłać Wagnerowi SMS-a zabraniającego wzywania policji, ale stwierdził, że to nie ma sensu. Wiedział, że po masakrze przed szlabanem policjanci sami zainteresują się sprawą. Nie planował tego, ale się stało. Pojawienie się trupa zmieniało sytuację. Był zresztą przygotowany na ewentualne policyjne dochodzenie. Trzy ukraińskie karty telefoniczne kupił od handlarza zza wschodniej granicy na przemyskim targowisku. Wcześniej chciał nabyć kartę bez abonamentu w rzeszowskim kiosku. Okazało się jednak, że w Polsce od kilku lat, aby kupić kartę telefoniczną, trzeba okazać dowód osobisty, żeby numer był przyporządkowany do konkretnej osoby. Na Ukrainie takich przepisów nie było i właściciel pozostawał anonimowy. W taki sposób przy okazji postanowił zmylić trop i dodatkowo utrudnić robotę policji.

Przed wyjściem z samochodu wziął kilka głębokich wdechów na uspokojenie. Nie chciał, żeby Gabrysie widzieli jego zdenerwowanie, zwłaszcza że wszyscy zachowywali się, jakby nie mieli układu nerwowego. Stary zamknął wczoraj wieczorem za nimi bramę i poczłapał do izby, nie interesując się niczym. Jakby syn przywiózł do domu nową dziewczynę, a nie związanego człowieka. W oborze wszystko było wcześniej przygotowane. Przełożony przez metalowe kółko w ścianie łańcuch owinęli wokół przegubów rąk swojej ofiary i ciasno spięli dwiema małymi kłódkami. Był na tyle długi, że chłopak mógł położyć się na starym materacu umieszczonym pod ścianą, gdzie go zresztą zostawili poprzedniego wieczora, nie ściągając nawet z głowy worka.

Teraz weszli obaj do chlewu, wcześniej zakrywając twarze kominiami. Mimo grubej wełnianej tkaniny Sławek poczuł obezwładniający odór. Wczoraj, pewnie za sprawą adrenaliny albo wieczornego chłodu, nawet tego nie zauważył. Dziś musiał oddychać przez usta, żeby powstrzymać mdłości. W zagrodzie świń zrobił się ruch. Zwierzęta kwiczały przeraźliwie, wskakiwały na siebie i przepychały w stronę koryta, spodziewając się żarcia. Stali chwilę obok materaca. Więzień chyba słyszał ich kroki, bo uniósł się lekko. Sławek zdjął mu z głowy parciany worek po ziemniakach. Mimo że w pomieszczeniu było tylko kilka małych okienek, chłopak zmrużył oczy. Brudne i spocone włosy sterczały mu we wszystkich kierunkach. Umorusaną twarz przecinały jaśniejsze bruzdy, wymyte łzami zmieszanyymi z kroplami potu. Jasna koszulka była brudna i przepocona pod pachami, a spodnie miały zaschniętą plamę w okolicach krocza. Nikt nie zadbał o fizjologiczne potrzeby więźnia. Jego wygląd stanowił obraz nędzy i rozpacz, ale to było akurat Sławkowi na rękę. Zdjęcie miało wstrząsnąć jego bliskimi i pomóc rodzicom podjąć właściwą decyzję. Wyjął telefon i pstryknął kilka fotek z dalszej perspektywy, po czym kucnął i zrobił zbliżenie. Nie było na nim widać nędzy całego ciała, ale wyraz przestraszonych oczu i grymas bólu na twarzy chłopaka robiły piorunujące wrażenie. Wystarczy. Miał to, czego chciał.

– Podaj telefon do ojca – głos mężczyzny był stanowczy. W dłoni trzymał aparat gotowy do zapisania numeru.

Więzień uniósł głowę, jakby obawiając się, że leżeniem okazuje im lekceważenie i naraża na karę, ale wciąż patrzył w podłogę. Numer podyktował prawie szeptem, a Sławek zapisał go w kontaktach swojego smartfona.

– Ojciec zapłaci, mamy ubezpieczenie od uprowadzeń w rodzinie.

To była dla porywaczy dobra wiadomość, powinno być łatwiej uzyskać pieniądze.

– Daj mu wody i z powrotem załóż worek – Sławek wydał polecenie i schował telefon do kieszeni.

Gabryś bez słowa sięgnął po stojące obok krowiej zagrody blaszane wiadro. Było w połowie wypełnione i pływały w nim resztki trawy. Podeszedł do więźnia i stojąc nad nim, powoli przechylił je, aż na twarz polała się woda, rozchlapując dookoła. Chłopak otworzył usta i pił łapczywie. Po chwili miał już dość. Gabryś przechylił mocniej i wylał pozostałą zawartość na jego głowę. Więzień prychnął, wydmuchując wodę z nosa, ale czuł wyraźną ulgę. Oprzytomniał, zebrał się na odwagę i spojrzał na nich, ale nie odezwał się słowem. Przez chwilę ich wzrok się spotkał i Sławkowi przeszło przez myśl, że oczy są potwierdzeniem istnienia duszy człowieka. Wszystkie pozostałe członki ciała są martwe, nawet jeżeli się poruszają. Tylko oczy żyją, dopóki żyje człowiek.

30

Godzinę później nie pamiętał już o tym. Jechał ulicami Rzeszowa, skąd postanowił zadzwonić, by nie doprowadzić policji do miejsca, gdzie przetrzymywali uprowadzonego chłopca. Poza tym w dużym mieście nie uda się im łatwo go namierzyć. Zatrzymał się i kupionym na użytek porwania telefonem zrobił z bliska zdjęcie ekranu swojego smartfona z wyświetlonym teraz zdjęciem młodego Wagnera. Wybrał jeszcze dwa najbardziej chwytające za serce ujęcia i też pstryknął. Mógł od razu zrobić zdjęcia nowym telefonem albo przesłać fotki bez tych ceregieli, ale kupując nowy aparat, dowiedział się w sklepie, że pliki ze zdjęciami mogą mieć zaszyte dodatkowe informacje. Takie jak numer telefonu, którym je zrobiono, bądź lokalizację miejsca, gdzie je wykonano. Okazało się, że informatyk może takie dane uzyskać. Sławek uczył się cały czas. Nie chciał popełnić głupiego błędu. Teraz wysłał wiadomość ze zdjęciami, upewniając się, że dotarła do Wagnera, po czym wyjął baterię z telefonu i zmienił w nim kartę. Po minucie zapalił silnik i włączył się do ruchu. Zadzwonił ponownie już z jadącego samochodu. Włożył do ust przygotowaną wcześniej kulkę z papieru i z bijącym sercem czekał, aż Wagner odbierze. Po kilku sygnałach w słuchawce usłyszał głos:

– Halo, kto mówi?

– Odebrałeś wiadomość? – zniekształconym głosem zadał pytanie bez zbędnych wstępów. – Widziałeś zdjęcia?

– Tak – rozmówca zorientował się, że dzwoni porywacz, ale przez chwilę jeszcze zachował zimną krew.

– Chcesz odzyskać syna żywego?

– Lepiej dla ciebie, żeby tak było, skurwysynu! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Jeżeli dzisiaj nie wróci do domu, to zajebię ciebie i całą twoją rodzinę.

– Będziesz tak pierdolił, czy przejdziemy do rzeczy? – Sławek był przygotowany na tego typu reakcję. Wiedział, że może spodziewać się wybuchu agresji i pogróżek, przecież rozmawiał z bandytą. – Bo jak masz zamiar mnie straszyć, to się rozłączam. Poza tym są to groźby karalne, a policja na pewno słucha, więc uważaj, co mówisz.

– Czego chcesz? – dyszał ciężko, ledwo powstrzymując się od kolejnego wybuchu gniewu.

– Pieniądzy, to chyba oczywiste – dobrze szło. Czuł się już pewniej. – Pół miliona jeszcze dzisiaj.

– Pojebało cię! – mężczyzna w słuchawce zaśmiał się sztucznie. – Nie mam takich pieniędzy, ktoś ci głupot naopowiadał.

– Zadzwoń za godzinę i powiem ci, jak przekażesz kasę. Ty w tym czasie przygotuj pół miliona złotych w gotówce – odparł porywacz, ignorując jego wypowiedź, po czym kontynuował. – Tylko dziś możesz odzyskać syna całego. Jutro rano będzie miał już tylko dziewięć palców.

– Ty skurwysynu! – znów tracił spokój. – Wiesz, z kim rozmawiasz?

– Nie, postanowiłem sobie kogoś porwać i padło na twojego syna. Oczywiście, że wiem, kim jesteś! – też go poniosło. – A jak będziesz coś jadł, to pamiętaj, że twój syn od wczoraj nie miał nic w ustach i najbliższy posiłek zje z tobą albo w ogóle.

– Potrzebuję czasu.

– Ja mam czas, ale twój syn nie – zatrzymał się na światłach. – Za godzinę.

Rozłączył się, rzucił telefon na fotel pasażera, wypluł nasiąknięty śliną papier i oddychał głęboko. Analizował teraz przebieg rozmowy. Chyba wszystko poszło dobrze. Zaskakująco dobrze. Stres zadziałał na niego mobilizująco i dał sobie radę. Był twardy i zdecydowany, to powinno zadziałać. Wziął do ręki telefon i go wyłączył. Potem usłyszał klakson stojącego za nim auta – zapaliło się zielone. Ruszył powoli. Spojrzał też na zegarek. Miał zadzwonić za godzinę.

31

W salonie okazałej willi Stanisława Wagnera znajdowało się pięć osób. Oprócz ojca porwanego chłopca i jego lekko odurzonej lekami uspokajającymi żony byli dwaj funkcjonariusze policji z rzeszowskiej komendy i agent Centralnego Biura Śledczego w randze komisarza – Krzysztof Partyka. Ten ostatni przyjechał rano z Krakowa. Wysoki blondyn, w okularach – typ współczesnego intelektualisty z żyłką sportowca. Umiał nie tylko ruszyć głową, ale też porządnie przywalić. Nie trafił do CBS przez protekcję, ale dzięki kilku spektakularnym śledztwom, zakończonym zatrzymaniami niebezpiecznych przestępców. W krakowskim wydziale zajmował się głównie zwalczaniem przestępczości zorganizowanej grup działających na południu kraju. Sprawa tego porwania mogła być z nimi powiązana, na co wskazywała osoba ojca uprowadzonego chłopaka, stąd jego obecność. Już pobieżna analiza przebiegu porwania przekonała komisarza Partykę, że nie ma do czynienia z jakimiś naćpanymi drobnymi bandziorami, którzy strzelają we wszystkie strony, a dwa dni później siedzą już w pudle i zastanawiają się, co właściwie poszło nie tak. Plan porwania był prosty, ale przemyślany. Miejsce wybrano z rozmysłem, bo samochód porwanego musiał się tu zatrzymać. Kamerę przy wjeździe na strzeżone osiedle zamalowano farbą nocą poprzedzającą zdarzenie. Sprawca podszedł do niej od tyłu, na ostatnim nagraniu mogli więc tylko przez sekundę zobaczyć dłoń trzymającą puszkę z farbą w sprayu. Samochód ofiary z przebitym kołem, stojący na światłach awaryjnych zwrócił uwagę innych kierowców dopiero następnego dnia rano. Sprawcy mieli więc wystarczająco dużo czasu na ucieczkę z miejsca przestępstwa. Kuli wyjętej z ciała ofiary nie udało się powiązać z żadną bronią z policyjnej ewidencji. Strzelba była czysta i nie do namierzenia. Bandyci nie zostawili żadnych śladów

ani odcisków palców. Działali w gumowych rękawiczkach. Partyka znał zabitego, zetknął się z nim przy okazji jakiejś starej sprawy napadów na kantory. Nie wiedział jeszcze jak, ale musieli załatwić go podstępem, bo to był groźny, uzbrojony typ. Co prawda, czasy wojen mafijnych Pruszkowa z Wołominem odeszły w niepamięć, ale w tym fachu zawsze trzeba być ostrożnym i przygotowanym na różne niebezpieczeństwa, bo konkurencja nie śpi. Bury to wiedział, a nawet nie zdążył wystrzelić. Musieli całkiem uspić jego czujność. Za wcześniej było na wyciąganie wniosków, ale pierwszym, jaki się funkcjonariuszowi nasunął, to że porwanie było zagrywką poniżej pasa konkurencji Wagnera. Zdawały się to potwierdzać również pierwsze ustalenia po rozmowie z porywaczem, a konkretnie ukraiński numer, z którego dzwonił. Siedzący teraz w salonie policyjny technik informatyk połączył rano telefon Wagnera ze swoim komputerem. Początkowo mężczyzna nie chciał się zgodzić, obawiając się pewnie, że przy okazji policja może wpaść na trop jego ciemnych interesów. Agent CBS postawił jednak sprawę jasno: albo współpracuje, albo w ciągu godziny będą mieli nakaz prokuratora – co nie było akurat trudne, ponieważ w trakcie porwania zginął człowiek. Wtedy mogliby zarekwirować mu telefon i działać na własną rękę, o niczym go nie informując. Wagner zmiękł. Mieli więc wiadomość ze zdjęciami uprowadzonego chłopaka przesłaną na telefon jego ojca i nagraniem rozmowę, czyli pierwszy kontakt z porywaczami. Ustalenia informatyka, że numer telefonu jest ukraiński, od razu nasunęły pewną hipotezę. Na podkarpaciu krzyżowały się interesy zorganizowanych grup przestępczych nie tylko z Polski, ale też z Ukrainy. Nasz kraj był dla braci zza wschodniej granicy łakomym kąskiem, ale polscy bandyci niechętnie dzielili się swoim tortem. Porwanie mogło być próbą zastraszenia i wywarcia presji na Wagnerze. Od lat prowadził ciemne interesy i choć na stare lata specjalizował się w przestępstwach gospodarczych, bardziej opłacalnych i mniej niebezpiecznych, to wrogów na pewno mu nie brakowało. Partyka zlecił zatem w swoim wydziale analizę sprawy pod tym kątem, sam zaś czekał z dalszymi wnioskami na kolejną rozmowę z porywaczem, w której ten miał przedstawić żądania. Godzina od

poprzedniego kontaktu właśnie mijała. Naładowany smartfon leżał na stoliku przed Wagnerem, a wszyscy w pokoju czekali na sygnał przychodzącego połączenia. W końcu telefon zadzwonił.

– Halo...

– Słuchaj uważnie, założysz sobie konto osobiste w banku na rogu Grunwaldzkiej i Rejtana – porywacz od razu przeszedł do rzeczy. – Jadąc do oddziału, weź ze sobą pół miliona w gotówce. Po założeniu konta wpłać pieniądze, jedź do domu i każ żonie przygotować uroczystą kolację na powitanie syna. Zrozumiałeś?

– To ty wreszcie zrozum, że gówno dostaniesz! – nie takie były ustalenia z Partyką. Wagner miał zgodzić się na żądania porywacza, żeby dać policji więcej czasu. Teraz realizował swój własny scenariusz. – Rozpytałem się na mieście i nikt cię nie zna. Znaczą, że jesteś nikim, zwykłym śmieciem. I skończysz tam, gdzie twoje miejsce. Na śmietniku. Twoje ścierwo wrzucą do kubła i wywiozą na wysypisko. Tak skończysz, bo zacząłeś z niewłaściwym człowiekiem. Wagner nie negocjuje ze śmieciem.

– Skończyłeś? Jeszcze dziś masz wpłacić pieniądze w banku i wysłać mi zdjęcie potwierdzenia wpłaty ze stanem rachunku na kwotę pięćset tysięcy – głos rozmówcy był zniekształcony, trudno było wyczuć w nim emocje. – Jak nie, to zacznę ci oddawać syna na raty. Jutro pierwszy palec.

– Ty śmieciu...

Wagner przerwał, bo usłyszał w słuchawce ciągły sygnał. Porywacz się rozłączył. Mężczyzna rozejrzał się po pokoju, dysząc ciężko. Komisarz Partyka spojrział na informatyka.

– Jest w Rzeszowie, ale wciąż w ruchu i szybko zmienia stacje logowania, czyli dzwoni z jadącego samochodu – pokręcił przecząco głową. – O tej porze w dużym ruchu ulicznym nie namierzemy go.

Policjant z CBS podniósł wzrok na Wagnera. Irytowała go tępota tego dupka. Swoje bandyckie, rozdymane ego przedkładał nad bezpieczeństwo własnego

syna. Policjant wiedział, że w jego działaniu nie było planu czy jakiegoś zamysłu. Był tylko głupi upór spowodowany urażoną dumą.

– Dlaczego nie postąpił pan tak, jak ustaliliśmy? – zapytał, choć chwilę wcześniej w myślach już sobie na to pytanie odpowiedział. – Miał pan zgodzić się na jego żądania.

– To może pan da mu pół miliona, skoro pan taki, kurwa, hojny?! – Wagner naskoczył na mężczyznę. – Cudzymi pieniędzmi łatwo rozporządzać!

– Po pierwsze pana rodzina jest ubezpieczona od porwań i okupu, więc zwróć panu pieniądze przekazane porywaczom – wciąż starał się mówić spokojnie, choć stary wrzeszczał na niego. – Po drugie, zgoda na żądania to jeszcze nie przekazanie pieniędzy. Po trzecie, niełatwo mu będzie zabrać z banku pieniądze. Tam są kamery, a jeżeli każe zrobić przelew, to będziemy śledzić, dokąd wysłał środki. Tak możemy trafić na jego trop.

– A jak przelew pójdzie za granicę?! – Wagner sam miał kilka takich rachunków bankowych na czarną godzinę. – Są kraje, gdzie nie macie żadnego dostępu do kont.

– Zostawcie nas samych – komisarz Partyka zwrócił się do pozostałych policjantów.

Wyszli bez słowa, a on miał już dość tego buca. Stracił do niego cierpliwość. Zmienił ton i powiedział mu, co o nim myśli:

– Słuchaj, nie interesują mnie twoje pieniądze. Zwłaszcza że nie zarobiłeś ich ciężką, uczciwą pracą...

– Wypraszam sobie! Wiesz, kim ja jestem? Kogo w tym mieście znam?

– Mam w dupie, kim jesteś i kogo znasz – ciągnął dalej. – Interesuje mnie tylko twój syn. Chcesz go odzyskać, czy nie?

– Nie dam im, kurwa, ani grosza!

W salonie zapanowała cisza. Sytuacja była patowa. Patrzyli teraz na siebie w niemej konfrontacji. Partyka nie miał już argumentów. Jeżeli staremu nie zależało na synu, to do niczego nie mógł go zmusić.

– Staszek... – obaj odwrócili się zaskoczeni w stronę fotela, na którym siedziała żona Wagnera. Do tej pory nie odezwała się słowem, wydawała się nieobecna. – Daj im te pieniądze, jak pan policjant mówi, bo jak nie, to jeszcze dziś w nocy poderżnę ci gardło.

32

Komisarz Widacka stała pod drzwiami mieszkania Janickich. Miała już nacisnąć dzwonek, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Postanowiła przed rozmową ze szwagierką Anny poznać szczegóły akcji ratunkowej, jaka miała miejsce po jej próbie samobójczej. To, czego dowiedziała się w szpitalu, nie zgadzało się z wersją Grażyny Janickiej. Przed przesłuchaniem tej kobiety chciała znać prawdę, choćby po to, aby już w trakcie rozmowy wiedzieć, czy jest z nią szczerą, czy też coś ukrywa.

Sąsiadką z przeciwka okazała się pani Kornelia – trzydziestopięcioletnia nauczycielka języka angielskiego. Była o tej porze w mieszkaniu, bo, jak wyjaśniła, od kilku miesięcy przebywała na przysługującym nauczycielom rocznym urlopie na poratowanie zdrowia. Wysoka, zgrabna, włosy miała związane w kucyk i nawet w dresach wyglądała dobrze. Zaprosiła policjantkę do kuchni, co było Zuzannie na rękę, bo właśnie w kuchni kobietom rozmawia się najlepiej. Zaparzyła dwie herbaty z róży i nie czekając na pytania, opowiedziała przebieg wydarzeń sprzed kilku dni. Była poruszona tragedią. Nic dziwnego, znała rodzinę sąsiadów. Mieszkali na tym samym piętrze od pięciu lat. Nie przyjaźnili się, co prawda, nie zapraszali na rodzinne uroczystości, ale w drobnych sprawach mogli na siebie liczyć.

– Dowiedziałam się o wypadku jeszcze tego samego dnia – postawiła przed Zuzanną słoik z miodem. – Mój mąż pracuje w straży pożarnej, oni jeżdżą do takich zdarzeń. Wstyd się przyznać, ale bałam się ją spotkać. Sprawdzałam przez wizjer w drzwiach przed wyjściem, czy jej na klatce nie ma. Bo co miałam jej powiedzieć? Zapytać, co tam słyszać? A jakoś odezwać się przecież trzeba.

– Pomogła jej pani – Zuzanna wyjęła łyżeczkę z herbaty i oblizała resztki miodu. – W najważniejszym momencie stanęła pani na wysokości zadania. Bo to pani zadzwoniła na pogotowie, prawda?

– W tym bloku ściany są cienkie jak z papieru, na ceglach chyba oszczędzali – machnęła ręką, bo nie o tym chciała mówić. – Usłyszałam łomot u niej w mieszkaniu. Normalnie pewnie bym to zignorowała, ale w tej sytuacji pobiegłam sprawdzić, czy nic się nie stało. Drzwi otworzyła jej szwagierka. Była zaspana, ją też obudził hałas. Anna leżała na podłodze w pokoju synka, a obok niej wywrócona półka, stąd ten huk. Była prawie nieprzytomna, nie odpowiadała sensownie, tylko coś bełkotała. Zobaczyłam pustą buteleczkę po lekach i domyśliłam się, co się stało. Teraz sporo uwagi poświęcamy w szkole tego typu zagrożeniom. Wie pani, dzieci w wieku licealnym są znerwicowane, wycofane, nie radzą sobie ze światem. Zwłaszcza dziewczynki. W epoce Instagrama liczy się to, jak wyglądasz, a nie czym się interesujesz. Często dzieciaki boleśnie odczuwają brak akceptacji rówieśników, a rodzice ich nie rozumieją. Próbują jakoś uciec przed problemami. Próby samobójcze to wołanie o pomoc. Miałam nawet ostatnio taki temat lekcji wychowawczej, stąd wiedziałam, co robić. Ułożyłam ją na boku, przykryłam kocem i zadzwoniłam na pogotowie.

– Uratowała jej pani życie – w tym stwierdzeniu nie było przesady. – A ta szwagierka? Poznała ją pani?

– Nie bardzo. Taka irytująca jest – pani Kornelia zreflektowała się, że to sformułowanie było niezbyt taktowne i spróbowała to naprawić. – Ja wiem, że to ładnie z jej strony, że w tych trudnych chwilach jest z Anną, ale jest taka jakaś... nieogarnięta. Zamiast z nią porozmawiać, to śpi. Nic tam ugotowane nie było. Buteleczkę po lekarstwie zgubiła w minutę, a pięć minut szukała. Dopiero jak lekarz z karetki ją opierniczył, to znalazła. Do szpitala też nie pojechała, chociaż sanitariusz mówił, że może się z nimi ambulansem zabrać.

– Odwiedzała wcześniej Janickich?

– Nie. Rozmawialiśmy chwilę po wyjeździe karetki... – zawahała się. – Nie polubiłam jej. Naprawdę dziwna jakaś. Mówiła mi, że na stałe mieszkała za

granicą i jej kontakt z bratem był rzadki. Ja rozumiem, ale mogłaby wykazać więcej empatii. Nie wiem, może to tylko takie moje wrażenie, bo każdy przeżywa śmierć bliskich po swojemu, ale nie wyglądała na załamana. Ale może jestem niesprawiedliwa.

– To dobry zwyczaj, nie oceniać, ale wiem, że czasami to trudne.

– Ja to strasznie przeżyłam. Ten mały był taki słodki. Widok mamy na plac zabaw, to czasami z mężem patrzyliśmy, jak się bawi. Janek to potrafił kilka minut stać w oknie i się na niego gapić. Czasami, wracając z pracy, nie szedł od razu na górę, ale siadał na ławce i chwilę z nim rozmawiał. Boże! Taka tragedia.

Rozpłakała się na dobre.

33

Patryk Wagner leżał skulony i obolały na materacu. Wycieńczony i brudny nie miał siły nawet się ruszyć. Poprzedniego dnia nic nie jadł, a w nocy dostał rozwolnienia od wypitej z wiaderka brudnej wody. Nie udało mu się skrępowanymi rękami ściągnąć spodni. Odwodniony i głodny popadł teraz w stan otępienia przerywany krótkimi okresami kojącego snu. W nocy zmarzł porządnie. Za dnia przynajmniej było ciepło. Rano z niemałym trudem udało mu się zrzucić z głowy worek, chociaż później tego żałował. Do smrodu i much w końcu się jednak przyzwyczaił. Przestał się nawet od owadów odganiać. Łaziły po jego twarzy, czuł je na wargach i powiekach. Każdy ruch rąk przyprawiał go o ból otartych przez łańcuch nadgarstków. Brzęczące, natrętne owady były więc bezkarne. Nagle usłyszał jakieś stuknięcie, a kiedy otworzył oczy, zobaczył stojącą nad nim postać, choć w zasadzie tylko jej kontury w świetle wpadających przez okno promieni słońca. Zanim zdążył się zorientować, czy to żywa osoba, czy zjawa, postać zniknęła. Chwilę później głośnie trzaśnięcie drzwi przywróciło mu stan świadomości. Teraz stały nad nim i beznamiętnie przyglądały się mu dwie osoby. Obok zamaskowanego chłopca o błękitnych oczach stał starszy mężczyzna z nieogoloną twarzą i sterczącymi, przerzedzonymi włosami. Podniszczona koszula wsadzona za pasek opinała wydęty brzuch, spodnie na dole miał wpuszczone w stare gumowce. Mruknął coś niezrozumiale do chłopaka, a ten kucnął obok więźnia i rozwiązał mu buty. Stary odwrócił się i zdjął z okna zardzewiały sierp. Patryk wzdrygnął się na ten widok. Mężczyzna przykląkł przy nim na jedno kolano, rozciął w kilku miejscach śmierdzącą koszulkę i zdarł ją kilkoma ruchami. Młody tymczasem zdjął mu buty i spodnie razem z zabrudzoną bielizną. Stary znów coś burknął, po czym we dwóch złapali posłanie i bez

ceregieli wydarli je spod leżącego. Obserwował ich cały czas przerażony, próbując odczytać intencje i być pomocnym w wykonywanych czynnościach. Wywlekli brudny materac na zewnątrz i wrócili po chwili z czterema wiadrami wody. Stary wylał je na chłopaka po kolei. Skuty łańcuchem leżał na mokrej, betonowej podłodze, trzęsąc się z zimna i strachu. Woda spłynęła do dziury w posadzce. Stary widłami przerzucił ze sterty obok kilka wiązek słomy i siana. Szturchnął drewnianym trzonkiem więźnia, więc ten zrozumiał, że ma się przesunąć. Na posadzkę spadła jeszcze jedna wiązka słomy i w kącie powstał barłóg ze świeżej wyściółki. Zanim mężczyzna wyszedł z obory, niejako przy okazji w podobny sposób oporządził zagrodę stojącą obok krowy. Patryk, opierając się o ścianę, usadowił się tak, żeby słoma nie kaleczyła jego nagiego ciała. Zimna kąpiel wróciła mu jasność umysłu. Obserwował teraz chłopaka, który obejrzał jego buty, po czym przyłożył podeszwę do swojej stopy. Zostali sami.

– Wypuść mnie, to ci dam te buty – Patryk usłyszał swój głos, jakby z daleka. Był inny, zdławiony i drżący. Musiał się przez chwilę przyzwyczaić do jego brzmienia. – Nikomu nic nie powiem. Mam dużo pieniędzy. Kupię ci, co będziesz chciał. Dużo butów i ubrań. Będziemy kolegami, będziemy grać w gry, tylko mnie uwolnij.

Chłopiec słuchał i patrzył na niego niebieskimi, dziecięcymi oczami. Te oczy były hipnotyzujące. Skupiały całą uwagę więźnia, bo resztę twarzy zakrywała czarna kominiarka. Młody zdjął swoje dziurawe trampki. Po chwili wahania zdjął też brudne skarpetki i założył na gołe stopy markowe adidasy. Były prawie nowe i o wiele fajniejsze o tych, które kupił sobie jego brat. Wstał i spojrzał na nie z góry, zrobił kilka kroków i uśmiechnął się szeroko. Patryk nie mógł tego zobaczyć, ale po oczach odczytał jego nastrój.

– Możesz je sobie zatrzymać, jak otworzysz łańcuch.

Młody podszedł do okna, gdzie leżały kluczyki od kłódek. Nie wziął ich jednak, tylko sięgnął po stojący obok oparty o ścianę bat. Drewniana rączka była przedłużona grubymi, splecionymi drutami, zakończonymi rzemieniem

z zawiązanymi guzełkami. Ujął go w szczupłą dłoń, podszedł do związanego i uderzył z całej siły. Powietrze przeciął świst rzemiennego sznura, a po nim rozległ się krzyk zaskoczonej ofiary. Mały oprawca poprawił w dłoni trzonek i spojrzał w sufit, sprawdzając, ile jest miejsca pod ceglanym sklepieniem. Następnie wziął potężny zamach i uderzył po raz drugi. Bił raz za razem, nie zwracając uwagi na krzyki przechodzące w szloch. Kolejne razy spadały na nagie, skulone ciało. Po każdym ciosie prężyło się ono i wiło. Skończył, kiedy się zmęczył. Spojrzał na swoje dzieło, ciężko oddychając. Czerwone pręgi na plecach, nogach i pośladkach gdzieś krzyżowały się z krwawiącymi rozcięciami skóry. Leżał przed nim człowiek, taki jak on. Niby mężczyzna, a przecież jeszcze dziecko. Teraz skatowany, zakrwawiony i drżący. Nie krzyczał już, rozplakał się z bólu i po twarzy popłynęły mu łzy. Chłopiec w kominiarce odłożył bat, podszedł i przykucnął przy drżącym ciele. Wysunął powoli rękę i palcem dotknął spływającej łzy. Sam od dawna nie płakał, chyba już nie potrafił.

34

Rano, przed rozwiezieniem paczek, Sławek raz jeszcze pojechał do Rzeszowa, żeby tam włączyć na chwilę telefon i sprawdzić, czy Wagner zmienił zdanie i wysłał potwierdzenie wpłaty. Niestety nie miał od niego żadnej wiadomości. Całą drogę do domu Gabrysiów targały nim zmienne emocje. Od wściekłości do stanu załamania. Czyżby cały jego misterny plan wziął w łeb? Wszystko przecież dobrze obmyślił. Był z siebie zadowolony, zwłaszcza że najtrudniejszy element – rozmowa z Wagnerem też poszła mu nieźle. Nie rozkleił się, był stanowczy i zdecydowany. Czyżby stary lis wyczuł jego słabość? Przejrzał go, domyślił się, że jest amatorem, niezdolnym zrobić krzywdy jego synowi? Ale przecież zabili Burego, to powinno go przekonać. Nic z tego nie rozumiał. Nie zależało mu na synu?

Gabryś czekał na niego na podwórku.

– Nie odezwał się – podali sobie ręce na przywitanie. Rozmawiali rano, więc wspólnik wiedział, o co chodzi. Sławek nie krył rozczarowania. – Chyba nie zapłaci.

– Tak żem myślał, że po dobroci nie zapłaci – mężczyzna nie był zdziwiony. – Trzeba mu wysłać palec.

– Daj spokój! – Sławek usiadł na skrzynce pod ścianą letniej kuchni. – W nocy załadujemy go do busa i odwieziemy do Rzeszowa.

– Nic z tego – tamten pokręcił przecząco głową. – Robimy tak, jak gadałeś. Wyślemy staremu palec.

– Tak tylko mówiłem – był podłamany. – Nie wiadomo, czy to by coś dało, a chłopak jest niewinny.

– Winny, czy niewinny... – Gabryś wstał, podszedł do pieńka i wyjął wbity w niego siekierkę. – Ojciec ma zapłacić i chuj! Nie damy mu się wydymać.

Sławek patrzył na współnika i zastanawiał się, co robić. Z jednej strony nie chciał krzywdzić chłopaka, z drugiej – bardzo zależało mu, żeby utrzcę nosa Wagnerowi. Bardziej niż na pieniądzech z okupu. Był wściekły, że bycie bydlakiem po raz kolejny w życiu mu się opłaciło. Bandyta zniszczył jego małżeństwo, firmę, przyszłość i znów jest do przodu. Wyobrażał sobie, jak popija drinka w swojej willi i śmieje się z niego. Nie przejął się nawet, że synowi grożą śmiercią, a Sławek zastanawia się nad jednym palcem.

– Zostań tu, ja to sam załatwię – Wiesiek wyrwał go z zamyślenia.

– Zaczekaj! – wciąż się wahał. – Masz wódkę?

– Kurwa! To tylko palec.

– Przynieś.

Szybko wypili prawie pół litra. Za mało, żeby się upić, ale wystarczająco, by wzburzyć krew. Poszli razem do obory. W końcu to tylko palec. Może to Wagnera ruszy, a jak nie, to ustalili, że jutro go odwiozą. Pod takim warunkiem Sławek się zgodził. Teraz zatoczył się lekko. Jakoś bez palca chłopak sobie poradzi, pracować nie musi. Trudniej byłoby mu chyba żyć ze świadomością, że ojciec był gotów poświęcić go dla zachowania pieniędzy. Wychodzi na to, że wyświadczają mu przysługę, albo i nie. Mieszało się mu w głowie. Założyli leżące na oknie przy drzwiach do obory kominiarki i weszli do środka. Sławek zmrużył oczy i stanął zaskoczony na widok nagiego więźnia leżącego na słomie.

– Czegoście go rozebrali?

– Osrał się cały, razem z materacem – Gabryś rozejrzał się po pomieszczeniu, czegoś szukał. – Teraz przynajmniej może się załatwić i nie leży we własnym gównie.

– Kurwa, niedobrze mi. Ciepła ta wódka była – czknął głośno. – Trzeba mu koc przynieść.

– Dobra, zaraz – odwrócił się w stronę otwartych drzwi. – Młody!

Chłopak wyrósł jak spod ziemi, stanął w drzwiach, zobaczył ich i cofnął się po kominiarkę.

– Przynieś jakiś pieniek! Nieduży!

Podszedł do więźnia i szarpnął za łańcuch. Chłopak wygrzebał się z siana i słomy. Sławek dostrzegł rany na jego udach i plecach.

– Co mu się stało? – próbował się lepiej przyjrzeć. – Skąd ma te blizny?

– Słomą się podrapał.

Chciał podejść bliżej, żeby zobaczyć dokładnie, ale w tym momencie wbiegł młody Gabryś, niosąc przed sobą w obu rękach pieniek. Wiesiek wziął z parapetu kluczyk, otworzył jedną kłódkę i pociągnął dłoń chłopaka w swoją stronę.

– Lewą! – Sławek pokazał na drugą rękę. – Nie prawą, lewą weź.

Młody Wagner usłyszał jego słowa, zobaczył siekierę w ręce Gabrysia, stojący obok pieniek i zrozumiał, co się za chwilę ma wydarzyć. Zaczął trząść się i jęczeć. Najpierw cicho potem coraz głośniej. Wiesiek przyciągnął jego dłoń i położył na pieńku. Więzień szarpał się i krzyczał wniebogłosy, ale silna ręka unieruchomiła jego dłoń. Sławek odwrócił wzrok, bo zrobiło mu się słabo. Wybiegł z budynku, żeby zaczerpnąć powietrza. Tu krzyki zagłuszało ujadanie psa. Wielki kundel szczyrzył kły. Czuł, że dzieje się tam krwawa jatka i też chciał nachleptać się krwi. Sławek zwymiotował i na chwilę oprzytomniał. Nie, to nie tak. Nie jest taki. Wbiegł z powrotem do chlewu, ale było za późno. Zdążył tylko zobaczyć, jak Gabryś unosi siekierę nad głowę i spuszcza ją w dół z impetem. Głuchy odgłos uderzenia i potworny krzyk przechodzący w nieludzki skowyt wypełnił pomieszczenie i jego głowę, a on stał jak słup soli.

– Kurwa, nie ruszaj się! – Wiesiek uniósł okaleczoną rękę więźnia, żeby się lepiej przyjrzeć. – Dwa żem mu niechcący upierdolił. Ten drugi się na skórze tylko trzyma. Wszystko przez to, że się szarpał!

Zanim Sławek zrozumiał, co się stało, siekierka znów uderzyła w pieniek. Więzień jęknął i zemdłał. Kosior zwymiotował prosto do zagrody świń. Gabryś schował do kieszeni zakrwawione palce i podniósł się z kolan.

- Najwyżej będzie na pojutrze – mruknął do siebie i zawołał głośniej do brata:
- Przynieś reszkę wódki z kuchenki i jakąś szmatę.

Kiedy młody przebiegał obok, Sławek zobaczył na jego nogach lśniące, białe adidas.

35

Sławek pędził w stronę Rzeszowa, cały czas przekraczając dozwoloną prędkość. Nie obawiał się, że zatrzyma go policja. Mandat, czy nawet utrata prawa jazdy nie miały w tej chwili dla niego żadnego znaczenia. Wytrzeźwiało, ale smak wódki i wymiocin w ustach dobrze pasował do jego samopoczucia. Nie szukał dla siebie usprawiedliwienia. Jedynym, co mógł w tej chwili zrobić, to próbować o tym nie myśleć. Nie myśleć o krzywdzie, którą wyrządzili temu chłopakowi. Gdyby mógł cofnąć czas, zrobiłby to teraz bez namysłu. Przez głowę przemknęła mu nawet myśl, że chętnie cofnąłby się do feralnego dnia, kiedy próbował odebrać sobie życie w więzieniu. Zrobiłby to lepiej i nie byłby dzisiaj tym, kim się stał. Bo kim on właściwie teraz był? Dwie osoby straciły już przez niego życie, a trzecią okaleczyli. Chociaż zabójstwa nie obeszyły go tak bardzo jak ucięcie głupiego palca. Dwóch palców. Tamtym się po prostu należało, bo byli bydlakami bez sumienia. Ale dziś przekroczył kolejną granicę – skrzywdził niewinną osobę. Chociaż może nie tak całkiem niewinną. Przecież dwudziestolatek nie kupił sobie drogiego apartamentu za uczciwie zarobione pieniądze. Nawet jeżeli zapłacił ojciec, to przecież młody wiedział, czym się zajmuje jego tatuś. Nie był naiwniakiem, który wierzył, że jakiś uzbrojony bandyta pilnuje go bez przyczyny. Świadomie korzystał z brudnych pieniędzy, których jego rodzina dorobiła się, oszukując takich ludzi jak Sławek. Wille, samochody, apartamenty. Wszystko to na ludzkiej krzywdzie. Pewnie kwestią czasu było, kiedy młody przejmie interesy ojca. Nie ma co, musiał dokończyć to, co zaczął – odegra się na starym i zapomni. Później będzie żył uczciwie, nie krzywdząc nikogo. Będzie dobrym człowiekiem. A część pieniędzy z okupu odda na leczenie jakiegoś chorego dziecka. Pełno jest takich potrzebujących.

W zamian za dwa palce uratuje jakiemuś maluchowi życie. Odkupi swoją winę, to uczciwy układ – oszukał trochę sumienie. Odetchnął i zwolnił, dojeżdżając już do rogatek Rzeszowa. Kilka minut później zatrzymał się przy paczkomacie, gdzie miał zamiar nadać przesyłkę dla Wagnera. Tu też kilka dni temu zamalował kamerę czarną farbą, ale na wszelki wypadek sprawdził, czy nie wymienili jej na nową. Dalej była umazana, wszystko było w porządku. Podszedł i uruchomił dotykowy panel do składania zleceń. Wybrał do odbioru przesyłki ten sam paczkomat, w którym ją teraz nadawał. Za kilka minut Wagner dostanie informację, że paczka jest gotowa do odebrania. Wysyłkę musiał potwierdzić kodem, który system wysłał na jego numer telefonu. Włączył smartfon, ten sam, z którego kontaktował się w sprawie okupu. Aparat po włączeniu zawibrował i zaskoczony Sławek odczytał otrzymaną wiadomość. Było w niej potwierdzenie wpłaty kwoty pięciuset tysięcy na rachunek bankowy Wagnera! Poczuł euforię. Udało się, pokonał ich! Zapłacą za wyrządzone mu zło z nawiązką. Przerwał nadawanie paczki i biegiem wrócił do samochodu. Kopertę z odrąbanymi palcami wrzucił do schowka. Nie myślał już o tym, co się wcześniej wydarzyło – jego głowa była zaprzątnięta czymś innym. Mógł rozpocząć drugą część planu. Spojrzał na zegarek, była trzynasta. Ostatni moment, żeby dziś zacząć działać. Wybrał numer Wagnera, zmiął szybko kawałek papieru i włożył do ust.

- Podjąłeś mądrą decyzję – Sławek z trudem zachował spokojny ton głosu.
- Daruj sobie.
- Przekonasz się.
- Nie pierdol, mów co mam robić. Chcę odzyskać syna – tym razem Wagner był konkretny.
- Weź dowód osobisty i jedź na parking tego kościoła niedaleko twojego domu. Tylko ty. Sam – Sławek miał wszystko od wczoraj przygotowane. – Za ile tam możesz być?
- Za dziesięć minut.
- Zadzwoń za piętnaście, czekaj tam na mój telefon – rozłączył się i wyjął baterię.

Ruszył teraz powoli na roгатki Rzeszowa. Po kwadransie znów zadzwonił.

– Jesteś koło kościoła?

– Tak.

– Przy parkingu stoi krzyż. Z tyłu taśmą jest przyklejony smartfon. Jest tam jeden numer w kontaktach, zadzwoń do mnie.

Wagner wykonał polecenie i po chwili usłyszał w słuchawce głos porywacza.

– Dobrze, teraz wyrzuć swój telefon.

– Co?

– Wyrzuć w krzaki swój telefon, żeby policja nie mogła cię namierzać i podsłuchiwać – w słuchawce zapanowała cisza. – Wyrzuciłeś?

– Tak.

– Jeżeli nie wyrzuciłeś, masz jakiś podsłuch albo jest z tobą policja, powiedz mi to teraz, bo gwarantuję ci, że nie chcesz, żeby usłyszeli dalszą część naszej rozmowy. Chyba że masz ochotę iść siedzieć?

– Czeka! – usłyszał szamotanie. – No mów.

– Wyrzuciłeś?

– Nikt nie podsłuchuje! Mów, kurwa, w końcu, o co ci chodzi!

– Dobra – Sławek wyjął papier z ust i wygrzebał jego skrawki językiem. Teraz mógł rozmawiać dużo swobodniej. – Jestem obok placu pełnego skrzyń i palet przy wylotówce na Łańcut. Wiesz gdzie?

– Co ty kombinujesz? – w głosie Wagnera było słychać zdziwienie i złość, ale też niepokój.

– Wszystko będzie dobrze. Mówiłem ci, że będziesz zadowolony ze swojej decyzji. Załatwimy to tak, że obaj będziemy do przodu. Pojedziesz teraz na postój taksówek i zostawisz tam swój samochód. Weźmiesz taryfę i zrobisz objazdówkę po bankach, żeby wybrać wpłacone pieniądze. W jednym nie dadzą ci całej kwoty bez wcześniejszego zamówienia, ale w Rzeszowie jest kilkanaście oddziałów tego banku, więc powinieneś uzbierać. Nie jedź tylko do tego, w którym zakładałeś konto, bo tam policja przygotowała pewnie znaczony banknoty. Kiedy będziesz zbierał pieniądze, zadzwonisz do swojego człowieka –

tego wysokiego bruneta, który pilnuje ci willi – i każesz mu przywieźć do mnie na plac kolejnych czterysta tysięcy, które na pewno masz w domu. Pamiętaj, to musi być on – Sławek widział tego faceta. Ktoś inny mógłby być policjantem podającym się za człowieka Wagnera.

– Była mowa o pół miliona i nie dostaniesz ani grosza więcej!

– Nie denerwuj się, nie chcę więcej – uspokoił go. – Chcę nawet mniej. Tylko czterysta tysięcy. Te, które przywiezie mi twój goryl. Po zebraniu w bankach pięciuset tysięcy, pokręcisz się z nimi po mieście, aż się ściemni, a potem pojedziesz na most Mazowiecki. Tam zrzucisz worek z pieniędzmi na dół, gdzie będzie czekał twój człowiek. Jeżeli zrobisz to sprytnie i policja nie zdąży ich przechwycić, to będziesz miał swoje pół bańki z powrotem. Ubezpieczenie swoją drogą wypłaci ci dodatkowo pięćset tysięcy odszkodowania za okup, więc dostaniesz drugie pół miliona i po odjęciu moich czterystu będziesz stówę do przodu. Ja oddam ci syna i zapomnę o sprawie, a ty będziesz mnie szukał do końca życia, żeby się zemścić. Pasuje ci taki układ?

W słuchawce panowała cisza. Sławek czekał z coraz większym niepokojem, aż tamten się w końcu odezwie.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – w głosie Wagnera pierwszy raz usłyszał coś w rodzaju szacunku.

36

Po rozmowie z sąsiadką Zuzanna stała ponownie przed drzwiami mieszkania Janickich i czekała, aż Grażyna je otworzy. Zastanawiała się nad wszystkim, co usłyszała od pani Kornelii. Też nie polubiła siostry Artura Janickiego i miała wątpliwości co do jej intencji. Zadzwoiła ponownie, ale wciąż nikt nie otwierał. Dzwonek działał, bo wyraźnie usłyszała jego charakterystyczny dźwięk. Dziwne, sąsiadka wspomniała, że Grażyna wciąż tu pomieszkuje. To nie podobało się Zuzannie, zwłaszcza w kontekście jutrzejszego powrotu Anny ze szpitala. Nie ufała tej kobiecie. Zapukała i nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się.

– Halo! Dzień dobry! – pchnęła je mocniej. – Policja! Jest tu kto?

W mieszkaniu panowała cisza. Przez chwilę wahała się, ale w końcu weszła do środka. Po kolei zajrzała do wszystkich pomieszczeń, ale nikogo nie było. Na środku kuchni stał pusty kubeł na śmieci. Nie było w nim worka – wyglądało na to, że Grażyna wyszła po prostu go wyrzucić. Na kuchennej wyspie leżała damska torebka. Zuzanna opuściła mieszkanie, zeszła po schodach i stanęła przed klatką. Tuż obok była wiata z kontenerami na odpady. Rozejrzała się wokoło, jednak kobiety nigdzie nie było. Spojrzała w stronę sklepu, ale po namyśle stwierdziła, że gdyby poszła po zakupy, zamknęłaby mieszkanie i zabrała ze sobą torebkę. Zuzanna podejrzewała, że Janicka zauważyła ją, wyrzucając śmieci, kiedy wysiadała z samochodu. Widocznie chciała uniknąć rozmowy z policją, bo nie wróciła do mieszkania. Byłoby to głupie postępowanie – metoda na przeczekanie nie miała tu racji bytu. Widacka rozejrzała się, licząc, że może ją wypatrzy. Chyba że z jakiegoś powodu poczuła się zagrożona i całkiem uciekła. Znaczyłoby to, że ma coś na sumieniu. Pani komisarz zastanawiała się właśnie, co dalej robić, kiedy zadzwonił jej telefon.

– Słuchaj, sprawdziłem te bilingi Janickiego – dzwonił Buczek. – Żyro groził facetowi. Wysłał mu SMS-y z pogrózkami.

– Żyro Janickiemu? – była jeszcze pochłonięta myślami o szwagierce Anny, chwilę więc trwało, zanim uświadomiła sobie, o co mu chodzi. – Jak groził?

– Że go załatwi... wykończy... i takie tam – Andrzej cytował zaznaczone fragmenty wiadomości. – Nie ma tam konkretnie, o co im poszło. Tylko, że mu nie podaruje, bo jest skurwysynem.

– A Janicki? – to były kolejne rewelacje. – Co odpisywał?

– Nic, ignorował go – Andrzej chwilę coś sprawdzał. – Wygląda na to, że go w końcu zablokował, bo i połączenia, i wiadomości się nagle urwały. Sprawdziłem, telefony i SMS-y były dzień przed jego śmiercią.

– Weź Majewskiego i jedźcie do jego biura, powinien tam być. Mają tam salę konferencyjną. Przesłuchajcie go i jego pracowników. Dowiedzcie się, o co chodzi i o co Żyro miał do Janickiego pretensje – Zuzanna wahała się, czy sama nie powinna tego zrobić. – Ja poczekam na nakaz i jak już tu jestem, to przeszukam mieszkanie Janickich, a potem dołączę.

– Może zawinę ich do nas, do firmy? Będą rozmowniejsi.

– Dobra – to była słuszna uwaga. Na komendzie będą bardziej skłonni do współpracy. – Tak zrób. Przyjadę najszybciej, jak mi się uda.

– Nie podziękowałem ci jeszcze, że mnie uwolniłaś od tej baby – zmienił ton.
– Co ty jej właściwie takiego powiedziałaś, że już do mnie nie pisze?

– Nie ma sprawy! – z trudem powstrzymała się od śmiechu. – Powiedziałam jej, że jesteś gejem.

37

Patryk leżał skulony w zagłębieniu na wygniecionej słomie. Czoło miał rozpalone, ciało trawiła gorączka, ale nie czuł zimna ani bólu. Okaleczoną dłoń wsunął pod pachę. W ustach przygryzł koniec szmatki, którą owinęli mu poranioną rękę. Ssał ją, szepcząc coś monotonicznie. Oczy miał tylko przymknięte, ale nic nie widział. Jego umysł zatopił się we własnej podświadomości. Przelatywały w nim migawki z przeszłości. Obrazki z dzieciństwa, szczęśliwe chwile spędzone nad morzem z matką. Wspomnienia zamazały teraźniejszość. Mózg bronił się wyparciem przed otaczającą go straszną rzeczywistością. Chłopak był bliski szaleństwa, balansował na granicy utraty zmysłów.

– Płyn do mamy, szybko... szybko... – szeptał rytmicznie ulubioną wyliczankę z dzieciństwa. Przed oczami miał uśmiechniętą matkę. – Płyn do mamy... Moja rybko...

Od czasu do czasu prawda o jego tragicznym położeniu przebijała się jednak do świadomości, wtedy na sekundę twarz wykrzywiał mu grymas bezgranicznej rozpacz. Po chwili ten stan mijał, policzki tężały i znów popadał w dziwny letarg, ucieczkę w głąb siebie. Nagle usłyszał zgrzyt starej metalowej klamki w drzwiach. Wzdrygnął się na ten dźwięk i ucichł. Dotarł do niego odgłos kroków i dziwne, niepokojące skrobanie po cementowej posadzce. Bał się nawet spojrzeć w tę stronę. Po chwili cały zdrętwiały ze strachu usłyszał niski, złowrogi warkot. Odruchowo podkurczył nogi. Nie podnosił wzroku, zobaczył tylko swoje buty na jego nogach i grube łapy psa. Ten mały sadysta stał nad nim i trzymał na łańcuchu wielkiego czarnego kundla. Dziwny wygląd leżącego człowieka obudził w zwierzęciu naturalną agresję. Nagie zwinięte ciało i zapach krwi pobudzały go. Z wyszczerzonymi kłami przywarł łapami do podłogi, szykując się do ataku. Coś

go jednak powstrzymywało. To był przecież przedstawiciel gatunku panów. Kiedy w końcu dotarło do niego, że tym razem to on może skrzywdzić człowieka, rzucił się na swoją ofiarę z furją, jakby chciał odpłacić za cierpienia i nędzny żywot zgotowany mu przez ludzi. Młody Gabryś owinął łańcuch wokół przedramienia, zaparł się nogami i trzymał z całych sił. Zwierzę próbowało chwycić kłami najbliższe znajdujące się członki nagiego ciała. Więzień wtulił się w mur i odruchowo bronił, wierzgając gołymi nogami, kiedy zęby zbliżały się niebezpiecznie blisko. Pies był jednak szybszy. Za którymś razem odskoczył, żeby uniknąć ciosu i zaatakował, zanim chłopak zdążył cofnąć nogę. Wrzaski ofiary tylko go pobudziły. Kły wbiły się mocno w stopę, psisko potrząsnęło łbem, chcąc wyrwać kawałek ciała. Szczęki zacisnęły się jak metalowe kleszcze, kości stopy chrupnęły. Przywarł do ziemi i dysząc, wydawał z siebie tylko niski, gardłowy warkot. Mocno zacisnął zęby i czekał, aż ofiara się zmęczy i podda. Wagner rzucał się, wyjąc z bólu. Młody Gabryś przyglądał się z fascynacją. W końcu wsunął między szczęki psa drewniany trzonek siekiery, rozwarł je zmniejszając ucisk i w ten sposób pomógł uwolnić zmiażdżoną stopę. Odegnął kopniakiem wciąż rozjuszone zwierzę i obwiązał łańcuch wokół zębatego koła ciężkiej maszyny stojącej w kącie obory. Sam podszedł do skulonego, poranionego chłopaka. Kucnął, zaglądając z chorym zainteresowaniem pod ramię, gdzie tamten skrywał twarz. Pociągnął go delikatnie za rękę, chcąc ją odsłonić. Nagle stało się coś, czego się nie spodziewał. Bezwolna dotąd ofiara rzuciła się na niego z furją. Zanim Gabryś zdążył zareagować, wokół jego szyi zacisnął się łańcuch. Szarpnięciem Patryk przyciągnął go do siebie i unieruchomił, ściskając mocno między nogami. Ciągnął teraz z całych sił za końce łańcucha, nie zważając na cieknącą z rany po odrąbanych palcach krew. Jęczał głośno z wysiłku i bólu. Był wycieńczony, ale jednak sporo starszy i silniejszy od swojej ofiary. Z ust duszonego wydobywał się charkot. Dźwięki walki łączyły się w kakofonię z wściekłym ujadaniem psa. W końcu niebieskie oczy zrobiły się najpierw nienaturalnie wielkie, po czym powieki zaczęły powoli opadać, kryjąc mętne spojrzenie. Wciąż naprężony łańcuch nie przepuszczał

przez gardło powietrza, kiedy krtani drżała w agonii. Nagle uścisk zelżał i głośny wdech nappełnił płuca ofiary tlenem. Młody Gabryś otworzył szeroko oczy i krztusząc się, złapał kolejny haust powietrza. Obiema rękami rozluźnił łańcuch na swojej szyi i ściągnął kominiarkę, żeby łatwiej było mu oddychać. Odczołgał się pod ścianę po przeciwnej stronie i powoli dochodził do siebie. Zrozumiał, co się wydarzyło, kiedy spojrzał na młodego Wagnera. Zobaczył utkwione gdzieś w dali martwe oczy nagiego chłopca. Jego członki były bezładnie rozrzucone, a mięśnie rozluźnione, bo wreszcie przestał się bać. Z rozszarpanej krtani wypływała krew i brocząc obficie z rozerwanej tętnicy, spływała po ciele. Jeszcze ciepłą chleptał pies, zlizywał z ciała i podłogi. Walka o życie jego pana pobudziła w nim tak wielkie pokłady agresji, że zerwał łańcuch i rzucił się do gardła wrogowi. To uratowało życie Gabrysiowi i zakończyło cierpienia porwanego chłopca.

Hałas sprowadził na miejsce Wieśka. Wszedł do obory i najpierw zobaczył leżącego pod ścianą półprzytomnego brata, potem martwego więźnia i psa lizącego bezwładne ciało. Chwycił za łopatę i z całej siły uderzył wielkiego kundla w grzbiet. Zaskoczony zwierzak zaskomlał i z podwiniętym ogonem uciekł wzdłuż ściany przez uchylone drzwi. Gabryś rozejrzał się wokoło i zrozumiał co się wydarzyło. Podszedł do brata i uderzył go otwartą dłonią w twarz, aż włosy opadły mu na oczy.

– Nudziło ci się? – trzepnął go jeszcze raz. – Mówiłem ci, żebyś go zostawił w spokoju.

Chłopak milczał. Zmarszczył tylko czoło, ale nie odzywał się. Wiedział, że zrobił źle i czuł się winny, ale nie wobec swojej ofiary. Robił sobie wyrzuty, że nie posłuchał brata i teraz sytuacja się skomplikowała. Starszy Gabryś sięgnął po kluczyki i otworzył kłódki. Uwolnione ręce upadły bezwładnie na podłogę.

– Bierz go za nogi! – sam złapał martwe ciało pod ramiona. – Do wieprzków go wrzucimy.

Młody chwycił nogi w kostkach.

– Czekaj! – Wiesiek zmienił zdanie i położył trupa z powrotem na ziemi. Rozejrzał się i podniósł opartą w kącie siekierkę. – Dawaj pieniek!

Odrąbał nieboszczykowi wszystkie palce i wrzucił je do pustego wiadra.

– Mogą się jeszcze przydać...

Teraz ponownie ujęli ciało i przerzucili przez metalową barierkę. Wygłodniałe świnie rzuciły się w tym kierunku z przeraźliwym kwikiem. Wyszli z budynku. W drzwiach Wiesiek znów trzepnął młodszego brata, który nie czekając na kolejne razy, puścił się biegiem w las. Gabryś musiał powiadomić o zajściu Sławka, a czuł, że ten będzie wkurzony.

38

Policjanci w domu Wagnerów mimo późnej pory wciąż pracowali. Przez cały dzień nie ruszali się z salonu. W kącie na olbrzymiej kanapie w milczeniu siedział gospodarz, a na fotelu obok przycupnęła jego żona. Na okoliczność śledztwa w sprawie porwania ich syna zorganizowano tu prowizoryczne centrum dowodzenia. Po dwóch dniach ciągłej obecności policjantów pomieszczenie powoli zaczynało przypominać pokój komendy. Na oparciach krzesel wisały mundury, wszędzie poustawiano rejestratory i komputery, poniewierały się pudełka po jedzeniu na wynos. Komisarz Partyka rozmawiał teraz przez telefon, a raczej słuchał tego, co ma mu do powiedzenia jego rozmówca. Po chwili rozłączył się bez słowa i odłożył smartfon na blat. Analizował to, czego się przed kilkoma sekundami dowiedział. Po drugiej stronie stołu policyjny technik zajadał dowiezioną właśnie pizzę. Siedzieli tu od rana, więc zdążyli zgłodnieć. Sierżant konsumował kolejny kawałek, głośno mlaskając.

– Mógłbyś trochę ciszej? Ciamkasz, jakby gumiak w błocie ugrzązł – Partyka spojrzał na niego wymownie. – Myśleć się nie da!

Sierżant zamknął pudełko obrażony i dyskretnie wytarł pod stołem rękę w obrus. Komisarz udał, że tego nie widzi i odwrócił się na krześle w stronę Wagnera.

– Panie Wagner, wyrzucił pan pod kościołem telefon, który mieliśmy na podsłuchu – mężczyzna wytrącił go pytaniem z zamyślenia. – Dlaczego?

– Mówiłem przecież, że mi porywacz kazał.

– Nie widział pana, więc łatwo mógł go pan okłamać – policjant zastanawiał się chwilę, patrząc w podłogę. – Mniejsza z tym. A dlaczego w takim razie nie zadzwonił pan do nas z telefonu taksówkarza?

– Nie pomyślałem. Zestresowany byłem – Wagner wstał, podszedł do stylowego drewnianego barku w kształcie globusa i nalał do kryształowego kieliszka wódki. – Co to? Przesłuchanie?

– Stasiu, nie pij – żona wtrąciła się cicho. – Może będziesz musiał po Patryka jechać.

– Właśnie, syna mi lepiej szukajcie! – nawet na nią nie spojrzał. – Zamiast marnować czas.

– Nie marnujemy czasu – Partyka zmienił ton na bardziej formalny. – Na postoju taksówek szybko ustaliliśmy numer telefonu kierowcy pana taryfy, dzięki czemu mogliśmy wciąż śledzić każdy wasz ruch.

Na twarzy Wagnera pojawił się niepokój. W dłoni trzymał kieliszek z ciepłą wódką i czekał na rozwój wydarzeń. Nie umknęło to uwadze komisarza. Partyka zauważył jego zdenerwowanie.

– Już po drugiej wizycie w banku domyśliliśmy się też, o co chodzi z tą objazdówką. Znaczone pieniądze z ukrytym lokalizatorem przewieźliśmy więc z głównego oddziału do kolejnej placówki na pana trasie. Kasjerka wypłaciła je i trafiły razem z resztą banknotów do torby z okupem.

Znów zrobił pauzę, aby dotarło do Wagnera, co się dzieje i zrozumiał swoje położenie. Ten stał w milczeniu. Zastanawiał się przez chwilę, czy to możliwe, że policjant blefuje. Po namyśle musiał jednak przyznać, że zupełnie go nie docenił. Naiwnie uznał, że tamten będzie czekał z założonymi rękami, kiedy on zniknie im na kilka godzin z pola widzenia. Teraz słuchał, a policjant kontynuował swój wywód.

– W sali przesłuchań na komendzie siedzi twój człowiek i próbuje sobie przypomnieć, jak to się stało, że pieniądze z okupu znalazły się w sejfie w twojej hurtowni. Jestem jednak przekonany, że pamięć mu wróci, kiedy oskarżymy go o porwanie – komisarz mówił dalej. Zwracając się teraz do Wagnera na „ty”, zapewniał sobie psychologiczną przewagę. Spojrzał na kieliszek w jego dłoni i skinął głową. – Strzel sobie jednego na odwagę i mów, jak było naprawdę, bo jak nie, to cię oskarżę o upozorowanie porwania własnego syna i próbę

wyłudzenia odszkodowania z ubezpieczenia. Pójdiesz siedzieć na ładnych parę lat.

Mężczyzna wlał sobie ciepłą wódkę do gardła i nawet się nie skrzywił.

– Chcę zadzwonić do mojego adwokata – umiał zachować zimną krew. – Powiem wam wszystko, bo nie porwałem własnego syna i chcę go odzyskać, ale najpierw muszę porozmawiać z mecenasem.

– Proszę, niech pan dzwoni – wyjął jego telefon z ładowarki i podał.

Znów wrócił do oficjalnej formy, bo osiągnął już swój cel. Złamał go i skłonił do współpracy. Po tym, jak zatrzymali jego człowieka ze znaczonej pieniędzmi, nie było to trudne, bo Wagner nie był idiotą. Godzinę później w obecności swojego prawnika opowiedział ze szczegółami okoliczności przekazania okupu i całej późniejszej mistyfikacji. Adwokat wtrącał się co chwila do rozmowy, podkreślając, że jego klient działał w nadzwyczajnym stresie, wynikającym z troski o życie jedyne syna. To natomiast uniemożliwiało mu rzetelną ocenę sytuacji i podejmowanie właściwych decyzji. Sugerował nawet, że przeżycie było tak silne, że mógł momentami być nawet niepoczytalny. Komisarz nie zwracał uwagi na ten prawniczy bełkot. Zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji Wagner łatwo wybroni się z oskarżeń o wyłudzenie odszkodowania. Szczerze mówiąc, miał to gdzieś. Interesowało go tylko odnalezienie i uwolnienie porwanego. Kombinacje ojczulka nie przesłaniały mu najważniejszego celu, jakim było odzyskanie chłopaka żywego. Oczywiście w końcowym raporcie opíše machlojki Wagnera, ale nawet nie miał zamiaru interesować się finałem tego wątku sprawy. Niech lokalna policja się w tym paprze.

– Co jest pod tym adresem, gdzie pana człowiek zawiózł okup porywaczom? – komisarz pomyślał, że to może być ważne. – Ten plac nie był najlepszym miejscem do przekazania okupu z ich punktu widzenia. Jest ogrodzony, co mogłoby utrudnić ewentualną ucieczkę, no i jest tam stróż. Po co im dodatkowy świadek? Nawet jeżeli porywacz był w kominiarce i pracownik nie mógł go rozpoznać, to i tak było to zupełnie zbędne ryzyko. Uważam, że nie wybrali miejsca przypadkowo. Co tam się znajduje?

– Nic – Wagner szedł w zaparte. – Plac załadunkowy. Skrzynie, drewniane palety, nic wartościowego.

– Jednak porywacze wiedzieli, że to miejsce należy do pana i właśnie je wybrali, wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi – Partyka drążył, bo widział, że facet znów coś ukrywa. Lata doświadczeń w przesłuchiowaniu świadków i oskarżonych pozwalały mu wychwycić od razu, kiedy zaczynali kręcić. – Proszę się dobrze zastanowić, zanim pan odpowie. Domyśla się pan dlaczego?

– Ni chuja! – Wagner nachylił się w jego stronę. – Taka odpowiedź pana satysfakcjonuje?

39

Aspirant Majewski całe przedpołudnie spędził w siedzibie biura „Żyroskop”, przeglądając kolejne segregatory dokumentów. Miał sporo pytań, ale właściciel firmy nie pojawił się tego dnia w pracy i w żaden sposób nie można było się z nim skontaktować. Godzinę wcześniej zadzwonił do Majewskiego aspirany Buczek z kryminalnej i też był rozczarowany, kiedy usłyszał, że właściciela nie ma. Zapytał, kto właściwie pracuje w firmie Tomasza Żyro. Kiedy dowiedział się, że biuro jest niewielkie i zatrudnia raptem trzy pracownice, ze względu na nowe ustalenia w sprawie postanowił od razu przesłuchać wszystkie. Majewski na jego polecenie wezwał radiowóz i trzy kobiety przewieziono na komendę w celu przesłuchania w charakterze świadków. Atmosfera zrobiła się gęsta jeszcze w biurze, kiedy jedna po drugiej wyrecytowały regułkę o odmowie zeznań, choć jeszcze nikt o nic ich nie pytał. Wyglądało na to, że dziewczyny spodziewały się takiego obrotu spraw i zostały przez kogoś pouczone na tę okoliczność. Nie były już miłe, zrobiły się opryskliwe i aroganckie. Majewski zabronił im po drodze rozmawiać między sobą, a policjantom przykazał tego dopilnować. Jadąc za nimi swoim autem, zastanawiał się, jak ugryźć ten temat. Zeznania pracownic mogły być kluczowe dla śledztwa. Bez nich trudno będzie pchnąć sprawę do przodu. Żyro zniknął, a on nie miał podstaw, żeby wystawiać za nim list gończy. Przekręty oszacował na kwotę kilkudziesięciu tysięcy, a to za mało, żeby angażować policję całego kraju. Postanowił jednak, że nie odpuści tak łatwo cwaniaczkowi i nie da się robić w wała. Śledztwo kryminalnych w sprawie wypadku Artura Janickiego miało oczywiście priorytet, ale policjant z gospodarczego wiedział, że potem sprawę przejmie on i jego koledzy z wydziału, chyba że Żyro pójdzie siedzieć za jakiś grubszy temat.

– Jesteśmy pod komendą – zadzwonił do Buczka, tak jak się umawiali. – Ale uprzedzam, że nie będzie łatwo, bo pannice chyba ktoś poinstruował i teraz odmawiają współpracy. Straszne są mądrale.

– Ty sobie tym głowy nie łam – Andrzej wyraźnie pewny siebie zaśmiał się do słuchawki. – Przyrowadź je, posadź pod pokojem przesłuchań i resztę zostaw mnie.

Zgodnie z instrukcją Majewski ulokował dziewczyny na krzesłach w holu komendy. Czekali w zupełnej ciszy kilka minut. W pewnym momencie drzwi w głębi korytarza otworzyły się gwałtownie i ku zdumieniu kobiet przemaszerowało przed nimi dwóch mężczyzn. Pierwszemu nie było widać twarzy, bo miał naciągnięty na głowę sweter, drugi szedł za nim, popychając go przed sobą. Tym z tyłu był Buczek. Bez słowa zniknęli za drzwiami pokoju przesłuchań.

Konsternacja jeszcze nie minęła, a w pomieszczeniu rozległ się rumor. Hałas był tak niespodziewany, że dziewczyna siedząca najbliżej wejścia do pokoju przesłuchań podskoczyła na krześle. Pozostałe też były przestraszone i nerwowo patrzyły po sobie. Ponownie zapanowała cisza, ale teraz tylko potęgowała ona panujące wokół napięcie. Nagle drzwi otworzyły się i stanął w nich Buczek.

– Dyżurny! – wrzasnął na cały korytarz, nie zwracając uwagi na obecnych. – Wezwij pogotowie!

– Co się stało? – Policjant przybiegł i zajrzał do środka.

– Jak go opatrzą, wypuścić! – machnął ręką. – Okazało się, że niewinny jest.

Andrzej skinął, jakby dopiero dostrzegł Majewskiego. Podeszedł i przywitał się z nim najspokojniej w świecie, nie komentując zajścia.

– To te? – spojrzał na przerażone pracownice, po czym otworzył szeroko drzwi sąsiedniego pomieszczenia. – Skorzystamy ze świetlicy, bo w pokoju przesłuchań jest bałagan. Zapraszam. Która z pań pierwsza?

Żadna z kobiet nie kwapiła się do wejścia. Siedziały przestraszone ze wzrokiem wbitym w posadzkę.

– W takim razie zapraszam wszystkie trzy – wskazał szerokim gestem. – No szybciotko! Mamy dla siebie tylko czterdzieści osiem godzin!

Przy pierwszym stole stały dwa krzesła. Buczek dostawił trzecie i dziewczyny usiadły niepewnie. Po kolei przed każdą położył kartkę i długopis.

– To jest druk protokołu przesłuchania. Na górze napisać imię i nazwisko, jak na klasówce – wskazał palcem odpowiednie rubryki. – Pod spodem jest pouczenie o karze za składanie fałszywych zeznań. To radzę przeczytać uważnie, ze zrozumieniem. Niżej miejsce na zeznanie. Temat na dziś: Dlaczego Tomasz Żyro i Artur Janicki nie lubili się. Tylko konkrety, bez wodolejstwa. Ale wszystko, co wiecie. Jeżeli któraś pominie coś, co napisała koleżanka, to będzie źle. Piszemy godzinę. Jak któraś skończy wcześniej, to może wyjść. Tylko nie ściągać!

Długopisy poszły w ruch. Żadna z kobiet nie traciła czasu na dyskusję. Chciały opuścić komendę jak najszybciej. Pół godziny później były już wolne, a Buczek dysponował wyczerpującymi zeznaniami układającymi się w spójny obraz wydarzeń. Okazało się, że Janicki zdecydował się zrezygnować z pracy, bo nie chciał odpowiadać za machlojki szefa. Zażądał jednak rozwiązania umowy na swoich warunkach. Pomagał tworzyć tę firmę i nie chciał odejść z niczym. Oświadczył też, że otwiera konkurencyjne biuro i miał zabrać ze sobą swój portfel klientów. Dodatkowo po cichu zaproponował zatrudnionym w biurze dziewczynom pracę w swojej nowej firmie i wszystkie trzy, przewidując rychły koniec ich macierzystego biura, miały zamiar do niego dołączyć. Żyro dowiedział się o tym i mówiąc delikatnie, nie był zachwycony. Plany pokrzyżowała im jednak nagła śmierć Janickiego. Buczek nie miał wątpliwości, że zdesperowany, postawiony pod ścianą stary szef mógł posunąć się do zrealizowania swoich gróźb. Komisarz był zadowolony z wyniku przesłuchania. Tomasz Żyro miał motyw, wiedział też, gdzie Artur Janicki przebywa na urlopie. Wszystko wskazywało na to, że znalazł zabójcę. Nie mógł się już doczekać powrotu Zuzanny.

Jego dobre samopoczucie zepsuło nagle wezwanie do gabinetu komendanta. Zawsze szedł tam jak na ścięcie, bo Sobczyk lubił się go czepiać. Na korytarzu przed sekretariatem minął jedną z przesłuchiwaną dziewczyn. Na krześle obok siedział starszy, elegancki mężczyzna, który wyglądał na jej ojca. „Pewnie córka jakiejś szczy. Zwykły obywatel nie przyleciałby na skargę do komendanta” – pomyślał. Zawsze musiał mieć pecha. Zaklął w myślach i nacisnął klamkę drzwi sekretariatu. Danka gestem zaprosiła go dalej, dając do zrozumienia, że komendant czeka.

– Co wy tam z Wąsikiem za komedie na dole odpierdalacie? – Sobczyk ze zdziwieniem oglądał nagranie z kamery umieszczonej w holu komendy. – Po co on se ten sweter na łeb nałożył?

– Te smarkule nie chciały zeznawać w sprawie, to zrobiliśmy małe przedstawienie, żeby się trochę zestrachaly – Buczek tłumaczył się niepewnie. – Ale z nimi wszystko było przepisowo, nawet nie przeklinałem.

– I co? – Sobczyk spojrzał na niego znad monitora. – Zeznały jak trzeba?

– Jak na spowiedzi.

– No, znaczy się, że dobrze zrobiliście – oparł się w skórzanym fotelu i spojrzał w dal. – Kiedyś to było inaczej. Milicjant normalnie pałą mógł wpierdol spuścić, jak się komu należało, i wszyscy byli zadowoleni. Jak se taki łobuz przez tydzień na dupie nie siadł, to wiedział, że źle zrobił, a i w więzieniach było mniej tych darmozjadów. A dziś trzeba kombinować, oszukiwać... I dziwić się potem, że zaufanie do policji spada.

Kiwnął ręką, dając w ten sposób znać Buczkowi, że może odejść. Sam pogrążył się we wspomnieniach.

40

Sławek usłyszał w końcu w słuchawce sygnał, telefon Gabrysia był wreszcie dostępny. Po chwili Wiesiek odebrał.

– No jesteś! Gdzie ty się włóczysz? Miałeś trzymać telefon przy dupie! – Przez chwilę w głosie słyhać było irytację, ale zaraz zniknęła. Chciał się podzielić z Gabrysiem radością z powodzenia akcji. – Wszystko poszło zgodnie z planem. Mam kasę i jadę już do ciebie. Przygotuj Wagnera. Umówiłem się ze starym, że wysadzę go wieczorem gdzieś w Rzeszowie. Kupiłem mu nowe ubranie, niech się tylko umyje.

– Sławek, nie da rady, bo on nie żyje. Chciał udusić łańcuchem młodego, wtedy pies się urwał i go zagryzł. – Gabryś mówił spokojnie, jakby informował go o rzeczy, na którą nie miał żadnego wpływu. Takie zresztą było jego rozumowanie. Siła wyższa.

– Człowieku, co ty do mnie mówisz?

– Pies wpadł do obory i rozdarł mu gardło, skurwysyn.

Sławek milczał przez dłuższą chwilę, dłoń z telefonem opadła mu na kolana. Co on gada? To niemożliwe. Wszystko poszło jak po maśle, rozmowy i przekazanie okupu. Plan zadziałał perfekcyjnie. Był tak zadowolony z pieniędzy i utarcia nosa Wagnerowi, że zrezygnował ostatecznie z wystawienia starego policji. Mieli tylko oddać Wagnerowi syna i po sprawie. Co on mu teraz powie? Że chłopak nie żyje? Że zagryzł go pies?! Nie, nie powie mu tego. Telefon wyłączy i kartę wyrzuci. To zamknięty temat. Przecież nie zadzwoni i nie będzie się tłumaczył, że zdarzył się wypadek. To nie tak się miało skończyć, chciał wypuścić chłopaka. On ma czyste sumienie. Zatrzymał samochód na poboczu, nie musiał się już spieszyć. Przeszedł na tył busa, podniósł torbę i usiadł na

jakiejś paczce. Na blaszaną podłogę przed sobą wysypał pieniądze. Nie zdążył ich wcześniej policzyć. Teraz zaczął układać paczki banknotów jedna na drugiej, liczył machinalnie z nadzieją, że może go oszukali i będzie łatwiej. Kasa zgadzała się jednak co do grosza. Cholera! Wagner spełnił jego warunki, a on nie może wywiązać się ze swojej części umowy. Obok torby leżała reklamówka z nowym ubraniem. Kupił też w aptece wodę destylowaną do przemycia rany, gazę i bandaż.

– Kurwa mać! – rozrzucił dłonią poukładane pliki banknotów i pieniądze rozsypały się po podłodze.

Wrócił za kierownicę i włączył silnik. Ruszył powoli w stronę wsi. Wściekłość stopniowo zmieniała się w smutek. Godzinę później siedzieli z Gabrysiem na ławce przed jego domem, w milczeniu paląc papierosa. Pozbierał pieniądze i przekazał mu zgodnie z umową dziesięć tysięcy złotych, pozostała część okupu leżała w torbie na siedzeniu w aucie. Żaden z nich się jednak nie cieszył. Sławka męczyły wyrzuty sumienia, a Wiesiek powstrzymywał się, widząc jego niezadowolenie. Młody Gabryś nie wrócił jeszcze od feralnego zajścia do domu. Tylko czarne psisko zapomniało już o wszystkim i wylegiwało się spokojnie przed budą w ten ciepły wieczór.

– Po co twój brat w ogóle się koło niego kręcił? – patrzyli przed siebie.

– Nie wiem – Wiesiek wzruszył ramionami. – Mnie nie było w obojętności, był sam. Pewnie krowę oporządzał.

W sumie z dwojga złego lepiej, że to mały uszedł z życiem. Sławek wolał nawet nie myśleć, co by Gabrysie zrobili młodemu Wagnerowi, gdyby go udusił. Przez chwilę miał zamiar poprosić Wieśka, żeby poszukał brata, ale zrezygnował. I tak przecież nic nie powie. W jego obecności zachowywał się jak dzikie zwierzę.

– Od zawsze nie mówi? – zagadnął. – Twój młody nigdy nie nauczył się mówić?

– Jak był mały, to mu się gęba nie zamykała.

– To co się stało?

– Mieliśmy jeszcze jednego brata, najmłodszego. Ojciec i ja zwykle robiliśmy w polu, a Romek opiekował się Bartusiem. Bawili się raz w zbożu w chowanego, kiedy na pole wjechał kombajn. Młody też mały był, miał z siedem lat, to zgłupiał i nie wiedział, co robić. Zamiast go zatrzymać, ten kombajn, to biegał po polu i szukał brata. Wołał, ale Bartek nie wyszedł kryjówki. Zabiło go na miejscu. Na oczach Romka, noże go do góry wyrzuciły. Cztery latka miał.

– To musiało być straszne przeżycie dla dziecka.

– Jak przyjechaliśmy z ojcem, to stał między ludźmi ze wsi. Nie płakał, tylko się patrzył. Od tamtej pory się nie odzywa.

– A czemu on pilnował młodszego brata? Co się stało z waszą matką?

– Poszła z ojcem do lasu na grzyby i już nie wróciła – kopnął kamyk i gapił się w ziemię. – Ojciec powiedział mi, że wyjechała. Jak się chciałem dowiedzieć, czego nas zostawiła, to mi spuścił taki wpierdol, że drugi raz już nie zapytałem. Młody najbardziej za nią tęsknił.

Sławek spojrzał na smutną twarz Gabrysia. Ten wyprostował się i przydeptał niedopałek, jakby dając znak, że wystarczy już zwierzeń. Znow zapanowała cisza, bez słowa pograżyli się każdy w swoich myślach.

– Byliście z nim u lekarza? – Sławek przerwał milczenie.

– Po co? – Wiesiek szczerze się zdziwił. – Nic mu nie jest, tylko nie chce gadać.

– Takie rzeczy są do wyleczenia. U psychologa albo psychiatry.

– Nie gada, bo jest uparty, a nie durny – Gabryś oburzył się. – Nie rób z niego wariata.

– Wiem, że nie jest głupi – Sławek pokręcił głową. – Jest cwańszy niż my obaj. To, że nie mówi, nazywa się traumą. Z powodu jakiegoś straszego przeżycia czasami robi się taka blokada w głowie. Jemu trzeba pomóc. Ty nie umiesz i ja też nie, ale lekarz może sprawić, że znow będzie mówił.

– Jakby chciał, toby mówił – wzruszył ramionami. – Widocznie mu tak dobrze.

– Zabierzmy go do lekarza we dwóch, bo ze mną samym nie pojedzie – Sławek zapalił się do pomysłu. – Gabryś, ja muszę teraz zrobić coś dobrego.

Dużo dobrego, bo zrobiliśmy dużo złego, rozumiesz?

– Nie – naprawdę nie rozumiał. – Przecież to nie twoja wina, że pies go zagryzł. Nawet cię tu nie było.

– Pojedziemy do Tarnobrzega – nie próbował mu już tłumaczyć, co czuje. – Wezmę go do lekarza, a potem zabiorę was na hot dogi.

– Stary się nie zgodzi na tego lekarza.

– To nic mu nie mów. Nie musi wiedzieć – wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. – Ty tylko pogadaj z młodym.

41

Zuzanna od godziny czekała w pustym mieszkaniu na Grażynę Janicką, ale ta wciąż nie wracała. To była dziwna sytuacja. Zastanawiała się, co robić. Spoglądała przez okno. Wodziła wzrokiem po okolicy w nadziei, że wreszcie ją zobaczy, ale nigdzie jej nie dostrzegła. W pewnej chwili usłyszała, jak otwierają się drzwi na sąsiednim balkonie.

– Janusz, chodź do domu! – Zuzanna poznała głos pani Kornelii, sąsiadka stała oparta o barierkę. – Janek, proszę cię.

Policjantka podążyła spojrzeniem za wzrokiem kobiety. W dole, na ławce obok ogrodzonego niskim płotkiem placu zabaw siedział mężczyzna. Wpatrywał się w stojącą tam zjeżdżalnię. Było coś przygnębiającego w tej samotnej postaci w jesiennym anturżu, wpatrzony w pusty plac zabaw. Ręce miał wciśnięte do kieszeni. Nie zwracał uwagi na chłodny wiatr mierzwiący mu włosy ani na wołanie żony. Dopiero kiedy drzwi balkonu zamknęły się, wstał powoli, o ciężale i ruszył w kierunku bloku. Zuzanna skrzyżowała ręce na piersiach, obejmując swoje ramiona, jakby poczuła otaczający tego człowieka chłód. Wróciła do salonu i usiadła bezradnie na fotelu. Zauważyła, że coraz bardziej pochłania ją przygnębiająca atmosfera tej sprawy. Refleksja przyszła w samą porę, bo powoli znów rozklejała się i popadała w dziwną apatię. A w takim stanie na pewno niewiele wniesie do śledztwa. Zebrała się w sobie i stwierdziła, że skoro i tak musi tu siedzieć, to przeszuka mieszkanie, nie czekając na nakaz. Postanowiła, że postara się o niego później. Prokurator może w uzasadnionych przypadkach wystawić dokument po fakcie, a zabójstwo dwójki ludzi, w tym małego dziecka, jest wystarczającym powodem do podjęcia zdecydowanych działań. Stwierdziła, że najwyżej później będzie się tłumaczyć, a teraz musi coś zrobić. Nie zamierzała

tak siedzieć z założonymi rękami i pilnować otwartego mieszkania. Zresztą na początek chciała się tylko rozejrzeć, nie miała zamiaru przewracać wszystkiego do góry nogami i rozpruwać mebli. Przy okazji miała nadzieję znaleźć też zapasowy klucz, zamknąć mieszkanie i spokojnie pójść do domu. Przecież tak po prostu nie wyszłaby sobie, zostawiając otwarte drzwi do mieszkania. Przekazałaby sąsiadce wiadomość dla Grażyny Janickiej, na wypadek, gdyby ta wróciła i nie mogła dostać się do środka. Zresztą i tak musiała ją poprosić o pomoc, bo zgodnie z przepisami pod nieobecność gospodarzy przeszukaniu musi się przyglądać przynajmniej ktoś z sąsiadów. Pani Kornelia zgodziła się pomóc i po kilku minutach była już w mieszkaniu Janickich.

– Siedzi pani tu od rana – przyniosła ze sobą dwa kubki z kawą i talerzyk z domowym ciastem. – Pomyślałam, że może jest pani głodna.

– Trochę tak – Zuzanna uśmiechnęła się szczerze, doceniając ten miły gest. – Dziękuję.

Komisarz szybko uporowała się z sernikiem, po czym wstała z kanapy i rozejrzała się po mieszkaniu. Zaczęła od salonu, systematycznie sprawdzając szuflady i półki. Trafiła tu na teczkę z domowymi papierami. Umowa kredytu hipotecznego, polisy ubezpieczeniowe i faktura zakupu samochodu. Nic nadzwyczajnego. Szukała dalej. Uwagę Zuzanny przykuł dopiero paragon znaleziony w płaszczu Anny Janickiej. Rachunek był wystawiony za zakup drogiej seksownej bielizny. Początkowo nie wzbudził on zainteresowania pani komisarz. Potwierdzenie było sprzed trzech dni, peniuar mógł więc być elementem przygotowań żony na powrót męża po kilkudniowej rozłące. Kontekst sytuacji zmieniło dopiero odnalezienie w koszu w łazience pustego opakowania po zakupie. Zuzanna nawet nie musiała grzebać w pojemniku na brudną bieliznę. Czarne, koronkowe wdzianko leżało na samym wierzchu. Bielizna na pewno nie nadawała się do codziennego użytku, a jedynie na specjalne okazje. Stąd prosty i logiczny wniosek, że Anna Janicka miała kochankę. Zuzanna posmutniała, uznając, że życie jest takie pokręcone, a ludzie sami sobie je jeszcze komplikują. Szukała dowodów w sprawie zabójstwa, a nie zdrady, więc zabrała się do

dalszego działania. Przestrzeń kuchenną od salonu oddzielała duża wyspa z ustawionymi wokół wysokimi taboretami. Wzrok policjantki zatrzymał się na leżącej tam torebce. Nie wiedziała, czy jest to własność Anny, czy też Grażyny Janickiej. Zajrzała do środka, wyjęła portfel i pęk kluczy, po czym podeszła do drzwi.

– No to jeden problem mamy z głowy – zwróciła się do sąsiadki. – Czarny klucz pasuje do zamka.

Sięgnęła teraz po portfel i wyjęła z niego dokumenty. Grażyna Janicka miała czterdzieści pięć lat. Oprócz dowodu było tu prawo jazdy, trochę złotych, kilkaset euro i powrotny bilet lotniczy do Malagi datowany na jutro. Zuzanna odłożyła dokumenty oraz pieniądze na stół. Z torebki wyjęła kosmetyki, okulary i inne szpargały, które położyła na blacie. Uwagę Widackiej przykuł zeszytowy kalendarz i jakieś dokumenty w koszulce. Odwróciła notatnik w dół i przekartkowała, szukając luźnych notatek. Nic jednak nie wypadło. Odłożyła go na moment i wyjęła papiery z folijki. To, co znalazła, wreszcie uzasadniało przeszukanie – miała przed sobą umowę przedwstępną sprzedaży nieruchomości. W tym dokumencie Grażyna Janicka i Artur Janicki wraz z żoną zobowiązywali się sprzedać nieruchomość w Mikołowie. Pięćdziesiąt arów wraz z zabudowaniami za trzysta osiemdziesiąt tysięcy złotych. Widacka czytała z coraz większym zainteresowaniem, bo wizyta u notariusza umówiona była na wczoraj! Siłą rzeczy do niej nie doszło. Zapisy mówiły, że Janiccy otrzymali gotówką czterdzieści tysięcy złotych tytułem zadatku. W kolejnym akapicie umowy była informacja, że jeżeli do transakcji nie dojdzie z winy sprzedających, muszą oni zwrócić te pieniądze i drugie tyle tytułem rekompensaty, czyli razem osiemdziesiąt tysięcy złotych. Zuzanna otworzyła ponownie kalendarz Grażyny Janickiej na dacie podpisania umowy. Zgadzało się, była tam odpowiednia notatka. Szybko przerzuciła kilka stron. Serce zabiło jej mocniej. Kartki z dnia zabójstwa Janickiego i synka nie było. Została wyrwana.

42

Na korytarzu przed gabinetem psychiatry było pusto. Na ustawionych pod ścianą w rzędzie krzesłach siedzieli tylko oni dwaj. Sławek spojrzął na zegarek, czas ich wizyty właśnie się zbliżał. W poczekalni nie odezwał się do chłopaka, bo nawet nie wiedział, jak zagaić. Zwłaszcza że i tak nie otrzymałby odpowiedzi. Młody rozglądał się z ciekawością wkoło. Chociaż było ciepło, miał na sobie golf. Zakrywał on sine ślady po łańcuchu na szyi, które nie zeszły jeszcze i na pewno wzbudziłyby zainteresowanie lekarza. W tym momencie drzwi się otworzyły i ze środka wyszła kobieta z ubraną na czarno dziewczynką. Sądząc po ich wieku, pewnie córka była pacjentką, chociaż to zapłakana matka wyglądała jak siedem nieszczęść. Dziewczynka nawet uśmiechnęła się filuternie do młodego Gabrysia, wprowadzając go tym w zakłopotanie.

– Romek! – Sławek stał w otwartych drzwiach. – No chodź!

Zza biurka przywitała ich pani doktor. Sławek aż przełknął ślinę na jej widok. Była śliczna, a jej uśmiech – po prostu zniewalający. Długie, czarne włosy opadały na ramiona. Wielkie, brązowe oczy błyszczały. Ciemna karnacja kontrastowała ze śnieżnobiałym fartuchem. Usiadł na krześle lekko speszony jej urodą. Potrzebował chwili, żeby uporządkować myśli i wyłuszczyć problem, z którym przyszli. Lekarka słuchała uważnie, nachylając się lekko w jego stronę, co podkreślało jej zaangażowanie. Kiedy skończył, założyła okulary i spojrzała w ekran komputera, gdzie miała zapisane dane pacjentów.

– Zanim porozmawiam z Romkiem – tu spojrzała na chłopca i uśmiechnęła się ciepło – proszę mi powiedzieć, czy pan jest ojcem?

– Nie, jestem... przyjacielem rodziny.

– Romek, zostawisz nas na chwilę? – pani doktor zwróciła się do młodego. – Poczekaj, proszę, na korytarzu. Ustalimy pewne rzeczy i zawołam cię, OK?

Gabryś, zanim wyszedł, z niepokojem zajrzał do poczekalni. Dziewczyny z matką już tam nie było. Zamknął za sobą drzwi.

– Proszę pana, przepisy nie pozwalają mi leczyć niepełnoletniego chłopca bez obecności rodziców lub opiekuna prawnego – rozłożyła ręce. – Przykro mi, ale przyjaciel rodziny nie spełnia tych kryteriów.

– Ten chłopak nie mówi, może go pani chociaż zbadać? – Sławek nie miał zamiaru tak łatwo odpuścić. Szukał sposobu, żeby jednak osiągnąć cel, w jakim tu przyjechali. – Oczywiście zapłacę za wizytę.

– Nie o to chodzi – kobieta uśmiechnęła się i złagodziła ton głosu, widząc, jak mu zależy. – Ja nie mogę z nim nawet rozmawiać bez zgody jego rodziców.

– Romek był świadkiem śmierci młodszego brata. Mały zginął, będąc pod jego opieką i pewnie się o to obwinia, bo od tamtej pory się nie odezwał – Sławek wbił wzrok w blat jej burka. – Mieszka na zabitej dechami wsi, jego matka nie żyje, a ojciec ma go gdzieś.

– Przykro mi – w jej ustach nie był to tylko grzecznościowy zwrot. Za tym słowami kryły się prawdziwe emocje. – Nie mogę mu pomóc. Chyba że w jego domu jest podejrzenie przemocy, wtedy można uruchomić odpowiednie procedury.

– Nie – tego Sławek nie chciał. – Nikt go nie bije, ale jego ojciec nigdy tu z nim nie przyjdzie.

– Może szkolny psycholog mógłby pomóc?

– Może – wstał, szykując się do wyjścia. Nie chciał jej mówić, że młody nie chodzi do szkoły. – Ile płacę za wizytę?

– Nic – kobieta pokręciła głową, ale widząc rezygnację i szczerą smutek na jego twarzy, nagle zmieniła zdanie. – Proszę poczekać. Skoro już tu jesteście, to chwilę porozmawiam z chłopcem.

– Dziękuję – zanim wyszedł, spojrział na nią jeszcze raz, aby upewnić się, że właśnie spotkał kobietę swojego życia.

Dobrych piętnaście minut czekał, aż skończą. Po kwadransie drzwi otworzyły się, lekarka na odchodne przybiła z młodym Gabrysiem piątkę i posłała mu cudowny uśmiech. Sławek pomyślał, że mogłaby go wypisywać na receptę. Teraz jego zaprosiła do środka.

– Dobrze, że pan z Romkiem przyszedł – była poważna, a nawet zasmucona. Sławek pomyślał, że z jej wrażliwością pewnie wykonywanie tego zawodu musi być trudne. – Chłopiec ma poważny problem. Oczywiście to tylko moja wstępna diagnoza, ale wygląda na to, że boryka się ze złożonym zespołem stresu pourazowego, co wynika z przeżyć, o których mi pan wcześniej powiedział.

– Czyli dlatego nie mówi?

– To, że nie mówi, to tylko wierzchołek góry lodowej. Ma ogromny problem z kontrolą emocji i nawiązywaniem relacji. Nie może poradzić sobie z utrwalonym negatywnym obrazem swojej osoby, nie akceptuje siebie. Wystarczy drobny bodziec, a wspomnienie śmierci brata wraca i odczuwa je tak silnie, jak wówczas, kiedy był naocznym świadkiem tragedii. Pacjentów z tym schorzeniem z jednej strony charakteryzuje zubożenie i apatia, z drugiej ożywiają ich sytuacje ryzykowne, ekstremalnie niebezpieczne. Ponadto w tym schorzeniu zdarzają się niekontrolowane napady agresji. Ucieczka w samookaleczenia lub skłonności sadystyczne.

– Da się to wyleczyć?

– Sposób i czas trwania leczenia jest zawsze indywidualną kwestią, zależną od rozmaitych czynników, takich jak siła urazu, czy też historia wcześniejszych doświadczeń. Jeśli zespół objawów rozwinął się po doświadczeniu jednorazowej traumy i jest do niej ograniczony, leczenie może mieć charakter krótkotrwały. Ale gwarancji nie mamy. Musi się nauczyć walczyć z lękiem i stresem. Czasami to długi proces.

– Pomoże mu pani? – nie wszystko zrozumiał z jej naukowego wyводу, wierzył jednak, że ona może go wyleczyć. – Podejmie się pani leczenia?

– Tak, nie zostawimy go bez pomocy, ale musimy uporządkować sprawy formalne – spojrzała w ekran komputera. – Jest taki druk... Upoważnienie, które

musi podpisać jego ojciec, żeby mógł pan do mnie przywozić chłopaka.
Wydrukuję je panu.

– Dziękuję.

– Musi pan też wiedzieć – wyjęła kartkę z drukarki i podała mu dokument – że to może być długie leczenie, wymagające wielu wizyt.

– Mam pieniądze.

– Tu nie chodzi tylko o pieniądze – dodała z ledwie wyczuwalną irytacją w głosie. – Jak już zaczniemy, to nie możemy przerwać. Musi być pan konsekwentny.

– Proszę się nie obawiać – perspektywa wielu wizyt w jej gabinecie bynajmniej go nie odstraszała. Wręcz przeciwnie. – To nie jest mój chwilowy kaprys, będę przyjeżdżał tak długo, jak będzie trzeba.

– Dobrze – znów zerknęła w ekran komputera. – Jak często możecie przychodzić?

– Jestem kurierem – zreflektował się po chwili i trochę żałował, że wyskoczył z tą pracą. Na pani doktor raczej nie zrobiło to wrażenia. – Mam nienormowany czas pracy, mogę więc wyskoczyć na dwie godziny w ciągu dnia.

– Na początek będziemy się spotykać dwa razy w tygodniu. Dam panu preferencyjną stawkę, bo wizyt może być sporo.

– Nie trzeba, dobrze zarabiam.

– Cieszę się, ale i tak dam panu zniżkę.

– Bo jestem zwykłym kurierem?

– Nie, bo jest pan dobrym człowiekiem – spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

43

Komendant wychylił się zza biurka i spojrział wymownie na nogi sekretarki, kiedy ta nachyliła się, stawiając filiżankę herbaty przed Zuzanną. Buczek siedział po drugiej stronie stołu i też ją obserwował. Bardzo krótka spódniczka opinała jej bujne kształty, nie pozostawiając wiele wyobraźni.

– Danusia, a ty to chyba dzisiaj spódnicy z domu zapomniałaś – Sobczyk uśmiechnął się złośliwie pod nosem.

– Ja sobie spódnicę mogę zmienić – postawiła szklankę z kawą na jego biurku i stanęła za nim. – Ale pan komendant też mógłby coś z tyłu na głowie przykleić, bo placek taki, że czapka niedługo nie zakryje.

– Nic nie będę przyklejał – uśmiech momentalnie zniknął z jego twarzy i odruchowo zaczesał grzywkę palcami. – Ja się starzeję z godnością.

– Tak, tak – teraz Danką uśmiechnęła się z politowaniem.

– A ty się nie schylaj, bo ci nerki przewieje – próbował się jeszcze odgryźć.

– No, no – odwróciła się w drzwiach. – A kawa smaczna?

– Nie!

Sobczyk wiedział, że cokolwiek teraz powie, ten pojedynek już przegrał. Drzwi się zamknęły i przez chwilę trwała krępująca cisza. Zuzanna z największą uwagą mieszała swoją herbatę, chociaż jej nie posłodziła. Andrzej żałował, że poprosił tylko o wodę, bo nie bardzo wiedział, co teraz zrobić z oczami.

– No, wy to jednak jesteście mistrzowski duet! – było więcej niż pewne, że komendant wyładuje na nich swoją złość. – Dać wam sprawę wypadku samochodowego, a zrobicie z tego podwójnego zabójstwo. Takie cuda! Jakby panią komisarz posłali w Kanie Galilejskiej zamiast Jezusa, toby na tym weselu czysty spirytus pili.

Zuzanna знаła już sposób bycia komendanta, nie przejmowała się więc specjalnie i nie brała do siebie jego złośliwych żartów. Traktowała je jako dopust boży i znosiła te jego przytyki, byle tylko nie przeszkadzał jej w śledztwie, bo w przeszłości różnie z tym bywało.

– Ja też bym wolała, żeby to był wypadek – otworzyła teczkę z notatkami. – Ale niestety wszystko wskazuje na to, że Artur Janicki i jego syn zostali zamordowani.

– Mówcie, co tam nowego macie – Sobczyk nachylił się nad biurkiem. – Bo sama hipoteza jest dosyć naciągana i na razie warta pięć złotych, a to trochę mało.

– No, niezupełnie. Nie opieramy się tylko na znalezionej monecie – Widacka po kolei podsumowała stare i przedstawiła nowe ustalenia. – Po pierwsze sekcja zwłok, wykonana przez doktor Marchwicką, wykazała, że ofiary zostały uduszone. Znalezienie monety w zatrzasku pasa sugeruje jedynie, że ktoś nie tylko dokonał tej zbrodni, ale też z zimną krwią ją zaplanował. Dziecko prawdopodobnie było przypadkową ofiarą. To Janicki musiał mieć wroga. Na tyle zdeterminowanego i bezwzględnego, żeby zrealizować tak okrutny plan.

– A samochód? – komendant znał dotychczasowe ustalenia w sprawie. – Znaleźliście tego busa, którym zepchnięto samochód do rowu?

– Przeglądaliśmy dostępne zapisy z kamer przemysłowych w okolicy – Widacka odnalazła odpowiednia kartkę w aktach. – Na nagraniach było zarejestrowanych kilka busów, ale okazało się, że nie mają związku ze sprawą. Technicy sprawdzili, nie było na nich śladów kolizji odpowiadających charakterem naszemu wypadkowi. Właściciele to przypadkowe osoby, niezwiązane w żaden sposób z Arturem Janickim. Trochę to działanie po omacku, ale nie można było tego zaniedbać. Nic jednak nie dało, więc poszliśmy inną drogą i skupiliśmy się na znalezieniu motywu zabójstwa. Pierwszym podejrzanym jest były szef Janickiego.

– Tomasz Żyro prowadzi firmę finansową, w której Janicki był jego prawą ręką – po tym krótkim wstępie Buczek zwięźle zreferował to, co ustalił w trakcie

ostatniego przesłuchania. – Odejdźcie Artura Janickiego wraz z pracownikami byłoby praktycznie końcem tej firmy. Facet w wieku czterdziestu lat musiałby zaczynać wszystko od nowa. Dla niego to stanowiło być albo nie być. Wiedział, kiedy Janicki będzie wracał do Tarnobrzega, miał swobodny dostęp do samochodu, czyli mógł zablokować monetą pasy. Busa pewnie gdzieś pożyczył. Ogólnie wszystko trzyma się kupy, a jak go przyciśniemy, to wyśpiewa szczegóły.

– Zamknęliście go? – Sobczyk lubił proste rozwiązania.

– Zniknął na kilka dni, ale sąsiadka dała znać, że już wrócił – dodał szybko Buczek, bo komendant już nabrał powietrza, żeby ich opieprzyć. – Wysłałem patrol i jak tylko go zgarną, to przywiozą do nas.

– No! – Sobczyk spojrział na Widacką. – Coś jeszcze, pani komisarz? Bo widzę, że nie może pani już usiedzieć.

– Jest jeszcze jedna osoba, która miała motyw i zachowuje się dziwnie, żeby nie powiedzieć podejrzanie – Zuzanna wyjęła kserokopię dokumentów znalezionych podczas ostatniego przeszukania. – Grażyna Janicka, siostra tragicznie zmarłego Artura. Miała z bratem sprzedać rodzinną nieruchomość wartą prawie czterysta tysięcy złotych. Podpisali nawet wstępną umowę. Może stwierdziła, że nie chce się tymi pieniędzmi dzielić i postanowiła pozbyć się brata?

– Ale wtedy przecież dziedziczy żona i dzieci – uwaga Sobczyka była słuszna.

– No właśnie – Zuzanna pokiwała głową. – Jedyne dziecko brata też nie żyje, a przedwczoraj ledwo odratowali jego żonę po próbie samobójczej. Leki, którymi chciała się otruć, wykupiła w aptece właśnie Grażyna Janicka. Na dodatek zniknęła nagle bez śladu, kiedy zaczęłam interesować się sprawą. Zostawiła dokumenty i pieniądze, jakby uciekała w panice.

– Coś jeszcze? – komendant uznał naradę za zakończoną i oddał dokumenty komisarz Widackiej. – No to idźcie ich łapać, bo nie lubię, jak mi mordercy na wolności biegają.

44

Zauważył ją w ostatniej chwili. Pani doktor przewiesiła torebkę przez ramię i otworzyła drzwi kawiarni. Odwrócił głowę i wziął głęboki oddech, żeby uspokoić emocje. To dziś postanowił się do niej zbliżyć – przynajmniej chciał spróbować. Nie zauważyła, że śledzi ją od dwóch tygodni. Miał w tym przecież wprawę. Jego zauroczenie w tym czasie zmieniło się niemal w obsesję. Wieczorami obserwował ją przez duże okna ich mieszkania, w których zgodnie z panującą obecnie modą nie było firanek. Śledził ją także za dnia, dostosowując swoje obowiązki do jej rytmu życia. Szybko ustalił, że pani doktor swoją południową przerwę w pracy spędzała w pobliskiej kafejce. Siadała przy oknie i popijała kawę pochylona nad książką. Od kilku dni czytała ten sam kryminał, ale nie był chyba zbyt interesujący, bo co chwila odrywała wzrok od zadrukowanych kartek i wpatrywała się przed siebie w jakiś punkt na ścianie. Pewnie to rozkojarzenie miało wiele wspólnego z sytuacją w jej domu. Ostatnio nie układało się jej z mężem najlepiej. Łatwo mógł się tego domyślić, obserwując ich zachowanie. Po zmroku, kiedy gasło światło w pokoju ich dziecka, życie w mieszkaniu jakby zamierało. Co prawda, świeciły się lampy w salonie i w sypialni, ale każde z nich osobno spędzało wieczór. Czasami spotykali się w kuchni i wówczas mógł oglądać sceny pantomimy, które nie pozostawiały wątpliwości co do panującej tam atmosfery. Kłócili się często. Przedwczoraj był świadkiem, jak po jednej z burzliwych awantur jej mąż wyszedł z mieszkania zdenerwowany, klnąc pod nosem, a ona została przy kuchennym stole i płakała do późna. Następnego dnia nie poszła do pracy. Ktoś z personelu przychodni zadzwonił i poinformował go, że wizyta Gabrysia jest odwołana z powodu choroby pani doktor. Szybko rozwiązał paczki i resztę dnia spędził w samochodzie

zaparkowanym w pobliżu jej domu, czytając tę samą co ona książkę. Poniekąd była to część planu, ale chciał też po prostu ten dzień spędzić w jakimś sensie z nią, a innego sposobu nie było. Dziś przyszła do pracy, a teraz w czasie przerwy pojawiła się w kawiarni i już od drzwi posłała uśmiech krzątającej się za kontuarem dziewczynie. Jej radosne przywitanie nie było kurtuazyjne, ale szczere i spontaniczne, jakby cieszyła się, że mimo jej osobistych problemów to miłe miejsce wciąż istnieje. Jej azyl. Po krótkiej wymianie uprzejmości z barmanką zabrała swoją kawę i usiadła w kącie – tuż przy oknie, przy swoim ulubionym stoliku. Kawiarnia o tej porze dnia była prawie pusta, nie mogła więc Sławka nie zauważyć.

– Pan tutaj? – jego też obdarowała uśmiechem. – Co pan robi w mojej kawiarni?

– Dzień dobry – udał zaskoczonego. – Pani kawiarni?

– Tak, przez najbliższą godzinę jest moja – odsunęła kubek z kawą i wyjęła z torebki książkę, ten sam kryminał. – Codziennie wyłączam telefon i wyskakuję z pracy na godzinę, żeby tu odpocząć. Napić się kawy i poczytać. To ukrywana przed pacjentami i rodziną moja godzina egoizmu, czas tylko dla mnie.

– No proszę, a ja myślałem, że jest pani ideałem – podniósł się z krzesła. – A na ten kryminał, to szkoda czasu nawet w pani wieku.

– Męcę go już od trzech dni. Liczyłam przynajmniej na ciekawe zakończenie, a teraz to już mnie pan całkiem zniechęcił – spojrzała na niego z udawanym wyrzutem. – W takim razie proszę się przysiąść i przez najbliższą godzinę umilić mi czas rozmową. Tylko żadnych banalnych gadek. Los sprawił, że mamy okazję lepiej się poznać.

– Dobrze, w takim razie porozmawiajmy o marzeniach – usiadł naprzeciw niej. – One mówią wiele o człowieku.

– Ludzie twierdzą, że nadzieja umiera ostatnia, a to nieprawda, bo marzenia są nieśmiertelne. Starzeją się, zmieniają, ale nigdy nie umierają – zamyśliła się – Ja nie mam wielkich marzeń. Marzę o kolacji przy świecach i dobrej muzyce, białych okrągłych talerzach i dużych kieliszkach...

– Czasami takie marzenie jest trudniejsze do spełnienia niż podróż dookoła świata, bo do tego potrzeba tej drugiej osoby. – Chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Miał mnie pan zabawiać rozmową, a nie przeprowadzać terapię – poprawiła długie, czarne włosy i podniosła kubek z kawą. – Ja tu jestem od zagłębienia w głąb duszy.

– Może jednak? Dam pani zniżkę – roześmiali się oboje. – Dobrze, będę już zabawny, ale uprzedzam, że znam dwa dowcipy, w tym jednego nie rozumiem.

Godzina upłynęła im wyjątkowo szybko. Zamówili jeszcze po ciastku do kawy, a zakończenie kryminału w jego interpretacji szczerze ją ubawiło. Pożegnali się i każde z nich poszło w swoją stronę, nie oglądając się za siebie.

Kilka godzin później, po skończonej pracy wyszła z przychodni. Mimo że był już wieczór, a ona przyjęła tego dnia wielu pacjentów, nie spieszyła się do domu. Opiekunka pewnie już położyła synka spać, a Artura nie było w mieszkaniu. Wciąż była zła na męża. Zamiast próbować załagodzić konflikt, który ewidentnie wywołał, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Typowa dla niego reakcja, klasyczna ucieczka od odpowiedzialności. Nocował u matki – tak przynajmniej twierdził, ale nie miała pewności, że nie korzysta z nadprogramowej wolności, upijając się gdzieś na mieście. To też potęgowało jej złość. Przed przychodnią stało kilka aut. Niedaleko jej skody, na końcu dziedzińca zaparkował duży, dostawczy samochód. Stanęła obok swojego auta i szukała w torebce kluczyków. W końcu znalazła i otworzyła centralny zamek. Światła błysnęły i w ich poświacie zobaczyła stojącą obok postać.

– Boże! Ale się zlekłam... – przycisnęła mocniej torebkę do ciała. – Co pan tu robi o tej porze?

– Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć – Sławek miał tajemniczą minę. – Chciałbym tylko pani coś pokazać.

– Co takiego? – przyglądała mu się z ciekawością. – Czekał pan specjalnie na mnie?

– Tak – był trochę speszony. – Proszę podejść na chwilę do mojego samochodu.

Odwrócił się, a ona poszła za nim. W tej części parkingu było dosyć ciemno, bo najbliższa lampa była uszkodzona. Zatrzymał się przy tylnych drzwiach busa i rozejrzał, czy nikogo nie ma w pobliżu. Kobieta stała obok zaintrygowana. Otworzył najpierw jedną część drzwi, potem drugą. Spojrzała do środka i z wrażenia zakryła dłonią usta. Wnętrze dostawczaka było opróżnione z paczek, a na środku, na miękkim dywanie, obok dużej palmy stał stolik nakryty długim białym obrusem. Świece rzucały blask na okrągłe białe talerze, a na jednym z nich leżała czerwona róża. Obok stały kieliszki i butelka wina owinięta chustką. Szarmancko podał jej rękę, aby pomóc wejść do środka. Opuściła dłoń, odsłaniając zaskoczoną, ale i rozpromienioną twarz. Jej dotyk przyprawiał go o jeszcze szybsze bicie serca. Zamknął drzwi, po czym odsunął krzesło i pomógł usiąść. Z głośnika w szoferce sączyła się nastrojowa muzyka. Nalał wina do kieliszków i przełożył z tekturowego pudełka na jej talerz kawałek pizzy.

– Dziękuję – cały czas oczarowana wodziła za nim wzrokiem, trzymając w ręku różę.

– Smacznego – też usiadł i uniósł swój kieliszek. – Wypijmy za marzenia.

45

Aspirant Andrzej Buczek patrzył z satysfakcją, jak Tomasz Żyro męczy się, wpisując dane do protokołu przesłuchania skuty kajdankami.

– Możecie mi to ściągnąć? – zatrzymany spojrzał najpierw na Andrzeja, potem na Zuzannę. – Przecież nie ucieknę.

– Mamy taką niepisaną zasadę, że jak ktoś utrudnia nam życie, to my potem utrudniamy jemu – Buczek oparł się łokciami na biurku. – Nie trzeba było się ukrywać.

– Nie ukrywałem się – Żyro skończył i odłożył długopis. – Po prostu potrzebowalem kilku dni, żeby parę rzeczy przemyśleć.

– No, jak przemyślałeś, to powinno nam pójść gładko – policjant uśmiechnął się złośliwie, po czym nagle spoważniał. – Gdzie byłeś i co robiłeś rankiem w dniu, kiedy zginął Artur Janicki i jego syn?

– Byłem w swoim mieszkaniu – Żyro westchnął. – Dowiedziałem się o tej tragedii po dziesiątej. Zadzwończyły do mnie dziewczyny z biura.

– Nie powinieneś być w pracy o tej porze?

– Czasem przychodzę później, bo często siedzę do wieczora i piszę wnioski o dotacje – Żyro odpowiadał spokojnie i rzeczowo. – Dziewczyny otwierają i zamykają biuro w godzinach urzędowania.

– Mieszkasz sam, więc twoje zapewnienie, że byłeś w domu, to słabe alibi.

– Mieszkam sam, ale wtedy nie byłem sam – pokręcił przecząco głową. – Nocowała u mnie znajoma.

– O! A to coś nowego – Andrzej uniósł brwi. Mężczyzna zaskoczył go tą informacją i zbił lekko z pantafelki. – Rozumiem, że to potwierdzi?

– Tak. Myślę, że tak.

– Proszę napisać jej dane – Zuzanna podsunęła mu kartkę. – Pamięta pan jej numer, czy chce pan sprawdzić w telefonie?

– Pamiętam – odparł Żyro, pisząc dane kobiety, nie odrywając wzroku od kartki, po czym przesunął zapiski w stronę Zuzanny – pracuje w sklepie. Może to pani załatwić dyskretnie? Nie chcę, żeby miała z mojego powodu nieprzyjemności w pracy.

– Dobrze – policjantka spojrzała na kartkę.

– Już i tak wystarczająco jej życie skomplikowałem – spuścił głowę. Andrzej chciał mu przerwać, ale Zuzanna powstrzymała go ledwo zauważalnym gestem. Żyro mówił dalej. – Myślałem, że jest ze mną dla pieniędzy. Naopowiadałem jej niestworzonych historii o firmie, podwoziłem do pracy mercedesem. Ada jest sporo młodsza i ładna, więc chciałem jej jakoś zaimponować. Okazało się, że dla niej to nie ma znaczenia. Wczoraj w końcu powiedziałem prawdę, że firma przynosi marne dochody, a samochód będę musiał sprzedać, żeby zwrócić niesłusznie wypłaconą kasę z powrotem do funduszu, bo mam kontrolę na karku. Myślałem, że to będzie koniec, ale ona powiedziała, że razem przez to przejdziemy. Dlatego teraz wszystko zeznam, poniosę konsekwencje i zacznę od nowa.

– Jak jest młoda, to może dożyje twojego wyjścia z pierdła – Buczek miał w sobie tyle wrażliwości, co brudu za paznokciem. – Bo za podwójne morderstwo to ćwiarę jak nic wyhaczysz.

– Jakie morderstwo? – Żyro spojrzał na niego spode łba. – W co wy chcecie mnie zrobić?

– Groziłeś Janickiemu, mamy twoje SMS-y! – Andrzej wyjął z teczki stenogramy wiadomości i rzucił na biurko. – Szantażował cię? Dlatego zgodziłeś się na jego odejście i wypłatę premii?!

– Nie szantażował mnie. Zgodziłem się, bo byliśmy kumplami i uważałem, że mu się to należy.

– Chciał ci zabrać klientów i pracowników, to go zabiłeś! Ale dlaczego dzieciaka?! Żeby się pozbyć świadka?

– Człowieku, co ty gadasz?!

– Człowiekiem to ja jestem dla ludzi, a nie dla takich bydlaków! – Buczek walnął dłonią w blat. – Zaraz cię podłączę do wykrywacza kłamstw i wszystko będziemy wiedzieć!

– Wyraża pan zgodę na badanie wariografem? – Zuzanna wtrąciła się, bo potrzebowali jego formalnej zgody na to badanie. – Wykrywaczem kłamstw?

– Oczywiście! – Tomasz Żyro w pierwszej chwili przestraszył się wrzasków Buczka, ale teraz odzyskał pewność siebie. – W każdej chwili jestem gotowy na takie badanie, bo wasze zarzuty są absurdalne. Owszem, napisałem do Artura kilka głupich wiadomości. Za dużo wtedy wieczorem wypilem. Byłem wściekły, kiedy dziewczyny powiedziały mi, że z nim odchodzą. Zgodziłem się wcześniej na jego warunki, ale o tym nie było mowy. Byłem na niego zły, może nawet dałbym mu po gębie, jakbym go kiedyś na mieście spotkał, bo uważałem, że postąpił nie fair. Wszystkiego go nauczyłem i sporo mi zawdzięczał. Ale zabić? Czy wyście powariowali?

Komisarz Widacką przekonał. Oczywiście uważała, że trzeba dokładnie sprawdzić jego alibi, ale to, co mówił, wydawało się być prawdą. Buczek widocznie też stracił przekonanie co do jego winy, bo milczał, oddając inicjatywę Zuzannie.

– Zna pan Grażynę Janicką? – zapytała, przerywając ciszę.

– Siostrę Artura? – Żyro uspokoił się. – Osobiście nie, tylko mi o niej opowiadał.

– Co mówił?

– Ostatnio to był gorący temat. Mieli ziemię po rodzicach na wsi. Siostra znalazła kupca. Zdaje się, że właściciel stacji benzynowej po sąsiedzku... – szperał w pamięci. – Ciągłe do Artura wydzwaniała, bo potrzebowała tych pieniędzy. Podobno narobiła tu długów i wyjechała do Hiszpanii. Po trzech miesiącach wróciła, bo też tam pracy nie miała, czy coś. Naciskała na niego, ale Artur nie chciał tego sprzedawać. Mówił, że on teraz pieniędzy nie potrzebuje, że się rozejdą, a on chce zostawić coś synowi.

– Jednak zgodził się – Zuzanna była ciekawa, jak to skomentuje. – Podpisał umowę przedwstępną na sprzedaż tej nieruchomości.

– Czyli stąd miał mieć pieniądze – Żyro pokiwał głową. – Chciałem go zatrzymać, pytałem, czy jest świadom kosztów prowadzenia samemu działalności. Remont biura, meble, komputery, no i samochód, bo do tej pory jeździł firmowym. Powiedział mi, że pieniądze będzie miał. Pewnie miały być ze sprzedaży tej ziemi.

– Pewnie tak – Zuzanna złożyła dokumenty i zamknęła teczkę. – Mam jeszcze jedno pytanie. Czy był pan w szpitalu u Anny Janickiej przedwczoraj?

– Nie – mężczyzna był zaskoczony pytaniem. – Nie wiedziałem nawet, że jest w szpitalu. Co się jej stało?

– Nieważne – nie widziała potrzeby mówić mu nic więcej. – Już jest wszystko w porządku. To w tej chwili nie ma znaczenia.

46

Gabryś pomógł mu z bagażem, kiedy dojechali na miejsce. Cały dorobek życia trzydziestoletniego mężczyzny zmieścił się w trzech torbach. To byłoby przygnębiające, gdyby nie fakt, że jedna z nich była pełna pieniędzy. Tę zostawił na razie w samochodzie, wyszedł i spojrzał na dom Bogdana. Wyjął z kieszeni pęk kluczy i kolejno próbował wsunąć w zamek. Zanim zdążył trafić na ten właściwy, drzwi otworzyły się od wewnątrz i stanęła w nich Bożena. Nie była zaskoczona ich obecnością. Mimo wczesnej pory miała mocny makijaż i bardzo krótką sukienkę. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Była żona próbowała wyczytać z jego oczu, co teraz zrobi. On czuł swoją przewagę i delectował się sytuacją. Przeszedł przez drzwi obok niej bez słowa wyjaśnienia, położył torbę na ławie w salonie i rozejrzał się dookoła. Wspomnienia wróciły. Kiedy był tu pierwszy raz cztery miesiące temu, był innym człowiekiem. Oszukanym, ogołoconym z pieniędzy i odartym z godności. Dla ludzi z jego otoczenia nic się nie zmieniło, ale on odzyskał szacunek do samego siebie. Odpłacił wszystkim swoim winowajcom z nawiązką. Została tylko ona i dziś przysła jej kolej. Nic już do niej nie czuł. Była głupia i wulgarna. Teraz, kiedy poznał Annę, nie mógł zrozumieć, co właściwie w niej widział.

– Dzwoniła do mnie matka Bogdana i mówiła, że chcesz kupić ten dom – stała oparta o ścianę w seksownej pozie. – Zgodziła się, żebym tu mieszkała, dopóki czegoś nie znajdę.

Zrobiła pauzę, czekając na jego reakcję. Liczyła, że pozwoli jej tu zostać. Może nawet się nią zaopiekuje, skoro powodzi mu się tak dobrze, że stać go na dom. Sławek nie odezwał się. W milczeniu przeszedł z salonu do kuchni. Rozglądał się wokół, taksując meble i sprzęty.

– Szukam cały czas jakiegoś małego mieszkania – ciągnęła niepewnym głosem, idąc za nim. – Jak coś znajdę, to zaraz się wyprowadzę.

Włączył ekspres do kawy, zagłuszając jej ostatnie słowa. Traktował ją jak powietrze. Wyjął dwa kubki z oszklonej szafki.

– Gabryś, chcesz kawy?! – zawołał w stronę korytarza, gdzie stał Wiesiek. – Chodź do kuchni!

– Może zrobię wam coś do jedzenia? – Bożena podeszła do lodówki. – Jajecznice wam usmażę.

Gabryś wszedł do kuchni i usiadł nieskrępowany przy stole. Patrzył to na Sławka, to na tyłek Bożeny. Niuanse subtelnej rozgrywki między byłymi małżonkami w ogóle go nie obchodziły.

– To jest moja była żona – Sławek postawił przed nim kubek z gorącą kawą. – Pamiętasz? Opowiadałem ci o niej w więzieniu.

– Nie pamiętam.

– A może rzeczywiście ci nie opowiadałem? – odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko niego. – Bo i czym tu się chwalić? Że się puściła z moim najlepszym przyjacielem? Albo że mnie zostawiła, kiedy byłem w czarnej dupie? Przez całe dwa lata odsiadki nie przyniosła mi jednej pierdolonej paczki.

Bożena słuchała i z każdym kolejnym zdaniem wątpliwości co do jego zamiarów znikwały, a wraz z nimi nadzieja, że pozwoli jej ze sobą zamieszkać. Po cichu na to liczyła. Wczoraj dowiedziała się od matki Bogdana, że wynajęli mu dom, a za kilka dni, po zakończeniu spadkowych formalności, mają mu go sprzedać. Pomyślała nawet, nie bez satysfakcji, że chyba wciąż ją kocha i tym sposobem chce ją odzyskać. Grubo się myliła. Teraz nie miała gdzie się podziać, więc postanowiła podjąć ostatnią desperacką próbę.

– Przepraszam – wyszeptała, patrząc w podłogę. – Wynagrodzę ci to.

– Musisz przeprosić inaczej – wstał i patrzył na nią zimno. – Tak, jak umiesz.

Nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała. On taki nie był, był inny niż oni wszyscy. Niż Bogdan i Bury. To nie było w jego stylu.

– No, to jak? – dotknął rozporka. – Chcesz tu zostać?

Teraz nie miała już wątpliwości, czego od niej chce, i mocno ją to zaboląło. On zawsze traktował ją z szacunkiem. Spojrzała na siedzącego przy stole Gabrysia, który przyglądał się im z zaciekawieniem.

– Wieśka się wstydzisz? – podążył za jej wzrokiem i uśmiechnął się szyderczo.

– Niepotrzebnie, jemu obciągniesz po mnie.

Ścisnęło ją w gardle. Patrzyła na niego błagalnym wzrokiem, ale był nieugięty. Stał i czekał.

– Proszę...

– Jeśli chcesz tu zostać, to musisz poprosić na kolanach.

Podeszła powoli. Jej ruchy nie były już seksowne i uwodzicielskie. Na jej twarzy malował się smutek. Uklękła niezgrabnie najpierw na jedno, potem na oba kolana. Włosy opadły jej na twarz. Zerkając, sięgnęła do jego rozporoka i odsunęła zamek.

– Spójrz na mnie! – rozkazał.

Założyła włosy za ucho i powoli podniosła wzrok. Patrzył na nią z pogardą.

– Jesteś zwykłą szmatą i brzydzę się tobą! – zasunął rozporek, ominął ją i skierował się do drzwi. – Masz godzinę. Jak wrócę i jeszcze tu będziesz, to wypierdolę na ulicę ciebie i wszystkie twoje manele.

Wyszli, zostawiając ją klęczącą na środku kuchni.

47

Anna uchyliła furtkę i szybkim krokiem weszła na podwórko. Dawno nie czuła takiej ekscytacji. Strach i podniecenie tworzyły mieszankę, przyprawiając ją o przyjemny chaos w głowie. Zapukała, a on prawie natychmiast wpuścił ją do środka. W korytarzu uśmiechnęła się niepewnie, ale oboje wiedzieli, co się za chwilę wydarzy. Ostatnio widywali się codziennie, ale dziś zamiast w kawiarni, umówili się w jego domu. Nie musiał jej namawiać, czy przekonywać, bo ona też tego chciała. Zresztą rozmowa na ten temat byłaby krępująca. Woleli przemilczeć ten dziwny etap romansu, kiedy bardzo chcą być ze sobą blisko, ale jeszcze się tego wstydzą. Chociaż w Sławka przypadku właściwszym określeniem niż wstyd była obawa, czy stanie na wysokości zadania. Czy będzie dla niej wystarczająco dobry, lepszy niż mąż. Zdjął z jej ramion płaszcz i powiesił na wieszaku.

– Chodź – wziął ją za rękę i zaprowadził na górę.

Między opuszczonymi roletami do wnętrza sypialni wpadały promienie słońca, przecinając półmrok i nadając jakby magiczną aurę tej chwili. Stała nieruchoma, śledząc każdy jego ruch. On powoli, skupiając całą uwagę na tej czynności, rozpiął małe guziki jej czarnej bluzki, którą zsunął z jej ramion. Stanął za jej plecami. Po chwili jej spódnica opadła na podłogę. Rozpiął biustonosz, uwalniając jej jędrne piersi. Teraz usiadł na łóżku przed nią i dotykał, wodząc wzrokiem za wędrującymi palcami. Zachwycony i zdziwiony, jakby dopiero poznawał kobiece ciało. Pozwoliła mu na to. Stała w bezruchu, płytko oddychając. Jego dłonie okrążyły jej biodra. Jej ciało lekko drżało, kiedy palcami piał się do góry. Pogładził wierzchem dłoni piersi, po czym ujął je i ścisnął. Westchnęła i zamknęła na chwilę oczy, by je zaraz otworzyć. Nie chciała przegapić ani sekundy ze zmysłowego przedstawienia. Powoli zdjął z niej białe

majtki, całując brzuch, jakby chciał odwrócić jej uwagę od tej najbardziej intymnej z intymnych czynności. Wsunęła palce w jego włosy, złapała i w nagłym uniesieniu mocno przycisnęła jego twarz do swojego ciała. Ujął pośladki i całował uda. Westchnęła cicho i postawiła stopę na jego kolanie. Była blisko. Nagle przerwała pieszczoty, pchnęła go na łóżko i szarpiąc się z kłamrą, rozpięła pasek. Chciał jej pomóc, ale odepchnęła gwałtownie jego ręce i sama rozpięła spodnie. Teraz on był bezwolnym obiektem jej namiętności. Była zupełnie naga, a on wciąż prawie ubrany. Klęknięta na łóżku nad nim, usiadła i najpierw powoli, potem szybciej kilkoma ruchami bioder rozkołysała sufit sypialni.

Parę minut później leżeli już oboje nadzy, zaplątani w zmiętej pościeli. Nieskrępowani i bliscy sobie, jakby zburzyli między sobą mur przesądów. Przytuleni i spełnieni. Podniecenie powoli opadło i każde pogrzyżyło się w swoich myślach.

– Skąd znasz rodzinę Gabrysiów? – zapytała, patrząc w okno.

– Siedziałem ze starszym w więzieniu – rzucił jakby od niechcenia.

– Przestań – szturchnęła go. – Poważnie pytam.

– Moja matka pochodzi z tej samej wsi – skłamał. – Wszyscy ich tam znają.

– Ale tylko ty przejąłeś się losem chłopca – dodała jakby od siebie. – Chcę go zabrać na jeden dzień do swojego domu.

– Co? – uniósł się na łóżku i pokręcił przecząco głową. – To nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego tak mówisz? – odwróciła się w jego stronę i oparła na łokciu. – W gabinecie nic więcej nie zdołałam. Zdobyłam jego zaufanie, ale żeby zrobić kolejny krok w leczeniu, muszę się do niego naprawdę zbliżyć. W przychodni jest jak w laboratorium, on cały czas czuje się tam jak królik doświadczalny. Chcę, żeby się otworzył, przestał traktować mnie jak lekarza, a zaczął jak przyjaciela. Doktorowi do końca nie można zaufać, przyjacielowi tak.

– No to weź go po prostu do restauracji.

– Nie – opadła na łóżko. – To nic nie da. To też sztuczne otoczenie. Wokół obcy ludzie, kelnerzy, wszystko według ustalonych zasad. Nie ma tu miejsca na intymność i jego spontaniczną reakcję.

– Może to i lepiej.

Sławek spędzał teraz z chłopakiem sporo czasu. Miał okazję przyjrzeć się mu i wyczuwał w nim jakiś dziwny chłód. Czystą, niezmaconą wyrzutami sumienia skłonność do złego, która prawdopodobnie była wynikiem choroby. Opis zespołu zachowań, jakie miały towarzyszyć schorzeniu, uświadomił Sławkowi, że młody Gabryś wykazywał wyraźną tendencję do przemocy. Diagnoza była trafna. Pamiętał, jak uparł się, żeby wziąć udział w niebezpiecznej akcji porwania syna Wagnera, a potem ciągle kręcił się w pobliżu więźnia. Od jakiegoś czasu Sławek podejrzewał, że rany na ciele uprowadzonego chłopca również były jego sprawką. Co do przebiegu wydarzeń, które doprowadziły do śmierci porwanego, też miał sporo wątpliwości. Starszy Gabryś był jak ich ojciec. Okrutny, ale na swój sposób pragmatyczny. Nie wahał się przed zadawaniem bólu ani nawet odebraniem człowiekowi życia, jednak same w sobie sprawiały mu żadnej przyjemności. Robił co trzeba. Najmłodszy z rodziny był inny. Na widok cierpienia i krwi jego oczy nabierały blasku. Nie, jego wizyta u niej w domu to zdecydowanie zły pomysł.

48

Anna pochyliła się nad piekarnikiem i ustawiała pokrętko temperatury. Młody Gabryś wykorzystał ten moment, żeby swobodnie rozejrzeć się po eleganckiej kuchni. Meble były tu białe i czyste jak śnieg pierwszego dnia zimy. Proste wysokie szafki stały równo. Niczego nie trzeba było podpierać ani zasłaniać. Woda wypływała z błyszczącego kranu i znikła w zlewie, z którego nikt jej nie wylewał. To zjawisko niezmiennie wprawiało go w konsternację – nie miał pojęcia, gdzie się podziewa. W domu nie mieli kanalizacji, w szkole też się tego nie dowiedział, bo ojciec nigdy go tam nie posłał. Raz nawet dyrektor lokalnej podstawówki próbował coś zaradzić i wyegzekwować jego obowiązkowe kształcenie, ale po wizycie w domu pod lasem dał sobie spokój. Stary przywitał go z widłami w garści i posępną miną. Pedagog doszedł zatem do słusznego wniosku, że lepiej mieć we wsi jednego analfabetę niż cztery dziury w plecach. Wszyscy w okolicy woleli omijać starego Gabryśia i jego gospodarstwo, dlatego nikt więcej nie upominał się o edukację chłopaka. Wygodniej było zapomnieć i do sprawy nie wracać. Za wsią nie obowiązywało już prawo, przynajmniej w tak błahych sprawach jak podbieranie drewna z lasu czy nauka dzieci. Po co się narażać? Anna była pierwszą osobą, poza Sławkiem, która naprawdę zainteresowała się chłopcem. Dlatego teraz siedział w jej kuchni i rozglądał z ciekawością wokoło. Wszystko mu się tu podobało, a najbardziej ten śmieszny wysoki stółek, na którym go posadziła. Obok niego, na takim samym taborecie, w kuchennym fartuchu klęczał mały chłopiec i zadowolony gapił się, jak ściskane ciasto wyłazi między palcami jego drobnych piąstek. Anna podała małemu wałek i posypała stolnicę mąką.

– Bartuś, placek teraz zrób – Gabryś drgnął na dźwięk tego imienia.

Chłopczyk z wysuniętym z przejęcia językiem zabrał się do roboty, a ona spojrzała w stronę gościa.

– Piekarnik już się grzeje, trzeba jeszcze pokroić pomidory i paprykę – postawiła przed Gabrysiem miskę z umyтыми warzywami i podała mu fartuch. Zrobiła to w naturalny sposób, jakby jego obecność tu i pomoc nie była niczym nadzwyczajnym. – Pokrój w takie grubsze plastry.

Na zachętę posłała mu uśmiech, odwróciła się i pochyliła nad synkiem. Gabryś spojrzał na delikatną długą szyję pani doktor i oblizał spierzchnięte wargi. Upięte w kok włosy podkreślały jej smukłość. Powoli przełożył fartuch przez głowę i zawiązał z tyłu, żeby się nie pobrudzić. Wyjął ze stojaka nóż z dobrze wyprofilowaną rękojeścią. Wybrał ten największy z zestawu. Czuł się dziwnie, ale nikt na niego nie zwracał uwagi. Anna walczyła z synkiem, próbując nadać ciastu kształt choć trochę zbliżony do koła. Była odwrócona do gościa plecami. Obrócił nóż ostrzem w drugą stronę – teraz idealnie leżał w dłoni. Kobieta i dziecko śmiali się, zabierając sobie ciasto. Gabryś odszukał w pamięci obraz matki, ale to nie było łatwe. Prawie jej nie pamiętał. Zniknęła z domu i jego życia zaraz po urodzeniu Bartusia. Pani doktor była dobrą mamą, ale innego chłopca. Malec dmuchnął i mąka poleciała Annie w oczy. Śmiali się. Jedno z nielicznych wspomnień jego matki też było związane z kuchnią – zbiła go drewnianą łyżką po palcach, kiedy podbierał farsz. Bolało i za karę potem nie dostał pierogów.

– Nie ma keczupu! – wyrwała go z rozmyślań. Szybkim ruchem zdjęła swój fartuch i rzuciła na krzesło. – Pójdę do sklepu, za moment będę z powrotem.

W chwili, kiedy zamknęła za sobą drzwi, poczuła pierwsze ukłucie w matczynym sercu. Zeszła szybko po schodach. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie biec. Wychodząc z klatki schodowej, poczuła drugie ukłucie. Zawahała się, czy nie wrócić, ale wyszła na zewnątrz i ruszyła w stronę osiedlowego sklepiku, ściskając w dłoni portfel. Zastanawiała się, co zrobi, jeśli będzie kolejka. Nawet dwie osoby. Okłamię, że zapomniała wyłączyć zupę. Jeżeli jej nie wpuszczą, wyjdzie. Mogą zjeść bez keczupu. Na ostatnich kilku metrach

przyspieszyła. Miała już wejść do środka, kiedy ktoś chwycił ją za ramię i odwrócił.

– Co ty tu robisz?! – Sławek dyszał ciężko, musiał do niej biec. – Gdzie Gabryś?

– Na górze – już wiedziała, że popełniła błąd. – Wyszłam po keczup!

– Zostawiłaś go samego z twoim synem?! – spojrzał w okno mieszkania.

– Tak – podążyła za jego wzrokiem z nadzieją, że w oknie zobaczy uśmiechniętą twarz synka, ale nikogo tam nie było. – Na chwilę tylko.

– Kurwa mać! – złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

Dopadli wejścia i biegli po schodach na górę. Puścił ją przodem, bo nie wiedział, które drzwi prowadzą do jej mieszkania. Nagle usłyszeli przeraźliwy krzyk dziecka. Anna od razu rozpoznała głos synka. Rzuciła się w tamtą stronę i w kilka sekund była pod drzwiami. Wpadała do środka i stanęła jak wryta w progu kuchni. Nie odwracając się, gestem ręki powstrzymała Sławka. Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi. Zatrzymał się, ale powoli podszedł i stanął za jej plecami. Zajrzał do kuchni i zobaczył klęczącego na podłodze Gabrysia, tulącego zapłakanego malca. Chłopczyk, pochlipując, obejmował go za szyję.

– Oparzył się – Gabryś odsunął go i wstał niepewnie.

Mały zobaczył Annę, pokazał palcem na piekarnik, rozpłakał się rzewnie i utonął w matczynych ramionach. Pocałowała go i przytuliła, ale cały czas patrzyła na Gabrysia. Sławek wycofał się powoli, oparł plecami o ścianę w korytarzu, zamknął powieki i wypuścił z płuc powietrze. Kiedy otworzył oczy, Anna stała przed nim.

– Słyszałeś? Odezwał się – uśmiechała się szeroko. – Idź do domu.

– Wszystko w porządku?

– Tak, ale idź już wreszcie – wypchnęła go delikatnie przez drzwi. – Przyjdę do ciebie wieczorem, to porozmawiamy. Mąż zabiera Bartka na kilka dni do swojej matki do Mikołowa. Zostanę dziś na noc.

Pocałowała go szybko, wypchnęła oszołomionego na klatkę i zatrzasnęła mu przed nosem drzwi. Na świeżym powietrzu powoli doszedł do siebie. Tak bardzo

przyzwyczał się do tego, że zło na tym świecie zwycięża, że nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Zanim wrócił do samochodu, kupił keczup, postawił pod drzwiami jej mieszkania, zadzwonił i odszedł.

49

Świtało już, gdy zatrzymał busa przy starym ogrodzeniu i wyłączył silnik. Rosnące w rowie krzaki leszczyny zasłaniały auto. Był zapobiegliwy, choć jadąc o tej porze przez wieś, nie spotkali żywego ducha. Mikołów spał pogrążony w ciszy. Stanął tak, aby widzieć zaparkowaną na podwórzu toyotę, samemu pozostając niezauważonym. W oknach murowanego domu było ciemno, nikt jeszcze nie wstał. Spojrzał na zegarek na desce rozdzielczej, dochodziła piąta. Sporo przed czasem, ale wolał być wcześniej, żeby nie przegapić ich wyjazdu. Zresztą nie mógł już wysiedzieć w domu. Nie spał tej nocy. Nawet nie położył się do łóżka.

Wiesiek początkowo mu towarzyszył, ale wytrzymał do dwunastej. Wykorzystał moment, kiedy zatopiony w myślach Sławek zamilkł na chwilę i wyłożył się po cichu na kanapie. Jego towarzysz nie budził go, wolał te ostatnie godziny spędzić sam ze sobą. Nikt nie zrozumiałby tego, co czuł, a już na pewno nie jego stary kumpel. Dla Gabrysia wszystko, co wykraczało poza potrzeby fizjologiczne, było tajemnicą, a sfera uczuć pozostawała całkowicie nieodkryta. Z abstrakcyjnych pojęć tylko chęć posiadania nie była mu obca – chociaż ona się nie liczy, bo jest wpisana w naturę człowieka tak mocno, jak potrzeba oddychania.

Sławek schylił się teraz pod kierownicę, żeby ukryć blask płomienia zapalniczki i przypalił papierosa. Pomagało mu to zachować jako taką równowagę. Poprzednie dni były prawdziwym rollercoasterem emocji. Ostatnie trzy noce Anna spędziła u niego. Zresztą nie tylko noce. W ciągu dnia też byli prawie nierozłączni. Pod nieobecność męża zaglądała do swojego mieszkania tylko na chwilę po pracy, żeby pokazać się sąsiadom. Nie mogli iść razem do

restauracji czy kina, bo ktoś z jej znajomych mógłby ich zobaczyć i donieść mężowi. Cały ten czas spędzali więc w jego domu, głównie w sypialni. Jemu to nie przeszkadzało. Bynajmniej. Czuł się jak w niebie. Rozpieszczał ją, a ona mu się odwdzięczała swoim śmiechem. Była taka radosna. Widział to w jej oczach, dlatego wczoraj po romantycznej kolacji, którą zjedli w łóżku, przedstawił swój plan, a raczej świetlaną wizję ich wspólnego życia.

Mieli wyjechać razem – żyć długo i szczęśliwie. Dziś rozwód to nic nadzwyczajnego, a z mężem przecież nic już jej nie łączyło. Inaczej by jej tu nie było. On sprzedałby dom i kupiliby mieszkanie. Zostałoby jeszcze coś na początek. Zresztą pieniądze nie były najważniejsze, daliby sobie radę. Mieli przecież siebie, reszta by się ułożyła.

Patrzył na nią pełen nadziei i optymizmu. Najpierw zmarkotniała, a potem smutno się uśmiechnęła. Zobaczył w jej oczach litość, a może nawet politowanie. Ujęła jego dłoń i przytuliła do policzka. Kilkoma zdaniem zgasiła jego entuzjazm. Mówiła mu, że go kocha, że jest wyjątkowy. Nigdy jednak niczego mu nie obiecywała. Był jej bratnią duszą, drugą połówką pomarańczy, ale za późno się spotkali. Powiedziała, że ma już rodzinę – męża i synka. Nie może ich zostawić.

„Nie może, czy nie chce? ”. Poczł się oszukany. Znowu. Nie wytrzymał i powiedział jej kilka cierpkich słów. Nie myślał tak, nie uważał, że jest zwykłą kurwą. W życiu by się w ten sposób o niej nie wyraził, gdyby nie stracił głowy. Gdyby tak nie bolało. Przecież bardzo ją kochał. Czuł gorycz wielkiego rozczarowania i pulsujący gniew. Słowa same wypłynęły z niego jak żółć. Wstała i zaczęła się ubierać. Nie, nie mógł tak po prostu pozwolić jej spokojnie wyjść. Zostawić go samego w ciepłej, pachnącej jeszcze jej ciałem pościeli. Wyrzucił ją więc, prawie zepchnął ze schodów. Uciekła zapłakana, a on trzasnął drzwiami, usiadł na podłodze w korytarzu i też się rozpłakał. Potem pojechał za nią, ale nie otworzyła mu drzwi, a zasłony były zasunięte.

„Boże, jakim był głupcem! ”. Zacisnął powieki i pięści. Niedopałek oparzył go w palce i uprzytomnił sobie, gdzie jest. Musiał to naprawić, po to tu przyjechał.

W jednym z okien murowanego domku zaświeciło się słabe światło. Spojrzał na zegarek, było już po szóstej. Nie pamiętał nawet, kiedy zapalił kolejnego papierosa. Zaciągnął się ostatni raz i zgasił niedopałek pod stopą. Obserwował dom przez następne pół godziny. Kolejne okna rozświectły się i blakły powoli za sprawą świecącego coraz mocniej słońca.

– Obudź się! – szturchnął drzemiącego obok Gabrysia.

– Co jest? – mężczyzna wyprostował się na siedzeniu i przetarł dłońmi twarz.

– Wstali – jego towarzysz wskazał dom ruchem głowy.

– Która godzina? – wciąż jeszcze zaspany spoglądał przez szybę.

– Pół do siódmej – otworzył butelkę wody. – Zaraz powinni wyjechać, żeby zdążyć na ósmą do przedszkola, bo dzisiaj miał go tam zawieźć.

Sławek upił kilka łyków i oddał Gabrysiowi. To obudziło go całkowicie. Po kilku minutach usłyszeli głosy, trzaśnięcie drzwi samochodu i dźwięk zapalnego silnika. Toyota wytoczyła się powoli na drogę i odjechała w stronę Tarnobrzega. Sławek włączył silnik i ruszył za nią. Zachowywał odpowiedni dystans, tak żeby auto nie zniknęło mu z oczu, ale też żeby nie zwracać na siebie uwagi. Przejechał tę trasę wczoraj wieczorem dwa razy, a odcinek, który wydał mu się najbardziej odpowiedni do realizacji planu, dodatkowo kilkakrotnie. Wybrał fragment drogi zaraz za wsią. Był rzadko uczęszczany, natomiast przy jezdni przez kilka kilometrów gęsto rosły duże drzewa. Teraz zwolnił, bo toyota zajechała przed wiejski sklepik. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości, przy wjeździe do sąsiedniej posesji, i obserwował auto. Kierowca wysiadł i zniknął we wnętrzu sklepu.

– Zamknął samochód? – zapytał, patrząc w napięciu przed siebie. – Mignęły kierunkowskazy?

– Nie – Gabryś też był teraz czujny.

Sławek podjechał dalej i stanął tuż obok toyoty, zasłaniając ją busem od strony okna sklepu. Na półce obok kierownicy wyszukał pięć złotych. Zawsze leżało tu trochę drobnych do wydawania klientom. Miał na dłoniach rękawiczki, przetarł monetę o ubranie i podszedł do auta. Drzwi były otwarte, z tyłu na foteliku

drzemał chłopczyk. Sławek założył na głowę kaptur, klęknął na siedzeniu i wcisnął piątkę w zatrask pasa bezpieczeństwa kierowcy. Wracając, usłyszał za sobą dźwięk otwieranych sklepowych drzwi. Nie obejrzał się, wsiadł za kierownicę. Ta sprzyjająca okoliczność i jego przytomność umysłu zwiększały znacznie prawdopodobieństwo powodzenia planu. Wyjechali ze wsi, teraz należało wybrać odpowiedni moment. Wyczekać, aż na drodze nie będzie innych samochodów. Spojrzał przed siebie, a potem sprawdził w lusterku – droga była pusta. Przyspieszył i zbliżył się niebezpiecznie do jadącej przed nim toyoty, wymuszając na niej zwiększenie prędkości. Kierowca nacisnął mocniej gaz, przyspieszył najpierw do sześćdziesięciu, potem do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Wszystko szło zgodnie z planem. Spojrzał w lusterka i zaczął wyprzedzać. Mijane auto nie zwolniło. Sławek wychylił się zza Gabrysia i spojrzał przez boczną szybę, aby się upewnić. Tak, to był jej mąż. Gwałtownie skręcił kierownicę i ciężkie, załadowane paczkami auto uderzyło z impetem w małą osobówkę, wyrzucając ją prawie z drogi. Mężczyzna odruchowo skręcił tylko kierownicę w kierunku jezdni. Dwoma kołami złapał już pobocze. Kolejne uderzenie ciężkiego busa wypchnęło go całkiem z drogi, nie zdążył nawet zahamować. Całym impetem uderzył w przydrożne drzewo. Usłyszeli huk. Bus zatrzymał się kilkadziesiąt metrów dalej, kierowca wrzucił wsteczny i cofnął. Gabryś wyskoczył z samochodu, wiedział, co ma robić. Sławek został, myśli kłębiły się w jego głowie.

Za chwilę Anna będzie wolna. Oczywiście będzie to dla niej trudne przeżycie, ale on będzie jej oparciem w tych ciężkich chwilach. Pocieszy ją, pomoże przez to przejść. Może na niego liczyć. A gdy ból minie, będzie miała tylko jego. Tak oszuka czas i oboje znów będą mieli czystą kartę. Zapiszą ją razem.

– Załatwione, po chłopie – Wiesiek trzasnął drzwiami. – Jedź.

– A dzieciak? – silnik był cały czas włączony, ale mężczyzna nie ruszał. – Żyje?

– Nie wiem – kolega zaskoczył go tym pytaniem. – Chyba tak.

– Jego też.

– Co, kurwa?! – Gabryś chciał się upewnić, czy dobrze usłyszał. – O dzieciaku nie było mowy.

– Widział cię – Sławek mówił spokojnie, ale głos miał napięty. – Może nas wydać.

– Taki gówniarz? – zaśmiał się cierpko. – Nie pierdol!

– Jak co do czego przyjdzie, pokażą mu twoje zdjęcie i cię rozpozna, a potem trafią do mnie – wzrok miał utkwiony przed siebie. – Dołożę drugie dziesięć tysięcy.

Wiesiek zastanawiał się tylko chwilę.

– Czternaście – chwycił za klamkę. – Sąsiad za dwadzieścia cztery ciągnik sprzedaje.

– Dobra! – Sławek nie miał zamiaru się targować. – Szybko, póki nikt nie jedzie!

Gabryś wyskoczył z busa. Sławek obserwował w lusterku, jak otwiera tylne drzwi toyoty. Anna będzie miała tylko jego.

50

Zuzanna spojrzała na zegarek na desce rozdzielczej auta. Była za trzy jedenasta. Dała sobie jeszcze te trzy minuty, potem już do niej pójdzie. Od kwadransa siedziała w samochodzie zaparkowanym pod blokiem Anny Janickiej. Formalnie miało to być przesłuchanie świadka, ale tym razem role się w pewnym sensie odwróciły. To policjantka zastanawiała się, jak ukryć pewne fakty, a jednocześnie uzyskać istotne dla sprawy informacje. Anna nie знаła wszystkich ustaleń śledztwa. Dla niej mąż i syn zginęli w wypadku samochodowym. Samo to było tak dramatycznym przeżyciem, że kobieta sięgnęła po ostateczne rozwiązanie. Jeżeli dowie się, że jej bliscy zostali zamordowani, to wstrząs będzie niewyobrażalny. Wątpliwości Zuzanny pogłębiały słowa lekarki ze szpitala, które wciąż miała w pamięci. Zmarłym już nie pomoże, dobro tej kobiety jest teraz najważniejsze. Rozumiała to i współczuła jej na tyle, na ile potrafi współczuć wrażliwa, ale obca osoba. Nie mogła jednak pozwolić, żeby winowajcy uszło to na sucho. Nawet jeżeli dla wdowy i osieroconej matki miałyby to oznaczać szok, musi wykonać swoje zadanie. Bo co, jeżeli on zabije znowu? Ale co, jeżeli to Janicka znów targnie się na siebie? Tym razem skutecznie? Ślubowała strzec bezpieczeństwa obywateli, ale za cenę swojego życia, a nie innych. Nie, nie powie jej całej prawdy. W sumie przecież wersja z morderstwem to wciąż hipoteza, na poparcie której ma tylko poszlaki, żadnych twardych dowodów. Najpierw doprowadzi śledztwo do końca. Poza tym czas może tu mieć duże znaczenie, sprawa trafi do sądu za parę miesięcy, może po tym okresie kobieta będzie silniejsza i łatwiej to zniesie?

Pytań było więcej niż odpowiedzi, a i te były w większości pobożnymi życzeniami młodej pani komisarz. Zegarek pokazał pełną godzinę. Westchnęła

ciężko, otworzyła drzwi samochodu i pomaszerował na górę jak na ścięcie.

– Nazywam się Zuzanna Widacka i prowadzę dochodzenie w sprawie wypadku – w drzwiach pokazała swoją legitymację. – Możemy chwilę porozmawiać?

– Tak, proszę – Anna wpuściła kobietę do środka.

Miała na sobie dzinsy i golf – zważywszy na okoliczności, wyglądała raczej nieźle. Makijaż, choć niezbyt starannie wykonany, maskował worki pod oczami. Był jej desperacką próbą powrotu do normalności. Miała piękne kruczoczarne włosy. Wskazała policjantce wysoki stółek przy kuchennej wyspie, włączyła czajnik i zasypała kubki herbatą. Zuzanna miała nieodparte wrażenie, że wszystkie te czynności wykonuje mimochodem, jakby nie miały żadnego znaczenia. Jakby teraz była zupełnie gdzie indziej. Nawet nie zapytała, czy pani komisarz ma ochotę na herbatę.

– Przepraszam, jeżeli moja wizyta sprawia pani przykrość – Widacka ujęła postawiony przed nią gorący kubek w dłonie. – Ale musiałam przyjść, żeby zadać pani kilka pytań.

– Rozumiem. Jestem psychiatrą, więc wiem, co pani czuje – chciała jej to ułatwić, uśmiechnęła się nawet cierpko. – Niestety sobie nie potrafię tak łatwo pomóc, bo tu żadne sposoby nie zadziałają. Wie pani, jestem jak magik, który wykonuje numer przed lustrem. Nie robi na sobie wrażenia, bo dokładnie wie, że to nie żadne czary, tylko iluzja, tanie sztuczki.

– Nie będę pani pocieszać, bo nie potrafię – to było dziwne uczucie, ale Anna w kilka sekund stała się Zuzannie bliska. – Mam jednak nadzieję, że przetrwa to pani i kiedyś będzie jeszcze szczęśliwa.

– Wierzy pani w Boga? – Anna też poczuła do tej policjantki coś więcej niż sympatię. – Ja nie wierzę, a bardzo bym teraz chciała. Jako lekarz i naukowiec uważam, że jedynie to byłoby w stanie mi pomóc. Nawet nie Bóg, ale wiara w niego. Wszystko inne to tylko za słaby środek przeciwbólowy.

– Nie jestem lekarzem ani naukowcem, ale myślę, że jest jeszcze jedno lekarstwo – zamilkła na chwilę, jakby chciała upewnić samą siebie, że ma rację.

– To miłość. Bo miłość to nie iluzja, ale prawdziwe czary.

– To jak tańczenie na ich grobach. Ostrożnie z takimi radami – założyła włosy za ucho. – Niech panią nie zwiedzie mój spokojny głos, całe rano przepłakałam w pokoju synka, tuląc jego misia.

– Przepraszam, plotę głupstwa.

– Nie, to ja przepraszam – znów się smutno uśmiechnęła. – Minęła się pani z powołaniem.

– Za często to słyszę – odwzajemniła uśmiech, jednak szybko spoważniały. Pani komisarz uznała, że nie ma co już przeciągać sprawy. – Możemy zacząć? – Otworzyła notes. – To będą rutynowe, ale konieczne pytania.

– No to miejmy to za sobą.

– Czy pani mąż miał wrogów?

– Nie – Anna była lekko zaskoczona. Bardziej spodziewała się ustaleń w sprawie czasu czy trasy przejazdu męża.

– Nigdy nie słyszała pani, żeby ktoś mu groził?

– Nie – łzy stanęły jej w oczach. – Artura wszyscy lubili.

– A jakie miał stosunki z siostrą? – zanotowała coś i podkreśliła. – Wie pani, że mieli sprzedać nieruchomość odziedziczoną po rodzicach?

– Tak, Artur w końcu zgodził się na sprzedaż, bo chciał założyć własną firmę – łzy popłynęły jej po policzkach. – Namawiałam go na to od dawna. Ogólnie mówiąc, w jego pracy nie wszystko było, jak powinno. Grażynie też zależało na pieniądzach. Nawet wspominała kilka razy po wypadku, żebyśmy sprawę zamknęły, bo w przeciwnym razie zadatek będzie trzeba zwrócić, ale ja do tego nie miałam głowy, więc dała mi spokój. Choć ten facet strasznie ją nękał. Musiała się przed nim ukrywać, bo ją ciągle nachodził, i wrzeszczał, że nie wywiązała się z umowy. Nawet tutaj ją znalazł. Teraz jest u matki, dzwoniła do mnie do szpitala. Ma jutro przyjechać, bo torebkę zostawiła.

– A leki? – Widacka zapytała, nie odrywając wzroku od notatnika. – Te, które pani zażyła. Skąd pani miała?

– Wyjęłam z torebki Grażyny, kiedy ona spała – kobieta kręciła się teraz nerwowo, jakby krępowwały ją tamte wydarzenia. – Ale co to ma wspólnego z wypadkiem?

– Nic – pani komisarz zamknęła notes i schowała go do torebki. – To wszystko, dziękuję.

Wstały i ruszyły do wyjścia.

– Na sąsiadów może pani liczyć, wydają się bardzo przywiązani – zatrzymała się na chwilę i spojrzała na Annę. – Czy ich zachowanie w stosunku do pani synka nie niepokoiło panią?

– Lubili Bartusia, zwłaszcza Janek często go zaczepiał – pokiwała głową. – To dlatego, że nie mają dzieci. Chyba nie mogą.

– Jeszcze jedno – policjantka założyła torebkę na ramię. – W szpitalu pytał o pani zdrowie mężczyzna. Był w bluzie firmy kurierskiej.

– To Sławek, mój przyjaciel – uciekła oczami w bok.

– A nazwisko? – Widacka wyjęła notes i zapisała.

– Kosior.

Gospodyni przekręciła klucz w zamku i nacisnęła klamkę. Pani komisarz podała jej dłoń na pożegnanie i lekko uścisnęła, chcąc dodać otuchy. Anna zamknęła za nią i wróciła do kuchni. Upiła łyk letniej już herbaty i pogрузzyła się w myślach. Z zadumy wyrwał ją dzwonek do drzwi. Rozejrzała się po kuchni. Na blacie nie leżało nic, czego policjantka mogła zapomnieć. Otworzyła drzwi i stanęła zaskoczona.

– Romek? – na klatce stał zapłakany młody Gabryś. – Co się stało?

– To Sławek zabił Bartusia – drżał na całym ciele. – Z moim bratem.

– Co ty mówisz? – nie rozumiała jego słów.

– Sławek i mój brat zepchnęli samochód w drzewo, a potem ich zabili – pociągnął nosem. – Wszystko słyszałem, jak Sławek dawał Wieškowi za to pieniądze.

– To jakiś absurd! – oparła się o futrynę. – To niemożliwe.

– Sławek dał mu pieniądze i powiedział, że dziesięć za faceta i czternaście za dzieciaka – chłopak wytarł nos i oczy. – A mój brat zapytał, czy go na wesele z panią teraz zaprosi.

Anna bez słowa zamknęła przed nim drzwi. Stała tak chwilę, a myśli powoli klarowały się, jak zmacona woda. Odwróciła się i patrzyła w wiszące w korytarzu lustro. Podeszła bliżej i z nienawiścią spojrzała na swoje odbicie. Nagle z całej siły uderzyła głową i lustro pękło. Włosy opadły jej na oczy, ale wciąż widziała swoją twarz. Odchyliła się i walnęła ponownie. Lustro rozbiło się na drobniejsze kawałki i zabarwiło na czerwono krwią. Uderzyła kolejny i kolejny raz. Biła wciąż, rytmicznie, bez pośpiechu, aż przestała siebie widzieć. Lustro było całe potłuczone, a oczy i twarz kobiety zaląła krew.

51

Otworzyła powieki półprzytomna. Nie miała pojęcia, co się stało i gdzie się znajduje. Wszystko wokół wirowało, zmieniało barwy i kształty. Na zdrętwiałej, spuchniętej twarzy poczuła delikatny chłodny dotyk. Rany piekły, ale wilgotna szmatka dawała ukojenie rozpalonej skórze. Obraz wyostrzył się wreszcie i zobaczyła jego zatroskane oczy.

– Sławek...

– Boże, Aniu, coś ty sobie zrobiła?

Anna siedziała na kanapie. Nie pamiętała, czy sama tu przyszła, czy ją przeniósł. Klęczał teraz przed nią. Zmoczył szmatkę w stojącej obok misce i wyżał. Woda przybrała intensywny czerwony kolor. Najdelikatniej jak umiał dotykał jej poranionego czoła. Skaleczenia były głębokie, skóra rozchodziła się na boki. Prawy policzek miała mocno rozcięty i fałd skóry zwisał jej obok ust.

– Trzeba wezwać pogotowie – znów zmoczył ściereczkę. – Muszą to pozszywać.

– Nie podobam ci się już? – wyszeptała. – Nie ożenisz się ze mną?

– Co? – zeszywniał.

– Morderca...

– Przestań, Aniu! – odsunął się i spojrzał na nią. – Nie mów tak.

– Zabiłeś ich... – z oczu płynęły jej łzy.

– Bredzisz, masz wstrząs mózgu! – pokręcił głową.

– Morderca! Morderca! Morderca! – krzyczała na całe gardło.

Spanikował i uderzył ją pięścią w brzuch. Straciła oddech, a oczy rozszerzyły się jej nienaturalnie. Chwilę trwało, zanim chwyciła pierwszy haust powietrza. Wykorzystał to, że wciąż miała szeroko otwarte usta, i włożył jej do nich

zakrwawioną szmatkę. Głęboko, aż poczuła ją w gardle. W końcu złapała powietrze i starała się uspokoić oddech. Z zatkanymi ustami było to trudne. Próbowwała wypchnąć językiem knebel, ale wsadził go tak mocno, że nie mogła sobie poradzić. Sławek wstał z kolan i sięgnął do kieszeni bluzy. Wyjął taśmę, której w pracy używał do sklejanego uszkodzonych paczek. Owinął nią Annę kilkakrotnie, krępując ręce do tułowia. Była osłabiona i zrezygnowana. Przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami, patrząc w oczy. Była w nich mieszanka nienawiści, rozpacz i beznadziei. Ich wyraz świadczył, że ona zna prawdę. Nie wiedział skąd, ale nie miał wątpliwości, że wie wszystko.

Czyżby policja go namierzyła? Nie, wówczas by tu na niego czekali. Może sama się domyśliła? Ale jak? Gdzie popełnił błąd? To już nie miało znaczenia. To już nie była jego Anna. Twarz mu stężała. Stał za nią i chwycił pod ramiona. Siedziała wciąż bezwolnie, pozwalając unieść swoje ciało. Powoli, mozolnie przeciągnął ją do łazienki. Posadził skuloną na podłodze i oparł o wannę. Z kuchni zabrał ze stojaka duży nóż. Stał przed piecykiem w łazience i wyjął wtyczkę z gniazdka, żeby wyłączyć urządzenie i zgasić płomień palnika. Ujął żółty przewód i wolno przeciął go, uszkadzając instalację – uwalniając gaz. Przez chwilę wahał się, czy nie usiąść obok niej, ale ostatecznie postanowił wyjść z łazienki.

Spojrzał na Annę ostatni raz, nie wiedział co teraz do niej czuje. Odczuwał smutek i litość, ale nie dla niej, tylko dla samego siebie. Siedziała skulona, rozczochrane włosy spadały na jej pokiereszowaną twarz, ale to siebie żałował. Znów nie było mu dane zrealizować marzeń, a mógł ich oboje uszczęśliwić. Z wiszącego przewodu z sykiem ulatniał się gaz, w małym pomieszczeniu czuć go było już bardzo mocno. Stał na sedesie, zdjął plastikową kratkę wentylacyjną i zapchał otwór ręcznikiem. Uważał, żeby niczego nie dotknąć. Nóż też wytarł dokładnie i włożył na chwilę w jej dłoń. Na wszelki wypadek trzymał ją cały czas drugą ręką, żeby nie dźgnęła go w szale. Zabrał inny ręcznik, po czym wyszedł z łazienki, zamykając za sobą drzwi. Zwinął go i położył pod drzwiami, uszczelniając je dodatkowo od spodu. Improwizował, ale prosty plan

powinien zadziałać. Anna już raz próbowała popełnić samobójstwo, w tej sytuacji kolejna próba nikogo nie zdziwi. Okaleczyła się, a potem zatrwała gazem. Na nożu są jej odciski palców. Zabierze ich tajemnicę do grobu. Sławek musi tylko pamiętać, żeby po wszystkim zabrać knebel, ręcznik spod drzwi i zdjąć jej sweter. Policja na pewno znalazłaby resztki taśmy na włóknach i wyciągnęła właściwe wnioski. Usiadł na podłodze obok łazienki i czekał. Nie miał pojęcia, ile to potrwa, jak długo Anna tam wytrzyma. Postanowił poczekać dziesięć minut i sprawdzić.

Cofnął się myślami w czasie do ich pierwszego spotkania w jej gabinecie. Pierwsza rozmowa w kawiarni, a później romantyczna kolacja. Nigdy nie zapomni jej uśmiechu, kiedy pokazał jej przygotowaną niespodziankę. Był bardzo szczęśliwy. No i pierwszy raz, kiedy się kochali. Ależ ona była piękna. Aksamitna skóra i opadające włosy – rozsuwał je niczym zasłony, chcąc zobaczyć jej twarz w grymasie rozkoszy. Na pewno go kochała. Gdyby tylko miała odwagę pójść za głosem serca. Okazała się jednak tchórzliwa i ograniczona. Wybrała wygodę i święty spokój zamiast prawdziwej miłości, a teraz oboje przez nią cierpieli. To jej wina. On zrobił wszystko. Wszystko, aby byli razem. Spojrzał na zegarek, upłynęło dopiero pięć minut.

52

W połowie drogi na komendę Zuzanna przypomniała sobie, że nie zostawiła Annie prokuratorskiego nakazu przeszukania. Ta kwestia była bardzo istotna w kontekście późniejszego procesu sądowego. Niedopełnienie formalności mogło podważyć rzetelność działań policji podczas śledztwa, a tym samym wiarygodność poczynionych ustaleń i zdobytych dowodów. Zła na swoje gapiostwo zawróciła na najbliższym rondzie. Postanowiła nie odkładać sprawy i załatwić ją od razu. Szukała teraz miejsca do zaparkowania pod mieszkaniem Janickiej. Parking wokół bloku był zdecydowanie za mały jak na potrzeby zamożnych mieszkańców tej okolicy, bo każda rodzina miała tu przynajmniej dwa auta. Krążyła kilka minut, zanim jakiś samochód odjechał i miejsce się zwolniło. Tuż przy klatce schodowej stał żółty bus firmy kurierskiej. Idąc, minęła go, ale odwróciła się i rzuciła okiem. Zatrzymała się, a nawet cofnęła dwa kroki, żeby się upewnić. Prawy bok samochodu był wyraźnie uszkodzony, czarna listwa ochronna odstawała delikatnie. Przechodząc na tył auta, wyjęła z torebki telefon.

– Cześć! Komisarz Widacka – połączyła się z dyżurnym na komendzie. – Możesz sprawdzić samochód? Fiat ducato, numer rejestracyjny RTA 50385.

– Już – w telefonie słychać było energiczne uderzenia w klawiaturę komputera. – Właścicielem jest Władysław Durda, auto zarejestrowane na jego firmę. Usługi kurierskie Władysław Durda.

– OK! – nic jej to nazwisko nie mówiło. – I on nim jeździ? Czy zatrudnia kierowców? Są jakieś mandaty?

– Chwila – znów kilka szybkich stuknięć. – Jest jeden mandat za złe parkowanie, w Rzeszowie. Została wskazana inna osoba, Sławomir Kosior.

Zuzanna poczuła uderzenie adrenaliny. To nie mógł być przypadek. Dla pewności sprawdziła w notesie. Właśnie to imię i nazwisko podała Anna, kiedy spytała o odwiedzającego ją w szpitalu mężczyznę. Pielęgniarka wspomniała, że to był kurier, wszystko się więc zgadzało. Pewnie to on jest tajemniczym adoratorem, dla którego Janicka kupowała koronki. Teraz to nabrało znaczenia – zazdrosny kochanek miał motyw, aby pozbyć się jej męża. Synek pewnie zginął, bo był z ojcem.

– Mamy go w kartotece – z zamyślenia wyrwał ją głos dyżurnego. – Siedział w więzieniu.

– Ten Kosior to może być zabójca Artura Janickiego i jego syna – Zuzanna chciała przekazać to, co ustaliła, na wszelki wypadek. – Bus ma uszkodzony prawy bok. Możliwe, że mężczyzna jest teraz w mieszkaniu żony ofiary, Anny Janickiej. Idę na górę to sprawdzić. Przyślij mi radiowóz na Pogodną osiem przez szesnaście.

– Może pani komisarz poczeka? – dyżurny miał w pamięci jej poprzednie dochodzenie, którego omal nie przypląciła życiem. – Już wysyłam patrol, to niebezpieczny typ.

– Rozejrzę się tylko – Widacka ściszyła głos, bo była już na klatce schodowej. – Tej kobiecie też może grozić niebezpieczeństwo. Niech się pospieszą. I zawiadom aspiranta Buczka.

Kilka sekund później była już przed wejściem do mieszkania Janickich, nacisnęła delikatnie klamkę i drzwi się otworzyły. Powoli odbezpieczyła pistolet i uchyliła je szerzej. Panowała tu kompletna cisza. Ostrożnie weszła do środka i od razu poczuła zapach ulatniającego się gazu. Zrobiła kilka kroków w głąb korytarza. Patrzyła przed siebie, więc nie zauważyła leżącego na podłodze kawałka lustra. Nadepnęła na niego i w mieszkaniu rozległ trzask pękającego szkła. Zatrzymała się w bezruchu, kiedy zobaczyła siedzącego na podłodze mężczyznę. Dopiero teraz ją usłyszał, był zaskoczony i zdezorientowany. Miała nad nim chwilową przewagę. Kiedy wstał, zauważyła ułożony pod drzwiami

łazienki zwinięty ręcznik. Domyśliła się, po co go tam położył. Podążył za jej wzrokiem i uśmiechnął się. Jej przewaga zniknęła w jednej chwili.

– Nie radzę strzelać – stał teraz wyprostowany z lekko pochyloną głową. – Bo cały blok wypierdolisz w powietrze.

– OK, odkładam broń – uniosła obie ręce, rozkładając je na boki. Dała tym samym znak, że nie ma zamiaru go atakować. – Kładę ją na szafce.

– Mądrze.

– Anna jest w łazience? – kobieta położyła pistolet na stojącej w korytarzu komodzie. – Nic jej nie jest?

– Żyje, ale dużo czasu jej nie zostało – zrobił krok w jej stronę. – Jeżeli mnie teraz puścisz, to może zdążysz ją uratować.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie uciec przez balkon, ale stwierdził, że policjantka za dużo wie. Może nie zdążyła jeszcze nikomu o nim powiedzieć. Jeśli pozbędzie się jej, to będzie bezpieczny.

– Cofnij się w kąt przedpokoju – ruszył powoli w jej stronę. – Teraz wyjdę, a ty uratujesz Annę.

Wykonała jego polecenie. W tej chwili zależało jej, żeby jak najszybciej uwolnić ofiarę. Cały czas jednak obserwowała go czujnie. Kosior też nie spuszczał z niej oczu. Kiedy przechodził przez korytarz, w jednym z większych fragmentów rozbitego lustra leżących na podłodze błysnęło ostrze noża, który trzymał cały czas za plecami. Zuzanna próbowała wyczytać z ułożenia rękojeści w jego dłoni, w jaki sposób ją zaatakuje. Chciała przygotować obronę. Odbiła na taką okoliczność odpowiednie przeszkolenie w szkole policyjnej, ale to nie były ćwiczenia. To był prawdziwy morderca i trzymał w dłoni prawdziwy nóż. Serce waliło jej tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi. Nie pomyliła się – kiedy przechodził obok, rzucił się na nią z wysuniętym ostrzem. Odskoczyła i sparowała cios przedramieniem, wytrącając nóż napastnikowi. Błyskawicznie znalazła się za jego plecami, po czym chwytając za szyję, założyła duszenie. Kosior szybko zrozumiał, co się dzieje. W wąskim korytarzu podniósł nogę i z całej siły odepchnął się od ściany. Z impetem uderzyli w wiszącą za nimi

półkę. Zuzanna jęknęła boleśnie i upadła na podłogę. Ciężko sapiąc, spojrzął na nią, po czym schylił się po leżący w kącie korytarza nóż. Podniósł go, ale nie zdążył użyć. Silna ręka złapała go za nadgarstek, a druga wykręciła ramię. Kilkoma uderzeniami o ścianę ktoś wytrącił mu ostrze z dłoni.

– Utrzyma go pan? – Zuzanna nie czekała na odpowiedź. – Wciąż jeszcze obolała pozbierała się z podłogi i podbiegła do łazienkowych drzwi. Otworzyła je i wywlekła nieprzytomną Annę najpierw na korytarz, a potem do salonu. Z łazienki momentalnie rozszedł się po mieszkaniu gryzący zapach gazu. Widacka otworzyła na oścież balkon.

– Niech pani zamknie zawór gazu! – mężczyzna przycisnął mocniej twarz Kosiora do ściany, aż coś chrupnęło w szyi. – Żółta dźwignia obok piecyka!

Zuzanna wykonała jego polecenie i gaz przestał syczeć. W tym samym momencie usłyszeli na klatce schodowej tupot nóg, a po chwili kilku policjantów pojawiło się w mieszkaniu.

– Tego aresztujcie! – Zuzanna wskazała na Sławka. – Tego drugiego pana puśćcie, pomógł mi.

Policjanci zajęli się przestępcą, a mężczyzna przysunął głowę Anny bliżej drzwi balkonowych i zaczął reanimację nieprzytomnej kobiety. Widząc to, jeden z policjantów wezwał pogotowie.

– Janek, nic ci nie jest!?! – inny funkcjonariusz próbował zatrzymać panią Kornelię w drzwiach. – Janek!

– Idź do domu – jej mąż był spokojny, zachował zimną krew. Wciąż na zmianę wykonywał masaż serca i sztuczne oddychanie. – Zaraz będzie pogotowie, to przyjdę.

Zuzanna była jeszcze oszołomiona, ale powoli zaczęła się uspokajać. Wiedziała, kto ją uratował, ale to nie był odpowiedni moment na podziękowania. Nie chciała go rozpraszać. Czowała ból po uderzeniu i upadku. Przestała myśleć o Annie, panu Janku i tym mordercy. Pomyślała o sobie i poczuła ogromny strach, jakiego nie odczuwała wcześniej, nawet kiedy morderca szedł na nią z nożem. Strach o swoje dziecko.

53

Pielęgniarka zapukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do gabinetu. Zuzanna leżała na łóżku za parawanem, a lekarz właśnie ścierał z jej brzucha papierowym ręcznikiem żel.

– Przepraszam, doktorze, na korytarzu jest mąż tej pani – spojrzała przyjaźnie na Zuzannę. – Czy może wejść?

– Tak – lekarz wyrzucił ręcznik do kosza. – Śmiało, zapraszamy.

Pielęgniarka wyszła, a po chwili w drzwiach ukazał się Rafał. Miał przestraszoną minę, rozchełstaną kurtkę i rozwiązanego jednego buta. Wśród aparatury wzrokiem szukał oczu żony.

– No, gdzie ty się podziewasz? – Zuzanna uśmiechała się niepewnie. – My tu z panem doktorem od pół godziny na ciebie czekamy.

– Boże, kobieto, nie denerwuj mnie! – jego strach za sprawą jej uśmiechniętej miny zmienił się już tylko w niepokój. Spróbował się nawet uśmiechnąć. – Jak się czujesz? Wszystko dobrze?

– Wszystko jest w porządku – doktor stwierdził, że pytania są skierowane do niego i czuł się w obowiązku zabrać głos. – Żona ma tylko kilka siniaków, a dziecko w żaden sposób nie ucierpiało.

– To dobrze – mężczyzna usiadł na stojącym obok taborecie. – Całe szczęście.

– Jest taka dzielna, jak mama – lekarz słyszał o bohaterskiej postawie swojej pacjentki i chciał zaserwować pani komisarz komplement. Za późno jednak ugryzł się w język.

– Dziewczynka? – Rafał spojrzał z rozczeniem na Zuzannę, a ta wzruszona pokiwała twierdząco głową.

– To co, jeszcze raz? – zadowolony, że nikt nie ma do niego pretensji o wyjawienie płci dziecka, doktor sięgnął po tubkę z żelem. – Pokażemy tacie?

Prosto z przychodni Rafał pojechał na ulicę Pogodną, gdzie dwie godziny wcześniej odbyła się policyjna akcja. Po drodze podkreślił głośność w radiu i podśpiewywał sobie zadowolony. Strach całkiem zniknął, a właściwie to zmienił się w euforyczny stan niepoahamowanej radości. W myślach przyrzekał, że spełni wszystkie obietnice złożone godzinę temu najwyższej instancji. Skoro On wysłuchał jego próśb i sprawił, że żona i córeczka wyszły cało z tej afery, to Rafał też się wywiąże. Choć nie był zbyt religijny, tam właśnie szukał dziś ratunku. Wstydził się sam przed sobą, bo musiał przyznać, że jego wiarę najlepiej opisywało porzekadło: „jak trwoga, to do Boga”. No cóż, ludzka natura jest ułomna. Na szczęście dziś okazało się, że Pan Bóg nie jest małostkowy.

– Pan do kogo? – drzwi otworzył postawny mężczyzna.

– Do pana – Rafał domyślił się, że ma przed sobą pana Janka. – chciałem podziękować za uratowanie żony.

– Nie ma za co.

– Ona jest dla mnie całym światem...

– No to w takim razie jest za co.

– Jeżeli mógłbym się jakoś odwdzięczyć... – wyjął wizytówkę. – Coś dla pana zrobić...

Pan Janek przez chwilę przyglądał się mężczyźnie.

– Możesz mi postawić piwo – zdjął kurtkę z wieszaka i rzucił w głąb mieszkania: – Wychodzę na godzinę!

54

Bożena spojrzała na wizytówkę i podniosła na niego wzrok. Detektyw Marek Żak stał przed nią w całej swojej okazałości dwumetrowego mężczyzny. Znalazł ją bez większego trudu i to nie dzięki skomplikowanym detektywistycznym metodom, ale za pośrednictwem facebookowego konta. Zgodnie z badaniami naukowców każdy człowiek jest w stanie skomunikować się z dowolnym mieszkańcem kuli ziemskiej za pośrednictwem sześciu znajomych w sieci. Teoria ta, potwierdzająca wyświechtane powiedzenie, że świat to globalna wioska, sprawdziła się i tym razem. Okazało się, że detektyw i Bożena mają wspólną znajomą przebywającą na stałe w Berlinie. Zastał Bożenę w mieszkaniu jej matki – w pokoju, który od miesiąca zajmowała. Starsza pani wpuściła go, utyskując pod nosem na nieróbstwo córki. Detektyw zjawił się w ich mieszkaniu po wczorajszej rozmowie ze starym znajomym. Faceta znał jeszcze z czasów, kiedy razem byli zatrudnieni w rzeszowskiej policji. Kolega wciąż pracował w kryminalnej i w charakterze zawodowej ciekawostki opowiedział mu interesującą historyjkę. Jakiś czas temu ktoś porwał syna Wagnera, znanego lokalnego przestępcy, i do tej pory chłopaka nie odnaleziono. Wczoraj policja w Tarnobrzegu zatrzymała jakiegoś faceta w zupełnie innej sprawie, a w schowku jego auta znaleźli kopertę z dwoma uciętymi palcami. Szybko ustalili, że to palce uprowadzonego Patryka Wagnera. Mieli w komputerze odciski poszukiwanego pobrane przy okazji jakiegoś śledztwa wobec tatusia i teraz niespodziewanie się przydały. Detektyw Żak słuchał z zainteresowaniem, bo i historia była ciekawa. O Wagnerze również wiele słyszał, ale dopiero nazwisko zatrzymanego spowodowało u niego znaczne podwyższenie ciśnienia. Kosior, tak samo nazywała się przecież niewierna żona, którą śledził na zlecenie

męża. Przypomniął sobie teraz, że kochankiem był Bury – człowiek z otoczenia Wagnera, który zginął jakiś czas temu. Pamiętał też, że facet interesował się również synem Wagnera. Nie dawało mu to spokoju przez cały wczorajszy dzień, dlatego odnalazł kobietę, którą wtedy śledził i dziś przyjechał do Tarnobrzega.

– Ma pan fajki? – siedziała na starej, zdezelowanej wersalce, która kontrastowała z jej drogimi markowymi ciuchami.

– Proszę – wysunął jednego z paczki.

Poczęstował ją i sam zapalił. Z portfela wyjął sto złotych i położył na stole, a obok prawie pełną paczkę papierosów.

– Kiedy ostatni raz widziała pani swojego byłego męża?

– Jakiś miesiąc temu, może trzy tygodnie. Mieszka teraz w domu na Piastowie – nie wiedziała jeszcze o aresztowaniu Kosiora. – Kupił go od rodziców Bogdana.

– Miał tyle pieniędzy? – pamiętał, jak facet żalił się, że żona zostawiła go bez grosza. – Taki dom to pewnie z pół miliona kosztuje.

– Coś koło tego – zaciągnęła się i z rozkoszą wypuściła dym. – Miał pieniądze, bo nawet pokazał rodzicom Bogdana, żeby mu tę chatę zarezerwowali.

– Gotówkę? – to był istotny fakt; pieniądze mogły pochodzić z okupu.

– Chyba tak – wzruszyła ramionami.

– Sam był wtedy, kiedy się spotkaliście?

– Nie, z takim swoim przydupasem. Wsią od niego jechało, dosłownie. Śmierdział gnojem – chwilę grzebała w pamięci. – Miał takie głupie imię... O, wiem! Gabryś.

– Znasz go?

– Nie, oni w pierdłu razem siedzieli.

– Mąż siedział w więzieniu? – mężczyzna wyjął notes; stare policyjne przyzwyczajenie. – Gdzie?

– W Chmielowie – schowała papierosy i pieniądze, jakby bała się, że kiedy wszystko mu powie, to je zabierze. Życie nauczyło ją, by nie ufać mężczyznom. – Sławek mówił, że siedzieli w jednej celi i mu o mnie ciągle opowiadał.

– Dzięki – zanim wyszedł, stanął w drzwiach, ledwo mieszcząc się między starymi futrynami. – A tak z ciekawości, rozwiedliście się już?

– Nie – pokręciła przecząco głową. – Ale papiery są w sądzie, za porozumieniem stron. Podpisał wszystko.

Detektyw Marek Żak, jadąc do Rzeszowa, z samochodu zadzwonił do kumpla z kryminalnej, żeby podzielić się zdobytą wiedzą. Ten długo nie odbierał, a potem najzwyczajniej w świecie go spławił. Powiedział, że sprawę prowadzi CBS i że nie wie, z kim się skontaktować. A w ogóle to jest sobota i oddzwoni w poniedziałek. Detektyw nie miał zamiaru czekać. Nie wiedział, czy to, co odkrył, pomoże śledczym, ale jeżeli tak, to nie może czekać do poniedziałku. W sprawach o porwanie każda godzina była ważna, zwłaszcza dla uprowadzonego i jego rodziny. Postanowił więc pojechać do Wagnera. Pomyślał, że on z pewnością nie zlekceważy tej informacji i na pewno ma bezpośredni kontakt z funkcjonariuszami szukającymi jego syna. Z obwodnicy Rzeszowa skręcił w boczną drogę prowadzącą do dzielnicy, gdzie mieszkał Wagner. Nie musiał specjalnie prosić człowieka pilnującego domu, aby zaprowadził go do szefa. Wystarczyło, że wspomniał tylko o nowych informacjach w sprawie porwania syna, a ten od razu kazał mu iść za sobą. Miał wyraźnie słyszalny rosyjski akcent

Żak siedział w salonie na ogromnej kanapie, odpowiedniej do jego postury. Zastanawiał się przez chwilę, gdzie taką można kupić, ale szybko stracił zainteresowanie, kiedy uświadomił sobie, ile taki mebel może kosztować. Wagner zaskoczył Marka, nie tyle swoim pojawieniem się, ile wyglądem. Spodziewał się mocnego mężczyzny z surową twarzą, a zobaczył smutnego staruszka w kapciach i spodniach od pidżamy. Przekrwione oczy i ziemista skóra na policzkach świadczyły o nadużywaniu alkoholu, a kilkudniowy zarost i sterczące siwe włosy dopełniały żalostnego obrazu.

– Jesteś detektywem, tak? – Wagner podszedł do barku i nalał sobie kieliszek ciepłej wódki. – Podobno wiesz coś o moim synu.

– Wiem, kto go porwał. A być może i to, gdzie jest przetrzymywany.

– Zamieniam się w słuch – stary był jeszcze sceptyczny, ale detektyw już zyskał jego zainteresowanie.

– Wie pan, że policja znalazła wczoraj dwa palce syna?

– Nie – Wagner zbladł jeszcze bardziej. – Nic nie wiem. Gdzie?

– Aresztowali niejakiego Kosiora w sprawie wypadku drogowego i podczas rutynowego przeszukania jego samochodu znaleźli dwa odcięte palce pańskiego syna – Żak z natury nie był delikatny, więc i teraz nie owijał w bawełnę. – Doszli po odciskach palców.

– Zaczekaj chwilę! – Otworzył drzwi. Za nimi siedział na krześle ochroniarz, który przyprowadził tu Marka. – Oleg, jak się nazywał ten kierowca z Tarnobrzega, co z Bogdanem woził na początku towar, a potem poszedł siedzieć?

– Sławek Kosior.

Wagner bez słowa zamknął drzwi i usiadł naprzeciwko gościa. Detektyw zauważył ze zdumieniem, że jego oblicze zmieniło się nie do poznania. Wciąż był zarośnięty i nieuczesany, ale rysy i oczy były już innego człowieka. Takiego, którego nawet on – Marek Żak mógłby się przestraszyć. Największy strach budzi w ludziach nie siła fizyczna drugiego człowieka, ale świadomość, że nie ma on skrupułów w czynieniu zła. Wagner właśnie taki był. Nie miał żadnych hamulców i to było teraz wymalowane na jego twarzy.

– Gdzie go trzymają?

– W domu Kosiora go nie ma – detektyw wyprostował się i patrzył w oczy swojego rozmówcy. – Przejeżdżałem tamtędy i pełno tam policji. Gdyby znaleźli pańskiego syna żywego lub martwego, zawiadomiliby pana.

– O palcach nie powiedzieli.

– Ale o tym musieliby powiedzieć – Żak pokręcił głową. – W domu Kosiora go nie ma.

– Ja się ciebie nie pytam, gdzie mojego syna nie ma – Wagner potarł czoło. – Ty mi powiedz, gdzie jest.

– Ostatnio Kosior często przebywał w towarzystwie kolegi z czasów więzienia. Siedzieli w jednej celi, w zakładzie karnym w Chmielowie – otworzył notes, bo nie chciał przekreślić. – Gabryś. To może być imię albo ksywa.

– Gabryś? – stary zadał to pytanie bardziej sobie, ale nic nie przychodziło mu tym razem do głowy. – Coś jeszcze?

– Myślę, że ten Gabryś jest w sprawę zamieszany i może znać miejsce przetrzymywania pańskiego syna – rozłożył ręce. – Tyle wiem.

– Dobra! – Wagner otworzył drzwi, dając gościowi do zrozumienia, że rozmowa skończona. – Poczekaj na korytarzu, mój człowiek zaraz do ciebie przyjdzie i zapłaci ile chcesz.

– Sto złotych, tyle zapłaciłem za informacje.

Gestem głowy Wagner zawołał do salonu ochroniarza. Ten wszedł i zamknął za sobą drzwi. Czekał cierpliwie, kiedy szef zamyślony spoglądał w okno.

– Kogo ze strażników opłacamy w więzieniu w Chmielowie?

– Staszka, płacimy mu co miesiąc kasę za przemykanie grypsów i drobnych fantów.

– Powiedz mu, że ma się dowiedzieć, kto siedział w celi z Kosiorem – odwrócił się do niego twarzą. – Interesuje nas niejaki Gabryś. Niech ustali jego adres. Ma na to dwie godziny. Obiecuj mu grubą premię. Potem zadzwoń do trzech swoich, zabierzemy ich po drodze. Ubiorę się i za piętnaście minut wyjeżdżamy. A temu detektywowi zapłać, ile ci powie.

– Jasne.

– Aha, Oleg! – pierwszy raz od kilku tygodni stary się uśmiechnął. – Weź swoją teczkę z narzędziami, przyda się.

55

Sobczyk wszedł pierwszy. Za nim w drzwiach pojawił się komisarz Krzysztof Partyka. W pokoju siedział tylko Buczek, bo Zuzanna dostała kilka dni wolnego. Nie przeszkadzało jej to dzwonić kilka razy dziennie i dopytywać o postępy w śledztwie.

– To jest agent specjalny Andrzej Buczek – Sobczyk przedstawił go z poważną miną. – Siedem lat w legii cudzoziemskiej, biegła znajomość pięciu języków i doktorat z daktyloskopii. A to komisarz Partyka z CBS, prowadzi sprawę porwania Patryka Wagnera i zaciekało go nasze ostatnie znalezisko. Będziecie współpracować w sprawie Kosiora do powrotu komisarz Widackiej.

Wyszedł zadowolony z siebie, zostawiając ich samych. Aspirant wstał zza biurka i podał gościowi rękę. Pierwszy odezwał się komisarz Partyka.

– On tak zawsze? – wskazał ruchem głowy na drzwi, za którymi zniknął przed chwilą komendant.

– Lubi tak czasem popierdolić bez sensu – Andrzej machnął lekceważąco ręką.

– Masz co zapalić? Zapomniałem kupić papierosy po drodze.

– Nie palę – zobaczył, jak Buczek wstaje i sięga po kurtkę. – Wyślij kogoś.

– Człowieku, teraz to takie czasy, że zaraz by mnie oskarżyli o mobbing – zdjął kurtkę z wieszaka. – Zaraz wrócę.

– Czekaj! – cofnął go. – Wykręć do dyżurnego.

Buczek spojrzał na niego z zaciekawieniem, podał mu słuchawkę, a sam wybrał numer. Po chwili zgłosił się dyżurny.

– Mówi komisarz Krzysztof Partyka z Centralnego Biura Śledczego. Wyślijcie funkcjonariusza do sklepu naprzeciwko komendy i niech w celach dowodowych zakupi paczkę... – spojrzał pytająco na Buczka i ten szeptem podał nazwę

papierosów. – Cameli. Tylko niech ubierze rękawiczki, żeby nie zostawił na nich swoich odcisków palców. Tak jest, niech dowód dostarczy do pokoju aspiranta Buczka. Na jednej nodze.

– No i już wiadomo, dlaczego ty pracujesz za gruby pieniądz w CBS, a ja tutaj pierdę w stołek, co jeszcze czasy Gierka pamięta.

Zaśmiali się obaj. Andrzej przystawił dla gościa krzesło do swojego biurka, wyjął akta sprawy i rozłożył przed nim. Przedstawił w zarysie całe śledztwo w sprawie wypadku Janickich, która była tłem makabrycznego odkrycia w busie Sławomira Kosiora. Swoją relację ilustrował kolejnymi zdjęciami zrobionymi na różnych etapach dochodzenia. W końcu położył przed Partyką fotografię obciętych palców.

– Znaleźliśmy je w schowku jego busa w kopercie kurierskiej – koperta była na kolejnym zdjęciu. – Mocno już cuchnęły, kiedy ją otworzyliśmy. Nie wiem, po co ten zwyrol woził to ze sobą.

– Zeznał coś ciekawego?

– Nie, na razie odmawia zeznań – Buczek uruchomił komputer.

– W jego domu nic nie znaleźliście? – Partyka jeszcze raz na szybko przeglądał zdjęcia. – Jest tam ktoś teraz? Mogę tam podjechać?

– Nic nadzwyczajnego nie znaleźliśmy – kliknął myszką. – Cały czas jeszcze mundurowi przeszukują, bo to duży dom. Możesz rzucić okiem, adres ci napiszę.

– Dzięki! – widział, że policjant czegoś szuka w komputerze, więc czekał cierpliwie.

– Dostałem maila z laboratorium – odnalazł i otworzył wiadomość. – Przebadali dokładnie te palce. Znaleźli ślady obcej tkanki ludzkiej pod paznokciami. Musiał się bronić i zadrapał porywacza. Ale nie pokrywa się z materiałem biologicznym aresztowanego Kosiora. Ma więc współnika.

– Na pewno – Partyka potwierdził jego przypuszczenia. – Porwania nie dokonał jeden człowiek. Ustalenia wskazują na trzech mężczyzn.

– Technicy wykryli też na obciętych palcach ślady odchodów zwierząt gospodarskich: krów i świń.

– Czyli przetrzymują go w jakimś chlewie – to był konkret. – Trzeba zbadać, gdzie Kosior jeździł, gdzie się łączył jego telefon poza Tarnobrzegiem. Może w ten sposób odnajdziemy pozostałych porywaczy.

– Już to sprawdzamy.

– Będę też potrzebował kopii tych akt.

– Zrobi się! – Andrzej spakował dokumenty. – Każę wszystko skserować. Zrobiłbym ci kawy, bo trochę z tym zejdzie, ale czajnik mi się spierdolił. Idź do sekretariatu, Danusia lubi takich elegancików jak ty, to ci z ekspresu zrobi.

– Fajna ta Danusia?

– Zajebista! – mrugnął. – Też Gierka pamięta.

Zaśmiali się, ale szybko spowaźnieli, bo rozległo się pukanie i do pokoju wszedł mundurowy funkcjonariusz. W dłoni zabezpieczonej lateksową rękawiczką trzymał paczkę papierosów. Partyka wyjął z kieszeni foliową torebkę na dowody rzeczowe, otworzył jej strunowe zamknięcie i z namaszczeniem przysunął do młodego policjanta.

– Powoli – w napięciu patrzył jak ten wkłada paczkę do torebki, po czym zasunął strunowe zamknięcie i odetchnął, jakby właśnie rozbili bombę. – Ile zapłaciłeś?

– Nie trzeba.

– Jak się nazywacie, posterunkowy? – Partyka spojrzał mu z powagą głęboko w oczy.

– Filip Nowak.

– Dziękuję – uścisnął mu dłoń z wdzięczności za jego oddania sprawie.

Policjant zasalutował i wyszedł. Buczek parsknął śmiechem, a Partyka rzucił mu foliową torebkę. Andrzej bez ceregieli wyjął z niej paczkę i zerwał opakowanie.

56

Oleg zatrzymał czarnego volkswagena transportera z przyciemnianymi szybami przy drewnianej furtce. Rozejrzał się po okolicy. Pierwszy wysiadł Wagner, po nim on i trzech Ukraińców ubranych w czarne skórzane kurtki i białe adidasy. Stary Gabryś zobaczył ich i zsunął czapkę na tył głowy. Przerwał rąbanie drew, ale siekiery nie odłożył. Patrzył spode łba na przybyszów. Romek spojrział na ojca i wyjął wbite w gnój widły. Wieśka nie było w domu, rano pojechał zwieźć kradzione drewno z lasu i jeszcze nie wrócił. Oleg, cały czas ich obserwując, przeszedł na tył auta i otworzył podwójne drzwi. Kiedy przykręcał tłumik do swojego pistoletu, każdy z Ukraińców wyjął z wnętrza samochodu kij bejsbolowy. Minęli Wagnera i weszli na podwórko w gotowości, by rzucić się w pościg za swoimi ofiarami. Tamci jednak nie uciekali, choć nie mieli żadnych szans. Stary stał w bezruchu, a młody z widłami w ręce zatrzymał się kilka kroków za ojcem. Przy jego nodze szczyrzył kły wielki czarny kundel. Nie szczykał, jakby zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Jakby rozumiał, że ujadaniem nikogo tu nie przestraszy i że czeka go walka na śmierć i życie u boku swojego pana.

Mężczyźni przyspieszyli kroku, byli już blisko, a pies warczał gardłowo. Jeden z Ukraińców ruszył na nich pierwszy, stary Gabryś uniósł siekiere, a Romek puścił obrozę i pchnął psa, dając mu sygnał do ataku. Sam ujął widły w obie dłonie i natarł na napastnika. Pies w porę szarpnął za kurtkę i kij zamiast w głowę, trafił w ramię starego Gabrysia, trzaskając kości barku. W tym samym momencie siekiera utknęła w czole Ukraińca i jego twarz zalała krew. Młody wbił mu widły w brzuch. Nagle rozległ się przeraźliwy skowyt. Pies podbiegł kilka kroków z podkulonym ogonem, po czym zatoczył się i upadł. Oleg

wpakował jeszcze dwie kule w nieruchome już zwierzę. Młody Gabryś wyjął widły z brzucha martwego osiłka i rzucił się na Olega. Nie dosięgł go jednak, bo drugi z Ukraińców najpierw wytrącił mu uderzeniem kija widły, a po chwili ciosem w głowę powalił na ziemię. W powietrzu przez kilka sekund unosiła się czerwona mgiełka. Stary, z jedną ręką wiszącą bezwładnie wzdłuż ciała i uniesioną siekierą w drugiej, oddychał mocno przez zaciśnięte zęby, wypluwając drobinki śliny. Dwóch przyczajonych osiłków gotowało się, żeby zaatakować, ale uniesiona siekiera i szaleństwo w jego oczach powstrzymywały ich przed działaniem. Oleg wycelował i strzelił starem u stopę. Kula rozerwała gumowca i z buta wypłynęła krew. Stary jęknął, ale stał dalej, przenosząc ciężar z rannej stopy na zdrową nogę.

– Odlóż to! – krzyknął Oleg.

Jeden z nich zbliżył się, chcąc zabrać mu siekierę. Gabryś rzucił się w jego stronę, ale osilek był szybszy. Mężczyzna stracił równowagę, gdy próbował trafić Ukraińca, wywracając się przy tym. Ten odskoczył, a stary upadł bezwładnie w błoto. W tym samym momencie drugi doskoczył do niego i zaczął okładać kijem po głowie i plecach.

– Starczy, kurwa! – Wagner krzyknął z tyłu. – Ma być żywy!

Oleg odciągnął ich z trudem i stanął między nimi a skatowanym, leżącym w krwawej brei mężczyzną.

– Przeszukajcie dom, potem całe obejście – jego spokój powodował, że słuchali go bez szemrania. – Razem idźcie i uważajcie, gdzieś tu może być trzeci.

Sam został przy swoim szefie – na wypadek, gdyby pojawił się Wiesiek. Sprawdzał po kolei puls u leżących. Ukraińiec był martwy.

– Chłopak też jest trup – spojrzał na szefa.

– Kurwa mać! – Wagner zaklął pod nosem. – Sprawdź starego.

– Żyje.

Gabryś był nieprzytomny, ale oddychał. Oleg wyjął taśmę przemysłową i skrępował mu ręce z tyłu. Potem przyniósł z samochodu plastikowe worki i z Wagnerem włożył do nich martwe ciała. Jego ludzie przeszukali w tym czasie

dom oraz budynki gospodarcze. Nikogo tam nie było. Ciała zabitych i zwłoki psa wrzucili następnie na tył samochodu, a starego Gabrysia chwycili za nogi i zawlekli do obory. Tam Oleg przełożył odczepiony od psiej budy łańcuch przez wbity w sufit hak. Na nim zawiesili starego za nogi głową w dół. Hak był wytrzymały, służył do oprawiania świń. Podciągnęli ciało i zablokowali łańcuch tak, aby głowa znajdowała się metr nad betonową posadzką. Oleg chlusnął Gabrysiowi w twarz wodą z wiadra. Wagner kucnął, by mieć jego twarz na wysokości oczu.

– Gdzie jest mój syn? – głos mu drżał.

– W dupie! – stary wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Oleg spojrział na Wagnera, otrzymał przyzwolenie i skinął głową. Kazał jednemu z Ukraińców przynieść kanister z benzyną z samochodu, drugiemu – trochę porąbanego drewna i krzesło z domu dla Wagnera. W oborze nie było na czym usiąść, a wyglądało, że trochę to potrwa. Sam zdjął kurtkę, podwinął rękawy koszuli i otworzył swoją skórzaną teczkę, jaką noszą hydraulicy. Wyjął z niej ostry nóż. Powoli i metodycznie rozcinał ubranie ofiary: najpierw kurtkę, potem sweter, spodnie. Na końcu zdjął skarpety i zdarł slipy. Stary wisiał teraz zupełnie nagi, jego blade ciało kontrastowało z ubłoconą i zakrwawioną twarzą. Ułożył pod nim suche kawałki drewna. Wiszący mężczyzna kątem oka obserwował każdy jego ruch. Na jego oczach oblał skarpety benzyną i założył mu z powrotem na stopy.

– Zakneblować go?

– Nie – Wagner nachylił się. – Chcę słyszeć, dziadu, jak wyjesz z bólu.

Oleg wyjął zapalniczkę i podpalił. Kłęby czarnego dymu spowiły sufit. Po kilku sekundach rozległ się przeraźliwy wrzask, a wiszące ciało zaczęło wić się i rzucać. Trwało to około minuty – benzyna wypaliła się i ogień zgasł. Resztki materiału przylepione do zwęglonych stóp tliły się jeszcze, a spod czarnej, spękanej skóry wychodziła różowa tkanka. Smród spalonego ciała był trudny do wytrzymania. Jeden z Ukraińców nie wytrzymał i wyszedł na zewnątrz. Ofiara jęczała teraz, opadła z sił i wodziła wokoło wytrzeszczonymi oczyma.

– Gdzie jest mój syn?

– Nie żyje – Gabryś wydusił z siebie. – Przysięgam... Nie żyje...

Wagner poczuł, jak coś ścisnęło mu mocno serce. Czuł, jak życie z niego uchodzi, krew zastyga i przestaje płynąć w żyłach. Powoli opadały jego członki, tracił w nich władzę i czucie, a głowa osunęła się na pierś. Wydawało się, że to już koniec. Że pożegna się z tym światem. Jednak na swoje nieszczęście był silny. Umarła tylko jakaś jego część. Ta, która umiała się śmiać i marzyć, która czasem robiła coś dobrego. Pewnie odeszła do nieba. Na ziemi, w jego starym, pomarszczonym ciele zostało tylko zło. Czyste zło, czarne jak smoła. Miało mu towarzyszyć aż do końca jego dni. Uniósł głowę, otworzył oczy i spojrzał na Olega.

– Dowiedz się, gdzie jest ciało – zacisnął zęby. – A potem zabij go, ale bardzo powoli.

57

Rafał obudził się grubo po dziesiątej. Zebrał się w sobie i poszedł do łazienki. Głowa bolała go niemiłosiernie. Zdecydowanie za dużo wczoraj wypił z Jankiem i w dodatku strasznie namieszał. W szafce obok lustra znalazł jakąś tabletkę przeciwbólową, zażył i popił ją prosto z kranu. Potem usiadł na wannie i odkręcił kurek. Miał ochotę włożyć głowę do sedesu i spuścić wodę. Niewiele pamiętał z minionego wieczora, ale i to było zdecydowanie za dużo jak na jego skołatane nerwy. Na razie walczył z kacem alkoholowym, ale wiedział, że później przyjdzie czas na drugą rundę i będzie musiał zmierzyć się z kacem moralnym. Kąpiel trochę postawiła go na nogi, tylko w ustach mimo umycia zębów wciąż czuł nieprzyjemny smak wódki. Z kuchni dochodziły odgłosy cichej rozmowy. Zmarszczył czoło i zajrzał tam z korytarza. Przy stole siedziała Zuzanna i Buczek. Rafał zdążył jeszcze zobaczyć, jak Andrzej chowa coś pod stołem.

– A ty co tu robisz? – włączył ekspres i z wysiłkiem przeczekał, aż zmieli porcję kawy. – Nie w pracy?

– Przyszedłem dowiedzieć się, za co ty mnie tak bardzo szanujesz – Andrzej mrugnął do Zuzanny. – Bo wczoraj to jeszcze o pierwszej zadzwoniłeś, żeby mi to po raz dziesiąty oświadczyć.

– Daj że spokój, człowieku!

– Chociaż ja to nie wiem, czy cię szanuję – ciągnął dalej. – Bo jak przyjechałem do baru, to z jakimś facetem tańczyłeś.

– A ja, głupia, szminki na kołnierzyku szukałam! – Zuzanna też miała ubaw.

– Możecie już przestać? – zajrzał do lodówki i wyjął jajka. – I nie chowajcie tych akt.

– Jakich akt? – Andrzej szedł w zaparte.

– Tych, co je najpierw pod stół wsadziłeś – upił łyk kawy. – A teraz masz pod dupą.

Buczek wyjął papiery i schował do teczki. Rafał znalazł w zmywarce patelnię i manewrując między talerzami, starał się wyjąć ją bez hałasu.

– Czekał – Zuzanna ulitowała się. – Usmażę ci tę jajecznicę.

– Nie, sam sobie zrobię – spojrzał na nią. – Ty jedź z nim na komendę. Bez sensu ten urlop. I tak ciągle tylko wydzwaniasz i o tym myślisz.

– Przyszły wyniki z daktyloskopii – Zuzannie nie trzeba było dwa razy powtarzać. – Załatwimy szybko co trzeba i wracam.

– Jedź – ostrożnie wyjął patelnię i postawił na kuchni. – A ja tu sobie spokojnie umrę.

Zuzanna pocałowała go w policzek i kiwnęła na Andrzeja. Buczek, wychodząc, poklepał go po ramieniu.

– A tym wczorajszym tańcem to się bardzo nie przejmuj, nic ci z męskości nie ujął – rzucił na odchodne. – Ty prowadziłeś.

Wyszli. Został sam ze swoimi wątpliwościami. Wiedział, że musi swoje podejście zmienić, bo inaczej wszystko zepsuje. Przypomniał sobie słowa swojego ojca. Po wypadku, w którym omal nie zginął, matka robiła mu wyrzuty, że znów wsiada na motocykl. Przytulił ją wtedy i powiedział: „statki są bezpieczne w porcie, ale nie po to się je buduje, żeby tam stały z opuszczonymi żaglami”. Matka zrozumiała i nie zabraniała mu więcej. On też zrozumiał. Zuzanna zmieniała świat na lepsze, dosłownie. A on próbował jej to odebrać.

58

Na komendzie już czekał na policjantów raport z oględzin busa. Badanie potwierdziło, że to ten samochód brał udział w wypadku, który doprowadził do uderzenia w drzewo toyoty kierowanej przez Artura Janickiego. Oprócz linii papilarnych Kosiora, w szoferce technicy zidentyfikowali jeszcze jedno odciski palców. Należały do Wiesława Gabrysia. Śledczy przeanalizowali zebrane przez zespół techników dane i poszperali w policyjnej kartotece. Buczek zgodnie z wytycznymi komendanta informował o wszystkich ustaleniach komisarza Partykę z Centralnego Biura Śledczego:

– Swego czasu aresztowano go pod zarzutem morderstwa, ale ciała nie odnaleziono i z braku dowodów sprawę umorzono, a jego zwolniono – telefon był przełączony na tryb głośnomówiący, aby Zuzanna słyszała rozmowę. – Porównaliśmy termin i miejsce jego uwięzienia w areszcie z pobytem za kratami Kosiora i okazało się, że siedzieli przez prawie miesiąc w jednej celi. Mieli czas się ze sobą skumać.

– Sprawdziliście miejsce zamieszkania tego Gabrysia?

– Tak – Buczek skinął dłonią i Zuzanna podała mu odpowiednią stronę z raportu. – Mieszka w Rzeczycy. To wieś koło Kolbuszowej, między Tarnobrzegiem a Rzeszowem.

– Dobra – Partyka właśnie wracał do swojego hotelu w Rzeszowie, był więc niedaleko. Zjechał teraz do autobusowej zatoczki i zatrzymał samochód. – Napisz mi adres. Jeżeli to jest na wsi, to mogli tam przetrzymywać porwanego chłopaka. To by pasowało do śladów obornika na obciętych palcach. Zadzwoń na komisariat w Kolbuszowej, wezmę wsparcie i przeszukam to miejsce. Przy odrobinie szczęścia zawiniemy go jeszcze dzisiaj.

– Mamy też przyjechać? – on tu rządził. Buczek mógł tylko wyjść z inicjatywą.

– Nie, wyście już swoją robotę wykonali – w słowach policjanta z CBS wybrzmiała pochwała. – Ja się tym zajmę i dam wam znać, jak poszło.

Komisarz Partyka rozłączył się. Po chwili odczytał otrzymaną od Buczka wiadomość z adresem miejsca zamieszkania Gabrysia i wprowadził dane do nawigacji w telefonie. Aplikacja pokazała trzydzieści pięć kilometrów do celu. Spojrzał w boczne lusterko, droga za nim była pusta. Z impetem zawrócił samochód i ruszył w stronę Kolbuszowej. Po drodze zatelefonował na tamtejszy komisariat i poprosił o wsparcie w akcji. Oceniał, że lokalni funkcjonariusze powinni dojechać na miejsce jakiś kwadrans przed nim. Jasno zaznaczył, żeby się nie wyrywali, spokojnie poczekali na niego i sami nie wchodzili na posesję. Przestępcy byli groźni i uzbrojeni w broń palną, więc zgrywanie bohaterów wolał im od razu wybić z głowy. Nie potrzebowali więcej trupów. Kiedy skończył rozmawiać, wystawił koguta na dach auta, włączył go i mocniej wcisnął gaz.

Droga zajęła mu niecałe pół godziny. Przez wieś przejechał powoli, rozglądając się i sprawdzając numery domów. W oznakowaniu posesji nie było jednak żadnego ładu. Odpuścił więc i zapytał o drogę starszą kobietę, która siedziała na ławce pod kiczowatą, przystrojoną sztucznymi kwiatami figurką jakiejś świętej. Staruszka pokazała mu krzywym palcem kierunek i przykazała jechać do końca, aż pod las. Podziękował, a odjeżdżając zobaczył jeszcze we wstecznym lusterku, jak się przeżegnała. Zastanawiał się teraz, czy akurat skończyła modlitwę, czy też zrobiła to w jego intencji. Za wsią zwolnił i zmienił światła na postojowe, żeby nie rzucać się w oczy. Miał nadzieję, że policjanci z wezwanego patrolu też na to wpadli. Nie pomyślał wcześniej, że posesja może być położona na odludziu. We wsi wystarczyło zatrzymać się dwa domy dalej, żeby zostać niezauważonym, tu jednak było inaczej. Chałupa stała na uboczu i światła reflektorów na pewno nie pozostałyby w wieczornej szarówce niezauważone. Miejsce robiło upiorne wrażenie, zwłaszcza że o tej porze roku

szybko zapadał zmrok. Czarne budynki zlewały się ze ścianą lasu, w oknach było ciemno.

Dojechał i zatrzymał auto koło płotu, ale nie wysiadł. Radiowozu z miejscowymi nie było, za to zauważył zaparkowanego w krzakach czarnego mercedesa. Wyglądało na to, że Gabryś nie był dyskretny i z fantazją wydawał pieniądze z okupu. Partyka podjechał bliżej, żeby oświetlić auto i odczytać numery rejestracyjne. Przekazał je do sprawdzenia i po kilku minutach dostał informację, która całkiem go zaskoczyła. Właścicielem mercedesa był Stanisław Wagner! Komisarz próbował na szybko stworzyć jakąś teorię wyjaśniającą obecność samochodu. To było istotne, bo w tej chwili zupełnie nie wiedział, czego może się spodziewać, wchodząc na posesję. Przez chwilę podejrzewał nawet, że Wagner lub ktoś z jego otoczenia jest zamieszany w porwanie. Sprawdził auto w środku, drzwi były otwarte, ale nikogo tam nie było. Rozejrzał się dookoła, policjantów z Kolbuszowej też nigdzie nie widział. Zaklął pod nosem i zadzwonił na komisariat. Chwilę musiał poczekać, aż sprawdzą tam, co się stało. W końcu dowiedział się, że policjanci wyjechali, ale mają jakiś problem z radiowozem. Nie skomentował tego, choć cisnęło mu się na usta kilka mocnych epitetów. Rozłączył się bez słowa, po czym odbezpieczył pistolet i wszedł na podwórko. Zanim otworzył furtkę, rozejrzał się, czy nie ma gdzieś psa. Nie było żywego ducha. W oknach też nie świeciło się światło, jednak ktoś musiał tu być, skoro pod płotem był zaparkowany niezamknięty samochód. Ruszył wzdłuż zabudowań w stronę stojącej pod lasem drewnianej chałupy. W wieczornym mroku wyglądała przerażająco, jakby gapiła się na niego ciemnymi ślepiami okien niczym wielka zjawa. Czuł, jak buty przy każdym kroku zapadają się w błoto, ale patrzył cały czas przed siebie. Stał na ganku, rozejrzał się i wspominał cicho pod nosem policjantów, których wciąż nie było. Po chwili wahania nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte, otworzyły się z głośnym skrzypieniem. W otaczającej go zewsząd ciszy dźwięk był tak przeraźliwy, że komisarz aż zacisnął zęby i na chwilę skurczył się w sobie. Kiedy zawiasy

w końcu umilkły, znów wokół zaległa głucha cisza – potęgowana przez dziwne odgłosy dobiegające z pobliskiego lasu.

Partyka wyjął latarkę i oświetlił sien. Panował tu ogólny nieład, buty były porozrzucane, a na podłodze poniewierały się wysypane z worka ziemniaki. Po bokach przedsionka, naprzeciw siebie znajdowało się dwoje drzwi. Komisarz znał charakterystyczny układ pomieszczeń w starych wiejskich domach tego typu. Prawdopodobnie po prawej była kuchnia, a na lewo pokój. Spojrzał pod drzwi, ale nie było żadnej poświaty. Staął z boku, wziął głęboki oddech i otworzył energicznie pierwsze wejście. Serce waliło mu, jakby miało za chwilę wyskoczyć z piersi. Wysunął szybko głowę, zerknął i błyskawicznie ją cofnął. Spodziewał się huku wystrzału ze strzelby, nic się jednak nie wydarzyło. Zajrzał jeszcze raz, a potem już spokojniej rozejrzał się po pomieszczeniu, oświetlając je latarką. To, co w korytarzu mogło wydawać się nieporządkiem, okazało się częścią ogólnej demolki. Krzesła i stół były połamane, wysoki biały kredens wywrócony na podłogę. Wokół pełno było potłuczonych talerzy i porozrzucanych garnków. Zdarte firanki wisiały krzywo na pourywanych karniszach. W drugim pomieszczeniu zastał podobny obraz. Ubrania i jakieś pudełka poniewierały się wszędzie. Obok wywróconej lodówki leżał rozbity telewizor. Ktokolwiek to zrobił, już zniknął. Tu też nie było żywej duszy. Komisarz Partyka nie wiedział, co o tym myśleć. Włączył światło i rozejrzał się jeszcze raz po domu, upewniając się, że nikt nie ukrywa się gdzieś w kącie. Wyglądało na to, że winowajcy uciekli, ale kim byli? Kto zdemolował dom? I gdzie jest Wagner? Niepokoił go stojący pod domem pusty mercedes. Czyżby Wagnera też porwali i uwięzili?

Nie gasząc lamp, wyszedł na zewnątrz. Miał zamiar po kolei przeszukać resztę obejścia, kiedy nagle zauważył słabe światło w małym okienku budynku w głębi podwórka. Uniósł broń i pochylony ruszył w tamtym kierunku. Przez zabrudzoną szybę ostrożnie zajrzał do wnętrza. Na krześle nieruchomo siedziała jakaś pochylona postać. Przez umorusane okno, w kiepskim świetle nie mógł się jej dokładnie przyjrzeć. Cofnął się i odszukał wejście, drzwi były uchylone. Pchnął je tylko kilka centymetrów, aby móc się obok nich przecisnąć. Parę metrów przed

nim na krześle siedział mężczyzna, głowa opadła mu na piersi, siwe włosy dotykały białej koszuli. W pewnej chwili siedzący uniósł rękę i przyłożył do ust szyjkę butelki z wódką. Pociągnął łyk, westchnął i spojrzał przed siebie. Partyka poznał teraz starego Wagnera. Zaskoczony szedł powoli w jego kierunku. Mężczyzna nie był związany, siedział na krześle i przyglądał się z uwagą czemuś, co było w głębi pomieszczenia. Funkcjonariusz nie mógł dojrzeć, co to było, bo widok zasłaniała drewniana ścianka oddzielająca zwierzęce zagrody.

– Panie Wagner! – policjant wciąż trzymał przed sobą gotową do strzału broń.

– Wszystko w porządku?

Ten odwrócił się powoli i zmrużył oczy oślepiiony latarką.

– To ty – odezwał się spokojnie po dłuższej chwili. – Spóźniłeś się.

– Co pan tu robi? – Partyka opuścił latarkę i szedł w jego stronę. – Jest pan sam?

– Nie, jesteśmy we dwóch – ruchem głowy skinął przed siebie.

Komisarz zbliżył się na tyle, że mógł tam zajrzeć i zobaczyć, na co patrzy Wagner. Przez pierwszych kilka sekund w słabym świetle nie bardzo mógł określić, co widzi. Dopiero po chwili zorientował się, że patrzy na wiszącego głową w dół martwego człowieka. Przełknął ślinę, uniósł latarkę i przyglądał się zwłokom w milczeniu. Ciało było tak skatowane, że trudno było rozpoznać wiek. Całe zbroczone krwią z dziesiątków ran. Twarz była jedną fioletową miazgą. Z czarnych spalonych stóp spod oplatającego je łańcucha złaziła skóra pod wpływem ciężaru korpusu. Włosy i czoło martwy mężczyzna też miał spalone, bo pod jego głową ktoś rozpałił ognisko. Miał też odciętego członka, a na ziemi wokół poniewierały się poobcinane palce rąk.

– Zabili mi syna – Wagner znów pociągnął z flaszki.

Komisarz Partyka w pierwszym momencie, sugerując się jego słowami i widokiem obciętych palców, wziął ofiarę za porwanego Patryka Wagnera. Przyjrzał się jednak ciału i mimo że nie mógł rozpoznać twarzy, stwierdził, że postura i pokaźny brzuch temu przeczyły.

– Nie mogłem w domu wysiedzieć – stary cały czas spoglądał na martwe, skatowane zwłoki. – Przyjechałem go zobaczyć. Lżej mi trochę, jak na niego patrzę.

– Kto to jest?

– Ojciec tego bydlaka, który porwał i zamordował mi syna – Wagner podsunął komisarzowi wiaderko. – Palce Patrykowi poobcinali, a potem go zabili i wrzucili do świń, żeby go zżarły. Tak powiedział. Tyle mi zostało do pochowania. Głowę wrzucili gdzieś do gnojówki.

Partyka podniósł wiaderko, które Wagner mu podsunął i w słabym świetle zajrzał do środka. Cofnął głowę z obrzydzeniem, kiedy uderzył go odór gnijącego ciała. Obrócił kubeł w stronę światła i zobaczył leżące w środku, już szerniałe, poobcinane palce. Podniósł wzrok na starego i mimo że widział straszny efekt jego zemsty, to łzy ojca oplakującego śmierć niewinnego syna wstrząsnęły nim do głębi. Sam również czuł się winny, że nie zapobiegł śmierci dzieciaka. To była jego robota i nie wykonał jej jak należy. Nieważne, że się starał. Dla zabitego chłopca i jego ojca to nie miało znaczenia. Pomyślał też o swoim dziesięcioletnim synu.

– Dam ci jeden dzień – oddał mu wiaderko. – Pochowaj syna i czekaj na mnie jutro w domu. O dwunastej po ciebie przyjadę.

Wagner wstał, wziął wiadro i poszedł powoli w stronę wyjścia. Partyka spojrział na stojącą obok krzesła flaszkę; stary upił niewiele. Obejrzał się, ale mężczyzny już nie było. Założył rękawiczki, ujął w dłoń otwartą butelkę i uważając, by nie dotknąć szyjki wargami, wlał sobie porcję wódki do ust.

59

Świtało już, kiedy Wiesiek Gabryś obudził się cały zziębnięty i zdętwiały. Po nocy przespanej na twardych deskach czuł każdą kość w swoim ciele. Usiadł, opierając się o ściankę, i ziewnął szeroko, wypuszczając parę z ust. Przeciągnął dłońmi po nieogolonej twarzy, poczochnął tłuste włosy i rozejrzał się wokół, powoli pozbywając się resztek snu. Potrzebował chwili, żeby uświadomić sobie, gdzie jest i co tu robi. Przypomniał sobie, że wszedł w nocy na myśliwską ambonę, żeby schronić się przed wszechobecną w lesie wilgocią, bo do domu wrócić nie mógł. Tak, teraz wszystko pamiętał, choć wczoraj był mocno pijany. Zrzucili wieczorem z Józkiem kradzione drewno na skraju lasu za stodołą. Tam, gdzie zwykle. Stąd młody miał przenieść je po trochu do szopy. Dokończyli drugą flaszkę bimbrowa i pożegnali się zadowoleni z siebie, choć mocno zmęczeni. Bo, jak to rzucił Józek, smagając batem konia: „biedny to się nawet przy złodziejstwie musi nazapierdalać”.

Wracając do domu między drzewami rzednącego lasu, Gabryś już z daleka zobaczył jasne światło na podwórzu. Zaskoczyło go to, bo o tej porze spodziewał się tylko poświaty ekranu telewizora, a tu wszystkie okna były porożświecane. Podeszedł ostrożnie bliżej, skąd mógł lepiej ocenić, co tam się dzieje. Przed chałupą stało kilka samochodów, między innymi dwa policyjne radiowozy, a przestrzeń wokół oświetlały porozstawiane reflektory. W pierwszej chwili pomyślał, że pewnie szukają kradzionego drewna. Zaraz uświadomił sobie jednak, że tylu policjantów musi zajmować się poważniejszą sprawą. Cofnął się więc niezauważony do lasu i wybrał numer telefonu Sławka. Wspólnik nie odebrał, dlatego Wiesiek przycupnął pod drzewem. Próbował umościć sobie coś w rodzaju barłogu z liści i ściółki, by przeczekać do rana, ale wszystko było

nieprzyjemnie mokre. Wlazł więc na drewnianą ambonę w pobliżu domu i tam przespał jakoś do świtu. Teraz, z nowym dniem i trzeźwą głową, postanowił działać. Rozejrzał się po okolicy i upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, ostrożnie zszedł na dół. W pobliskim zagajniku wraz z moczem pozbył się resztek strawionego alkoholu z organizmu, po czym odgarnął butem liście z kawałka blachy ukrytego między brzożami. Uniósł zardzewiałą płytę i ostrożnie oparł ją o drzewo, żeby nie narobić hałasu. Pod spodem była wkopana w ziemię stara skrzynka, wyściełana sianem i słomą. Gabryś uklękł i wyjął z niej najpierw lornetkę, którą zawiesił sobie na szyi, a potem owiniętą szmatą strzelbę z obciętą lufą. Nachylił się i pogrzebał jeszcze głębiej w skrzynce, żeby po chwili wyjąć słoik po musztardzie. Był umyty, a w środku znajdował się myśliwski nabój. Zabezpieczył go tak, żeby nie zamókł. Odkręcił wieczko, otworzył komorę strzelby i załadował pocisk do środka. Wrócił na myśliwską wieżyczkę i zlustrował podwórko przy pomocy lornetki. Większość obejścia zasłaniały korony drzew, ale udało mu się mniej więcej ustalić, jak wygląda sytuacja.

Kręciło się tam sporo osób, jeszcze więcej niż w nocy. Część miała na sobie dziwne białe kombinezony. Między nimi zauważył kilku mundurowych i kilku cywilów. Wiesiek przyglądał się temu bez większych emocji. Nie pomyślał nawet o ojcu czy o bracie. Widmo więzienia też go nie przerażało. To jednak nie oznaczało, że miał zamiar dać się łatwo złapać. Zszedł z ambony, poprawił na ramieniu pasek strzelby i zniknął w głębi lasu. Miał zamiar zaszyć się gdzieś na kilka najbliższych dni, aż wszystko ucichnie. Tak przynajmniej wyobrażał sobie dalszy rozwój wypadków. Znał tę okolicę jak własną kieszeń, wiedział więc, gdzie pójść. Wcześniej jednak należało zaopatrzyć się w prowiant. Pracująca w wiejskim sklepiku dziewczyna otwierała o siódmej, dlatego ukrył się w krzakach po drugiej stronie drogi. Pierwsi klienci stali już pod drzwiami w dwóch małych grupkach i głośno o czymś dyskutowali. Stare kobiety jak zawsze z dezaprobatą spoglądały na miejscowych pijaczków, głośno komentując ich pasożytniczy tryb życia. Z premedytacją wykorzystywały ich chwilową słabość, bo wiedziały, że z otwarciem sklepu i pierwszym łykiem wina już nie

będzie tak łatwo. Wiesiek zaczekał, aż wszyscy zrobią zakupy, po czym wyszedł z ukrycia i otworzył drzwi sklepu, ściskając pod kurtką strzelbę. W środku rozejrzał się po półkach.

– Wezmę cztery konserwy, duży chleb, cztery piwa i papierosy – dziewczyna drżącymi rękami kładła towar na ladzie. Spojrzał na nią i zauważył w jej oczach strach. – Wiesz, kto ja jestem?

– Wiesiek Gabryś – rozpoznała go, choć rzadko tu bywał. Zwykle listę zakupów przynosił jego młodszy brat. – Policja cię szuka, twojego ojca zabitego znaleźli.

– Ojciec nie żyje? – jedyne, co dostrzegła na jego twarzy, to zdziwienie. Żadnego smutku czy łez. – A brat? Romek?

– Nie wiem – bała się i żałowała, że wdała się w rozmowę, zamiast poprzestać na zdawkowej odpowiedzi. – Nie rób mi krzywdy.

– Wsadź to w reklamówkę – nie musiał wyciągać strzelby, a i tak cała się trzęsła ze strachu. – To samo masz mi codziennie zostawiać po zamknięciu w koszu na śmieci za sklepem, rozumiesz?

– Tak.

– Jak w nocy nie znajdę jedzenia, to przyjdę rano i cię zabiję – stał i patrzył na nią zimnym wzrokiem. – Rozumiesz?

– Rozumiem – wierzyła mu i miała rację, bo mówił prawdę.

– I nikomu ani słowa.

– Dobrze.

– Daj jeszcze zapałki – zgarnął pudełko z lady, odwrócił się i wyszedł bez słowa.

60

Aspirant Buczek maszerował przez podwórko, jedną dłonią przytrzymując szalik chroniący go przed przenikliwym wiatrem, w drugiej niosąc plastikowy kubek z gorącą kawą. Krok za nim, rozglądając się uważnie wkoło, szła Widacka. Pełno tu było funkcjonariuszy z rzeszowskiej komendy, którzy od rana przeszukiwali miejsce zbrodni i zbierali dowody. Część z nich pracowała wewnątrz domu, część kręciła się po podwórzu. Komisarz Krzysztof Partyka stał odwrócony tyłem w głębi obojścia, tuż obok zabudowań gospodarczych. Nie słyszał, że przyjechali, i nie zauważył ich do tej pory. Nieopodal głośno pracowała motorowa pompa, przy pomocy której strażacy osuszali właśnie znajdujący się przy starym budynku zbiornik. Andrzej szturchnął go w plecy i podał kawę, o którą Partyka poprosił przez telefon. Przywitali się bez słowa i odeszli kawałek dalej, gdzie mogli swobodnie rozmawiać.

– Czarna? – Krzysztof ujął w zmarznięte dłonie kubek i zanim upił pierwszy łyk, napawał się jego ciepłem. – Dzięki, nic nie miałem od wczoraj w ustach.

– Całą noc tu jesteś? – Andrzej spojrzał zaskoczony.

– Zanim pościągałem wszystkich, żeby zabezpieczyć ślady, to już było po drugiej. Nie opłacało mi się wracać do hotelu – napił się gorącej kawy. – W samochodzie trochę się przespałem.

Zuzanna sięgnęła do torebki, wyjęła zawiniętą w aluminiową folię kanapkę i podała mu bez słowa.

– Dziękuję, pani komisarz – uśmiechnął się i mrugnął do niej. – Zobaczymy, czy smacznie pani gotuje.

– Opinię przekażę mężowi, on robił dziś kanapki – nie miała ochoty na flirt. Rozejrzała się po podwórku. – Wiecie już, co tu się stało?

Partyka wrócił myślami do sprawy i uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Wstępne ustalenia wskazują, że właśnie na terenie tej posesji Kosior i Gabryś ukryli porwanego Patryka Wagnera – wskazał dłonią, w której trzymał kawę, zabudowania po drugiej stronie obejścia. Drugą ręką poprawił kołnierz kurtki i zaraz schował zmarzniętą do kieszeni. – W chlewie był przykuty łańcuchem do ściany. W tym samym miejscu musiał też zostać zamordowany, bo znaleźliśmy dużą, bardzo dużą plamę jego krwi na cementowej posadzce. Śladów krwi jest zresztą wszędzie pełno. Również innych osób, nie tylko porwanego chłopca.

– Wiecie już, czyja to krew? – Andrzej niewiele dowiedział się wcześniej przez telefon, bo Partyka był zajęty kierowaniem akcją. Nie chciał mu też przeszkadzać, więc odłożył pytania na potem. – Jest więcej trupów?

– W tym miejscu znaleźliśmy ślady krwi trzech osób i krew zwierzęcą, prawdopodobnie psa – komisarz CBS pokazał ogrodzony taśmą fragment podwórka. – Dwóch próbek jeszcze nie zidentyfikowaliśmy, ale laboratorium pracuje na pełnych obrotach od bladego świtu. Trzecia grupa krwi należy do Jana Gabryśa. Jego zmasakrowane ciało z poobcinanymi członkami wisiało głową w dół w chlewie, obok miejsca, gdzie zginął młody Wagner. Znaleźliśmy tam też butelkę wódki, na której są odciski palców Stanisława Wagnera, ojca porwanego chłopca. To potwierdza jego obecność na miejscu zbrodni i nasuwa prawdopodobny bieg wydarzeń. Stary Wagner musiał dowiedzieć się przed nami, kto mu porwał syna i gdzie był więziony. To bandyta, więc nie zawiadomił nas, tylko wziął sprawy w swoje ręce i urządził tu rzeź. Na podwórku Jan Gabryś, prawdopodobnie z młodszym synem, stoczył walkę o życie z ludźmi Wagnera. Próbowali się bronić siekierą i widłami, ale nie mieli szans z uzbrojonymi bandytami – wskazał na oznaczone przez policyjnego fotografa numerami leżące na ziemi narzędzia, które były teraz dowodami w sprawie. – Starego postrzelili w stopę z pistoletu, obrażeń młodego Romana Gabryśa nie znamy, bo ciało zniknęło. Podobnie nie ma trzeciej ofiary bójki, czyli jednego z napastników. Napadniętym udało się jednego zabić lub przynajmniej mocno zranić. Ludzie Wagnera zabrali pewnie zwłoki ze sobą, żeby nie ułatwiać nam roboty.

– Skąd wiecie, że ten trzeci to jeden z napastników – Andrzej przerwał, nie chcąc się pogubić. – Może to Wiesław Gabryś?

– Nie, krew była na widłach i na ostrzu siekiery – Partyka przerwał na chwilę i upił łyk kawy. – A na rękojeści siekiery były odciski palców Jana Gabrysia. Na trzonku wideł znajdowały się odciski małych dłoni, prawdopodobnie jego młodszego syna. Tym się bronili.

– Boże! – Widacka, słuchając wstrząsającej wersji wydarzeń, wyobrażała sobie przebieg wypadków. – Ile ten dzieciak miał lat?

– Piętnaście.

Na moment zapadła cisza.

– Jak mówiłem, ciała ofiar bójk na podwórku zniknęły – komisarz Partyka po chwili ruszył w kierunku zabudowań, policjanci szli za nim. – Przeżył Jan Gabryś. Napastnicy rannego zawlekli jednak do chlewu i powiesili na haku głową w dół. Tam go torturowali. Najpierw zapewne, żeby wyciągnąć z niego, gdzie ukryli porwanego chłopca, a kiedy Wagner dowiedział się, że przyjechał za późno i że syn już nie żyje, zakatowali winowajcę w zemście na śmierć.

– Skąd ta pewność, że Patryk Wagner nie żyje? – Zuzanna miała wątpliwości.

– Było dużo krwi.

– Patolog stwierdził na tej podstawie, że nie żyje? – drążyła.

– No nie – Partyka zmieszał się. – W każdym razie taką hipotezę przyjęliśmy.

– Czyli Jan Gabryś był zamieszany w porwanie? – Buczek zapytał, kiedy zatrzymali się przed drzwiami do starego budynku. – I młodszemu synowi też?

– Musieli wiedzieć, co się dzieje. Niemożliwe, żeby Kosior i Wiesław Gabryś to ukryli przed nimi – komisarz Partyka spojrzał na Andrzeja, potem dłużej na Zuzannę. – Ciało jest w strasznym stanie. Zdjęliśmy je już z haka, ale oprawcy potraktowali je w wyjątkowo okrutny sposób.

Nie zdążyli wejść do środka, bo ich uwagę przykuło zamieszanie wokół zbiornika, gdzie pracowali strażacy. Jeden z techników zawołał Partykę. Najwidoczniej coś musieli znaleźć. Podeszli we trójkę. Spojrzenia wszystkich zgromadzonych były skierowane w dół, więc podążyli za ich wzrokiem.

W pierwszej chwili nic nie dostrzegli, dno prawie opróżnionego zbiornika pokrywała warstwa gęstej brei wymieszanych z błotem zwierzęcych odchodów.

– Tam coś jest! – ubrany w biały kombinezon technik powoli zsunął się niżej.

– Podajcie wąż i puśćcie wodę!

– Tylko ostrożnie! – Zuzanna zwróciła się do strażaka otwierającego zawór. – Małe ciśnienie.

Woda lejąca się powoli z trzymanego przez funkcjonariusza węża odkryła obły jasny przedmiot. Początkowo wyglądał na sporych rozmiarów kamień, jednak po chwili strumień obmył go z zalegającego szlamu, ukazując zebranym najpierw dwa oczodoły, a potem górną szczękę z zębami. Upiorny widok wywołał poruszenie zebranych i szmer pierwszych komentarzy. Na dnie dołu leżała pożółkła ludzka czaszka. Technik uniósł ją ostrożnie i polewając wodą, oczyścił, na ile się dało. Drugi z funkcjonariuszy zszedł do dołu i otworzył duży worek na dowody. Umieścili w nim znaleziony fragment ludzkiego szkieletu i podali na górę. Komisarz Partyka obejrzał czaszkę przez przezroczystą folię. Nie było poważniejszych uszkodzeń. Żadnych dziur po kuli czy pęknięć wywołanych uderzeniem twardym przedmiotem, na podstawie których można byłoby wywnioskować przyczynę śmierci. Czaszka miała jedynie dziwne zarysowania na części czołowej i potylicy.

– Co to jest? – Zuzanna też spoglądała na znalezisko z uwagą.

Partyka przypomniał sobie słowa starego Wagnera i sposób, w jaki porywacze chcieli pozbyć się zwłok swojej ofiary. Teraz dopiero, kiedy trzymał w dłoni to, co zostało z martwego ciała, dotarła do niego cała groza sytuacji.

– To ślady świńskich zębów.

61

Komisarz Widacka przez lustro weneckie przyglądała się przesłuchaniu, jeżeli w ogóle to, co obserwowwała, można było nazwać przesłuchaniem. Dokładnie rzecz ujmując, był to raczej monolog Buczka, składający się głównie z pogrózek i przekleństw. Od pół godziny próbował uzyskać odpowiedź na jedno zasadnicze pytanie:

– Gdzie jest Gabryś? – policjant patrzył na więźnia złowrogo.

Kosior siedział ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w blat stołu. Milczał, jak zaklęty. Nie było w jego postawie buty czy arogancji. Raczej obojętność wynikająca ze świadomości, w jak beznadziejnym znalazł się położeniu. Pamiętał jeszcze, jak trudno mu było znieść dwuletni pobyt w więzieniu, a teraz szykowało się dużo dłuższa odsiadka. Wyjdzie z za krat jako stary człowiek. O ile przeżyje pobyt w więzieniu, bo wiedział, jak grypsujący więźniowie traktują dzieciobójców. W najlepszym razie odsiedzi długi wyrok w zupełnej samotności i nawet na spacerzy będzie wyprowadzany w pojedynkę ze względu na swoje bezpieczeństwo. Jak do tego doszło? Zadawał sobie pytanie, jak to się stało, że siedzi teraz ze skutymi rękami i znów czeka na wyrok. Miał tyle planów. Zamiast zacząć od nowa, wszystko zniszczył. Pogrzebał się za życia.

– Mów, kurwa! – Buczek walnął dłonią w stół. – Taki z ciebie lojalny kumpel? Myślisz, że Gabrysiowi pomagasz? Wyświadczysz mu niedźwiedzią przysługę. Jak Wagner go znajdzie przed nami, to go obedrze ze skóry jak starego!

W pokoju znów zapanowała cisza. Andrzej wstał, odwrócił się do więźnia plecami, oparł dłonią o ścianę i spojrzał w lustro, jakby chciał przekazać Zuzannie, że ma już tego serdecznie dość. To była ostatnia jego próba. Zawołał policjanta i kazał odprowadzić więźnia do celi. Jutro pewnie przewiozą Kosiora

do więzienia w Chmielowie. Prokurator Jaworska zwróciła się już do sądu z wnioskiem o areszt tymczasowy i na pewno uzyska zgodę, teraz ona będzie się z nim męczyć. Kosior jeszcze tylko tę noc miał spędzić na komendzie.

Kilka godzin później drzwi celi Kosiora otworzyły się, a szcęk zamka obudził też jego współwięźnia. Sławek pierwszy oprzytomniał, zerknął na zegarek. Ze zdziwieniem i niepokojem stwierdził, że jest po godzinie pierwszej w nocy. W drzwiach celi stało dwóch policjantów. Jeden z nich zaświecił światło, podszedł do zaspanego współwięźnia i szarpnięciem ściągnął z niego koc.

– Wstawaj, Jakubek! – potar mosił go za ramię. – Opowiesz mi jeszcze raz, kto tę bójkę zaczął.

– Przecież już mówiłem – mężczyzna był zaspany i zasłaniał dłonią oczy przed rażącym go światłem. Nie bardzo rozumiał, co się wokół dzieje. – Wszystko powiedziałem.

– No chodź, zapalimy sobie – policjant wziął go pod ramię i wyprowadził z celi. – Opowiesz mi jeszcze raz, jak to było.

Kosior obserwował tę scenę w milczeniu, jednocześnie zerkając na drugiego z policjantów. Nie uszło jego uwadze, że nie zwraca on baczenia na tamtych, ale uporczywie przygląda się jemu. To był wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna. Na jego twarzy malowało się napięcie. Kiedy zostali sami, policjant zrobił krok do przodu i powoli rozpiął pasek spodni.

– Wstawaj – Sławek nie zareagował. – Złaż, kurwo, z wyra.

Jego głos był cichy, ale stanowczy. Mówił powoli, co powodowało, że wypowiedane słowa brzmiały mocno i dobitnie. Kosior nie wiedział, czego od niego chce, ale nie spodziewał się niczego dobrego. Powoli usiadł na brzegu łóżka, a potem wstał, nie spuszczając oczu ze stojącego nad nim policjanta.

– Pożyczę ci i poczekam za drzwiami – funkcjonariusz podał mu pasek. – Wiesz co robić. Skończ to tu i teraz. Inaczej jutro trafisz do więzienia, a tam już na ciebie czekają. Pod celą nikt nie będzie się z tobą pierdolił. Wieści już do nich dotarły i szykują ci tam powitanie. Wyświadczam ci przysługę. Przez to, że

dałem sobie zabrać pasek, pewnie mnie zawieszą i odbiorą premię, ale tym się nie przejmuj, kumple się zrzucą.

Sławek chwilę patrzył mu w oczy, po czym wysunął z powrotem rękę i oddał mu pasek.

– Nie zrobię tego, nie zabiję się – pokręcił przecząco głową. – Dajcie mi spokój.

– Odwróć się twarzą do ściany – policjant zimnym głosem wydał polecenie i czekał, aż więzień je wykona. Sam w tym czasie włożył pasek w szlufki i zapiął sprzączkę.

Nagle głowa Sławka pchnięta z tyłu z impetem uderzyła w mur. Ze złamanego nosa buchnęła gwałtownie krew. Silna ręka dociskała boleśnie twarz do ściany, aż zęby wewnątrz raniły mu policzek.

– Ty skurwysynu, zabiłeś trzyletnie dziecko – wycedził przez zęby policjant wprost do jego ucha. – Za to będą cię codziennie ruchać w więzieniu, aż pewnego dnia tak się nieszczęśliwie poślizgniesz w łaźni, że rozwalisz sobie łeb. Wolisz tak, twoja sprawa. Ale wiedz, że nie zaznasz spokoju, bo twoja sława będzie kroczyć przed tobą, do którego pierdla byś nie trafił.

Złapał go za włosy i uderzył jego twarzą w ścianę jeszcze raz. Kosior jęknął i osunął się na podłogę.

– A to za tę policjantkę, którą chciałeś nożem dźgnąć – kopnął go w brzuch. – Ona jest w ciąży, bydlaku! Zabiłbyś ją i dziecko!

Wyszedł powoli na korytarz i przecząco pokręcił głową. Do celi wrócił współwięzień Kosiora, a z nim wszedł drugi policjant.

– A co tu się stało, Jakubek? – funkcjonariusz zapytał teatralnym głosem. – Widziałeś coś?

– W zasadzie to spałem – więzień z pogardą przyglądał się zakrywającemu dłońmi zakrwawioną twarz Kosiorowi. – Ale obudziłem się, jak ten gapa z łóżka pierdolnął na mordę. Musiało mu się co straszego przyśnić.

– Tak było, Kosior? – zwrócił się teraz do Sławka. – Bo muszę raport sporządzić z zajścia, a nie chcę jakichś głupot napisać.

– Tak – Sławek wyjąkał z trudem. – Spadłem z łóżka.

– No, to mamy jasność w temacie – policjant ruszył do wyjścia. – Dobranoc, Jakubek.

62

Rafał wszedł do przedpokoju i próbował przypomnieć sobie, kto dziś rano wychodził ostatni do pracy – on, czy Zuzanna? Doszedł do wniosku, że on, ale był pewien, że zamknął drzwi na klucz. Tymczasem wrócił właśnie do domu i zastał mieszkanie otwarte. Z zamyślenia wyrwały go dźwięki dochodzące z kuchni. Powiesił płaszcz, odłożył torbę na półkę i tam skierował pierwsze kroki.

– Co ty tu robisz o tej porze? – przed kuchenną płytą stała jego żona i mieszała pomidory na patelni. – Stało się coś? Mam się zacząć bać?

– Wręcz przeciwnie, możesz już przestać się bać – Zuzanna uśmiechnęła się do niego. – Zniosłam dziś do kadr zwolnienie lekarskie.

– Źle się czujesz? – niepokój zastąpił zdziwienie na jego twarzy. – Z dzieckiem wszystko dobrze?

– Tak, wszystko w porządku i z córką, i z mamą – podeszła do niego, ujęła jego policzki w dłonie, stanęła na palcach i pocałowała w usta. – Po prostu postanowiłam zostać na jakiś czas w domu. Muszę odpocząć od pracy. Nie nadaję się do pościgów i bijatyk. Nie chcę narażać siebie ani małej.

Była to po części prawda. Rzeczywiście bała się o dziecko. Nawet nie chciała myśleć, co mogło się stać tam, w mieszkaniu Anny Janickiej, gdyby ten sąsiad nie pojawił się w porę. Ale było coś jeszcze. Coś, co męczyło ją gdzieś z tyłu głowy, od czasu do czasu przebijając się do świadomości. Natrętna myśl towarzysząca jej od kilku tygodni, przed którą w ostatnich dniach nie mogła już uciec: chciała go zabić. Wtedy, gdy ją zaatakował, ale też wcześniej, kiedy do niego celowała, a on jej bezpośrednio nie zagrażał. Gdyby nie ulatniający się gaz, nie byłoby żadnego aresztowania ani procesu. Zabiłaby go, wiedziała o tym, i to

ją przerażało. Chęć wymierzenia sprawiedliwości na własną rękę towarzyszyła jej prawie od początku tej sprawy, ale po tym, jak miała go na muszce i już chciała pociągnąć za spust, zrozumiała, że jest w stanie to zrobić. To już nie były teoretyczne rozważania emocjonalnie rozdygotanej kobiety w ciąży, ale zimna kalkulacja uzbrojonej policjantki. Czuła, że przeszła na stronę zła. To nic, że on był mordercą i zabił dziecko. Nie dawało jej to prawa do wymierzenia sprawiedliwości na własną rękę ani pozbawienia go życia. Uświadomiła sobie to dobitnie, oglądając dziś zmasakrowane zwłoki Jana Gabrysia. Chciała zrobić to samo co Wagner. Bez tortur i całego ogromu okrucieństwa, ale końcowy efekt miał być taki sam. Wydając na niego wyrok, złamała swoją kardynalną zasadę, że ona łapie złoczyńców, a o ich winie decyduje sąd. Dotarło do niej, że musi odejść. Nie powiedziała tego nikomu w pracy. Rafałowi też nie, wyjaśni mu później. Zachowała to dla siebie, ale podjęła już postanowienie, że po urodzeniu dziecka nie wróci do pracy w policji. To trudna decyzja, ale da radę.

– Pomogę ci – Rafał patrzył na nią z czułością.

– Co? – wyrwał ją z zadumy.

– Pomogę ci robić obiad.

– Nie trzeba – wróciła już myślami do kuchni. – Ale przynieś zakupy z samochodu, bo nie dałam rady.

– Lubię te twoje drobne słabości – uśmiechnął się czule. – Przypominają mi, że jestem ci potrzebny.

– Nie jesteś mi potrzebny do dźwigania siatek – wróciła do gotowania.

– A do czego?

– Do kochania.

Objął ją z tyłu, pocałował w szyję i mocno przytulił. Zuzanna odchyliła głowę i oparła ją na jego ramieniu. Tak, to była dobra decyzja.

63

Mecenas Klimt siedział w przygnębiającym więziennym pomieszczeniu bez okien i zastanawiał się, co właściwie go tu przywiodło. Chyba ciekawość, bo raczej nie nadzieja sowitego zarobku. A już na pewno nie wyrzuty sumienia ani chęć zadośćuczynienia za stare grzechy. Mimo młodego wieku miał już ustalone w życiu priorytety. Dla zabicia czasu przeglądał teraz w telefonie zdjęcia ze swojej ostatniej egzotycznej podróży. Zwłaszcza spektakularny widok z hotelowego okna robił w sieci furorę. Przerwał, kiedy drzwi pokoju widzeń otworzyły się i zobaczył znajomą twarz. Schował smartfona do wewnętrznej kieszeni eleganckiej marynarki, wyprostował się na krześle i przelotnie rzucił okiem na drogi zegarek, na ułamek sekundy zastygając w eleganckiej pozie. To był już stały element jego spotkań z klientami, a w zasadzie pierwszy etap negocjacji honorarium. Tym pozornie niedbałym gestem wysyłał do ich podświadomości czytelny komunikat, że jego cenny czas nie przypadkiem odmierza bardzo drogi zegarek. Teraz spoglądał zaskoczony na stojącego przed nim więźnia z niejakim zaciekawieniem. Mimo że Kosior twarz miał całą poobijaną, z jego oczu biła pewność siebie, a spuchnięte usta wykrzywiały uśmiech. Strażnik odsunął krzesło, pozwolił mu usiąść i zostawił ich samych.

– Znowu się spotykamy, panie mecenasie – Klimt bronił, a raczej udawał, że broni Sławka w sprawie afery VAT-owskiej sprzed dwóch lat. – Cieszę się, że pan jednak przyszedł.

– Mnie również jest miło – prawnik zaserwował mu służbowy uśmiech; jeden z całej palety, jaką dysponował. – Rozumiem, że skontaktował się pan ze mną, abym reprezentował pana w tej sprawie?

– Zadzwońm do pana, bo jest pan największą mendą w todze, jaką znam – wyginając się, skutymi rękoma więzien wyjął z kieszeni paczkę papierosów. – Dziwką, która za pieniądze skurwi się na każdy możliwy sposób.

– Jeżeli myśli pan, że te obelgi sprawią mi przykrość lub chociażby w jakiś sposób dotkną, to jest pan w grubym błędzie i obaj tracimy czas – uśmiech zniknął z jego twarzy, bez większych emocji podniósł z podłogi skórzany nesesor i schował do niego notatnik.

– Proszę się nie martwić, zapłacę za pański czas – Sławek wyjął z paczki papierosa. – Za każdą zasraną sekundę. Więc skoro ponoszę koszty, to pozwoli pan, że zanim przejdę do sedna sprawy, ulżę sobie, głośno mówiąc, co o panu myślę.

– Proszę tylko pamiętać, że czas to pieniądz, a ja nie jestem tanim adwokatem.

– Co pan powie na sto tysięcy złotych? – Sławek próbował zapalić zapalkę, ale ciasno skutymi dłońmi nie było to łatwe. – Płatne z góry, bez względu na wyrok, jaki w mojej sprawie zapadnie.

– Powiem, że może pan dysponować moim czasem w dowolny sposób – Klimt wyjął z kieszeni zapalniczkę i przypalając mu papierosa, dodał z ironią w głosie: – Nawet jeżeli miałoby to uchybić czci mojej mamusi.

– Matkę zostawię w spokoju – wypuścił chmurę dymu pod sufit. – Chcę mieć jednak pewność, że nie wystawi mnie pan, tak jak poprzednim razem.

– Nigdy nie wystawiam moich klientów.

– Dwa lata temu pan to zrobił.

– Nic podobnego – pokręcił przecząco głową. – Pan Bogdan mi płacił, więc on był moim rzeczywistym klientem. Pokierowałem sprawą tak, jak sobie tego życzył.

– Czyli jest pan sprzedajną kurwą.

– Poniekąd ma pan rację. W pewnym sensie jestem, jak większość ludzi na tej planecie – skrzywił się. – Jeżeli jednak już musimy się trzymać tej nomenklatury, to raczej nazwałbym siebie gejszą. Różnica w wykształceniu, umiejętnościach i finezji w działaniu.

Sławek uśmiechnął się, w duchu chwając się za wybór, jakiego dokonał. Facet rzeczywiście dla pieniędzy był gotów zrobić wszystko i właśnie takiego adwokata teraz potrzebował.

– Przejdźmy do sprawy – Kosior zaciągnął się dymem. – Zaczniemy od kwestii finansowych.

– To bardzo dobra kolejność – prawnik uśmiechnął się, jego twarz złagodniała, ale spojrzenie pozostało czujne.

– Na początek chcę, żeby sprzedał pan mój dom, zanim prokuratura mi go zabierze – Sławek odruchowo ściszył głos i nachylił się w jego stronę. – Kupiłem go niedawno, za pieniądze z okupu za porwanego Patryka Wagnera.

– To pana jedyna nieruchomość?

– Tak.

– W takim razie zajęcie tego składnika pana majątku nie będzie dla prokuratury proste – mecenas mówił, nie przestając notować. – Pozbawiliby pana dachu nad głową, a na to im nie pozwolę. Chyba że jest to willa z basenem nad morzem...

– Nie, to zwyczajny dom jednorodzinny w Tarnobrzegu – Sławek był zadowolony z tego, co usłyszał. – Sprzeda go pan w moim imieniu za pięćset tysięcy. Jest wart sporo więcej, ale z wiadomych względów zależy mi na czasie, więc cena ma być niska.

– Czy jest założona księga wieczysta dla domu? – Klimt podniósł na niego wzrok. – To ważne, bo jeżeli nie ma pana wpisanego do drugiego działu jako właściciela, to żaden notariusz tego nie przeprowadzi. Musi tu zadziałać rękojmia ksiąg wieczystych.

– Nie wiem, czy jestem wpisany, ale księga na pewno jest.

– To najważniejsze – mecenas wrócił do notowania. – Najwyżej złożymy wniosek o przyspieszenie, załatwię to. Co dalej?

– Sto tysięcy ze sprzedaży proszę zatrzymać jako swoje wynagrodzenie. Pozostałe czterysta zdeponuje mi pan w jakimś zagranicznym, bezpiecznym banku.

– Proszę się nie martwić – jego wiedza i w tym temacie była duża. – Będą bezpiecznie na pana czekały po wyjściu na wolność.

– Dobrze, że będą bezpieczne, ale chcę je od razu przekazać jako darowiznę – Sławek dostrzegł zaskoczenie na twarzy prawnika. – Szczegóły przekażę później.

– Dobrze, omówmy zatem pana sytuację i rozpatrzmy różne możliwości obrony – teraz, kiedy znał wysokość swojej prowizji, chciał już na pierwszym spotkaniu pokazać swoją przydatność. – Zapoznałem się z aktami sprawy i mam kilka propozycji. Najbardziej skuteczne będzie według mnie podważenie pana poczytalności, na skutek ciężkich przeżyć. Trauma wywołana więzieniem, rozwodem czy zawodem miłosnym to może być...

– Nie interesują mnie pana pomysły – przerwał mu obcesowo. – Chcę się przyznać do wszystkiego.

– Jako pana obrońca szczerze to odradzam – mecenas przerwał notowanie, oparł się na krześle i założył nogę na nogę. – „Jeśli złapią cię za rękę, to mów, że to nie twoja ręka”. To złota zasada mojego profesora od prawa karnego, którą polecam moim klientom. Nie zawsze pomaga, ale nigdy nie zaszkodzi.

– Doceniam pana zaangażowanie, ale wyjaśnijmy sobie coś na wstępie – Kosior chciał uporządkować ich współpracę. – Wystarczy, że ograniczy się pan do ścisłego wykonywania moich poleceń. Za to panu płacę i na tym proszę się skupić.

Klimt uniósł ręce w geście oznaczającym, że chciał dobrze, ale wobec takich argumentów poddaje się bez dyskusji. Pochylił się i w milczeniu uzupełnił zapiski.

– Chcę też winę Wiesława Gabrysia wziąć na siebie. Czyli nasza wersja jest taka, że wszystkie przestępstwa popełniłem sam – więzień kontynuował, a obrońca już nie przerywał. – Tam, gdzie jego udział jest jednoznaczny, chcę, aby pan wykazał, że go do tego zmusiłem. Groziłem śmiercią jemu i całej jego rodzinie, dlatego mi pomagali. Ze strachu o życie własne i bliskich. Rozumie pan?

– Rozumiem – odparł, ale nic z tego nie rozumiał.

– To dobrze – Sławek rozluźnił się zadowolony. – Niech pan przejrzy jeszcze raz akta sprawy tak, aby wyłapać udział Gabrysia. Na naszym następnym spotkaniu razem ustalimy wersję najmniej go obciążającą.

– Jutro przyjadę z notariuszem – mecenas spakował swoje rzeczy do nesesera.
– Sporządzi pełnomocnictwo dla mnie do sprzedaży domu. Przygotuję też umowę i fakturę na sto tysięcy za moje usługi.

Po dzisiejszym spotkaniu Klimt miał poważne wątpliwości co do stanu psychicznego klienta. Wolał załatwić sprawę swojego honorarium w pierwszej kolejności, zanim ten wariat coś nowego wymyśli albo sąd zakwestionuje jego poczytalność. Nie uśmiechało się mu tracić czasu ani energii na wykonywanie jego samobójczych poleceń, które uważał w najlepszym wypadku za niefrasobliwe. Perspektywa wysokiego zarobku była jednak kusząca. Tym bardziej, że szybko przekalkulował cenę domu i jego wartość szacował na co najmniej sześćset tysięcy. Szukał właśnie nieruchomości dla siebie. Obejrzy dom i być może sam go kupi. Planował zarobi podwójnie, na prowizji i na transakcji.

– Jeszcze jedna sprawa – Kosior wskazał na poobijaną twarz. – Może mi pan załatwić obdukcję?

– Oczywiście, postaram się sprowadzić lekarza jeszcze dzisiaj, póki obrażenia wyglądają dobrze na zdjęciach – to akurat uznał za mądre posunięcie z jego strony. – Zawsze się może przydać.

64

Pani prokurator Jaworska nie mogła sobie znaleźć miejsca. O tym, żeby usiadła, w ogóle nie było mowy. Przechadzała się szybkim krokiem po gabinecie komendanta, jakby była u siebie, wprowadzając tym wszystkich obecnych w stan podenerwowania. Zirytowany Sobczyk w milczeniu wodził za nią wzrokiem. Jej słowa docierały do niego z opóźnieniem, bo ciągle stukanie obcasami nie pozwalało mu się skupić. Buczek siedział wyprostowany jak struna, a Partyka cicho bębnił palcami w blat stołu konferencyjnego i spoglądał na nią spode łba. Była niska, drobna i denerwująco energiczna. Na przemian poprawiała okulary i spadającą na nie grzywkę. Na dodatek zamówiła u Danki drugą kawę, a co jak co, ale kolejna dawka kofeiny na pewno nie była jej potrzebna. Już i tak sprawiała wrażenie emocjonalnie niestabilnej i jakiejś takiej rozedrganej. Jakby elektrony na orbitach atomów, z których była zbudowana, krążyły dwa razy szybciej niż normalnie.

– Gównu mnie obchodzi, że się do wszystkiego przyznał! – oznajmiła obecnym. – Mnie interesuje prawda, a nie to jego gówniane pieprzenie! Wiecie, dlaczego Temida ma opaskę na oczach?!

Zatrzymała się nagle i gwałtownie odwróciła w stronę komendanta. Zaskoczony pytaniem Sobczyk nerwowo szukał w myślach odpowiedzi, ale w głowie miał totalną pustkę.

– Szczerze mówiąc, nie kojarzę sprawy – zbity z tropu spojrział na Buczka. – Andrzej, co to było za śledztwo?

– Niech pan sobie nie robi ze mnie jaj – Jaworska ruszyła ponownie w swoją podróż po pokoju jeszcze szybszym krokiem, jakby zatrzymując się na chwilę, skumulowała w sobie dodatkowy ładunek energii. – Ma zasłonięte oczy, ale to

nie oznacza, że jest ślepa. Ja też nie jestem i przeczytałam akta sprawy ze zrozumieniem. Mam uwierzyć w tę jego bajeczkę, że wszystko zrobił sam? A Gabrysie siedzieli jak te trzy małpki. Nic nie widzieli, nic nie słyszeli i nic nie mówili?! Akurat!

Sobczyk nie odezwał się, tylko ponownie spojrzął pytająco na Buczka. Ten, wykorzystując, że pani prokurator jest akurat odwrócona, zrobił zdziwioną minę i pokręcił palcem przy czole. Partyka machnął dłonią, jakby dając im do zrozumienia, żeby nie przejmowali się i spokojnie czekali na koniec monologu.

– Chce wybielić pozostałych, bo wie, że jest umoczony w tym gównie po pachy, i jemu już nic nie pomoże – pani prokurator zatrzymała się metr od komendanta, po czym wycelowała w niego wskazującym palcem. – Dlatego musicie mi znaleźć tego Gabrysia, a ja już wyciągnę z niego całą prawdę!

– Chce mi pani oko wybić? – Sobczyk cofnął się odruchowo i przesunął w bok jej wyprostowaną rękę. – Weź pani ten palec!

– Macie użyć wszelkich środków i go znaleźć, złapać i przyprowadzić do mnie – cofnęła rękę i znów rozpoczęła marsz po pokoju. – Gabryś jest groźnym przestępcą i nie możemy go inaczej traktować. Bez względu na to, co mówi jego wspólnik! Pójdzie siedzieć razem z Kosiorem, Wagnerem i całą jego bandą! Czekam na wyniki! Pan osobiście będzie bezpośrednio zdawał mi relację!

Palec teraz skierowany był prosto w Buczka.

– Ale dlaczego ja? – Andrzej zrobił udręczoną minę. – Jestem tylko na zastępstwie.

– No to pan! – przesunęła wyciągniętą rękę i wskazała na osłupiałego Partykę, po czym, nie dając mu szansy na protesty, skierowała się do wyjścia. – Macie go złapać i gówno mnie to obchodzi, jak to zrobicie!

Ostatnie słowa wypowiedziała, mijając w drzwiach osłupiałą Dankę.

– A kawa? – kobieta spojrzała najpierw za nią, a potem po zebranych. – Pani prokurator, a gówno i gówno cały czas... Dziwna jakaś...

– Pieprznęta raczej – komendant odezwał się niepewnie, jakby bał się, że Jaworska usłyszy i zaraz wróci. – Nie wiem, co ona tam bierze, ale niech lepiej

bierze po pół.

65

Wiesiek podciągnął spodnie, zapiął pasek i spuścił wodę w sedesie. Od kilku dni jadł tylko konserwy z keczupem, popijając piwem. Powoli nawet jego żołądek zaczynał się buntować. Wyszedł z małego budynku toalety usytuowanego w centralnym punkcie ośrodka wypoczynkowego i skierował się do swojej kryjówki. Wokół panowała cisza, bo ośrodek położony był w środku lasu, a o tej porze roku wszystko było zamknięte. Domki nie miały ogrzewania i udostępniano je turystom tylko latem. Okoliczne budki z zapiekankami i mały sklepik też otwierano tylko w sezonie, na krótko. Zresztą miejsce z roku na rok popadało w coraz większą ruinę, więc ostatnimi laty nawet w wakacje świeciło pustkami. Mógł tu bezpiecznie przeczekać całe zamieszanie, przez nikogo niezauważony. Pierwszego dnia wybił szybę na tyłach głównego budynku i znalazł klucze do jednego z drewnianych domków. Przy okazji zabrał z magazynu kilka kołder i poduszkę. W kuchni znalazł zapomniane wiaderko z keczupem i opakowanie świeczek, a na recepcji w szufladzie obdartego biurka – stary numer playboya. Urządził się całkiem przyjemnie. Za dnia łąził po lesie wokół jeziora, a nocą zasypiał pod stosem stęchłych, nieobleczonych kołder, marząc o miss sierpnia z rozkładówki. W sitowiu przy brzegu znalazł kawałek urwanej żyłki ze splawikiem i haczykiem. Uciął długą gałąź leszczyny, przywiązał żyłkę i zabijał czas, spędzając długie godziny z prowizoryczną wędką nad wodą. Od czterech dni wiódł żywot Robinsona przez nikogo nie niepokojony.

– Dzień dobry!

Głos człowieka był czymś tak niespodziewanym w tych okolicznościach, że w pierwszej chwili pomyślał, że to wyobraźnia płata mu figla.

– Czy ośrodek jest otwarty? – kilka metrów od niego za bramką stała brunetka, cała ubrana na czarno. – Można tu przenocować?

Miała krótką spódnicę, długie wełniane getry i wysokie ciężkie buty. Zbyt mocny makijaż miał za zadanie dodać jej lat, ale nie udało się ukryć za nim dziecięcej twarzy. Na oko miała szesnaście lat.

– Nieczynne – bąknął.

– Tylko jedną noc – przechyliła kokieteryjnie głowę. – Przyjechałam do cioci, ale jej nie zastałam i teraz nie mam co ze sobą zrobić, bo ostatni autobus do Krakowa mi uciekł. W telefonie mi się wyświetliło, że są tu noclegi.

– Zamknięte jest.

– Nie mam jak wrócić, okazją tu przyjechałam, i jeszcze przeszłam kawał drogi od głównej szosy na piechotę. Zaraz będzie ciemno, nie zdążę z powrotem do Kolbuszowej – była zdesperowana. – Pan tu jest kierownikiem?

– Tak – podchwycił, bo chciał wzbudzić respekt, żeby się jej pozbyć.

– Może otworzy mi pan jeden domek? – zrobiła smutną minkę. – Bardzo pana proszę.

Gabryś stał w milczeniu. Nie wiedział, co zrobić. Miał ochotę, żeby została, ale czuł, że będą z tego kłopoty. Z drugiej strony jeżeli odejdzie, to może trafić na policję i tam o nim wspomnieć. Wahał się i dziewczyna to wyczuła. Wykorzystała ten moment i nacisnęła klamkę, ale bramka była zamknięta na klucz.

– Tam z boku jest dziura w siatce – Gabryś dopiero po chwili zorientował się, że jako kierownik powinien móc otworzyć zamek. – Klucz mam na recepcji. Chodź, pokażę ci, gdzie jest przejście.

Dziewczynie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Kilkanaście metrów dalej ogrodzenie było rozerwane. Gabryś powiększył otwór w siatce zaraz na początku swojego pobytu, bo tędy codziennie przechodził. Drobną brunetką też przeszła bez trudu, nawet nie zdejmując plecaka. Kazał jej poczekać na ławce, a sam skręcił za budynek i naokoło, przez okno, dostał się do środka. Zabrał w pośpiechu pierwszy z brzegu klucz i szybko wrócił. Podszedł do niej już

wolnym krokiem, sprawdził numer na drewnianym breloku i rozejrzał się, szukając właściwego domku. Szczęśliwie numer dziewięć znajdował się w zupełnie innej części ośrodka niż domek, który on zajął. Pokazał palcem kierunek i ruszył bez słowa, a dziewczyna pomaszzerowała za nim. Otworzył drzwi do obiektu, w środku panował zaduch. Zapach zbutwiałego drewna mieszał się ze smrodem wilgotnych tapczanów.

– Ale nora! – dziewczyna skrzywiła się. – Nie ma pan jakiegoś lepszego domku? Czegoś, co się nadaje dla ludzi?

– Nie – Gabryś zmarszczył brwi. – Jak ci nie pasuje, to droga wolna.

– Dobra, niech się pan nie obraża – rzuciła plecak na łóżko. – Jedną noc jakoś wytrzymam.

– Przyniosę ci kołdrę.

Wrócił po kilku minutach, niosąc przed sobą obleczoną pościel.

– Jest awaria prądu – wyjął z kieszeni świeczkę. – Masz zapalki?

– Mam – rozejrzała się wokoło. – Jest tu łazienka?

– W tym małym białym budynku – pokazał palcem przez okno. – Ale tylko zimna woda.

Dziewczyna przewróciła oczami i wymamrotała pod nosem coś, co nie było komplementem ani dla ośrodka, ani dla jego samozwańczego kierownika. Wiesiek zostawił ją i wrócił do swojego domku. Zapalił tylko jedną świeczkę i zabrał się do przygotowywania kolacji. Pokroił grubo chleb, posmarował konserwą i polał sownicie keczupem. Ugryzł spory kęs i przeżuwając w zamyśleniu, otworzył puszkę piwa. Był podekscytowany. Już sama obecność drugiej osoby w tej sytuacji była czymś nadzwyczajnym, a dodatkowo dziewczyna budziła w nim jeszcze inne emocje. Podobała mu się, choć jej ubiór był dziwny i kojarzył mu się ze strojem zakonnicy. Oczywiście kusa spódniczka nie miała wiele wspólnego z habitem, ale obca wyglądała trochę jak istota z innego świata. Nagle drzwi domku się otworzyły szeroko.

– Ładny mi, kurwa, kierownik! – dziewczyna uśmiechała się z ironią. – Kimasz tu na nielegalu, co nie?

Milczał zaskoczony, nie wiedząc co powiedzieć. Powinien tę sytuację jakoś wytłumaczyć, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Masz fajki?

Wziął pudełko ze stolika i podał jej papierosa. Wyjęła z małego plecaczka zapalniczkę, przypaliła i mocno się zaciągnęła. Przyglądała się mu w milczeniu.

– Mogę kanapkę?

– Bierz.

– Ale żeś najebał tego keczupu! – zsunęła czerwoną maź na podłogę i oblizała palec. – Dasz jednego browara?

– Masz – otworzył jej piwo. – Jak się nazywasz?

– Megi.

– Megi?

– Megi, kurwa! – wzruszyła ramionami. – Co się dziwisz?

– Pierwszy raz takie imię słyszę.

– A ty? Jak się wabisz? – uśmiechnęła się ironicznie, ale on nie wyczuł złośliwości.

– Wiesiek.

– Ja pierdołę...! – prychnęła, wydymając wargi.

– Co?

– Niezły wieśniak z ciebie! – zaśmiała się. – Nawet w imieniu masz wieś.

Gabryś też się roześmiał. Śmiali się teraz oboje. Dziewczyna wysunęła puszkę i stuknęli się, aż piana wylała się na kanapki. To wywołało nową salwę śmiechu. Atmosfera zelżała.

– Jak się uśmiechasz, to nawet fajny jesteś – upiła mały łyk piwa, krzywiąc się od jego gorzkiego smaku. – Przypominasz trochę takiego gościa z telewizji. Tatuaze ma wszędzie.

– Którego?

– Jezu, podróżnik taki! – przewróciła oczami. – Ty w ogóle wystawiasz nosa z tej swojej wiochy?

– Też podróżuję.

– Ta... Właśnie widzę, zajebiste wczasy! – rozejrzała się wymownie po domku.

– Byłem miesiąc temu w Grecji – próbował jej zaimponować. – Kawał drogi. Jeszcze przez jakieś inne kraje jechałem.

– Też byłem tam kilka razy, ale samolotem – przełknęła kęs kanapki i zaciągnęła się papierosem. – Mam dzianych starych. Lekarze. Strasznie wkurwiający. Nie przyjechałam do żadnej ciotki, tylko do chłopaka. Poznałam go w sieci i mieliśmy razem uciec. Zwiedzić świat. Poznać ciekawych ludzi, zobaczyć wyjątkowe miejsca i nocować na pustyni pod gwiazdami. Umówiliśmy się w necie i przyjechałam do Kolbuszowej, ale niestety on okazał się zwykłą pizdą. A jak co do czego przyszło, to przestraszył się mamusi. Więc kazałam mu spadać i jestem tutaj.

– Mogę z tobą pojechać, jakbyś chciała – spojrzał nieśmiało. – Moglibyśmy kupić motor, to by było fajnie.

– Spoko! – uśmiechnęła się. – Tylko skąd weźmiesz kasę?

– Mam pieniądze. Dwadzieścia cztery tysiące – postanowił powiedzieć sąsiadowi, że na razie nie chce ciągnika i odebrać wszystko. – Wieczorem pójde i przyniosę, to ci pokażę.

– Lubię cię – spojrzała na niego inaczej. – Jak chcesz, to mogę się przespąć tutaj.

66

Siedzieli w milczeniu w gabinecie pani prokurator, czekając, aż wypełni papiery dotyczące przesłuchania w więzieniu. Komisarz Partyka rozglądał się po pomieszczeniu dla zabicia czasu. Zauważył na wykładzinie ciemniejszą, wytartą smugę, która prowadziła od biurka do okna i wokół stołu. Przesunął swoje krzesło i ustawił na wydeptanej ścieżce. Zuzanna nie знаła jeszcze nawyków Jaworskiej, nie zwróciła więc na jego zachowanie uwagi.

– Dziękuję, że zgodziła się pani przerwać chorobowe – prokurator złożyła swój podpis w ostatniej rubryce i przekazała jeden dokument Zuzannie. – Nie lubię takich sytuacji, ale sama pani rozumie. To duża szansa, żeby pchnąć sprawę do przodu. Mimo szeroko zakrojonych poszukiwań, na razie gówny mamy. Gabryś zaszył się gdzieś i dopóki nie wystawi nosa ze swojej nory, to go nie złapiemy.

Wstała zza biurka i w zadumie ruszyła w stronę okna, jednak po kilku krokach natrafiła na przeszkodę w postaci Partyki i jego krzesła. Odwróciła się na pięcie i usiadła w swoim fotelu.

– Domyśla się pani, dlaczego on chce rozmawiać właśnie z panią? – poprawiła okulary i zawiesiła wzrok na Widackiej. – Oczywiście wiem, że pani go złapała, w związku z tym jest pani główną figurą na planszy w jego rozgrywce. Pytam, czy jest coś więcej? Coś, o czym nie wiem? Czy domyśla się pani, jaką prowadzi grę?

– Nie mam pojęcia – odparła szczerze.

– To jego przyznanie się do winy wygląda na rodzaj spowiedzi. Jakby chciał oczyścić sumienie – Partyka wtrącił się do rozmowy. – Może wyjawienie miejsca

pobytu współnika jest swego rodzaju kłamrą zamykającą dla niego sprawę i chce, żeby była przy tym komisarz Widacka, od której wszystko się zaczęło.

– Może. W każdym razie proszę nie pozwolić mu na jakieś gówniane zabawy a’la Hannibal Lecter – poprawiła grzywkę. – Konkretnie, niech powie, gdzie jest Gabryś. Jak będzie kombinował, to proszę wyjść i już. Nie będzie nami kręcił. I oczywiście żadnych obietnic bez konsultacji ze mną.

– Rozumiem – Zuzanna schowała przepustkę do torebki. – Kiedy tylko powie mi, gdzie przebywa Wiesław Gabryś, natychmiast wyjdę i przekażę pani informację.

– Zanim panią komisarz z nim zostawimy, proszę więźnia dokładnie sprawdzić. Dla bezpieczeństwa – zwróciła się do Krzyśka. – Nie spodziewam się tego typu kłopotów, ale nie będziemy pani komisarz narażać w najmniejszym stopniu. Zwłaszcza w jej stanie.

– Jasne – Partyka skinął z aprobatą. – Wszystko sprawdzę.

– No to jedźmy – wstała, ominęła siedzącego Partykę i sięgnęła po płaszcz.

Do więzienia pojechali razem, ale całą drogę milczeli pochłonięci swoimi myślami. To mógł być przełom w śledztwie, zwłaszcza że po schwytaniu Gabrysia, jego zeznania można będzie skonfrontować z zeznaniami głównego podejrzanego, które budziły wiele wątpliwości.

Na miejscu wszystko było przygotowane. Przed wejściem do pokoju przesłuchań czekał już mecenas Klimt, obrońca Kosiora. Prawnik wstał i przywitał się najpierw z Jaworską, potem z policjantami.

– Chciałbym jeszcze raz zaznaczyć, że mój klient będzie współpracował i zezna, gdzie jest Wiesław Gabryś, ale tylko w obecności pani komisarz Widackiej, nikogo więcej – uśmiechnął się do Zuzanny. – Oczywiście z zachowaniem wszelkich środków prewencyjnych dla zapewnienia pani pełnego bezpieczeństwa.

– Już to uzgodniliśmy – pani prokurator nie czuła się komfortowo w tej sytuacji. – Nie traćmy czasu na czcze gadanie.

Skinęła na strażnika, a ten otworzył drzwi. Wewnątrz siedział Kosior. Patrzył przed siebie, a dłonie miał przykute kajdankami do tylnych nóg metalowego krzesła. Do środka wszedł Partyka, szarpnął za kajdanki i przyjrzał się im, po czym wyjął swoje i dodatkowo przykuł do stołu nogę więźnia, dla pewności. Wszystko to odbyło się w zupełnej ciszy, bez zbędnego komentarza ze strony któregokolwiek z mężczyzn. Wszedł i skinął twierdząco głową w kierunku Jaworskiej. Ta z kolei bez słów wskazała drogę Klimtowi.

– Proszę bardzo, pani komisarz – prawnik przepuścił w drzwiach Zuzannę.

Zanim wszedł, Partyka zatrzymał go, chwytając za ramię, i ścisnął.

– Panie mecenasie – na krótką chwilę ich wzrok się spotkał. – Tylko bez żadnych numerów.

Prawniki wytrzymał jego spojrzenie. Poczekał, aż zwolni uścisk, po czym wszedł za Zuzanną do środka. Pozostali przeszli do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie za weneckim lustrem ustawiona była kamera.

– Dzień dobry, pani komisarz – usłyszeli głos Kosiora, lekko zniekształcony przez głośnik. – Byłem pewien, że pani przyjdzie. Podczas naszego krótkiego spotkania u Anny zdążyłem sobie już wyrobić o pani jak najlepsze zdanie.

– Proszę sobie darować – Zuzanna zignorowała jego komplementy. – Gdzie ukrywa się Wiesław Gabryś?

– Dobrze, przejdźmy do rzeczy – spojrzał na swojego obrońcę.

Klimt zrozumiał sygnał, wyjął z teczki mały głośnik i ustawił na stole między Zuzanną a Kosiosem. Połączył go ze swoim telefonem i włączył muzykę. Jaworska i Partyka wymienili spojrzenia. Zamiast zeznań oskarżonego, usłyszeli jakiś rockowy kawałek. Kosior pochylił teraz nisko głowę i wbił wzrok w podłogę. Jego szczeka i policzki poruszały się, z czego wnioskowali, że coś mówi półszepem. Nie słyszeli jednak, co mówił, bo muzyka zagłuszała słowa. Nie widzieli też jego ust; ich ruchu nie mogła zarejestrować kamera.

– Trzeba to przerwać – Partyka nie miał wątpliwości, że w pokoju obok dzieje się coś złego. – Natychmiast!

– Poczekaj – Jaworska powstrzymała go.

– Oni coś kombinują! – nie wiedział jak ją przekonać. – Widzi pani, że mają wszystko obmyślane!

– Poczekaj, mówię!

Nieme przedstawienie trwało, więc w napięciu obserwowali trzy postacie za szybą. W pewnym momencie Klimt bez słowa wyjął z teczki jakieś dokumenty i zasłaniając je, położył przed Zuzanną. Pozwolił jej przeczytać, po czym schował z powrotem, a z torby wyjął czystą kartkę i długopis. Podsunął je Widackiej. Zasłonił swoje usta dłonią i najwyraźniej coś jej dyktował, bo policjantka ujęła długopis i w jednostajnym tempie zapisywała kartkę. Po kilku minutach Klimt zamilkł, Kosior uniósł twarz, po czym prawnik wyłączył i schował głośnik.

– Mecenasa poda wam numer telefonu Gabrysia – Kosior mówił teraz głośno i wyraźnie. – Na pewno jest gdzieś blisko domu, łatwo go namierzycie.

Zuzanna powoli wstała, zabrała leżące przed nią zapiski i wyszła na korytarz. Jaworska i Partyka rzucili się w stronę drzwi. Widacka bez słowa, z kamienną twarzą wręczyła pani prokurator zapisaną kartkę, po czym ruszyła korytarzem w stronę wyjścia.

67

Rafał rozmawiał służbowo przez telefon, kiedy weszli do jego pokoju. Dyżurny komendy w Staszowie nie mógł się do niego dodzwonić, więc wpuścił ich na górę. Kiedy Widacki zobaczył Andrzeja, przerwał rozmowę w pół zdania i bezwiednie opuścił rękę z telefonem. W aparacie słychać było stłumiony głos rozmówcy. Rafał milczał, przygotowany na najgorsze.

– Zuzanna cała i zdrowa – Buczek przejrzał jego myśli. – Ale masz, czytaj.

Podał mu kartkę – kserokopię porannego oświadczenia Zuzanny. Usiadł na krześle obok i potarł czoło. Partyka nieruchomo stał za jego plecami. Rafał wziął dokument, jednak potrzebował jeszcze chwili, żeby się uspokoić na tyle, by się na nim skupić. Przeczytał kilka pierwszych zdań i podniósł wzrok na policjantów. W jego spojrzeniu mieszały się zdumienie i złość.

– Co to za pierdoły? – usiadł na swoim krześle i czytał dalej, co chwila kręcąc z niedowierzaniem głową.

Skończył i rzucił kartkę na biurko przed Andrzejem. Zatrzymał spojrzenie dłużej na Partyce. Nie znał go i nie ufał mu. Nie wiedział, w co oni grają, ale nie podobało mu się to.

– Co to ma być? – zwrócił się do Buczka, nawet nie próbując kryć gniewu. – Co ty mi tu pokazujesz?

– To jest oświadczenie Zuzanny. Dziś to napisała w trakcie przesłuchania oskarżonego.

– W życiu większych bzdur nie widziałem! – oparł się na krześle i założył ręce na piersi. – Ja mam w to uwierzyć? Ty w to wierzysz?!

– Nieważne, czy ja w to wierzę! – Andrzej był przejęty. – Ważne, czy sędzia w to uwierzy, bo to jest teraz dowód w sprawie. Zuzanna dała to prokurator, a ta

musiała włączyć dokument do akt. Chciała ją aresztować, ledwo wybiliśmy jej to z głowy.

– Co ty pierdolisz?! – wstał gwałtownie, oparł dłonie na biurku i nachylił się w jego stronę. – Ona jest w piątym miesiącu ciąży!

– Wiem – Buczek był zmieszany. Cała ta sytuacja dla niego też była trudna. – Dlatego musisz z nią pogadać.

– O czym?

– Napisała to oświadczenie w trakcie przesłuchania oskarżonego. Pod wpływem namowy Kosiora i jego prawnika – Partyka wtrącił się, bo jako jedyny miał dystans do sprawy i chciał sprowadzić rozmowę z poziomu emocji na poziom rzeczowej dyskusji. – Była z nimi w pokoju sama, więc nie wiemy, dlaczego to zrobiła.

– Dlaczego była sama?! – Widacki był wściekły. – Kurwa mać!

– Posłuchaj, co się stało, to się już zesrało – Partyka podszedł i usiadł naprzeciw niego. – Teraz trzeba wyjaśnić, o co w tym chodzi, bo my też nie wiemy. Gramy w tej samej drużynie. Też w to nie wierzymy i chcemy twojej żonie pomóc. Kosior, znaczy oskarżony, którego miała przesłuchać na jego prośbę, skłonił ją do napisania oświadczenia. Zrobiła to na naszych oczach, bez użycia przemocy. Nie przystawił jej broni do głowy ani nic z tych rzeczy.

– To dlaczego według ciebie to napisała?

– Nie mam pojęcia, ale są dwie możliwości – Krzysztof ściszył głos i popatrzył w bok, jakby się cały czas zastanawiał. – Albo coś Zuzannie obiecał, albo ją czymś nastraszył.

– Od razu ci powiem, że pierwszą hipotezę możesz sobie do butów włożyć – Rafał uśmiechnął się z przekąsem. – Jestem pewien, że nigdy by nie wzięła w łapę. Bardziej ufam jej niż sobie. Nie znasz jej, bo jakbyś znał, tobyś takich głupot nawet nie gadał.

– Czyli zostaje druga wersja – Partyka złagodził ton.

Wiele o niej słyszał i trochę zdążył ją poznać. Już ta znajomość pozwalała mu odrzucić ewentualność łapówki. Wspomniał o tej możliwości, żeby Rafała

zaangażować w wyjaśnienie sprawy oświadczenia.

– Od nas nie odbiera telefonu – Buczek wiedział, do czego zmierza; po to tu przyjechali. – Jedź do domu i porozmawiaj z nią. Niech wyjaśni to jak najszybciej. Może uda się jeszcze sprawę odkręcić, zanim zostanie to ostatecznie wciągnięte do akt i uwzględnione w procesie.

Widacki wstał, bez słowa zgarnął kopię oświadczenia z biurka i swoją kurtkę z oparcia krzesła. Wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami. Z samochodu zadzwonił do żony. Zanim to zrobił, wziął kilka głębokich oddechów, żeby zachować spokój. Niewiele to pomogło. Kiedy powiedziała, że to nie rozmowa na telefon, stracił panowanie nad sobą.

– Przestań pieprzyć i powiedz mi, co się dzieje! – wrzeszczał w samochodzie. – Masz jakieś problemy? Dlaczego mi, kurwa, nic nie mówisz? Wczoraj oświadczasz, że idziesz na zwolnienie, a dziś przyjeżdża Buczek z tym drugim do mnie na komendę i mi pokazują te bzdury! Pytają, co się dzieje z moją żoną, a ja im mówię, że nie wiem! Bo, kurwa, nie wiem! Nie wiem, co ty robisz. Nie wiem, co ty myślisz. Nie wiem, czy jesteśmy jeszcze małżeństwem! Może po prostu dam ci święty spokój i będziesz sobie żyć jak dawniej, babrząc się w tym całym gównie!

– Skończyłeś? – mówiła spokojnie, ale głos drżał jej z emocji. – Rozłączam się teraz, zanim powiem ci coś, czego będę żałować.

68

Mecenas Klimt uśmiechał się przyjaźnie, choć tak naprawdę czuł się urażony. Prokurator Jaworska od początku spotkania była dla niego nieprzyjemna i traktowała go z góry. Nie zaproponowała mu nawet filiżanki kawy. Pewne zasady dobrego wychowania wśród kulturalnych i wykształconych ludzi jednak powinny obowiązywać w każdej sytuacji. Owszem, na sali sądowej byli rywalami, ale rozumiała chyba, że to jego praca. Poza tym przyszedł do niej z propozycją, która według niego była w jej obecnym położeniu niczym koło ratunkowe rzucone tonącemu.

– To jest rozsądne rozwiązanie, które pozwoli prokuraturze wyjść z tej całej sytuacji z twarzą – jego dłonie stykały się opuszkami palców, podkreślając pewność siebie. – Winny zostanie osądzony i poniesie zasłużoną karę, a o to przecież chodzi, prawda?

– A pana klientowi ujdzie wszystko płazem?

– Udział mojego klienta jest, można powiedzieć, marginalny – Klimt rozłożył ręce w geście bezradności. – Owszem, powinien był przerwać ten łańcuch zbrodni i zgłosić sprawę na policji, ale obawiał się o swoje życie. Wiesław Gabryś to bezwzględny morderca. Wie pani, że zabił człowieka tylko dlatego, że straszył mu gołębice na podwórku?

– To jest wasza wersja wydarzeń – Jaworska przysunęła się do biurka. – Problem w tym, że ja w nią nie wierzę, bo to jest gówno prawda.

– Zna pani to powiedzenie, że są trzy rodzaje prawdy: też prawda, święta prawda i gówno prawda? – uśmiechnął się. – Według mnie jest jeszcze jeden rodzaj: prawda w sądzie.

– Zgodnie z pana kryteriami ona mieści się w trzeciej kategorii – nerwowo poprawiła okulary. – Ale ja mam inną wizję praworządności.

– Wiem, że sprawie towarzyszy wiele emocji. Zwłaszcza śmierć dziecka budzi nasz naturalny sprzeciw i współczucie dla bliskich – zmienił ton na pełen udawanej empatii. – Ale sala sądowa, to nie jest miejsce na zemstę. Trzeba kierować się zasadami prawa i zdrowym rozsądkiem, a ten podpowiada, że albo zostanie skazany Gabryś, albo nikt. Wybór jest prosty.

– Pański klient przyznał się do popełnienia czterech morderstw! – nie wytrzymała i podniosła głos. – O jakim rozsądku pan mówi?! Siedzi po uszy w gównie i pójdzie do więzienia, i to na wiele lat!

– Mój klient wycofuje swoje wcześniejsze zeznania. Nie przyznaje się do zarzucanych mu czynów. Proszę bardzo – sięgnął do teczki i położył przed nią dokument. – Zresztą stare zeznanie mojego klienta i tak jest nieważne, bo w świetle dzisiejszego oświadczenia komisarz Zuzanny Widackiej został on zmuszony do jego złożenia przemocą. Oświadczyła ona na piśmie, że w areszcie komendy w Tarnobrzegu Sławomir Kosior był zastraszany. W ten sposób zmuszono go do przyznania się do winy. Próbowano zmusić go w celu do popełnienia samobójstwa, a kiedy odmówił, pobito, co potwierdza wykonana przez lekarza obdukcja.

– Świadkowie mówią co innego.

– Świadkowie mówią, że obrażenia powstały, kiedy spadł z łóżka z wysokości pół metra – skomentował z ironią. – Zresztą jeden z nich, pan Jakubek, z którym owej feralnej nocy dzielił celę mój klient, przyznał, że policjanci przyszli do aresztu i pobili Sławomira Kosiora. Potwierdzi to w sądzie pod przysięgą.

Jaworska milczała, nie mając kontrargumentów. Widacka swoim oświadczeniem rozpieprzyła jej cały zebrany materiał dowodowy. Oprócz przyznania się do zastraszania oskarżonego i zlecenia jego pobicia w celu wymuszenia zeznań, stwierdziła również, że zataiła szereg informacji wskazujących na niewinność Kosiora lub marginalizujących jego rolę

w morderstwach. Prokurator nie miała wyjścia i mimo osobistej odrazy do tego człowieka musiała się z nim dogadać.

– Co pan proponuje? – starała się tego nie okazywać, ale emocje w niej kipiały.

– Na początek pełną współpracę z naszej strony w zakresie pomocy w ujęciu poszukiwanego Wiesława Gabryś – wiedział, że przełamał jej wewnętrzny opór i teraz będzie z górki, ale swoją postawą chciał jej ułatwić podjęcie ostatecznej decyzji. – Mój klient zna jego zwyczaje i podzieli się tą wiedzą. To z kolei powinno umożliwić szybkie jego schwytanie. Gabryś to ograniczony prostak i jego zachowanie jest bardzo przewidywalne dla kogoś, kto go dobrze zna. A nikt nie zna go tak dobrze, jak mój klient.

– Co, jak już go złapiemy?

– Przyzna się, że jest zabójcą Zbigniewa Obrębskiego, ksywa Bury, i Janickich. Porwanego Patryka Wagnera zamordował razem z bratem i ojcem, choć w pewnym sensie był to wpadek.

– A motyw? – było oczywiste, że to Kosior z zazdrości zabił Janickiego. – Jaki Gabryś miał motyw?

– W dwóch przypadkach to pieniądze. Motywem zabójstwa Janickich – celowo używał nazwiska w liczbie mnogiej, nie chcąc przywoływać imienia chłopczyka – była źle pojęta lojalność wobec przyjaciela. Bo za takiego Gabryś uważał pana Kosiora. Mój klient zwierzył mu się ze swoich sercowych problemów, a ten próbował mu pomóc i rozwiązać je w charakterystyczny dla siebie sposób.

– A pana klient oczywiście o niczym nie wiedział?

– Oczywiście – uśmiechnął się bezczelnie. – Zresztą postaram się zostać obrońcą Wiesława Gabryś. Przekonam go, żeby zgodził się na współpracę i badanie wariografem. Zestaw pytań uzgodnimy, ale od razu zgadzam się na pytania dotyczące tego, kto zastrzelił Obrębskiego, udusił Janickich i doprowadził do śmierci Patryka Wagnera.

Nie wierzyła, że udział Kosiora był bierny. Nawet jeżeli bezpośrednio zabijał Gabryś, to mózgiem i odpowiedzialnym za wszystko był na pewno Kosior. Tylko

co z tego, skoro ona i Klimt doskonale wiedzieli, że w tym rozdaniu wszystkie asy były w ręce mecenasa. Ona mogła tylko powiedzieć „pass”. Nie przekona sędziego jakąś desperacką, wzruszającą przemową, bo obok każdego jej stwierdzenia Klimt postawi znak zapytania. Po oświadczeniu tej policjantki każdy dowód w sprawie będzie można poddać pod wątpliwość.

– Czyli Gabrysia rzucicie nam na pożarcie?

– Raczej podamy na tacy, przyrządzonego według przepisów kodeksu karnego.

– A co z Kosiosem? – Janicka odpuściła i złagodziała ton. Nie było sensu rzucać się jak ryba na piasku. – Czego oczekuje pan w zamian?

– Chcę, żeby został uniewinniony.

– Zwariował pan! – znów się zagotowała. – Nawet jeżeli nie powiązę go z morderstwami Artura Janickiego i jego synka, to w przypadku sprawy porwania są nagrania jego głosu. Użyli jego samochodu i zapłacił za dom pieniędzmi z okupu!

– Głos na nagraniach jest tak zniekształcony, że nie ma pewności, kto to mówi – skrzywił się. – A jak nie ma pewności, to nie ma dowodu. Mój klient wielokrotnie pożyczał Gabrysiowi samochód, a pieniądze też nie można powiązać z porwaniem. Co najwyżej pan Kosior będzie się w skarbowym tłumaczył, skąd je miał. Jeżeli Wiesław Gabryś go nie obciąży, a to pani gwarantuję, to nie macie na niego nic.

Wstała zza biurka i zrobiła rundkę po pokoju. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że właśnie podejmuje decyzję. Klimt wodził za nią wzrokiem w milczeniu. Dał jej czas, żeby rozsądek dobił umierającą przyzwoitość.

– Zgoda – zatrzymała się. – Niech Kosior jeszcze dziś przekaże wszystko, co wie na temat Gabrysia, policjantom.

– Świetnie! – poprawił się na krześle. – Skoro już się dogadaliśmy, mogę prosić o małą kawkę?

– Nie – patrzyła na niego zimnym wzrokiem. – Omówmy szczegóły.

Klimt skrzywił się. Nie skomentował jej zachowania i wrócił do sprawy. Był przygotowany, więc przedstawił dokładny plan przebiegu procesu i określił rolę

swojego klienta na każdym jego etapie. Po kwadransie wszystko było jasne. Wstał i skierował się do wyjścia.

– Panie mecenasie, mam ostatnie pytanie – Jaworska zatrzymała go już w drzwiach. – Jak pan sypia?

– W jedwabnej pościeli, z piękną kobietą u boku – posłał jej bezczelny uśmiech.

69

Partyka zajrzał do pokoju. Andrzej siedział za swoim biurkiem, a przed nim ze spuszczoneymi głowami stało dwóch mundurowych. To oni byli w nocy w celi u Kosiora. Buczek zdążył im już naświetlić sytuację i uświadomić, jak swoją głupotą i porywcznością zaszkodzili śledztwu.

– Co robisz? Masz czas? – Partyka wpadł do niego po drodze. Wezwał go Sobczyk i tam właśnie siedł.

– Próbuję im wytłumaczyć, co narobili.

– I jak ci idzie?

– Jak kurwie w deszcz! – Andrzej wskazał na dwóch funkcjonariuszy. – Nie masz tam wolnych miejsc w CBS? Bo te dwa przystojniaki będą niedługo szukać roboty. Jakby trzeba było coś koncertowo spierdolić, to by się idealnie nadali.

– Mundury im zostaw, będą na wieczorach panieńskich występować – Partyka spieszył się, więc zmienił temat. – Pójdiesz ze mną do Sobczyka? Wezwał mnie w sprawie tego oświadczenia.

Buczek pożegnał dwóch policjantów krótkimi żołnierskimi słowami i poszedł z Krzyśkiem na górę. Do komendanta zadzwonił dziś prokurator Karski, przełożony Jaworskiej. On i Sobczyk nigdy nie pałali do siebie sympatią, więc szef prokuratury skrzętnie wykorzystał teraz okazję, żeby sobie na starym poużywać. Widacka też kiedyś zalazła mu za skórę, dlatego szczególnie podkreślał jej winę w obecnej sytuacji. Komendant próbował bronić swojej komisarz, przypominając mu jej stare zasługi, ale na niewiele to się zdało. W końcu nie wytrzymał i wypomniał Karskiemu, że to na jej sprawie wywindował się na obecne stanowisko. Ten sprowokowany zagroził wyciągnięciem wobec Widackiej konsekwencji z całą surowością. Sekretarka,

dzięki kobiecej intuicji, a raczej dobremu słuchowi, знаła nastrój szefa, więc ostrzegła wchodzących policjantów:

– Zły jest, bo go prokurator opieprzył – wyszeptła, wskazując im drzwi do gabinetu komendanta. – Ale zaparzyłam mu meliski, to mu zaraz przyjdzie.

Po tej informacji weszli do środka jak na ścięcie. Sobczyk ze zmarszczonym czołem łowił coś łyżeczką w szklance. Zobaczył ich i klasnął w dłonie.

– Powiem wam, że jak się przyjmowałem do tej roboty, to w najśmielszych marzeniach nie myślałem, że zostanę kiedyś właścicielem największego burdelu w okolicy! – melisa jeszcze nie zaczęła działać. – Chyba se kupię kapelusz z piórem i futro! Dymają was wszyscy, od mecenasa począwszy, a na bandziorach skończywszy. Ktoś mi wytłumaczy, co ta Widacka tu wysmarowała?

– Nie wiemy – Buczek obserwował, jak komendant wydłubuje teraz z zębów listki melisy. – Wszystkich nas tym zaskoczyła.

– Może to jakaś jej sztuczka? – upił łyk naparu. – Zawsze lubiła namieszać.

– Raczej nie – Partyka z niesmakiem patrzył, jak stary znów grzebie w ustach. – Jej mąż ma się czegoś dowiedzieć, bo z nami to ona w ogóle nie chce gadać.

– Danusia! – komendant krzyknął i drzwiach pokazała się sekretarka. – Zróbże mi normalnie kawy, bo mnie ta melisa wkurwia!

Podeszła energicznym krokiem i kręcąc głową, zabrała z jego biurka szklankę.

– Przecież to jest na uspokojenie – przewróciła oczami.

– To widocznie na mnie nie działa – Sobczyk zauważył jej minę. – Zielone to takie, jeszcze sraczki dostanę.

„Żebyś się tak, stary dziadu, w portki zesrał” – Danusia ripostę już miała na końcu języka. Powstrzymała się jednak ze względu na obecność Partyki. Wyszła, milcząc z godnością i zamknęła za sobą drzwi. Komendant założył okulary, ujął w dłonie kopię oświadczenia Zuzanny i odczytał na głos, choć każdy z obecnych znał je już prawie na pamięć.

Ja, Zuzanna Widacka, oświadczam, że podczas pobytu Sławomira Kosiora w areszcie komendy policji w Tarnobrzegu zleciłam funkcjonariuszom pełniącym nocną służbę pobicie zatrzymanego Sławomira Kosiora w celu nakłonienia go do

przyznania się do zamordowania Zbigniewa Obrębskiego, Artura Janickiego, Bartosza Janickiego oraz do porwania i zamordowania Patryka Wagnera. Bijąc i grożąc powieszeniem, zastraszyli Sławomira Kosiora, w wyniku czego, w obawie o swoje życie, zgodził się on wziąć na siebie odpowiedzialność za dokonanie wymienionych czynów. Następnego dnia złożył zeznanie, w którym przyznał się do winy. Oświadczam też, że opisując w raporcie zatrzymanie Sławomira Kosiora w mieszkaniu Anny Janickiej napisałam nieprawdę. Sławomir Kosior nie próbował zamordować Anny Janickiej, ale razem z nią popełnić samobójstwo. Wniosek mój opieram na tym, że oboje znajdowali się w łazience, gdzie ulatniał się gaz. Nieprawdą jest też, jakoby Sławomir Kosior mnie zaatakował podczas zatrzymania. To ja w emocjach straciłam nad sobą kontrolę i zaatakowałam go, a on się tylko bronił. Zataiłam też zeznanie, w którym Sławomir Kosior powiedział mi, że w noc poprzedzającą wypadek Artura Janickiego i Bartosza Janickiego pił alkohol z Wiesławem Gabrysiem w swoim domu. Sławomir Kosior powiedział mi, że Wiesław Gabryś zabrał jego służbowy samochód, fiata ducato, i wrócił następnego dnia rano uszkodzonym atutem. Trudno mi wyjaśnić powody mojego działania. Prawdopodobnie były one wynikiem przepracowania i stresu wynikającego z trudnych doświadczeń, jakie przeszłam w ostatnich latach.

Komisarz skończył czytać, zdjął okulary i spojrzał na obecnych.

– Co wy na to?

– Rozmawiałem z policjantami z nocnej służby – Andrzej zaczął niepewnym głosem. – Przyznali się, że pobili go ostatniej nocy przed przewiezieniem do aresztu tymczasowego w Chmielowie. Dowiedzieli się, co zrobił, i odbiło im. Zmówili się w kilku i postanowili pomóc dzieciobójcy wyprawić się na tamten świat. Nie chcieli go zabić, dali mu tylko pasek, ale odmówił. Wtedy dostał po głbie. Nie miał wielkich obrażeń. Tylko... no, ten... złamany nos. Nie było jednak mowy o żadnym zmuszaniu do przyznania się do winy. Obaj też twierdzą, że Zuzanna nie miała z tym nic wspólnego, o niczym nie wiedziała. Nawet z nią

nie rozmawiali. To wiemy na pewno, więc ta część oświadczenia to stek bzdur. Jestem pewien, że reszta też.

– To dlaczego ona bierze na siebie winę? – Sobczyk podrapał się po głowie. – Co ona kombinuje?

– Może mają na nią jakiegoś haka? – Partyka miał swoją teorię. – Albo na kogoś z jej bliskich? Jej mąż jest czysty?

– Dałbym sobie rękę uciąć, że tak – Andrzej stanął w obronie Rafała. – Oni się oboje dobrali jak w korcu maku. Bohaterowie bez skazy.

– Nie ma ludzi bez skazy – mężczyźni spojrzeli teraz na komendanta. – To sobie zapamiętajcie raz na zawsze. Sprawdźcie ich oboje i ich rodziny. Jak znajdziemy to, czym ją szantażują, to nie będzie już musiała ich słuchać i wycofa to durne oświadczenie. Mleko się wylało, ale może jeszcze da się coś uratować.

70

Rafał gapił się w ekran telewizora. Nie miał nawet pojęcia, jaki program ogląda, bo wciąż był wkurzony, a odbiornik włączył tylko po to, żeby zagłuszyć panującą w mieszkaniu ciszę. Była gorsza niż krzyki, jakie rozlegały się w ich salonie kilka minut temu. Po jego powrocie do domu dokończyli rozpoczętą przez telefon kłótnię. Mimo jego nalegań Zuzanna nie wyjaśniła mu, o co w tym wszystkim chodzi. Prosiła, żeby jej zaufała i obiecywała, że wszystko mu powie, ale jeszcze nie teraz. Tylko jak mógł jej zaufać, skoro ona nie ufała jemu? Przecież wiedziała, że bez względu na wszystko może na niego liczyć. Nawet gdyby zrobiła coś naprawdę złego, chroniłby ją, bo jest jego ukochaną żoną i nosi w łonie jego córkę. Zupełnie nie rozumiał jej zachowania. Nie umiał go sobie wyjaśnić i to chyba irytowało go najbardziej. Jednak nie, najbardziej złościło go, że nie pozwalała sobie pomóc. Bo co do tego, że ma kłopoty, nie miał wątpliwości. Usłyszał za sobą jej kroki, ale się nie odwrócił. Dopiero dźwięk kółek walizki toczonych po parkiecie sprowokował go do reakcji.

– A ty gdzie z tą walizką?

– Wyjeżdżam na kilka dni – zatrzymała się i odwróciła w jego stronę. – Obojgu dobrze nam to zrobi.

– Mogę wiedzieć, dokąd się wybierasz? – podniósł się z kanapy. – Czy to też tajemnica?

– Do Warszawy, odwiedzę matkę – zatrzymała się w korytarzu i sięgnęła po płaszcz. – Zadzwoń do ciebie, kiedy dojadę.

– Czyli tak to chcesz załatwić? – podszedł do niej. – Będziemy udawać, że nic się nie stało?

– Proszę cię... – owinęła szyję szalikiem. – Ja już dzisiaj nie mam siły się kłócić.

– Nigdzie nie pojedziesz, nie zostawisz mnie z tym bajzlem! – krzyknął wściekły.

Zanim Zuzanna zorientowała się, co chce zrobić, chwycił walizkę, rozsunął zamek i wysypał jej zawartość na kanapę. Nie zdążyła zaprotestować i stała teraz załamana, z opuszczonymi rękami, wpatrując się w porozrzucane rzeczy. Rafał zaniemówił. Na poduszki z jej ubraniami i dokumentami wysypały się paczki stułotowych banknotów. Nie próbował ich liczyć, ale na oko było tego trzysta tysięcy, może więcej. Podniósł jedną paczkę z kanapy, wygiął i przyjrzał się przelatującym między palcami banknotom.

– Co to za pieniądze? – w jego głosie nie było złości ani pretensji. Teraz było słycać strach. – Skąd je masz?

– Wzięłam kredyt.

– Po co?

– To moja sprawa.

– Twoja sprawa?

Podszedł do niej, podał jej paczkę pieniędzy i sięgnął po buty. Bez słowa zasznurował i zdjął z wieszaka płaszcz.

– Nie musisz wyjeżdżać – spojrzał na nią ze smutkiem. – Ja się wyprowadzę.

– Rafał...

– Jutro o dziewiątej przyjdę po swoje rzeczy – nacisnął kłamkę. – Lepiej, żeby cię o tej porze nie było w domu, to ułatwi sprawę.

Milczała. Nie odezwała się, a kiedy zamknęły się za nim drzwi, osunęła się po ścianie i usiadła na podłodze. Łzy popłynęły jej po policzkach. Właśnie straciła osobę, którą kochała najbardziej na świecie, i nie mogła nic z tym zrobić. Bezsilność była nie do wytrzymania – zwłaszcza dla niej, która zawsze brała się z problemami za bary. Była przecież twardą kobietą. Nawet w sytuacji, w jakiej się znalazła, próbowała znaleźć rozwiązanie. Sama, bo nie chciała pakować innych w kłopoty. Musiała walczyć o to, co było dla niej najcenniejsze – o swoją

rodzinę. Nie odpuści i zrobi wszystko, żeby ją uratować. Nawet, jeżeli będzie musiała zabić. Nie myślała nigdy, że coś ją przywiedzie w życiu do takiej ostateczności, ale jeśli inne sposoby zawiodą, nie cofnie się. Jednak musiała to zrobić sama, nie narażając męża ani przyjaciół na konsekwencje.

Wstała z podłogi, wytarła palcami oczy i energicznym krokiem przeszła do salonu. Przesunęła pod okno stół, zrolowała dywan i sięgnęła po leżącą na kanapie wśród jej ubrań teczkę. Miała tam kopie materiałów zgromadzonych w śledztwie przeciwko Kosiorowi, które dotyczyły lub mogły dotyczyć Wiesława Gabryśa. Uklękła i zaczęła je rozkładać na podłodze. Planowo: najpierw w samym środku zdjęcie poszukiwanego, potem wokoło inne dokumenty. Te jej zdaniem najważniejsze – bliżej fotografii, te mniej istotne – dalej. W ten sposób po kilkunastu minutach miała przed sobą kolaż z fotografii, zeznań, raportów i notatek. Usiadła na kanapie i wzięła głęboki wdech, żeby uspokoić emocje. Musiała ostudzić głowę, aby móc w uporządkowany sposób przeanalizować zgromadzony materiał i znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Numer telefonu, który podał Kosior na niewiele się zdał, bo komórka Gabryśa była cały czas wyłączona. Na początku musiała więc wyłowić z dokumentów wszystkie ważne i mniej ważne informacje, których suma pozwoliłaby jej zacząć poszukiwania.

Wiesław Gabryś nie skończył nawet podstawówki. Całe swoje krótkie życie spędził na rodzinnej wsi, a raczej gdzieś na jej peryferiach. Nie było tam internetu; nie mieli w domu nawet komputera. Mieszkańcy Rzeczycy opisywali go jako gburowatego mruka. Taka osoba nie ukryłaby się w dużym mieście. Nie poradziłby sobie z wynajęciem mieszkania, czy nawet hotelowego pokoju. Nie miał też przyjaciół, którzy mogliby go ukryć. Jedyną osobą, której ufał, siedziała w areszcie. Zuzanna nie wierzyła, żeby był w stanie zaszyć się i zniknąć w dzisiejszym zdigitalizowanym świecie. Zwłaszcza że rozesłano za nim list gończy. Gabryś to typ samotnika, który rozwiązuje problemy rękami, a nie głową. Nie chorował, był silny i sądząc po warunkach, w jakich z rodziną żyli, był też odporny na wszelkie niewygody. Włączyła laptopa, znalazła na mapie Rzeczycę i przyjrzała się okolicom wsi. Wszędzie były lasy. Co prawda,

próbowali je przeczesać pierwszego dnia śledztwa, używając psów tropiących, ale o tej porze roku częste deszcze usuwały ślady zapachowe i utrudniały tego typu działania. Gabryś mógł się tam zaszyć. Mógł też zbudować szałas i dopóki nie nadejdą mrozy, jakoś tam przetrwać. Zuzanna stwierdziła jednak, że nawet on późną jesienią nie wyżywi się w lesie. Prawdopodobnie ktoś mu zatem pomaga. Pewnie któryś z mieszkańców wsi.

Z zebranych informacji wynikało, że Gabrysie byli traktowani przez miejscowych z rezerwą. Ludzie bali się ich i woleli unikać. Nie mieli też we wsi rodziny. Mimo wszystko właśnie z tego środowiska Wiesław Gabryś się wywodził i najłatwiej tu było mu znaleźć pomoc. Postanowiła następnego dnia rano przesłuchać mieszkańców, których domy były położone na skraju lasu. Gdyby pałętał się po całej wsi, ujadające psy nawet w nocy zaalarmowałyby mieszkańców. Pewnie ktoś by go zauważył i zadzwonił na policję. Tak postanowiła zrobić. Nie zamierzała siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak wali się jej życie.

Komisarz Krzysztof Partyka zatrzymał samochód przed niewielkim piętrowym domem położonym przy cichej ulicy jednej ze starych warszawskich dzielnic. Przestarzała bryła była odświeżona przy pomocy kilku prostych zabiegów architektonicznych. Dobudowano taras i powiększono okna, a elewację uzupełniono drewnianymi wstawkami. Posesję otoczono murem i kutym ogrodzeniem, ponad które wyrastały gałęzie starych drzew. Całość sprawiała wrażenie miejsca, gdzie zgiełk i problemy współczesnego świata nie mają wstępu. Profesor Nowacki mieszkał pod tym adresem ze swoją drugą żoną. Partyka pojawił się tutaj, bo Zuzanna w ciągu ostatnich trzech dni kilkanaście razy telefonowała do ojca. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że w ciągu ostatniego roku zadzwoniła do niego tylko dwa razy. Owszem, rozmawiali ze sobą przynajmniej raz w tygodniu, ale zawsze dzwonił ojciec.

Partyka zlecił specjalistom ze swojego wydziału w Krakowie sprawdzenie Aleksandra Nowackiego. Śledczy zaangażowani w sprawę Kosiora wciąż szukali przyczyny złożenia przez Zuzannę nieszczęsnego oświadczenia. Mógł być nią szantaż. Być może nie dotyczył on bezpośrednio Widackiej, ale kogoś z jej bliskich. Kogoś, na kim bardzo jej zależało. Policjanci brali pod uwagę różne wersje. Wiedzieli, że Kosior zatrudnił detektywa. Może ten znalazł słaby punkt pani komisarz i w niego uderzył na tyle skutecznie, że teraz dzięki jej fałszywym zeznaniom może wyjść na wolność. Jeżeli tak było, to detektyw musiał być lepszy od speców z CBŚ, którzy niczego nie znaleźli. Niczego, co obciążałoby lub nawet w niewielkim stopniu kompromitowało rodzinę Zuzanny. Matka pracowała, co prawda, na stanowisku kierowniczym, ale nie było mowy o łapówkach, bo nadzorowała wydział kultury w jakimś mało ważnym urzędzie.

Nigdy też nie miała kłopotów z prawem. Ojciec był szanowanym profesorem i wykładowcą na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. Jego specjalizacją była chirurgia, jednak od dwóch lat nie praktykował jako lekarz. Skupił się na działalności dydaktycznej. Rodzice rozwiedli się, kiedy Zuzanna była dziewczynką. Nowacki ożenił się z dużo od siebie młodszą kobietą. Partyka domyślił się, że to ją usłyszał właśnie w głośniku domofonu.

– Słucham – miała niski, zmysłowy głos.

– Komisarz Partyka z policji – nachylił się lekko w stronę mikrofonu. – Dzwoniłem kilka godzin temu.

– Proszę wejść.

Usłyszał charakterystyczny dźwięk zwalnianego elektromagnetycznego zamka, pchnął furtkę i ruszył chodnikiem w stronę domu. Wchodził po schodach ganku, kiedy drzwi otworzyły się i ukazała się w nich gospodyni. Miała na sobie obcisły golf i dopasowaną wełnianą spódnicę za kolano. Prosta, ale elegancka fryzura dodawała jej powabu. Przez głowę przebiegła mu myśl, że mimo stosunkowo młodego wieku i nieprzeciętnej urody chyba bardziej określiłby ją jako szykowną niż seksowną. Zaprowadziła go do znajdującego się za jadalnią gabinetu męża. Profesor czytał akurat książkę. Na widok policjanta odłożył jednak lekturę i wstał, by się przywitać.

– Czemu zawdzięczamy pańską wizytę? – zdjął okulary. – Co mogę dla pana zrobić?

– Na początku chcę pana zapewnić, że jestem przyjacielem, a nie wrogiem, i pragnę pomóc Zuzannie – spojrzał w oczy Nowackiego, chcąc przekonać go o czystości swoich intencji. – Nawet jeżeli moje pytania pana zdziwią, czy nawet zaniepokoją, proszę odpowiedzieć prawdę.

– Nie mam powodów, żeby kłamać w jakiegokolwiek sprawie – w tonie jego głosu pobrzmiwał naturalny w tej sytuacji niepokój.

– Córka dzwoniła do pana ostatnio częściej niż zwykle – Partyka przyglądał mu się uważnie. – Czy była jakaś konkretna przyczyna tych telefonów?

– Czy Zuzanna ma kłopoty? – na obliczu starszego mężczyzny pojawiła się troska.

– Po prostu proszę odpowiedzieć na moje pytanie – nawet gdyby mógł, nie bardzo umiał wytłumaczyć, co się dzieje.

– Córka chciała pożyczyć ode mnie pieniądze – usiadł na brzegu fotela. – Chcą z mężem kupić większe mieszkanie.

– Tak panu powiedziała?

– Tak, trafiła im się jakaś okazja i potrzebowała szybko większą sumę – odpowiadał spokojnie i rzeczowo. – Twierdziła, że sprzeda swoje mieszkanie w Warszawie i wówczas mi zwróci. Oczywiście powiedziałem jej, że nie musi mi nic oddawać.

– Jaką kwotę pan jej przekazał?

– Sto dwadzieścia tysięcy – usiadł głębiej w fotelu i założył nogę na nogę. – Tyle mogłem wybrać z banku. Mówiła, że im to wystarczy.

Komisarz Partyka był zaskoczony tą informacją. Nie słyszał, żeby Zuzanna nosiła się z zamiarem zakupu mieszkania. W obecnej sytuacji było to mało prawdopodobne. Uzyskana odpowiedź, zamiast wyjaśnić zagadkę, prowokowała kolejne pytanie: po co potrzebowała takiej sumy? Policjant próbował jeszcze dążyć temat pożyczki, ale odpowiedzi profesora nie wniosły nic nowego do sprawy. Pożegnał się więc i skierował do wyjścia. Odprowadziła go pani Nowacka. Do tej pory cały czas milczała, choć była obecna i przysłuchiwała się ich rozmowie, siedząc na małej kanapie w kącie gabinetu męża. Teraz otworzyła mu drzwi, a kiedy był już na zewnątrz, zagadnęła:

– Pan oczywiście wie, że Zuzanna nie potrzebowała pieniędzy na żadne mieszkanie, prawda?

– Dlaczego pani tak uważa? – jego wzrok potwierdzał jej przypuszczenia.

– Wolałam się upewnić, bo wy, mężczyźni, jesteście bardzo słabymi obserwatorami – naciągnęła rękawy swetra na dłonie i objęła ramiona; na zewnątrz było chłodno. – Wasze ego zasłania wam ewentualne wątpliwości. Wicie i już. Dla mnie już samo zachowanie Zuzy było podejrzane. Nie była

sobą. Smutna i roztrzęsiona nawet nie patrzyła Olkowi w oczy, kiedy dawał jej pieniądze. Nie została na obiad, wzięła kasę i prawie uciekła jak oszust.

– Oszukała ojca?

– Zapytałam ją, dlaczego kłamie i co ją gryzie – kobieta na chwilę zamilkła, jakby cofnęła się myślami do tamtej sytuacji. – Próbowałam przekonać, żeby wróciła do gabinetu i powiedziała ojcu o swoich kłopotach. Przecież on by jej pomógł. Olek zrobiłby dla swojej jedynaczki wszystko.

– I co ona na to?

– Pokręciła tylko głową i ze łzami w oczach powiedział mi, że musi obronić swoje dziecko sama.

– Dziecko?

– Tak, dziecko – rozłożyła bezradnie ręce. – Pobiegłam za nią, próbowałam rozmawiać, ale wsiadła do samochodu i odjechała.

– Powiedziała pani o tym mężowi? – Partyka chciał ustalić jak najwięcej.

– Próbowałam jakoś delikatnie, ale po kilku podejściach dałam sobie spokój – założyła za ucho rozrzucone przez wiatr włosy. – Nie chcę narazić się Zuzannie, bo długo zabiegałam, żeby mieć z nią dobrą relację.

– Jasne – Partyka dał jej swoją wizytówkę. – Gdyby pani czegoś się dowiedziała, proszę dzwonić bez względu na porę.

– Ale to prawda, co pan powiedział? – ukryła w dłoni wizytówkę. – To, że jest pan Zuzy przyjacielem i chce jej pomóc.

– Chcę jej pomóc – przytaknął. – I chcę zostać jej przyjacielem.

72

Sekretarka weszła do kancelarii i położyła wydrukowane dokumenty odczytanego przed chwilą aktu darowizny na brzegu mahoniowego biurka. Notariusz bez pośpiechu przejrzał je jeszcze raz, porównując zapisane tam dane osobowe z leżącym przed nim pełnomocnictwem. Wszystko się zgadzało.

– Wiem, że jest pan prawnikiem – spojrzał na Klimta. – Proszę nie odbierać tego jako poddawanie pod wątpliwość pańskich kompetencji, ale to duża suma pieniędzy, więc muszę się upewnić, że pański mocodawca rozumie konsekwencje swojej decyzji.

– Naturalnie, proszę bardzo – mecenas skinął głową z akceptacją. – Dobro klienta przede wszystkim.

– Oczywiście. Zatem niniejszym aktem pan Sławomir Kosior przekazuje nasciturusowi, czyli poczętemu, ale jeszcze nienarodzonemu dziecku Zuzanny Widackiej tytułem darowizny kwotę czterystu tysięcy złotych. Zgadza się?

– Tak jest.

– Jest to darowizna warunkowa. Obdarowany lub obdarowana, to zależy, kto się urodzi, będzie mógł rozporządzać środkami finansowymi dopiero po uzyskaniu pełnoletności. W wypadku, jeżeli przed uzyskaniem wieku osiemnastu lat nastąpi zgon obdarowanego, czy to naturalny, czy w wyniku każdej innej przyczyny, również nagłej śmierci spowodowanej przez osoby trzecie, darowizna przechodzi w trybie bezwarunkowym i natychmiastowym na rzecz Wiesława Gabrysia.

– Dokładnie – Klimt znów skinął twierdząco głową.

– W momencie podpisania tego aktu przez pana, w imieniu mocodawcy, pieniądze dziś zdeponowane na rachunku mojej kancelarii stają się przedmiotem

darowizny i pan Sławomir Kosior traci prawo do rozporządzania nimi.

– Mój klient jest tego w pełni świadom – mecenas jeszcze raz potwierdził słowa notariusza. – Długo i szczegółowo rozmawialiśmy o samej decyzji i jej konsekwencjach. Pan Kosior znajduje się obecnie w areszcie śledczym i choć liczymy na pełne oczyszczenie z zarzutów, chce się on zabezpieczyć i rozporządzić pieniędzmi zgodnie ze swoją wolą jeszcze przed zapadnięciem wyroku sądu w jego sprawie.

– Skoro tak, to wszystko jasne. Cała kwota wpłynęła rano na konto mojej kancelarii z zagranicznego banku. Pieniądze zgodnie z życzeniem pana mocodawcy będą zdeponowane na rachunku kancelarii, a poinformowanie obdarowanej osoby leży po pana stronie.

– Dla pana Kosiora bardzo ważna jest kwestia zachowania darowizny w tajemnicy – Klimt też chciał być pewien, że wszystko będzie jak należy. – Gdyby jednak rodzice dziecka, które ma otrzymać pieniądze, dowiedzieli się, że są one zabezpieczone w pańskiej kancelarii i chcieli zrzec się ich przed sądem w imieniu podopiecznego, to powoła pan kuratora sądowego, aby zadbał o interes obdarowanego.

– Proszę być spokojnym. Na to żaden sąd się nie zgodzi – notariusz przesunął dokumenty w jego stronę. – Nie pozwoli narazić na szwank interesu dziecka i pozbawić go takich pieniędzy. Proszę podpisać na nieparzystych stronach i na ostatniej, czytelnie.

Klimt wyszedł z kancelarii, wsiadł do swojego drogiego auta i zadowolony z siebie ruszył w stronę Tarnobrzega. Do spotkania z Widacką pozostały cztery godziny. Miał więc czas, żeby po drodze coś przekąsić. Upatrzył sobie już przydrożną karcznię, jadąc w tę stronę. Co prawda, na co dzień starał się zachowywać dietę i zdrowo się odżywiać, ale co tam, dziś postanowił sobie pofolgować. Należała mu się ta przyjemność, zwłaszcza że rozmowa z komisarz Widacką nie będzie należała do przyjemnych. Musiał być twardy. Nie mógł okazać słabości, bo tylko wówczas osiągnie swój cel. Musiał przyznać, że ten

Kosior go zaskoczył. Wymyślił iście diaboliczne rozwiązanie, a co ciekawe, plan zadziałał.

Na spotkaniu z komisarz Widacką przedstawił jej całą sytuację, a ta szybko załapała sedno sprawy. Do dnia porodu ona, a po narodzeniu jej dziecko mieli stać się celem dla bezwzględnego, psychopatycznego mordercy. Kosior opowiedział jej wydarzenia z dnia, kiedy Gabryś zamordował Janickiego i jego synka, nie oszczędzając szczegółów. Nie miał nic do stracenia. Powiedział jej, że Wiesiek zabił chłopczyka za czternaście tysięcy złotych. Kosior zgodził się powtórzyć to podłączony do wykrywacza kłamstw, uwierzyła mu więc. Wyobraźnia podpowiadała wszystkim, co morderca byłby w stanie zrobić za czterysta tysięcy. Widacka nie miała wątpliwości, że za takie pieniądze prędzej czy później zabije jej dziecko. Kosior chciał ją przestraszyć i to mu się udało. Była przerażona, kiedy pisała oświadczenie będące jego przepustką do wolności. W zamian miał zachować darowiznę w tajemnicy przed Gabrysiem. Wybrała mniejsze zło – miała dwa wyjścia z tej sytuacji i obydwie pociągały za sobą tragiczne konsekwencje. Woląła skompromitować siebie i w rezultacie wypuścić na wolność tego bydlaka, bo drugim rozwiązaniem było zabicie Gabrysia. Kosior przewidział jej wybór, bo na jej przyzwoitości był zbudowany jego plan. Kiedy wynajęty detektyw opowiedział mu historię służby pani komisarz, wiedział, że siła moralna Widackiej paradoksalnie stanie się jej słabością. Wykorzystał to po mistrzowsku. Klimt był pod wrażeniem.

73

Komisarz Widacka weszła na podwórkę kolejnego domu i spojrzała spod parasola w poszukiwaniu gospodarza. W pierwszej chwili nikogo nie dostrzegła. Pod okapem stodoły siedziały zmokłe kury, a z budy wystawał kosmaty ogon psa. Nieopodal na stercie drewna drzemał czarny kot. Cała posesja pogrążona była w marazmie i bezruchu, jakby świat postanowił schować się tu przed deszczem i przeczekać. Wśród jednostajnego szumu ulewy usłyszała jednak miarowy odgłos metalicznych uderzeń. Jak zwykle to człowiek burzył panujący wokół niego naturalny spokój i porządek. Widacka spojrzała w tamtą stronę – hałas dobiegał z pobliskich zabudowań. W murowanej otwartej przybudówce stodoły skulony mężczyzna majstrował coś w silniku traktora. Nie zauważył nadchodzącej Zuzanny, bo deszcz walący w pokryty blachą dach zagłuszył jej kroki.

– Dzień dobry panu – stała teraz przed wejściem pod wielkim czarnym parasolem, z którego strumieniami lała się woda. – Możemy porozmawiać?

– Możemy – facet wstał z klęczek, w umorusanej dłoni trzymając duży klucz. Gdzieś już ją widział. – Tylko o czym?

– O Wieśku Gabrysiu – nie wiedziała, czy od razu zapytać o konkrety, czy poczekać, aż mężczyzna sam zacznie mówić. – Szukamy go i dlatego pytam sąsiadów. Nie widział go pan może w ostatnich dniach?

– Pani jest z policji? – przyjrzał się jej i w końcu rozpoznał. – Tak, pamiętam panią.

Widział ją w dzień akcji służb na podwórku Gabrysiów, kiedy ciekawość przywiodła go na miejsce zbrodni i razem z mieszkańcami wsi przyglądał się policyjnym czynnościom, wisząc na płocie. Odłożył teraz klucz francuski

i wytarł dłonie w brudną szmatę. Chwilę zastanawiał się, co zrobić, ważył w głowie wszystkie za i przeciw. Obawiał się tego wariata, bo cała rodzinka była zdrowo popieprzona. Starego Gabrysia bali się wszyscy we wsi, a synalek podobno nie był lepszy. Inna sprawa, że za oszukiwanie policji mógł trafić do więzienia. Co go podkusiło, żeby sprzedawać ciągnik tym pojebom?

– Wiesiek był tu przedwczoraj.

Zuzanna nie odezwała się, choć z emocji poczuła uderzenie gorąca. W głowie mieszały się jej euforia i wściekłość. Nie wiedziała, czy ma faceta uściskać, czy założyć mu kajdanki. Najchętniej zrobiłby jedno i drugie. Co prawda, nie wezwał policji, choć wiedział przecież, że ścigają Gabrysia, ale informacja o pobycie poszukiwanego w pobliżu była bardzo ważna i dawała nadzieję na szybkie jego odnalezienie.

– W zeszłym miesiącu przyniósł mi pieniądze za ciągnik – mężczyzna oparł się plecami o traktor i wskazał na niego kciukiem. – Pompę miałem jeszcze zmienić i mieli go zabrać, ale nie zdążyli.

– Dlaczego pan tego nie zgłosił wcześniej?

– Mówiłem temu policjantowi, co chodził po wsi i wypytywał ludzi. Niby zapisywał, ale widocznie nie zapisał albo tak czytacie... – wzruszył ramionami. – Przedwczoraj w nocy, po dziesiątej już było, przyszedł młody Gabryś i powiedział, że nie chce tego ciągnika, bo wyjeżdża ze wsi i nie będzie potrzebował. Kazał sobie pieniądze oddać.

– Powiedział, że wyjeżdża? – to z kolei była zła wiadomość.

– Tak, coś pierdolił, za przeproszeniem, że chce świat zobaczyć, zanim go zamkną – spojrzał na traktor. – Pieniądze zabrał, a ja zostałem z tą nową pompą jak ten ciul.

Z trudem powstrzymywała się, żeby nie zrobić z nim porządku. Pół komendy szuka Gabrysia, a ten nie dał znać, kiedy tu był. Wystarczyłby jeden telefon. Deszcz padał całą noc, więc teraz psy na nic się już nie przydadzą.

– Gdzie on teraz może być?

– Do lasu poszedł – ruchem głowy wskazał w kierunku drzew.

– Jak był ubrany? – Zuzanna starała się zachować spokój i dowiedzieć jak najwięcej. – Miał na sobie coś charakterystycznego?

– Kurtkę miał taką co zawsze, zieloną puchówkę. I czarną czapkę... – gospodarz szukał w pamięci szczegółów. – Miał reklamówkę z jedzeniem. Wrócił się po nią, bo zapomniał.

– Co tam było? – to mogło naprowadzić Widacką na osobę pomagającą zbiegowi.

– Chleb, jakieś konserwy, kilka piw... – wzruszył ramionami. – Jedzenie zwyczajne.

Opisany prowiant wyglądał jak sklepowe sprawunki, ale o dziesiątej w nocy Gabryś nie mógł przecież nigdzie tego kupić. Wiejski sklep był otwarty na pewno krócej. Pomyślała, że ktoś musiał więc zrobić dla niego te zakupy wcześniej, pewnie w lokalnym sklepie, a on je wieczorem tylko odebrał.

– Jak się pojawi znowu, niech pan dzwoni bezpośrednio do mnie – dała mu wizytówkę. – I radzę zatelefonować, bo następnym razem nie będę taka wyrozumiała i pójdzie pan siedzieć za ukrywanie przestępcy.

Nie odezwał się, a ona pomaszzerowała w kierunku bramki. Wyszła na drogę, bo samochód zostawiła kilkadziesiąt metrów stąd – pod kościołem, gdzie zaczynały się domostwa. Przypomniała sobie, że sklep mijają kawałek dalej. Był po drugiej stronie ulicy. Postawiła kołnierz płaszcza, poprawiła wełniany szalik i mocno trzymając parasol, ruszyła asfaltową drogą w tamtą stronę.

W sklepie na krzesłach w kącie siedziało kilku klientów. Zrobili już zakupy, a teraz czekali, aż przestanie padać. Za ladą w drugim końcu sklepu młoda sprzedawczyni wpatrywała się w ekran swojego telefonu. Nie przerwała nawet na dźwięk dzwonka, który dawał znać, że ktoś otworzył sklepowe drzwi. Dopiero kiedy Widacka stanęła przed nią, dziewczyna podniosła powoli wzrok.

– Możemy gdzieś zamienić słówko? – Zuzanna nie chciała robić w sklepie sensacji, więc dyskretnie pokazała sprzedawczyni policyjną legitymację. – Mam do pani kilka pytań.

– Jakich? – dziewczyna wyprostowała się wyraźnie przestraszona.

– Pamięta pani, kto przedwczoraj kupił tu chleb, konserwy i kilka piw? – przyglądała się sprzedawczyni z uwagą. – Zabrał to wszystko w reklamówce.

– Nie pamiętam – młoda kobieta schowała ręce pod ladę, żeby ukryć ich drżenie. – Dużo ludzi robi tu zakupy.

– Chyba jednak nie tak wielu – policjantka rozejrzała się po słabo zaopatrzonej sklepiku. – Na pewno sobie pani przypomni.

– Nie wiem... Nie pamiętam... – głos się jej łamał.

Przez chwilę Zuzannę irytowało jej zachowanie. Oczekiwała pomocy z jej strony i odrobiny dobrej woli, a ona nawet nie zastanowiła się, nie próbowała sobie przypomnieć... Nagle Zuzanna zrozumiała przyczynę jej zachowania i wszystko stało się jasne.

– To ty mu dawałaś jedzenie, prawda? – ściszyła głos, a jej słowa zabrzmiały jak oskarżenie. – Gabryś to twój chłopak?

– Nie jest moim chłopakiem, zmusił mnie – spojrzała na ludzi przyglądających się im z ciekawością z drugiego końca sklepu. – Wszystko pani powiem, ale nie tutaj.

Podniosła ladę i wskazała policjantce drogę do magazynku na zapleczu. Dziewczyna, zanim weszła za nią, odwróciła się w stronę klientów.

– Pani Kaziu, spojrzaj pani na kasę? – przekręciła kluczyk w kasetce zamocowanej w szufladzie. – Zrobię zamówienie i zaraz wracam.

– Idź, idź! – starsza kobieta zawiązała mocniej chustkę pod szyją, jakby przygotowując się do obrony sklepowych towarów. – Przypilnuję ci wszystkiego.

– Ja mogę wina popilnować! – odparł z uśmiechem jej towarzysz, chudy mężczyzna bez zęba na przedzie. – Przeliczę, czy nie trza zamówić.

– Ty idź, dzieci w chałupie przelicz, i się za robotę jaką weź! – pani Kazia nie potrzebowała pomocników. – Księgowy się znalazł!

74

Rafał przysiadł na komódce w korytarzu i spojrział w lustro. Obok niego stała ogromna podróżna walizka, do której spakował swoje ubrania.

I to wszystko? Zabierze kilka swoich koszul i tak po prostu zniknie z jej życia? Tak to się ma skończyć? Wczoraj powiedział Zuzannie, że nie chce jej obecności, kiedy przyjdzie po swoje rzeczy. Po cichu liczył jednak, że żona będzie w mieszkaniu. Miał nadzieję, że będą mieli szansę porozmawiać, dogadać się. Nie było jej jednak, czyli jej nie zależało, dla niej wszystko było skończone. Złość i rozgoryczenie wróciły.

Przypomniawszy sobie o podsłuchu i podjął decyzję. Sięgnął do kieszeni, gdzie znalazł dwa minimikrofony, które dostał od Partyki. Przyszli z Buczkiem do niego dziś rano po raz drugi. Tym razem zapytali go, czy mają z Zuzanną zamiar kupić mieszkanie. Szczerze odpowiedział, że w tej chwili bliżej im do rozwodu niż do zakupu wspólnego mieszkania. Spojrzeli po sobie i wyjaśnili, skąd to zainteresowanie. Jego żona pożyczyła od ojca dużą kwotę na ten właśnie cel. Sto dwadzieścia tysięcy. Rafał słuchał i łączył fakty. To mogły być pieniądze, które znalazł w jej walizce. Ale tam było dużo więcej, na pewno dużo więcej. Nie wspomniawszy o tych banknotach. Nie miał pojęcia, jaką grę prowadzi jego żona. Był wściekły, że to przed nim ukrywała, ale wciąż wierzył w jej niewinność. Nawet przez sekundę nie dopuścił do siebie myśli, że mogła przyjąć pieniądze od tego mordercy i w zamian za łapówkę zeznać na jego korzyść. To musiało być coś zupełnie innego, co zresztą teraz potwierdzała pożyczka od ojca. Dlaczego nie chciała powiedzieć mu, po co jej pieniądze i o co w tym wszystkim chodzi? Otworzył dłoń, pluskwy były wielkości pięciogroszowej monety. Partyka wręczył mu zestaw do podsłuchu i kazał umieścić w kuchni, łazience i salonie.

Sypialnię łaskawie odpuścił. W normalnej sytuacji pewnie Rafał dał by mu w pysk, ale to nie była normalna sytuacja. Zuzanna wmieszała się w jakieś kłopoty i nie pozwalała sobie pomóc. Wiedział, że jeżeli zostawi tu podsłuch, ona mu nigdy tego nie wybaczy. Wbije jej nóż w plecy. To była trudna decyzja, ale tylko tak mógł jej pomóc. Wstał i przeleciał spojrzeniem po salonie w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca.

Nagle usłyszał dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Zuzanna. Zatrzymała się i spojrzała najpierw na walizkę, a potem w jego oczy. Zobaczyła tam to, co chciała, bo podeszła i bez słowa przytuliła go mocno. Rafał zaskoczony stał z opuszczonymi bezwładnie rękami, ale ona nie dawała za wygraną. W końcu objął ją, przytulił i pocałował jej pachnące deszczem włosy.

– Powiem ci wszystko, ale pod warunkiem, że obiecasz... przysięgniesz – poprawiała się – że nie zrobisz nic głupiego, bo nie chcę, żeby nasza córeczka wychowywała się bez ojca.

– Co się dzieje?

– Przysięgnij.

– Przysięgam.

– On groził śmiercią naszej córce – kiedy to powiedziała na głos, łzy same popłynęły jej z oczu. – Kosior zapisał naszej córce czterysta tysięcy złotych w darowiźnie, ale zawarł tam też punkt, że wszystko dostanie jego wspólnik, Wiesiek Gabryś, jeżeli nasze dziecko umrze przed ukończeniem osiemnastu lat. Nawet jeżeli Gabryś sam ją zabije.

– Zaczekaj – zaskoczony mężczyzna próbował zrozumieć to, co przed chwilą usłyszał. – Czyli morderca dostanie czterysta tysięcy, jeżeli zabije nasze dziecko?

– Tak, w majestacie prawa zlecił zabójstwo naszej córki temu bandycie – usiadła na walizce. – Zażądał ode mnie, żebym złożyła oświadczenie, w którym oczyszczę go z zarzutów. W zamian za to zobowiązał się, że o niczym Gabrysiowi nie powie. Gdybym odmówiła, to on wzięłyby całą winę za wszystkie morderstwa na siebie, bo nie ma nic do stracenia, i oczyściłby w ten sposób

z zarzutów Gabrysia. Nawet jeśli Wiesław Gabryś dostałby wyrok odsiadki, to pewnie krótki. Szybko wyszedłby na wolność i prawdopodobnie zacząłby polowanie na nasze dziecko. A nawet gdyby dostał długi wyrok, mógłby dogadać się w więzieniu z jakimś innym zwyrodnialcem, który zrobiłby to na jego zlecenie w zamian za część pieniędzy. Nie mogłam do tego dopuścić. Nie przespałabym jednej nocy, wiedząc, że ktoś chce zabić naszą córkę. Co to byłoby za życie z ciągłym oglądaniem się za siebie? Miałam dwa wyjścia: albo podpisać oświadczenie, albo zabić Gabrysia. Dlatego podpisałam i nic ci nie powiedziałam.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – nie rozumiał. Za dużo dramatycznych informacji naraz. – Mnie dotyczy to tak samo jak i ciebie.

– Bo bałam się, że wybierzesz to drugie rozwiązanie – ujęła jego dłoń. – Zabijesz go i nasza córeczka będzie wychowywała się bez ojca.

Milczeli. Nie powiedzieli tego na głos, ale oboje pomyśleli o jeszcze jednej możliwości. Można byłoby zabić Gabrysia podczas zatrzymania, przy próbie ucieczki, lub zaaranżować to jako zabójstwo w obronie własnej. Wówczas nikt nie poszedłby do więzienia. Oczywiście najpierw musieliby go znaleźć. Rafał jednak wiedział, że Zuzanna nigdy by tego nie zrobiła, bo to byłoby zwykłe morderstwo. Nie potrafiłaby też żyć pod jednym dachem z mordercą. Gdyby nie było innego wyjścia, gdyby stanęła między córką a zabójcą, zrobiłaby to bez wahania, ale w tej sytuacji nie potrafiła. Wybrała mniejsze zło. Woląła żyć z zszarganą opinią niż nieczystym sumieniem.

– Tylko skąd pewność, że ten bydlak po wyjściu na wolność to odwoła? – Rafał z trudem hamował wściekłość. Powoli docierała do niego groza całej sytuacji.

– Nie odwoła – zaprzeczyła. – Zgodnie z prawem nie może już zmienić swojej decyzji i odwołać darowizny. Konsultowałam to z trzema prawnikami. My też nie możemy zrzec się tych pieniędzy na rzecz Gabrysia, bo sąd na to nie powoli. To byłoby działanie na szkodę małoletniego. Dla sędziego ta darowizna to akt skruchy i zadośćuczynienia. Jedyne, co możemy zrobić, to zataić to przed

Gabrysiem. Kosior obiecał, że jak wyjdzie na wolność, to nic mu nie powie i nasze dziecko będzie bezpieczne.

– Wierzysz temu bydlakowi?

– To nie jest kwestia wiary – pokręciła przecząco głową i poprawiła włosy. – Po prostu to mu się nie opłaca. Pieniądzy tak czy inaczej już nie odzyska. A nawet jeżeli dogadałby się z Gabrysiem, to ryzykowałby ponownym oskarżeniem i więzieniem. Jednak wie, że gdy trafi do celi, to nie przeżyje tam roku. Tego boi się najbardziej, zemsty współwięźniów.

– Nie ma sposobu, żeby to odkręcić?

– Jest jeden – wyjęła gumkę i spięła włosy w kucyk. – Musimy znaleźć pierwsiego Gabrysia, zabrać go do prawnika, dać mu pieniądze i skłonić do zrzeczenia się darowizny. W zamian przekazać mu całą kwotę teraz. Zebrałam całe czterysta tysięcy. Tyle, ile dostałby z darowizny Kosiora. Pożyczyłam od rodziców i wzięłam kredyty, gdzie się dało.

– Chcesz dać mu tak zwyczajnie czterysta tysięcy?!

– Sprzedam mieszkanie w Warszawie i wszystko spłacimy – rozłożyła ręce. – To tylko pieniądze.

– To tylko bardzo dużo pieniędzy.

– A masz lepszy pomysł?

– Nie – wstał, zdjął płaszcz i zaciągnął swoje rzeczy z powrotem do salonu. – Co wiesz o tym Gabrysiu? Trzeba go znaleźć.

– Dużo – uśmiechnęła się zadowolona, że mąż zgodził się na jej plan i chce jej pomóc. Zepchnęła walizkę z dywanu i zrolowała go, pokazując Rafałowi cały zebrany materiał. – A dziś dowiedziałam się jeszcze więcej i wiem, gdzie go szukać.

75

Wiesiek uniósł głowę z poduszki i w napięciu nasłuchiwał przez chwilę dochodzących z zewnątrz odgłosów. Nie wydawało mu się. Rzeczywiście usłyszał dźwięk silnika samochodu i jakieś nawoływanie. Rozejrzył się po wnętrzu domku. Megi nigdzie nie było. Dotknął pościeli obok – była jeszcze ciepła. Usiadł na łóżku i w pośpiechu zaczął zakładać spodnie, spoglądając nerwowo przez małe okno domku. Kto to przyjechał i gdzie ona jest? Ledwo zapiął pasek, kiedy drzwi otworzyły się i jego przyjaciółka weszła do środka, a za nią dwóch chłopców. Patrzył na całą trójkę zaskoczony i zły.

– Wiesiu, nie spinaj się – widząc jego niezadowolenie, dziewczyna zarzuciła mu ręce na ramiona i uśmiechnęła się rozbrajająco. – To moi znajomi, są spoko.

Jeden z gości miał niepewną minę, a drugi głupkowato się uśmiechał spod naciągniętego na głowę kaptura bluzy. Podeszli do Gabrysia i podali mu dłonie na przywitanie. Wyszło to trochę niemrawo, bo u niego na wsi wszyscy podawali sobie ręce inaczej. Stali teraz w milczeniu. Wiesiek był wyraźnie niezadowolony z nagłej wizyty, ale Megi niespecjalnie się tym przejęła. Podekscytowana weszła w brudnych butach na ich łóżko i zaczęła podskakiwać, jak mała dziewczynka, prawie dotykając głową niskiego sufitu.

– Co jest, smutasy?! Stypa jakaś?! – czarne włosy fruwały jej na wszystkie strony. – Bawimy się, kurwa, tak?!

Chłopcy zaśmiali się głupkowato i przybili sobie piątkę. Jeden sięgnął do plecaka, skąd wyjął zgrzewkę piwa i rozdał wszystkim. Drugi zwałił się z rozmachem na wolne łóżko.

Gabryś trzymał w dłoni piwo, ale nie otwierał. Wciąż wahał się, co z nimi zrobić. Bez trudu wyrzuciłby obydwu chudzielców i z przyjemnością pożegnał

kopniakiem w dupę, ale wtedy Megi pewnie by się na niego obraziła, a tego nie chciał. Była taka miękka i potrafiła zrobić mu tak dobrze. Nie chciał, żeby się na niego gniewała. Marzył, że kiedy już zwiedzą świat, zostanie jego żoną. Nie mówił jej tego, bo bał się, że jak zawsze go wyśmiej. Zwykle mu to nie przeszkadzało, bo lubił jej śmiech, ale z tego akurat nie chciał żartować. To było jego pierwsze i tak naprawdę jedyne w życiu marzenie, które niestety komplikowało jego proste życie. Wcześniej nie obawiał się też więzienia. Wręcz przeciwnie, nie miał nic przeciwko, żeby kto inny martwił się za niego o wszystko i dbał o jego skromne potrzeby. Teraz to się jednak zmieniło. Nie chciał się z nią rozstawać. Bał się, że jak wylądje za kratkami, ona nie poczeka na niego. Musiał być dla niej dobry, wtedy i ona będzie miła. Otworzył więc piwo i pociągnął duży łyk. Chciał uspokoić nerwy i odgonić czarne myśli. Wylał usta rękawem i odstawił puszkę na stół, żeby mieć wolne obie ręce.

Zabrał z ich łóżka pościel. Była czysta, oblekł ją wczoraj i nie chciał, żeby po niej skakali. Zawinął poduszkę razem z kołdrą w prześcieradło i zamknął w szafie. Usiadł na krześle przy stole, spoglądając już spokojniej na Megi i na jej gości, pogodzony z sytuacją. Dziewczyna, widząc jego zachowanie, rozluźniła się całkowicie.

– Wojtas, masz głośnik? – upiła łyk piwa i skrzywiła się na chwilę za sprawą goryczy. – Trzeba rozweselić to smutne jak odbył miejsce.

– Jest tu Wi-Fi?

– Tak, a hasło jest: pierdolnij się w łeb! – pokręciła głową z politowaniem. – Przecież tu nawet prądu nie ma. Połącz się z głośnikiem i daj telefon, bo mój się rozładował. Puszczę coś.

Przez minutę szukała piosenki wpatrzona w ekran smartfona, by po chwili z małego głośnika popłynęła melodia i jej twarz rozpromienił nostalgiczny uśmiech. Spojrzała na jednego z chłopców.

– Pamiętasz? – widząc jego zakłopotaną minę zrobiła głośniej i zakręciła się, patrząc w sufit. – Chuja pamiętasz! Wy, faceci, w ogóle nie jesteście romantyczni.

– Ścisz trochę – Gabryś nie wiedział, co go bardziej denerwuje, głośna muzyka, czy to, że ciągle zagaduje do tamtego. – Ktoś usłyszy i zgłosi na komisariat.

– Wyluzuj! – zatrzymała się w końcu, ciężko oddychając. – Na tym zadupiu oprócz nas nikogo nie ma.

– Czasem może ktoś zająć – Wiesiek wziął do rąk głośnik, ale nie wiedział, jak się go obsługuje. – Jak to wyłączyć?

– Zaczekaj, wiem co ci zrobi dobrze – podeszła do jednego z chłopców. – Masz piguły?

Wojtas sięgnął do kieszeni i podał jej kolorowy listek z czterema czerwonymi tabletkami. Wyjęła z opakowania dwie pastylki.

– Daj rękę – jedną położyła na dłoni Wieśka, drugą ujęła w dwa palce i uniosła. – No to cyk! Na zdrowie!

Stuknęła się z nim pigułką w taki sposób, w jaki zwykle stuka się kieliszkami, wznosząc toast, i połknęli je, popijając piwem. Odwróciła się i chwilę tańczyła. Wiesiek wodził za nią wzrokiem. Zrobiło się mu zimno, jakby ktoś otworzył nagle w domku okna. Rozejrzał się, wszystkie były jednak zamknięte. Dreszcz przeszedł całe jego ciało, ale zacisnął szczęki i uczucie chłodu zniknęło. Zastąpiło je miłe ciepło rozlewające się po całym ciele. Megi płasała wokoło, jakby lekko unosząc się nad podłogą. Była taka piękna i uśmiechała się do niego, a on uśmiechał się do niej. Czuł się taki szczęśliwy. Wstał z krzesła, aby ją dotknąć, ale rozplynęła się w powietrzu. Usłyszał gdzieś z tyłu jej perlisty śmiech, a kiedy się odwrócił, zobaczył dziewczynę za sobą. Nie wiedział, jak się tam znalazła, ale znów ruszył w jej stronę, a ona ponownie zniknęła, jakby za sprawą czarów.

Siedziała teraz na łóżku obok swoich kolegów. Wyjęła kolejną tabletkę z opakowania i położyła na końcu swojego języka. Przechyliła głowę jak ptak i wsunęła język do ust chłopaka. Gabryś zmarszczył czoło, bo to mu się nie spodobało. Muzyka dudniła coraz głośniej i szybciej, a wraz z nią przyspieszało jego tętno. Serce jak szalone tłoczyło wzburzoną krew. Chciał im przerwać,

kazać przestać, ale nie mógł otworzyć zaciśniętych ust. Patrzył, jak ich splecione ciała siłują się ze sobą. Nagle jej wargi zniknęły i chłopak pochłonął je całe jak jakaś drapieżna ryba. Próbowwała go odepchnąć, uwolnić się od niego, ale jej nie pozwolił. Jęczała, a Wiesiek nie mógł nic zrobić, chociaż bardzo chciał. Stał jak zahipnotyzowany, patrząc na nich przerażonym wzrokiem. Członki odmówiły mu posłuszeństwa. Drugi chłopak, zamiast ją ratować, nagrywał wszystko telefonem, uśmiechając się głupkowato. Megi szamotała się jak bezbronne zwierzątko, nie mogąc uwolnić się z uścisku natręta. W pewnej chwili ten chwycił mocno jej głowę, przycisnął do siebie i wbił się zębami w jej twarz, odgryzając wargi i wyszarpując je wraz z językiem. Krew zalała jej twarz i spłynęła po jego brodzie. Dziewczyna bełkotała coś, nie mogąc mówić wyraźnie. Wiesiek nie rozumiał jej słów, ale powtarzała coś w kółko. W końcu dotarło do niego, że ona prosi go o pomoc!

Ruszył w ich kierunku powoli, z trudem jakby rozrywając krępujące jego ciało łańcuchy. W końcu uwolnił się całkowicie i w sekundę był już przy nich. Z nadludzką siłą chwycił zbrodniarza za ubranie i rzucił na stół. Drewniany mebel rozleciał się pod ciężarem upadającego ciała. Chłopak leżał teraz obolały na podłodze pośród połamanych kawałków stołu, nie bardzo wiedząc, co się stało. Jego kumpel śmiał się na cały głos filmując, jak Gabryś unosi drewnianą stołową nogę i z impetem uderza leżącego w głowę. Nagrywał, jak kolejne ciosy spadają na wijące się na ziemi ciało. Ruchy Wieska były płynne i rytmiczne. Każde uderzenie trafiało dokładnie w to miejsce, gdzie chciał. Już nie był wściekły, nie spieszył się. Precyzyjnie i konsekwentnie uderzał w kolejne punkty. Miał czas, aby je wybrać, kiedy unosił rękę uzbrojoną w drewniany drąg nad swoją głowę, szykując kolejny cios. On jeszcze się ruszał, jeszcze próbował zasłaniać rękami, ale skulony zakrywał już tylko głowę. Wiesiek wypatrzył odsłonięte ucho i chciał tam wymierzyć kolejny cios, kiedy nagle drewniana stołowa noga stała się bardzo ciężka. Nie był już w stanie jej podnieść czy chociaż utrzymać w dłoni. Ze zdziwieniem spojrzął na przedmiot, który wypadł

mu z ręki i potoczył się po podłodze. Zrobiło mu się słabo. Osunął się na kolana i wyrócił na wznak – na leżące na ziemi ciało.

76

Kosior, nie zatrzymując się i nie oglądając za siebie, ruszył w stronę autobusowego przystanku. Usłyszał za plecami głośny szcęk zamykanej metalowej furty w więziennym murze. Na ławce w przystankowej wiacie nie było nikogo. Usiadł i wyjął z pomiętej paczki kilka złamanych papierosów. Wybrał najdłuższego i przypalił, a resztę wyrzucił do kosza. Nie zareagował, kiedy chwilę temu strażnik wydający mu z więziennego depozytu rzeczy osobiste zgniótł paczkę na jego oczach. Podobnie jak na inne drobne złośliwości, jakimi starali się mu dokuczyć. Nawet ich rozumiał. Nie mogli znieść myśli, że wychodzi na wolność. Bezsilność i jego spokój doprowadzały ich do szału. Uśmiechnął się. Udało się, jest wolny. Teraz musiał zniknąć, bo załazł za skórę też ludziom, którzy nie potrzebują uznania jego winy przez sąd do wymierzenia sprawiedliwości. Uznał, że coś wymyśli, pojedzie w Bieszczady i będzie uczył matematyki w jakiejś wiejskiej szkółce. Tam zawsze potrzebowali nauczycieli, to i specjalnie o jego przeszłość nie będą pytać. Nie musiał się też martwić o kasę. Co prawda, dom i wydane na niego pieniądze przepadły, ale z okupu zostało mu jeszcze osiemdziesiąt tysięcy schowanych pod podłogą w pokoju. Na początek wystarczy, spokojnie się urządzi. Może nawet będzie na jakiś mały drewniany domek, jakich pełno w Bieszczadach?

Po raz drugi chciał zacząć życie od nowa, ale teraz już nie miał robić żadnych głupot, bo był spokojny. Załatwiał swoje sprawy, zamykając stary rozdział. Nie czuł też wyrzutów sumienia. Wręcz przeciwnie. Z satysfakcją myślał o ukaraniu swoich winowajców. Może miał tylko jakiś dyskomfort, kiedy wspominał Annę, ale bardziej rozczarowanie niż żal. Ich romans wydawał mu się teraz czymś tak odległym, jakby dotyczył kogoś innego. Ogrom emocji, jakie przeżył po

zatrzymaniu przez policję, prawie zatarł wcześniejsze przeżycia. Strach przed osadzeniem w celi i zemstą współwięźniów był tak wielki, że wszystko inne wyparł z głowy. Ale teraz był już bezpieczny. Rzucił niedopałek na chodnik i chciał go przydeptać, kiedy tuż przed nim w autobusowej zatoczce zatrzymał się czarny, sportowy samochód. Zamarł na chwilę. Szyba auta zjechała powoli w dół i Sławek odetchnął z ulgą.

– Dzień dobry, panie Kosior – Klimt uśmiechał się do niego serdecznie. – Udało się, co?

– Udało mi się wyjść z więzienia, a panu – dobrze zarobić.

– Najważniejsze, że sprawiedliwość zatriumfowała i może się pan cieszyć wolnością.

– Nie musi pan tak pieprzyć – Sławek uśmiechnął się z ironią. – Nie jesteśmy już w sądzie.

– Jak pan chce – wzruszył ramionami. – Niech pan wsiada, podwiozę pana.

– Po mnie pan przyjechał?

– Klient musi być zaopiekowany do końca.

– Ale wie pan, że nie mam ani grosza? – zaśmiał się znowu. – Żeby potem nie było awantury przy wysiadaniu.

– Za kogo pan mnie ma? – prawnik podjął jego żartobliwą grę. – Już niczego bezinteresownie nie mogę zrobić?

– Ja się dziwię, że pan w ogóle zna to słowo – Kosior wsiadł do samochodu. – No to skoro pan taki uprzejmy, to proszę mnie podrzucić do Tarnobrzega.

Mecenas ruszył z piskiem opon. Nawet nie dlatego, że chciał się popisać, ale po prostu tym samochodem inaczej się nie dało.

Jechali w milczeniu. Kosior beznamytnie spoglądał przez okno, za to Klimt bił się z myślami. W miarę jak zbliżali się do miasta, był coraz bardziej nerwowy. W końcu zebrał się w sobie i zagaił.

– Ma pan gdzie się zatrzymać? – zerknął na niego. – Jakby co, to dom, który od pana kupiłem, jest wolny. Może pan tam na razie zamieszkać.

– Nie trzeba – zbył go krótko.

– Parę złotych też mogę pożyczyć na początek.

– Nie wiem, czemu zawdzięczam tę wspaniałomyślność, ale niech pan sobie daruje. Już nie jestem i nie zamierzam być pańskim klientem – propozycja pożyczki wzbudziła w Sławku czujność. – Na mnie pan już nie zarobi, chcę żyć zgodnie z prawem.

Mecenas nie skomentował tego. Prowadził samochód, milcząc dłuższą chwilę. To nie była łatwa rozmowa, bo nie był przyzwyczajony do mówienia prawdy prosto z mostu, a dodatkowo temat był wyjątkowo delikatny. Wjechali do Tarnobrzega. Nie było czasu na podchody, więc postanowił przejść do sedna.

– Policja nie złapała jeszcze Gabrysia – patrzył na drogę przed siebie. – Ale to tylko kwestia czasu.

Kosior spojrzał w jego stronę i przyglądał mu się przez chwilę. Wiedział już, że podwózka nie jest bezinteresownym gestem, ale nie pojmował, o co mu chodzi. Nie zapytał jednak, nie zamierzał mu tego ułatwić.

– Mam zamiar po zatrzymaniu zaproponować mu swoje usługi – kontynuował Klimt.

– Przecież on jest biedny jak mysz kościelna – wciąż nie rozumiał, do czego papuga zmierza. – Jeszcze w darmowe podwiezienie to jestem w stanie uwierzyć, ale w taki altruizm, to, pan wybaczy, za chuja.

– Teraz jest biedny – Klimt zignorował jego ironiczną wypowiedź. – Ale jeżeli pańska darowizna trafiłaby jednak w jego ręce, to już stałby się zamożnym człowiekiem. Hipotetycznie.

– No tak, wtedy byłoby go stać na pańskie usługi – wreszcie rozumiał jego intencje. – Ale wcześniej trzeba byłoby go przekonać, żeby zabił dziecko tej policjantki. Hipotetycznie.

Mężczyzna skinął głową i zrobił minę, jakby był bezradny wobec logiki wyводу i zgadzał się z oczywistymi faktami wygłoszonymi przez swojego pasażera.

– I do tego jestem panu potrzebny, panie mecenasie? – Kosior miał już jasność sytuacji. – Żeby nakłonić Gabrysia do zabójstwa dziecka?

– Może zdążymy uwolnić go przed urodzeniem dziecka, wtedy będzie mu łatwiej.

– Ale z ciebie skurwysyn.

– I kto to mówi? Święty to pan nie jest – Klimt nie takiej reakcji oczekiwał. – Zresztą mniejsza o przeszłość. Trzeba patrzeć do przodu. Sam pan powiedział, że nie ma pan grosza przy duszy. Ja wezmę swoje honorarium, a wy podzielicie się resztą. To kupa pieniędzy.

– Zatrzymaj się tutaj – miał dosyć tego cwaniaczka, a byli już prawie na miejscu. – Święty plan, ty weźmiesz swoją legalną kasę, Gabrysia wsadzą do więzienia za zabicie dziecka, a mnie za współudział. Dziękuję i spierdalaj.

Klimt zatrzymał samochód, zaczekał aż Kosior wysiądzie i odjechał z impetem. Sławek ruszył w kierunku mieszkania rodziców. O tej porze nie powinno być ich w domu. Idąc po schodach, sięgnął do kieszeni, żeby sprawdzić, czy ma klucz. Otworzył drzwi. W środku było pusto. Nie rozbierał się, nie ściągnął nawet kurtki. Przeszedł przez korytarz prosto do swojego pokoju. Odwinął dywan, podważył deskę i zajrzał do schowka. Pieniądzy nie było. Włożył rękę, jakby chciał przekonać się, że oczy go nie zawiodą. Skrytka była pusta. Kiedy klęcząc zastanawiał się, jak to możliwe, drzwi do pokoju otworzyły się.

– To ty – w progu stał ojciec. – Nie masz co szukać.

– Gdzie są pieniądze? – odruchowo włożył deskę, choć było jasne, że ojciec wie. – Ty je zabrałeś?

– Tak – stary mówił spokojnym, wyczerpanym z emocji głosem. – Oczyszczałem je. Czekał, jak to się mówi? Wyprałem.

– Jak to?

– Zaniósłem do kościoła i wrzuciłem do skrzynki na ofiarę.

– Co zrobiłeś?

– Tylko tyle mogłem zrobić, bo nie zwrócę życia tym niewinnym ludziom, których zabiłeś – stare oczy zwilgotniały. – Powinienem był cię wtedy wydać policji. Morderca. Nie chcę cię widzieć. Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj.

Zabraniam ci przychodzić do mojego domu i na mój pogrzeb. Nie jesteś już moim synem, nie chcę cię znać!

Ojciec stał bokiem w progu i drżącą dłonią wskazywał mu drzwi. Sławek wstał z kolan i unikając jego wzroku, wyszedł z mieszkania. Miał ściśnięte gardło. Szybko zbiegł po schodach. Na dole zatrzymał się i wyjął telefon. Wziął głęboki oddech, żeby uspokoić emocje, i wybrał numer.

– Zamki do domu pan zmienił?

– Nie – Klimt nie krył zaskoczenia jego telefonem.

– To nie musi mi pan przywozić kluczy. Jeden komplet jest schowany pod doniczką – zastanowił się chwilę i utwierdził w swojej decyzji. – Niech mi pan podrzuci wieczorem dziesięć tysięcy. Opłaci się panu.

Uwagę ich przykuł ustawiony obok schodków grill. Żar tlił się jeszcze, a między drzewami unosiła się cienka smuga dymu. Wokół panowała cisza, a reszta ośrodka wydawała się opuszczona. Rafał ostrożnie zajrzał do środka domku przez małe okienko. Dzień był pochmurny i choć dopiero dochodziło południe, wewnątrz panował półmrok. Mimo to zdołał dojrzeć zieloną, puchową kurtkę wiszącą na oparciu krzesła. Wnętrze wyglądało tak, jakby przeszła przez nie wichura. Powywracane sprzęty i porozrzucane puszki po piwie poniewierały się wśród resztek połamanego stołu. Dwa łóżka były puste, ale na trzecim spał ktoś przykryty stertą pościeli. Domek nie miał ogrzewania, więc śpiący okrył się dodatkowo kocami. Rafał cofnął się i wrócił za róg sąsiedniego budynku, gdzie czekała Zuzanna.

– Jest tam – zdał jej relację bez zbędnego wstępu. – Wisi zielona kurtka. Taka jak mówiłaś. Mamy szczęście, bo śpi.

– Może jednak wejść z tobą?

– Znowu zaczynasz? – spojrzał na nią z wyrzutem. – Przecież uzgodniliśmy. W czym mi pomożesz bez broni? Siedź tutaj i czekaj.

– Dobra, tylko ostrożnie – dała spokój, bo nie było sensu tracić czasu na przepychanki. – On jest uzbrojony.

– Mam kamizelkę, nic mi nie będzie – mężczyzna nabrał powietrza w płuca i spojrzał w stronę domku. – Idę.

Po drewnianych schodkach wszedł na małą werandę i powoli odbezpieczył pistolet. Zły na siebie, że nie zrobił tego wcześniej, starał się przesunąć metalowy zamek jak najciszej, żeby nie zaalarmować Gabrysia. Musiał być ostrożny, bo bandzior był uzbrojony w strzelbę, a to groźna broń nawet w rękach laika.

Zuzanna została z tyłu. Zostawił jej swój paralizator i nakazał czekać. Przez moment zastanawiał się, czy wejść, wywarzając drzwi, i wykorzystać element zaskoczenia, czy spróbować go podejść po cichu. Zdecydował się na to drugie rozwiązanie i stojąc z boku, powoli nacisnął klamkę, po czym uchylił wejście. Chwilę nasłuchiwał, by następnie zajrzeć ostrożnie do środka. Zadowolony stwierdził, że w domku nie było nikogo oprócz śpiącego pod górą kołder Gabrysia. Ostrożnie podszedł do łóżka, przyjął pozycję gotowego do strzału i zrzucił posłanie na podłogę.

– Co jest, kurwa?!

Megi zerwała się i usiadła zasnana na łóżku. Wpatrywali się teraz w siebie, oboje całkowicie zaskoczeni. Rafał pierwszy oprzytomniał i odzyskał mowę.

– Gdzie jest Gabryś? – cofnął się pod ścianę i rozejrzał z bronią gotową do strzału.

– Wyjechał.

– Nie kłam – zajrzał do szafy, jedyne mebla w pomieszczeniu. – Nie ma go w ośrodku?

– Nie ma – wycedziła. – Wczoraj wyjechał.

– A ty kto jesteś? – zreflektował się, że cały czas mierzy w nią z odbezpieczonej broni i opuścił pistolet. – I co tu robisz?

– Wszystko OK? – Zuzanna stała w drzwiach.

– Miałaś czekać – skinął w kierunku dziewczyny. – Mówi, że Gabryś wczoraj wyjechał.

– Bez kurtki? – Zuzanna wskazała na wiszącą puchówkę. – Nie wydaje mi się.

Rafał spojrzał wymownie na dziewczynę. Oddał broń Zuzannie i podszedł do niej.

– Jestem z policji, wstań – przeszukał ją. – Pokaż jakiś dokument.

– Nie mam.

Rozejrzał się po pokoju, ale niczego nie zauważył. Podniósł poduszkę, leżały pod nią telefon i mały plecak. Dziewczyna rzuciła się, ale był szybszy. Chwycił ją za ramię i przytrzymał. Drugą ręką sięgnął po jej rzeczy.

– Siedź i nie ruszaj się – pchnął ją na łóżko, przeszukał plecak i wyjął legitymację uczniowską. – Małgorzata Puzio, zamieszkała w Kolbuszowej. Co ty tu robisz, Małgosiu? Powinnaś być w szkole, a nie żłopać piwsko z bandziorami.

Dziewczyna milczała z zaciśniętymi ustami. Nie podobało się jej, że mężczyzna traktuje ją jak małą dziewczynkę.

– Znajdziemy numer i zadzwonimy do mamy – odłożył plecak, jako że nic ciekawego więcej w nim nie znalazł. – Jaki masz kod do telefonu?

– Nie pamiętam.

– Nie pamiętasz? To daj łapkę – chwycił ją za dłoń. – Przestań się szarpać, gówniaro! Zdaje ci się, że to są jakieś żarty?!

Jedną ręką przytrzymał jej palec wskazujący, drugą przyłożył do niego sensor telefonu. Ekran rozświetlił się, Rafał puścił jej dłoń i zaczął przeglądać historię rozmów, żeby znaleźć numer któregoś z rodziców. Dziewczyna aż sapała, cała czerwona z wściekłości.

– Kutas! – z nerwów po policzkach popłynęły jej łzy.

– Uspokój się! – Zuzanna zrobiła krok w jej stronę. – Siedź spokojnie i nie pyskuj, bo cię zakuję w kajdanki!

– Skuj ją... – Rafał cały czas patrzył w ekran telefonu. Z głośnika aparatu słychać było śmiechy i krzyki.

– Dobra, nie trzeba – Zuzanna chciała ją tylko nastraszyć i w ten sposób przywołać do porządku. – Już będzie grzeczna, prawda?

Megi nie słuchała jej. Patrzyła spięta na jej męża. Dziewczyna zorientowała się, co policjant znalazł w jej smartfonie. Wojtas przesłał jej rano film. Rafał oddał telefon Zuzannie, sam sięgnął po kajdanki i zacisnął je mocno na szczupłych nadgarstkach dziewczyny.

– Patrz! – cofnął video do początku, powiększył obraz na cały ekran i włączył odtwarzanie.

Filmik trwał niecałe trzy minuty. W tle słychać było muzykę. Megi poczęstowała kolegę jakąś tabletką i dwójka nastolatków pocałowała się namiętnie. Wśród śmiechów i zachęt chłopak włożył jej dłoń pod spódnicę.

Bynajmniej, nie broniła się. Jeszcze zachłanniej wpiła się w niego ustami. Nagle czyjeś ręce spoza kadru chwyciły go i wyrwały z objęć dziewczyny. Przez moment nagranie było chaotyczne, bo w domku wywiązała się bójka.

Zuzanna rozpoznała w napastniku Gabrysia. Rycząc jak opętany, wyrócił młodszego i słabszego chłopca na stół. Stary mebel rozleciał się na kawałki pod ciężarem upadającego. Gabryś podniósł jedną ze stołowych nóg i zaczął nią okładać swoją ofiarę. Na ratunek rzuciła się dziewczyna, skoczyła mu na plecy, chcąc go powstrzymać, ale stracił ją i dalej bił leżącego. Biedak jęczał i zasłaniał głowę rękoma. Nagle w pokoju rozległ się huk, zapanowała cisza i Gabryś osunął się na ziemię. Ręka nagrywającego obróciła telefon. W drugim końcu domu Megi stała nieruchomo ze strzelbą, a z lufy unosił się dym. Jej twarz powoli zmieniała swój wyraz. Od przerażenia przez zdziwienie aż do dzikiej radości, której towarzyszył upiorny śmiech. Zanosiła się śmiechem, wskazując przed siebie. Kamera telefonu powędrowała za jej palcem.

Ciężko ranny Wiesiek czołgał się, brocząc obficie krwią. Chłopak, którego przed chwilą Gabryś katował, zrzucił go z siebie, chwycił tę samą drewnianą nogę i zaczął bić go po całym ciele. Dziewczyna dołączyła do niego. Wrzeszcząc i przeklinając okładali rannego, aż stracił przytomność. Złapali się za ręce dla zachowania równowagi, skakali po nim w dzikim tańcu i kopali przy akompaniamencie głośnej muzyki. Kiedy skończyła się piosenka, a w pomieszczeniu zapanowała cisza, usiedli zmęczeni na podłodze i śmiali się głośno. Między nimi leżało skatowane ciało Wieśka, a jego szeroko otwarte oczy były martwe.

78

Prokurator Jaworska przeczytała uważnie oświadczenie Zuzanny i odłożyła kartkę na stół.

– I co to ma być?

– Prawda – w głosie policjantki słysząc było determinację. – Teraz, kiedy Gabryś nie żyje, mogłam napisać prawdę.

– Tylko że teraz to już nie ma żadnego znaczenia i nikogo to nie interesuje – przesunęła dokument po blacie w jej stronę. – Sprawa zamknięta. Pan Kosior został oczyszczony przez sąd ze wszystkich zarzutów i jest teraz wolnym człowiekiem. Wczoraj opuścił mury więzienia jako szanowany obywatel. Nie mogę go oskarżyć drugi raz o to samo, więc pani skrucha jest spóźniona.

– Wiem, że to moja wina – Zuzanna nie miała jej za złe sarkastycznego tonu i złości. – Ale nie mogłam postąpić inaczej. Proszę zrozumieć, musiałam chronić rodzinę, ale teraz jestem gotowa ponieść konsekwencje.

– Dla mnie to wątpliwa satysfakcja – Jaworska złagodziła ton. Znała już przyczynę jej wcześniejszego zachowania i trudno było ją potępić. – Dla wszystkich będzie lepiej, jeżeli zostawi to pani w spokoju. Za wymuszanie zeznań oczywiście poniesie pani karę, ale wszyscy znają kontekst, więc przełożeni potraktują panią ulgowo. Zawieszenie, nagana, pewnie pozbawienie premii i dodatków. Wróci pani po urlopie macierzyńskim i nikt już nie będzie pamiętał.

– Nie mogę – pokręciła głową zrezygnowana. – Po prostu nie mogę.

– To nie dotyczy tylko pani – prokurator nachyliła się nad biurkiem w jej kierunku i zaczesła palcami grzywkę. – Pani przełożony też będzie miał kłopoty. Cały wydział. Zrobi się wokół tego smród, a dziennikarze rozniosą sprawę na

całą Polskę. Wtedy już nie będzie przeprosił. Chce pani kolegów pociągnąć za sobą w to gównno?

– Wezmę na siebie całą odpowiedzialność.

– Za składanie fałszywych zeznań w sprawie o zabójstwo grozi pani surowa kara – poprawiła okulary. – Może pani nawet trafić do więzienia na lata. Nigdy też nie wróci pani do policji.

– Wiem – Zuzanna wstała powoli i zanim wyszła, przesunęła dokument w stronę pani prokurator. – Zrobi pani z tym, co uzna za stosowne.

Jaworska nie odezwała się więcej. W milczeniu odprowadziła ją wzrokiem do drzwi. Kiedy została sama, spojrzała przez okno z ósmego piętra na panoramę miasta i pogrążyła się w myślach. Musiała przyznać, że ta Widacka zaimponowała jej swoim zachowaniem. Miała dziewczyna charakter. Potrafiła wiele poświęcić dla dobra innych i w imię zasad. W prawniczym świecie pani prokurator była to rzadkość, choć przecież właśnie na sali sądowej uczciwość i prawda powinny być czymś powszechnym. Zastanawiała się, gdzie zgubili te kardynalne wartości. Teraz wszystko ograniczało się do sprawnego zonglowania przepisami. Idea prawa oskarżonego do obrony, skądinąd szczytna, w dzisiejszym świecie wypaczyła się zupełnie. Najlepsi prawnicy wybierali lepiej opłacane specjalizacje i za grube pieniądze bronili brudnych interesów swoich mocodawców. Prokuratura też, żeby im się skutecznie przeciwstawić, uciekała się często do nieetycznych rozwiązań. Trudno było jej się przyznać, nawet samej przed sobą, ale w sprawie Kosiora nie była bez winy. Gdyby nie poszła na ten zgniły kompromis, sprawa nadal toczyłaby się przed sądem i teraz bez trudu doprowadziłaby do skazania bandyty. Tylko że ona przestraszyła się porażki, a ten chytry adwokacina wykorzystał jej słabość. Nie powinna była się zgadzać. Widacka nie zgodziłaby się na jej miejscu. Tym razem ona postanowiła zrobić, co trzeba. Być po właściwej stronie. Wzięła do rąk jeszcze raz oświadczenie policjantki i przedarła je na pół. W imię sprawiedliwości.

79

Kosior wspinał się powoli po stromej ścieżce prowadzącej do starego ceglanego domu. Na krzywej drewnianej ławce pod oknem siedział Klimt i machał do niego z daleka. Sławek nie przyspieszył, choć pchany niepokojem z trudem powstrzymywał się, żeby nie podbiec. Nie był zaskoczony jego widokiem, bo na dole, na poboczu asfaltowej drogi, widział jego sportowe auto. Poznał je i idąc po zasypanej świeżym śniegiem łące, zachodził w głowę, czego prawnik może jeszcze od niego chcieć. Wiedział, że jego sprawa została zamknięta, a prokuratura nie może do niej wrócić. Od dnia wyjścia z więzienia nie zrobił nic niezgodnego z prawem. Pilnował się i był teraz wręcz wzorowym obywatelem. Więc po cholere on tu przyjechał? Mecenas ubrany w swój drogi płaszcz i eleganckie buty pasował do otoczenia jak kwiatek do kożucha. Wyciągnął nogi przed siebie i łapał promienie słońca. Pewnie rzadko zdarzało mu się obcować z naturą, a dziś słońce rozlało się po zasypanych świeżym śniegiem bieszczadzkich połoninach.

– Dzień dobry, panie Sławku! – zawołał w stronę Kosiora, ledwo ten wszedł na podwórko. – Ale się pan zaszył! To jeszcze Polska, czy już Ukraina?

– Ziemia obiecana wyrzutek – odparł, żeby cokolwiek odpowiedzieć. – Może pan rzuci ten paskudny zawód i zamieszka tutaj.

– A co ja bym tu robił?

– Ze swoimi zdolnościami mógłby pan zostać księdzem.

– Za późno. Sprzedałem duszę diabłu – prawnik uśmiechnął się zadowolony z dowcipu. – Dlatego wygraliśmy w sądzie.

– Jeżeli nie jest to próba ucieczki od świata, to co pana w takim razie tu sprowadza?

– Rozmawiałem z tą policjantką – lekko zakłopotany zaczął niepewnie. – Chciałem ją wy badać, co w tej sytuacji zrobi z pańską darowizną. Skoro Gabrys nie żyje...

– No i?

Kosior uspokoił się. Więc o to mu chodziło. Nie mógł odżałować czterystu tysięcy i kombinował, jakby tu się dostać do tej kasy. Dlatego dzwonił kilka dni temu z informacją, że policja znalazła Wieśka martwego.

– Ona nie chce tych pieniędzy – uniósł brwi. – Chce się ich zrzec na jakiś szczytny cel.

– No, to raczej małe szanse, żeby zapisała panu – Kosior uśmiechnął się i ruszył do środka, by zakończyć rozmowę. Nie był ciekaw dalszego ciągu.

– Myślę, że z moją pomocą mógłby pan przekonać komisarz, a w zasadzie już panią Widacką, bo zrezygnowała ze służby, żeby je panu zwróciła! – Zawołał za nim. – Kiedy dziecko dorośnie oczywiście.

– Przecież ono się jeszcze nie urodziło.

– Osiemnaście lat minie jak z bicza trzasnął – przekonywał. – A perspektywa dużego zastrzyku gotówki za kilkanaście lat byłaby bardzo miła. Mogę to przygotować od strony prawnej.

– Beze mnie – chętnie odzyskałby swoje pieniądze, ale nie chciał ryzykować. Nie miał zamiaru przypominać o sobie policji i pchać się im w oczy. – Dla mnie to zamknięty rozdział.

– I co? – rozejrzył się. – Do końca życia będzie pan mieszkał na tym zadupiu i drzewo w lesie rąbał?

– Gorzej! Dostałem pracę w miejscowej podstawówce jako nauczyciel.

– Czteryście tysięcy to dużo pieniędzy, a ona ich nie chce – nie dawał za wygraną. – Bo wie, że pochodzą z przestępstwa.

– A panu to nie przeszkadza?

– Pieniądze nie śmierdzą.

– Mało pan na mnie zarobił? – Kosior spojrzał na prawnika. – Sto tysięcy i dom za połowę ceny.

– Niech mi pan nie przypomina – skrzywił się. – Nie chcę się już tym domem denerwować.

– Co się stało? – zapytał odruchowo.

– Wynająłem go biznesmenowi z Warszawy – machnął dłonią. – Tylko że on okazał się bezrobotnym z szóstką dzieci. Nawet pierwszego czynszu nie zapłacił. Bo i z czego, jak jedyne jego zajęcie to łowienie ryb. No to odciąłem prąd i gaz. Myśli pan, że się wynieśli? Ten kutas poszedł do adwokata i zarządał przywrócenia mediów, bo inaczej mnie do sądu poda!

– Można tak?

– Niestety można – rozłożył ręce w geście bezradności. – Prawo chroni nieuczciwych lokatorów i nakłada na właściciela obowiązek zapewnienia mediów. A ja nie mogę sobie pozwolić na wyrok skazujący, bo by mnie z palestry wyrzucili. No i, kurwa, płacę za tego trutnia i jego wesołą gromadkę.

– I nie da się z tym nic zrobić? – Sławek był szczerze ubarwiony.

– Próbowałem. Kolega z Warszawy mi poradził, żebym jakiegoś osiłka tam zainstalował na jakiś czas – mówił dalej zrezygnowanym tonem, jakby nie zważając, że Kosior ma ubaw. – Mieli się wtedy wynieść, bo jak tu mieszkać pod jednym dachem z oprychem po wyroku. Ten mój miał mordę całą wytatuowaną, że sam się go bałem. Bronilem go w sprawie o rozbój.

– Zadziałało?

– A gdzie tam! – na samo wspomnienie mężczyzna tracił panowanie nad sobą. – Ta lokatorka jeszcze zadowolona, bo mówi, że jak tatuś na rybach, to ma z kim dzieci zostawić. Rozumie pan?! Zresztą bandzior sam się po tygodniu wyniósł.

– Nie chciał robić za wujka?! – Sławek śmiał się już w głos.

– Trzeciego dnia, jak tam zamieszkał, to mu, za przeproszeniem, do nutelli dzieci nastaly – Klimt spojrział na Sławka. – To znaczy tak myślę, że dzieci, choć z tymi pojebami to nie wiadomo. Kapnął się dopiero, jak sobie tosta posmarował. Od tego czasu nie mógł tam już nic zjeść, no i głodem go wykurzyli.

Kosior przetarł oczy, bo historia rozbawiła go do łez. Mimo że nie było mu szkoda prawnika, złagodził jednak ton. Słowo sympatia byłoby na wyrost, ale

zmienił zdanie i zaprosił mężczyznę do środka, na herbatę. Klimt usiadł za stołem, a Sławek odkręcił butlę gazową i postawił czajnik na kuchence.

– Zimno tu – siedział w zapiętym płaszczu. – Jest tu w ogóle toaleta?

– Jest.

– Mogę skorzystać?

– W korytarzu na prawo.

Sławek ustawił szklanki na blacie kredensu. Zajrzał do szafki, cukier się skończył. Trzeba było pójść do sklepu. Pomyślał nawet, że może tamten by go podrzucił. Ale jednak nie. Wolał na piechotę pokonać cztery kilometry niż z nim dłużej gadać. Zastanawiał się, po cholere go w ogóle wpuścił. Był teraz zły na siebie.

– Będę się zbierał – Klimt chyba czytał w jego myślach, bo stanął w drzwiach gotowy do wyjścia i spoglądał w telefon. – Późno już, a do Tarnobrzega daleko.

Nie zatrzymywał go. Nie zapytał też co z herbatą.

– Jakby pan zmienił zdanie, to mój numer pan zna – Klimt zapiął płaszcz. – Do widzenia.

– Raczej żegnam – odstawił jedną szklankę z powrotem do kredensu. – Proszę nie czekać na mój telefon i nie przyjeżdżać tu więcej.

Spojrzał przez okno. Prawnik odszedł szybkim krokiem, rozmawiając już z kimś przez telefon. Widocznie musiał nadrobić stracony tutaj czas. Sławek wrócił do kuchni, wlał do garnka kupne pulpety ze słoika i zmniejszył płomień palnika, żeby się nie przypaliły. Otworzył drzwiczki starej kuchenki, która teraz pełniła rolę pieca. Włożył gazetę, kilka szczapek i podpalił. Płomień powoli rósł, dając pierwsze, jeszcze złudne ciepło, ale od razu zrobiło się przytulniej. Kosior żył tutaj od miesiąca. Chałupę wynajął za grosze od staruszki, która przeniosła się do córki mieszkającej w sąsiedniej wsi. Myślał już o remoncie, bo od razu dogadał przyszły zakup domu z kawałkiem przyległego lasu. Kobieta zgodziła się sprzedać mu wszystko za trzydzieści trzy tysiące, „za tyle ile lat żył nasz Pan Jezusek”. Dobrą cenę wynegocjował, ale musiał teraz chodzić co niedzielę do kościoła, bo żadnej umowy nie podpisali. Ustalili, że po prostu da starej znać,

kiedy będzie miał pieniądze. W banku spółdzielczym powiedzieli, że po trzeciej pensji dostanie trzydzieści tysięcy pożyczki. Z wypłaty przez ten czas odłoży resztę. Pomyślał, że wszystko będzie dobrze, wszystko sobie poukłada...

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie, wypadły z zawiasów z hukiem i uderzyły o podłogę. Do środka wpadli ubrani na czarno, uzbrojeni mężczyźni. Zanim Kosior zdążył wydusić z siebie słowo, leżał już skuty na ziemi, a twardy plastikowy nakolannik przyciskał mu twarz do podłogi. Widział wszędzie wojskowe trepy ludzi, którzy rozpierzchli się po jego domu. Działali w milczeniu. Słyszał tylko trzaskanie szafek i dźwięk tłuczonych talerzy. Zamknął oczy, bo jakieś szkło trafiło go w twarz. Usłyszał kroki tuż obok siebie, otworzył oczy i zobaczył czarne cywilne buty.

– Podnieście go! – mocne ręce postawiły Kosiora i ujrzał przed sobą znajomą twarz.

Komisarz Krzysztof Partyka patrzył na niego beznamiętnym wzrokiem. Uniósł rękę i podstawił mu pod nos paczkę zawiniętą w foliowy worek na śmieci.

– Co to jest?

– Nie wiem.

– Skąd się wzięło w twojej łazience?

Tego akurat się domyślał. Policjant położył na stole opakowanie i delikatnie rozciął folię. W środku było zawiniątko z białym proszkiem i paczka stułotowych banknotów.

– Nie mam pojęcia! – Kosior patrzył na pieniądze i narkotyki zimnym wzrokiem. – Wynajmuję ten dom od niedawna, pewnie zostawił to poprzedni lokator.

– Sprawdzimy w laboratorium odciski palców i wszystko będzie jasne.

Partyka nie uśmiechał się, nie triumfował, bo nie miał powodów do dumy. Jedynie poczucie, że robi to, co należy w imię sprawiedliwości.

80

Kosior szedł więziennym korytarzem. Przed sobą niósł koc, miskę i aluminiowe sztućce. Na twarzy miał kilkudniowy zarost. Od ostatniej rozprawy sądowej nie golił się. W czasie procesu spotkało go wiele niespodzianek. Na foliowym worku, w który były zapakowane narkotyki i pieniądze, znajdowały się jego odciski palców. Sławek długo zastanawiał się, jak to możliwe, bo w życiu nie miał tego w rękach. Olśniło go na sali rozpraw: to był worek z kubła na śmieci w jego starym domu, który sprzedał Klimtowi. Adwokat użył go, bo nikt w tym domu od wyprowadzki Sławka nie mieszkał. Całą bajeczkę o patologicznej rodzinie zmyślił, żeby przełamać lody i dostać się do jego łazienki, gdzie ukrył narkotyki. Na banknotach były też odciski palców Sławka, bo to było to dziesięć tysięcy, które prawnik kiedyś mu pożyczył. Oddał mu je z powrotem, kiedy dowiedzieli się, że Gabrys nie żyje. Wyjaśniły się też dziwne SMS-y i głucho telefony, które Kosior ostatnio odbierał. Kontaktowali się z nim dealerzy i narkomani notowani w policyjnych kartotekach. Wrobienie go było zaplanowaną, dobrze przygotowaną akcją. Jediną niewiadomą było to, jak policja skłoniła Klimta do współpracy? Przecież nie zapłacili mu za tę mistyfikację z budżetu komendy. A pieniądze, i to duże, stanowiły jedyny argument, który mógł go do tego skłonić. W każdym razie sędzia nie miał wątpliwości, że jego opowieść o skorumpowanym prawniku można między bajki włożyć i uznał go za winnego zarzucanych mu czynów. Trzy dni wcześniej usłyszał wyrok i za posiadanie znacznej ilości narkotyków skazano go na rok pozbawienia wolności. Tylko rok, bo mimo starań prokuratury nie udowodniono mu handlu, i aż rok, bo bał się więzienia jak ognia. Co prawda, oczyszczono go z zarzutów zamordowania dzieciaka, ale nie miał pewności, czy policja

„życzliwie” nie szepnęła kilku słów innym więźniom. Dlatego zaraz po ogłoszeniu wyroku jego adwokat złożył wniosek o pojedynczą celę, z uwagi na zdrowie i życie osadzonego.

– Stój! – strażnik wyjął pęk kluczy i znalazł właściwy. Zanim przekręcił zamek, otworzył klapkę i zajrzał do środka. – Osadzeni, usiąść na swoich łózkach!

– Co jest, kurwa?! – Kosior zaprotestował ściszym głosem. – Przecież miałem mieć pojedynczą celę!

– Jasne, z widokiem na morze – klawisz otworzył ciężkie metalowe drzwi. – Właż i nie pierdol!

Sławek spojrzał na niego z nienawiścią, wszedł do środka i oniemiał. Strach sparaliżował jego członki. Przed nim w więziennym drelichu stał stary Wagner, ojciec porwanego chłopca. Wpatrywał się w niego zimnym wzrokiem. Po dłuższej chwili drżącą ręką przecesał włosy, ominął stojącego na drodze do drzwi Kosiora i podszedł do strażnika.

– Jak tam, panie Kaziu, było na wakacjach? – poklepał funkcjonariusza po ramieniu. – Hotel się żonie podobał?

– Bardzo. Dziękuję, panie Wagner – klawisz zmienił ton na poufały, wręcz służalczy. – Koleżanki w robocie mało się z zazdrości nie posikały.

– No, jak żona zadowolona, to teraz panu się coś od życia należy! – mrugnął dwuznacznie i wsunął mu do kieszeni rulon banknotów. – A jakby pan chciał coś młodszego znowu poruchać, to pan powie mojemu człowiekowi.

Strażnik uśmiechnął się na samo wspomnienie i skinął głową z zadowoloną miną. Odwrócił się, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Chwilę później usłyszeli jego oddalające się kroki, dźwięk zamka elektrycznego i trzaśnięcie kraty oddzielającej ich blok od pozostałej części więzienia. Wagner odwrócił się do Kosiora i przyglądał się mężczyźnie dłuższą chwilę w milczeniu, jakby celebrując tę chwilę.

– No i spotkaliśmy się wreszcie, Sławuś – przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko stojącego w bezruchu Kosiora. – Ty o mnie zapomniałeś tam

w górach, ale ja o tobie nie. Wspominałem cię w każdej minucie każdego pierdolonego dnia i wreszcie znalazłem sposób, żeby cię tu ściągnąć. Dużo mnie to wszystko kosztowało, ale udało się i na pewno się opłaciło. Prawda, Oleg?

– Troszku kosztowało – ochroniarz Wagnera wstał z pryczy.

– No ale było warto. Chociaż nasza stara cela była większa niż w tym pierdlu spacerniak – wstał i ujął w dłoń stojącą na szafce przy jego łóżku fotografię. – Codziennie przed snem obiecywałem synowi, że cię, skurwysynu, dopadnę i dotrzymałem słowa. Oleg, daj jego białko.

Mężczyzna poklepał kieszenie jego więziennej bluzy i znalazł kartkę z wyrokiem. Nie czytał, tylko podał go Wagnerowi. Ten rozłożył dokument.

– No, to mamy dla siebie cały rok – stary uśmiechnął się złowrogo do Kosiora, po czym wziął z jego ręki łyżkę i wrył na ścianie datę jego wyjścia na wolność. – To będzie dzień twojej śmierci.

Kosior leżał na brzuchu pod łóżkiem, przyciśnięty przez materac do betonowej posadzki. Oleg zajrzał tam, chwycił przerażonego za rękę i wyciągnął na środek celi. Ten wił się i piszczał, ale mężczyzna przytrzymał go mocno. Wbił w jego ramię igłę i wstrzyknął antybiotyk. Dawali mu lek, żeby do ran nie wdało się zakażenie i nie umarł przedwcześnie. Kiedy tylko skończył, mężczyzna szybko wpełzł z powrotem pod łóżko. Tylko tam czuł się względnie bezpieczny. Kilka razy dziennie wyciągali go, a wtedy wył i szarpał się jak dzikie zwierzę. Już w pierwszych dniach pobytu w celi powybijali mu przednie zęby i powyrywali paznokcie. Nie mógł wołać o pomoc, bo język i struny głosowe miał poparzone wrzątkiem, który wlewali mu do ust. Połamali mu też wszystkie palce u rąk, więc nie mógł się bronić. Z otwartych blizn sączyła się krew i ropa. Jego ranom nie pozwalali się zagoić – kiedy tylko kości zrastały się, łamali mu je na nowo. Zresztą jak miał się im przeciwstawić, kiedy z głodu ledwo się czołgał. Czasami trzy dni z rzędu nie dostawał nic do jedzenia. Potem Wagner wylewał na podłogę pozostałości swojego obiadu, odchodził na drugi koniec celi i przyglądał się, jak

wygłodniały, zwabiony jedzeniem pokonuje strach i wypęza spod łóżka. Patrzył z satysfakcją, jak zbiera pokierszowanymi dłońmi resztki i wylizuje podłogę, krzywiąc się z bólu, a przy najmniejszym ruchu współwięźniów, ucieka w panice pod łóżko. Wagner kazał Olegowi wytatuować mu na czole imię swojego syna i codziennie zmieniał tatuaż w jątrzącą się ranę, systematycznie punkt po punkcie wypalając kolejne litery papierosami. Gasił je na jego czole, patrząc mu głęboko w oczy.

Kosior prawie nie wychodził z celi. Nie puszczała go na spacer ani do łaźni. Tylko kiedy spod łóżka wydobywał się już smród, pozwalali mu się kąpać. Wówczas grypsujący mieli używanie. Wszyscy więźniowie wiedzieli, czego tak naprawdę dopuścił się Kosior i nikt go nie żałował. Wagner suto opłacał strażników, więc też przymykali oko.

Kosior był na skraju obłądzenia. Dziś noc była jasna, wychylił więc z kryjówki i sprawdził, czy śpią. Spojrzał na wyrytą na ścianie datę. Nie marzył już, żeby cofnąć czas, aby uniknąć swojego marnego losu. Marzył, żeby nastał już ten dzień i skończyło się jego cierpienie.

Epilog

Zuzanna poprosiła pielęgniarkę o gumkę i grzebień, by mogła związać włosy. Zmęczona przytuliła teraz małą główkę do piersi, lekko kołysząc zawiniątko. Jej twarz była lekko zarumieniona, a oczy świeciły radośnie. Rafał nieśmiało zaglądnął do sali. Zauważyła go, uśmiechnęła się i przywołała ruchem dłoni.

– Spisaliśmy się – usiadł na brzegu szpitalnego łóżka i wyszeptał zadowolony.

– Nie denerwuj mnie, nawet nie wszedłeś do sali – zaśmiała się cicho. – Pójdę do tej szkoły rodzenia i każę im oddać pieniądze.

– A ja do lekarza i niech teraz płaci za niebieską farbę – też się śmiał. – Muszę pokój przemalować.

– Pomóż mi, nakarmię go.

Próbowała zmienić pozycję, ale wciąż była obolała, nie mogła się podnieść. Poprawił jej poduszkę i pomógł unieść się wyżej. Odsunęła koszulę, wtedy chłopczyk znalazł pierś i zaczął ssać łapczywie. Oboje, patrząc na synka, poczuli wzruszenie.

– Musimy go tak wychować, żeby oddał te pieniądze.

– Teraz ci się przypomniało? – przyglądał się małemu z zadowoleniem. – Nie możemy jak normalni rodzice martwić się, żeby nie pił i nie palił?

– Nie żartuj.

– Nie bój się – pocałował ją. – Wychowamy go na dobrego człowieka.

Koniec